

NIK PIERUMOW

# BLACKWATER



Tom I  
MAGIA I STAL

NIK PIERUMOW

**BLACKWATER**  
Tom I  
**MAGIA I STAL**

przełożyła Ewa Skórska



Tytuł oryginału: ***Prikluczenija Molly Blackwater. Za kraiem mira.***

Ilustracja oraz projekt okładki: *Tomasz Maroński*

Redakcja: *Anna Richter/Słowne Babki*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Katarzyna Szajowska*

Steampunk font © Alexander Babich/Dreamstime.com

Grunge Christmas Border © Welburnstuart/Dreamstime.com

© by Nik Perumov

Agreement by Wiedling Literary Agency

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Ewa Skórska

ISBN 978-83-287-1011-5

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

# Spis treści

## Cześć pierwsza: Nord Jork

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

## Cześć druga: Karn Dred

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11

Epilog



**CZĘŚĆ  
PIERWSZA**

**NORD JORK**



Czarny dym, wypływany przez kominny, i niskie szare chmury wyglądały niczym kolumny podtrzymujące dach. Chmury przewalają się przez ostre grzbiety gór Karn Dred i schodzą w dół, w dolinę, ku brzegom szerokiej rzeki Mjor. Rzeka wpada do Nord Gveylingu, Morza Północnego; w jej ujściu rozłożył się Nord Jork.

To on dymi kominami, przeszywa noc syrenami fabryk. To w jego zatoce stoją niskie, długie niszczyciele, monitory i kanonierki, potężne statki handlowe z kilkoma kominami i skromne kabotażowce. Z portu wychodzą nitki torów, biegną do magazynów i warsztatów, koszar i fortów.

Piece buchają ogniem, chciwie pożerając węgiel. Para kłębi się wokół naprężonych, jakby gotowych do skoku lokomotyw; dymią szlachetne niczym charty lokomotywy kurierskie. Z Karn Dredu ciągną pękate dwukotłowe wagony z drewnem budowlanym, rudą i czystym węglem, który jako jedyny nadaje się do palenia w kapryśnych królewskich drednotach.

Statki wywożą całe to dobro z portu; odczołgują się niczym przejedzone zdobyczą wilki.

Ulice Nord Jorku w jego dolnej, nadrzecznej części są wąskie jak wąwozy. Na dnie sapią parowozy, jadą wagony z robotnikami, ładunkami. Domy są bardzo wysokie, mają po piętnaście, czasem nawet więcej pięter. Ich okna są wąskie i brudne; gospodynie nie nadążają czyścić szyb z sadzy. W brązowych skrzynkach pod oknami wyciągają się ku światłu wąskie strzałki szczypiorku. Bez cebuli tu ani rusz – zimą w Nord Jorku często gości szkorbut.

W górę rzeki, na opadających ku niej zboczach, ulice stają się szersze, a domy niższe. Tu ludzie chodzą lepiej ubrani, więcej jest pubów, sklepów, kawiarenek. Tutaj mieszkają majstrzy, specjaliści, inżynierowie, oficerowie garnizonu królewskiego, mechanicy, maszyniści pociągów pancernych, którzy ochraniają kopalnie, wydobywanie i wyrąb lasu na zboczach Karn Dredu.

Tu właśnie, na Pleasant Street, pod numerem 14 mieszka doktor John Casper Blackwater z rodziną. Doktor Blackwater pracuje na kolei, leczy robotników torowych, smarowniczych, zwrotniczych, tych, którzy pracują przy semaforach, oraz telegrafistów. Wiecznie jest w rozjazdach – podróżuje swoją niewielką drezyną parową, lokomotywą z półwagonem, w którym mieści się sala operacyjna i gdzie można przyjąć chorego. Tam też na wąskiej kuszetce doktor sypia, jeśli nie zdąży wrócić na noc do Nord Jorku.

Czasem zabiera ze sobą Molly, zwłaszcza gdy pani Anna Nicole Blackwater jedzie odwiedzić swoich *maman* i *papa*. Molly uwielbia wyprawy z ojcem.

– Fanny! Powiedz mamie, że jestem w domu!

Panna Molly Blackwater, lat dwanaście, zamknęła drzwi i potrząsnęła głową pod kapturem. Na dworze sypał śnieg, nad Karn Dred nadciągnęły znowu masy chmur.

Fasada townhouse’u rodziny Blackwaterów jest wąska, mieści drzwi i dwa okna. Za drzwiami wejściowymi biegnie długi hol, na ścianie po lewej kłębią się wychodzące z piwnicy rury, rozdzielnik pary, wskaźniki, wentyle i dźwignie.

Para wprawia w ruch cały Nord Jork. Nie tylko ogrzewa domy w chłodną, wietrzną zimę, ale porusza tłoki w cylindrach maszyn, wprawia w ruch całe fabryki, steruje semaforami na torach kolejowych i skrzyżowaniach ulic, przestawia zwrotnice prawdziwych wielkich pociągów i skromnych ulicznych lokomotywek, rozładowuje statki w porcie – nie sposób wyliczyć wszystkiego. Głęboko pod ziemią przez całą dobę pali się w wielkich piecach, z których rury rozprawdają wrzącą parę; stoją tam gigantyczne kotły wysokości dwudziestu, nawet trzydziestu stóp.

W piwnicy domu Molly też jest kocioł, choć oczywiście nie tak duży. Jest również miejsce na węgiel i mechaniczny podajnik, także napędzany parą. Na zewnątrz wychodzą otwory wlotów powietrza, jak na prawdziwym statku, w środku huczą wentylatory. Para biegnie w górę do pomieszczeń, pozwala szykować jedzenie albo prasować, dociera do autoklawu sterylizatora, gdzie doktor wkłada strzykawki i skalpele.

Za holem w domu Molly znajdują się pokój gościnnie, jadalnia i kuchnia. Meble w domu doktora Johna Blackwatera są ciemne, solidne, dębowe.

Po lewej – gabinet taty, tak mały, że mieszczą się tam jedynie biblioteczka i biurko. A jednak właśnie tu doktor przyjmuje chorych, gdy już jest w domu. Na biurku taty stoi jego duma: mechaniczna maszyna do pisania, napędzana parą, z własnym kotłem i grzałką z prawdziwym piecem! Na niej tata pisze artykuły do

„Lancetu” i dla Królewskiego Towarzystwa Medycznego, opisując choroby północnych barbarzyńców i ich barbarzyńskie metody leczenia. Tata przyznaje, że z tej maszyny ciężko korzystać w domu, jeśli nie podłączy się jej do domowego parociągu, za to w podróży, jak twierdzi, jest niezastąpiona. Zdaje się, że popularny zwrot: „do pieca!”, dotyczący nieudanych rękopisów, wziął się właśnie od tych maszyn.

Molly uporała się wreszcie z płaszczem i kapturem. Służąca Fanny, zdaniem dziewczynki potwornie stara – miała trzydzieści pięć lat! – wyłoniła się z głębi domu i wzięła od Molly przysypaną śniegiem pelerynę.

– Buciki, panienko Molly. Proszę spojrzeć, zaraz zrobi się kałuża! Mama panienki nie będzie zadowolona!

– Nie zrzędź! – roześmiała się Molly, zrzuciła ciepłe buty i popędziła po schodach na piętro, na chwilę zatrzymując się przed wysokim lustrem wysokości człowieka. Zakasłała – zawsze kasłała, gdy zimą nad miastem zbierał się dym z niezliczonych pieców i komór paleniskowych.

W lustrze odbijała się blada, chuda dziewczynka z dwoma warkoczykami, w które wpleciono czarne wstążki. Miała zadarty nos, piegi, brązowe oczy i trochę może za duże przednie zęby. Ubrana była w brązową sukienkę, czarny fartuszek i czarne pończochy, przepisowy strój prywatnej szkoły panny Lindgrow, która przyjechała tutaj z południa, z imperialnej Stolicy.

Na dole, jak słyszała Molly, Fanny podreptała do kuchni – widocznie mama gdzieś tam właśnie była. Molly zaraz się przebierze i zejdzie na dół. Zasady są surowe: nie może stanąć przed dorosłymi, póki nie zmyje z siebie sadzy, wciskającej się pod wszystkie szale i maski. Fanny, rzecz jasna, się nie liczy – to przecież służba, przy nich można.

Młodsze brata Williama chyba jeszcze nie przyprowadzono do domu, i bardzo dobrze, nie będzie przeszkadzał. W tym siedmioletnim łobuzie było tyle złośliwości, że wystarczyłoby na tuzin chłopców.

Molly otworzyła drzwi do swojego pokoju, jak wszystkie w ich domu wąskiego i długiego niczym piórniki. Okno wychodziło na zachodnią aleję, ale dziewczynka nie miała zamiaru przez nie wyglądać. Śmieci, połamane skrzynki, koński nawóz, może nawet coś jeszcze gorszego – po co się na to gapić? Porządni ludzie – i porządne dzieci – tam nie chodzą.

W pokoiku zmieściły się tylko umywalka, szafa, wąskie łóżko, niewielki stolik pod oknem i deska kreślarska. Najprawdziwsza deska nad deskami. Zajmowała niemal pół pokoju i tak jak maszyna taty była na parę. Pantograficzna główka,



mechaniczny napęd: wystarczyło podłączyć ją do domowego parociągu, nie zapominając o kominie wyciągającym, wstawić grafit w zacisk, a zaczynała powtarzać ostatni rysunek albo pomagała poruszać karetką. Była prezentem od taty na dwunaste urodziny i Molly ją ubóstwiała.

A jak się już ma deskę kreślarską, to powinno się na niej kreślić – albo chociaż rysować. I dlatego wszystkie wolne miejsca w pokoju Molly zajmowały rysunki, a także książki, ołówki, temperówki, gumki do ścierania różnej wielkości i maści, i wielka gotowalnia, mieszcząca się na półce. Rysunki były wszędzie. Na narzucie łóżka, na stole i nad stołem, na krześle, na szafie i pod szafą, no i, rzecz jasna, na wszystkich ścianach. Ale jeśli ktoś myśli, że panna Blackwater rysowała jakieś tam jednorożce, kucyki, księżniczki, kotki lub mopsy – to się grubo myli. Na żółtawych arkuszach nabierały rozpędu wielkie maszyny: dymiły lokomotywy, wznosiły lufy haubice pociągów pancernych, wypływały z portu niszczyciele. Rysowanie postaci czy pejzaży zupełnie Molly nie interesowało. Nawet maszyny na jej pracach były nie tyle maszynami, co planami, rozrysowanymi bardzo starannie, zgodnie ze wszelkimi regułami sztuki. Teraz na desce kreślarskiej czekał na jej rękę kolejny mechaniczny potwór – od tygodnia, wysuwając język z przejęcia, Molly rysowała lądowy drednot: pociąg pancerny, który nie potrzebowałby torów.

Szybko ochlapała twarz, zmieniła szkolną sukienkę na flanelową koszulę i luźne spodnie, a potem zbiegła na parter. Wywalczenie sobie prawa do chodzenia w takim stroju, choćby tylko czasami, kosztowało Molly kilka miesięcy awantur, aż mama wreszcie się poddała.

– Dzień dobry, mammo! – Dziewczynka skłoniła głowę.

Mama stała na środku salonu w pięknej szaroperłowej sukni, rzekomo skromnej, choć zdaniem Molly można by się w niej zjawić nawet na dworze królewskim w Stolicy. Włosy miała zebrane na karku w ścisły kok, spojrzenie surowe.

– Molly... – odpowiedziała z lekkim skinieniem głowy.

– Czy wolno będzie mi usiąść?

– Siądź, moja droga. Tata nie wróci na obiad, a więc zjemy bez niego, jak tylko wrócą Jessica i William. Proszę się nie garbić, postawa, moja droga, postawa! I ręce, Molly, gdzie ty masz ręce? Gdzie i jak trzymają ręce porządne, dobrze wychowane panienki?

– Przepraszam, mammo. – Molly wyprostowała się szybko i położyła dłonie na kolanach.

– Od razu lepiej. Dobre nawyki należy kształtować od dzieciństwa. A więc,

moja miła, co słyhać w szkole? Molly! Nie spiesz się, nie połykaj końcówek i nie zaczynaj zdania od „potem”. Proszę bardzo, moja droga, słucham.

\*\*\*

– Patrz, Molly, „Dauntless”! Wypłynął „Dauntless”!

– No coś ty! – prychnęła Molly. – „Dauntless” ma tylko jedno działo, dziobowe. To „Daring”, widzisz działo na rufie? Dwanaście funtów, niedawno zamontowane!

– Bo ty zawsze musisz wszystko wiedzieć najlepiej – zasapał urażony rudzielec z odstającymi uszami. On i Molly siedzieli na gzymsie starej latarni morskiej, wznoszącej się wysoko nad portem. Latarnia od dawna nie działała, zbudowano nową, wysuniętą daleko w morze.

– Nie śpij, Sammy, to też będziesz wiedział. „Dauntless”, „Daring” i „Defensive” to statki siostrzane. Dopiero co przyplłynęły z północy, z kanonierką „Warrior”.

– Ech, żeby tak chociaż jednym okiem popatrzeć – westchnął Sammy – jak one tam, za górami, wałą w brzeg...

Tak... Pasma Karn Dred było północną granicą Królestwa, za nim ciągnęły się bezkresne lasy – jak daleko, nie wiedział żaden imperialny kartograf. Dawno, dawno temu kraj Molly był wyspą, Briatanią, ale od czasów Katakliizmu, który wydarzył się wiele lat temu, wyspa stała się półwyspem. Zjawiły się drogi, zaczęły wic rzeki, jeziora otworzyły ciekawskie oczy. A tam, za ostrymi szczytami Karn Dredu, pojawili się nieznani wcześniej mieszkańcy o trudnej do wymówienia nazwie Rooskies.

Molly westchnęła, poprawiając na głowie autentyczny kask maszynisty. Dostała go od taty, a on od mechanika, któremu uratował nogę, przebitą okrągłą kulą z przedpotopowego muszkietu Rooskies.

Podmuch wiatru cisnął im w twarz drobinki twardego śniegu zmieszanego z sadzą. Rudy Sam kichnął, Molly zakasłała, zamrugwała i szybko opuściła na oczy wielkie okulary ochronne. Okulary też dostała od taty; używają ich pracownicy torowi na dalekich liniach, dochodzących do odległych kamieniołomów i tartaków.

Sammy zerknął na przyjaciółkę z jawną zazdrością. No tak, Molly miała na sobie ciepłą skórzaną kurtkę, na futerku, z mnóstwem zamków błyskawicznych, skórzane spodnie z licznymi kieszeniami i wysokie buty ze sprzączkami. W szkole musiała nosić przepisowy mundurek, ale chodząc po mieście, mogła nosić, co chciała, zwłaszcza teraz, w czasie tej zgniłej zimy.

A Sammy trząśł się w cienkim paletku, na łokciach przetartym do dziur. Buty lada chwila stracą podeszwę, kraciaste spodnie miały łatę na łącie.

Sam mieszkał za torami, za Gearshift Street. Biegła tam estakada, wyglądająca jak zardzewiały szkielet nieznanego zwierzęcia, po której do portu, fabryk i na dworzec jeździł szybki parowóz. Na Gearshift kończyła się „porządna dzielnica” (jak zwykła mawiać mama) i zaczynały się „dzielnice pechowców”, jak nazywał je tata. „Ale – dodawał niezmiennie – leczyć trzeba wszystkich. To obowiązek lekarza, pamiętaj, Molly”.

Państwo Blackwater na pewno nie ucieszyliby się, że ich córka zadaje się z chłopcem „z tamtej strony”. Jednak Molly zdążyła się już nauczyć nie opowiadać o wszystkim nawet rodzicom. Zwłaszcza rodzicom.

– A mojego tatę wysłali dzisiaj – rzucił Sammy, odprowadzając wzrokiem „Dauntlessa”, który tak naprawdę nazywał się „Daring” – będzie kładł nową linię przez wąwóz Kuhir.

– Kuhir?! – zdumiała się Molly. – Ale przecież... ale to przecież po tamtej stronie!

– Aha. – Sammy pociągnął nosem. – A tam są ci... Rooskies.

No tak, pomyślała Molly. A Rooskies bardzo nie lubią, gdy na ich ziemiach rąbie się lasy, zasypuje parowy, buduje mosty przez górskie rzeki albo drąży tunele....

– Wysłali „Herkulesa”, by ich bronił. – Sammy wynalazł jednak jakieś pocieszenie.

– „Herkulesa”?! To super! – ucieszyła się szczerze Molly. – Szkoda, że nie widziałam...

– Wyjeżdżali w nocy – odparł Sam pobłaźliwie. – Wy jeszcze śpicie o tej porze. Tylko my, fabryczni, wstajemy o świcie.

– „Hektora” też wysłali?

– Nie, „Hektor” ciągle w remoncie. – Sammy z ważną miną potarł nos. – Jeszcze go nie naprawili. „Herkules” wyjechał sam.

„Herkules” był największym, najpotężniejszym pociągiem pancernym Nord Jorku. Dwa dwukotłowe parowozy, najsilniejsze, jakie zdołały wyprodukować fabryki Królestwa, sześć bojowych wagonów pancernych, dwa wagony koszarowe, wagon ze sztabem i oddziałem medycznym... Molly bez zająknięcia wyliczyłaby liczbę i kaliber wszystkich dział i mitraliez[1], którymi najeżony był pancerny kolos, pomalowany w szare i brudnobiałe pasy.

„Herkulesowi” towarzyszyły zawsze mały pociąg pancerny z dźwigiem i zapasowymi torami na wypadek, gdyby zostały uszkodzone tory. Zwykle w ten sposób ubezpieczał giganta stary, wysłużony „Hektor”. Puszczano go przodem, więc nic dziwnego, że często gęsto obrywał.

Ale skoro „Herkules” ruszył sam, to znaczy, że sprawa była pilna...

W porcie rozległy się sygnały: dwa holowniki ostrożnie podciągnęły do cumowiska wielkiego „Kanoniera” – ciężkiego monitora obrony brzegowej. Wypłynął z zatoki cztery dni temu i, jak mówił tata przy kolacji, nie spodziewano się go wcześniej niż za dwa tygodnie.

Musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego.

– Molly, patrz! – krzyknął Sammy zdławionym głosem.

Słońce skrywały niskie chmury i smog, wiecznie obecny w Nord Jorku, padał śnieg, ale Molly i tak widziała, że monitor zanurzony jest aż po pokład, znacznie głębiej niż normalnie. Zobaczyła ślady spalenizny na szarych bokach nadbudówki i bojowej wieżyczki z gardzielami czternastocalowych dział. Zniszczone poręcze mostka, brak steng i lin, przy kominie zniknęły wygięte wloty powietrza, bez śladu przepadły dwa kutry parowe. Nie było też dwóch dział szybkostrzelnych prawej burty („QF działa Mk II kalibru cztery i pięć ósmych cala, długość lufy czterdzieści kalibrów, ciężar pocisku czterdzieści pięć funtów”, rozległ się głos w głowie Molly) – zostały z nich wygięte, poskręcane pasy metalu, jakby jakiś zwierz darł pazurami korę drzewa.

Co się stało?! Dlaczego? Przecież Rooskies nie mają ciężkich dział! Zresztą, po starciu artyleryjskim monitor wyglądałby inaczej! Nie odrywali wzroku od przepływającego powoli giganta. A to co znowu?!

– To... to zęby? Czy dziób? – Oczy Sammy’ego rozszerzyły się.

Chłopiec miał rację. Nadbudówkę na rufie na skos coś przecięło, jakby wielki topór, na jej dachu widniały dziwne ślady, jakby próbowano abordażować monitor, zarzucając na pokład mnóstwo lin, zakończonych masywnymi, ostrymi hakami.

– Molly, co to jest?

– Pewnie... odłamki – powiedziała niepewnie dziewczynka. – Mogła wybuchnąć mina w aparacie minowym, na przykład, na niszczycielu obok i odłamki poleciały. A gdyby do tego maszt upadł nieszczęśliwie...

– Nie, Molly. – Sammy zaszczekał zębami ze strachu. – To czary, mówię ci, że to czary!

– Cicho! – zgromiła go dziewczynka. – Nawet tak nie mów!

Magia to straszna rzecz. Magia to strach i przekleństwo Nord Jorku, całego Królestwa. Magia przyszła po Kataklizmie, jak, skąd, dlaczego – tego nie wiedział nikt. A jeśli nawet ktoś wiedział, to dzieciom z porządnych rodzin, takich jak Molly, nic się nie mówiło.

Magia nie podlega kontroli, nie da się nią kierować. Nie można jej nanieść na szkic, nie da się jej wyliczyć ani na linijce logarytmicznej, ani nawet na wielkim parowym arytmometrze. Magia przychodzi, władczo bierze poddanego Jej Wysokości królowej za gardło i...

I wtedy kończy się wszystko.

Rzecz jasna, początkowo jest dobrze i nic nie wróży nieszczęścia. Przeciwnie, wszystko układa ci się tak jak nigdy. Spełniają się drobne życzenia. Na przykład niczego się nie uczyłaś, a w szkole nie tylko cię nie spytali, ale jeszcze przełożyli klasówkę. Przewróciłaś ustawione przez mleczarza butelki, a one poturlały się po schodkach, lecz nie rozbiły. Obrzydła robótka ręczna okazuje się zrobiona. Podarta kurtka – cała. A na nosie wstrętnej Annie Sprinkles z równoległej klasy, złośliwej, wrednej i podłej dziewczuchy, wyskoczył wielki, rozgniony pryszcz – wystarczyło pomyśleć życzenie.

Ale potem...

Potem trochę byś się wystraszyła. Uważałabyś bardziej na schodach, pilniej się uczyła, nawet pogodziła z tą wstrętną Sprinkles. Jest już jednak za późno.

W nocy śniłyby ci się koszmary, budziłabyś się złana potem od własnego krzyku. W tych snach byłabyś potworem, widmem, Aniołem Śmierci, Czarnym Kosiarzem, przemykającym nocą po ulicach Nord Jorku. Wydrapywałabyś krzyże na drzwiach, a następnej nocy wracała, samym tylko dotknięciem krusząc zamki i zasuwę. I szłabyś przez ciemne pokoje, i odbierała życie. Głównie dzieci, żeby chłonąć rozpacz i ból rodziców.

Nie koniec na tym. Magia, która przeniknęła do twojej krwi, kontynuowałaby swoje dzieło.

I pewnego dnia przestałabyś być człowiekiem. Przestałabyś być panną Mollynaird[2] Evergreen Blackwater, córką szanowanego i cenionego doktora Johna C. Blackwatera. Stałabyś się potworem, zwykłym potworem.

A potem byś wybuchła. Twoje ciało nie zniosłoby tego obciążenia i krew, płynąca w żyłach niczym woda w rurach kotła parowego, przemieniłaby się w ogień i jak nagrzana para wyrwałaby się na wolność. I tam, gdzie byś stała,

wzbiły się w niebo słup ognia, jak po trafieniu czternastofuntowego pocisku. W promieniu dwustu metrów nie byłoby śladu życia.

Dlatego w Nord Jorku działa Królewski Departament Specjalny, ich czarne mundury zna dobrze całe miasto. Ich emblemat to pięść, ściskająca wyrywające się na wolność języki złego ognia. Mundury są czarne, pięść emblematu srebrna, ogień czerwony.

Kontrolerzy Departamentu mają specjalne przyrządy, z którymi często ustawiają się w zatłoczonych miejscach. Na dworcu, na końcowych przystankach parowozów, wożących robotników do warsztatów i z powrotem... Czasem przychodzą nawet do szkoły Molly. Cała klasa zamiera, wpatrzona w mrocznych mężczyzn w czarnych mundurach, z wypolerowanymi miedzianymi hełmami ozdobionymi czarno-biało-czerwonymi grzebieniami, jak u strażaków.

Przyrząd, przypominający camera obscura, z wielkim lśniącym obiektywem, budził przerażenie i wywoływał dreszcze. Wszystkie dziewczynki jedna po drugiej siadały przed nim, sprawdzający kręcił korbką, w obiektywie coś błyskało i migotało, w końcu uczennicy pozwalano wstać.

Tak było prawie zawsze.

Ale rok temu Jenny Fitzpatrick dokładnie tak samo jak inne dziewczęta usiadła przed obiektywem, onieśmielona gniotąc spoconymi palcami brzeg fartuszka; dokładnie tak samo brodaty sprawdzający pokręcił korbką, tak samo coś błysnęło w głębi aparatu za soczewkami – i nagle wszystko zamarło.

Brodaty skinął głową swojemu towarzyszowi, który miał na rękawie srebrny kanciasty szewron. Mężczyzna zacisnął usta, poderwał głowę i podszedł do trójnożnika, na którym stała kamera. Zajrzał za odsunięte zasłonki, osłaniające bok przyrządu, i twardo położył rękę na ramieniu skulonej Jenny.

Molly pamiętała, jak potem obaj podnieśli ją z ławki, bo panna Fitzpatrick – choć już nie panna i nie Fitzpatrick – nie mogła ustać na nogach.

I nikt nigdy więcej jej nie widział. Szeptano, że wszystkich „wykrytych” wysyła się do Stolicy, by nie stanowili zagrożenia. W każdym razie Jenny już nigdy nie wróciła ani do klasy, ani do swojego domu. A jej rodzice, ku osłupieniu Molly, zachowywali się tak, jakby nic się nie stało, a ich córka wyjechała do ukochanej cioci na południe.

Od tych myśli o magii Molly zrobiło się zimno.

– Chodźmy do domu, Sammy.

– Czekaj! – zaprotestował chłopiec. – Patrz, „Kanoniera” już prawie

wprowadzili, o, oświetlili reflektorami! Patrz teraz, przecież na pewno znasz go lepiej niż kapitan! Co go tak poszarpało? Jeśli nie... no, nie tamto?

Sammy nie spieszył się do domu i Molly go rozumiała. Miał szóstkę rodzeństwa i nie mieszkali w townhousie jak rodzina doktora Blackwatera, lecz w dwóch niewielkich pokojach mieszkania komunalnego, gdzie kuchnię i toaletę dzieliło się z ośmioma innymi rodzinami.

Za to mama Sammy'ego nie trzęsała się tak nad swoim synkiem i nie sprawdzała, kiedy wraca do domu. Ale z drugiej strony zaczęła go już pytać, kiedy wreszcie przestanie włączyć się bez celu i zacznie przynosić do domu pieniądze. Starsze rodzeństwo wracało do domu z jednym, dwoma, a czasem nawet trzema szylingami!

No więc zostali i patrzyli, jak ciężko zanurzony monitor ostrożnie doprowadzono do cumy. Do cumy, nie do suchego doku – czyli nie było za bardzo co naprawiać. Na pokładzie „Kanoniera” zaczęli się krzątać ludzie, choć zdaniem Molly robili to zupełnie bez sensu. Co ona, nie widziała, jak się cumuje monitory? A tutaj co? Po co klękać obok dziur po wlotach powietrza, na co tam patrzeć? Od tego nie zarosną. A ty, marynarzu w czapce z pomponem, po co się gapisz na puste stępki? Kuter od tego nie wróci.

– Jak myślisz – spytał cicho Sammy – co tam się stało? Gdzie się podziały kutry i szalupy?

– Może spuścili, żeby podejść do brzegu, i wtedy coś się stało? Sam wiesz, jakie tam jest morze.

Sammy wiedział. Na północ od Karn Dredu Nord Gveyling dziczał zupełnie. Brzegi jeżyły się niedostępnymi skałami z rzadkimi przesmykami, przybrzeżne wody zmieniały się w pola podwodnych raf, szczyząc ostre zębiska w stronę otwartego morza.

Na „Kanonierze” wreszcie przerzucili trap. Podpłynął parowiec i zeszło z niego kilku oficerów ze srebrnymi pagonami i akselbantami, przepisowymi w zatokach z dala od frontu. Za nim do cumowiska powoli, ostrożnie prowadzono jacht parowy. Wszystkie iluminatory w rufowej nadbudówce płonęły światłami, a po pirsie sunęła cała kawalkada lokomobili, zamkniętych, czarnych...

– Pewnie parowiec przyjechali...

Dziewczynka skinęła głową. Parowiec Królestwa często odwiedzali Nord Jork, znacznie częściej niż inne miasta północy. Dlaczego? Tego Molly nie wiedziała. Może dlatego, że był teraz najbliżej wojny? To stąd do Karn Dredu biegły stalowe

nitki torów, to tutaj wyładowywały się bataliony strzelców górskich i jegrów, tu budowano i remontowano pociągi pancerne.

O wizycie parów w mieście wiedzieli wszyscy, choć zachowywali się cicho i dyskretnie. Szkolne koleżanki Molly jedna przez drugą omawiały salonowe wieści ze Stolicy, bale, suknie i całą resztę. W Nord Jorku bale urządzano niezwykle rzadko i goście z południa na nich nie bywali, ku wielkiemu rozczarowaniu dziewcząt z klasy Molly.

Pokieszowany „Kanonier” i ekskluzywny jacht przycumowały – zrobiło się nudno. Monitor dziewczynka faktycznie знаła jak własną dłoń: wszystkie jego kotłownie, maszynownie, piwnice z elewatorami, wieżę, jej napęd, lśniąca dźwignie celowania, dalmierze... „Kanoniera” i jego siostrzanego „Fireworka” rysowała już tyle razy, że sama straciła rachubę.

– Chodźmy do domu, Sammy. Mama i tak mnie skrzyczy.

– Ech, dobrze – westchnął rudzielec i potarł odstające uszy. – Już idziemy. Jutro też przyjdiesz?

– Nie wiem, w ogóle nie ruszyłam robótek: ani szycia, ani wyszywania, ani robienia na drutach.

– Brr! – Chłopiec potrząsnął głową. – Jak ty to wytrzymujesz? Już wolałbym dostać różgi niż nad tym siedzieć.

– Ja też – przyznała Molly. – Bo różga to tylko trochę bólu i po sprawie, a nad robótką ślęczysz godzinami. Zawsze kłuję sobie igłą palce, nitki na drutach mi się wiecznie plączą, szydełko wypada...

– No to chodźmy – podsumował Sammy.

I poszli.

Gdy już byli na dole, latarnik zapalał latarnie gazowe; z hukiem i łoskotem przejechał po bruku parowóz z czarno-biało-czerwonym emblematem na drzwiach. Molly i Sam spuścili oczy – dzieciaki z Nord Jorku uważały, że patrzenie na parowóz Królewskiego Departamentu Specjalnego przynosi pecha.

Na okrągłych słupach ogłoszeniowych naklejono plakaty: „Poszukiwani przez Departament Specjalny!”. Niektórzy owładnięci magią ludzie próbują uciec, nie rozumiejąc w tym szaleństwie, że stanowią zagrożenie dla otoczenia. Potem trzeba ich szukać. A potem...

Potem znikają.





– Molly! Molly, kochanie!

– Tak, mamó? – Tak jak należało, Molly skłoniła się lekko, trzymając ręce złożone w dole brzucha.

– Tata ma być dziś cały dzień w Wielkich Magazynach i prosił, żeby przynieść mu obiad. Fanny już wszystko przygotowała. O nie, moja droga, w tych okropnych spodniach nigdzie nie pójdziesz, przecież tam mogą być ludzie z towarzystwa! Oficerowie, mechanicy, koledzy taty... Proszę się ubrać przyzwoicie! Tak, moja droga, suknia, bardzo proszę włożyć normalną sukienkę!

Molly miała zupełnie inne plany na to sobotnie przedpołudnie, ale z mamą nie było dyskusji, od razu lądowało się o chlebie i wodzie, co „uczy dyscypliny i hartuje charakter”, jak mawiała mama, wymierzając karę. Za różgę pani Blackwater nie brała się nigdy, jako córa postępu uważała takie barbarzyństwa za przeżytek – choć zezwolenie na bicie Molly w szkole podpisała bez wahania. Inna sprawa, że Molly miała dość rozumu, by nie podpadać.

Z termosem w jednej ręce i rondelkami w drugiej Molly wyszła na dwór. W tym roku zima wyjątkowo wczesnie nadciągała nad Nord Jork, wysyłając przednie oddziały śnieżnych chmur, zrzucających na zadymione miasto twarde jak grad, zlodowaciałe kulki śniegu. Prawdziwego miękkiego puchu jeszcze nie było, leżał daleko w górach i na przedgórzach, na polach, których nie zamieniono jeszcze w kamieniołomy czy kopalnie.

Parowozik gwizdnął wesoło, ruszając z przystanku i nabierając rozpędu, a potem zadudnił po Azalia Street. Molly wisiała na tylnym podeście, zręcznie wsuwając rękę z termosem pod poręcz. Górne miasto, z piętrowymi i dwupiętrowymi townhouse’ami, skwerami przy kościołach, nawet fontanną przed małym rynkiem, ustąpiło miejsca miastu środkowemu. Wagonik wjechał w wąski, ciemny wąwóz ulicy i Molly skuliła się odruchowo.

Powietrze przesycone węglowym pyłem zdawało się szczypać w oczy. Bruk był rozjeżdżony, nad włączami unosiły się cuchnące opary, domy rwały się w górę. Ciemne wejścia do budynków, śmieci w zaułkach, odrapane ściany, zniszczone szyldy sklepów i piwiarni. Rury parociągów były stare, kurki zardzewiałe. Żółte szyby w oknach dolnych pięter prześwitywały za gęstymi kratami. Molly spostrzegła dwóch konstabli, ale ci tutaj nie spacerowali, z uśmiechem witając się z przechodniami, jak na jej ulicy – ci tutaj byli czujni i spięci, obserwowali wszystko bardzo uważnie. Mieli wysokie hełmy i okrągłe okulary z grubymi szklami, takie jak te Molly, a skórzano-metalowe pancerze upodabniały ich do rycerzy z obrazków. Molly zauważyła broń: ciężkie pałki, rewolwery przy pasach, jeden z konstabli miał nawet krótki karabin!

Kogo oni tu pilnowali, czemu byli tak uzbrojeni, Molly się nie zastanawiała. Parowóz znów wesolutko gwizdnął i jechał dalej, łoskocząc na stacjach, zasapany i otulony parą. Patrzenie na to było znacznie weselsze niż rozglądanie się na boki.

Wielkie Magazyny faktycznie były ogromne. Pod wysokie stalowe łuki, nakryte wygiętymi dachami, wchodziło kilkanaście torów kolejowych. Część kończyła się tam, część biegła dalej, do zakładów i portu. Widocznie doktora Johna C. Blackwatera wezwano tu do pacjenta, co się często zdarzało, gdy felczerzy sobie nie radzili.

Molly zeskoczyła ze stopnia, zręcznie balansując, by nie przewrócić swoich rondelków. Bramy magazynów są otwarte na oścież, stoją tam sznury wagonów, sapią parowozy manewrujące, surowo i niecierpliwie odpowiadają im niskimi sygnałami ich liniowi współpracownicy. Dźwigi i windy wypluwają parę, sterty tobołów, worków i skrzynek znikają we wnętrzu magazynów; kręcą się ładowniczy w znoszonych kombinezonach i watolinowych kurtkach, dyspozytorzy w pomarańczowych kamizelkach machają wskaźnikami.

– Doktor Blackwater! Gdzie znajdę doktora Blackwatera? O, dzień dobry, panie Miles, to ja, Molly!

– Dawnośmy się nie widzieli, panienko! – Gruby dyspozytor uśmiechnął się, poklepał dziewczynkę po ramieniu. – Ale się panienka wystroiła, wypisz wymaluj maszynista, tylko panienkę brać na „Herkulesa”, oby spokojnie wrócił! A doktor jest tam, za rogiem, niech panienka poszuka bramy numer czternaście. Tam go wezwali.

– Dziękuję, panie Miles! – krzyknęła Molly już w biegu.

Z peronu na peron po wąskich schodkach, jak po trapach bojowych wychodzącego na morze monitora, Molly zwinnie przeciskała się między

wagonami i parowozami. Uchylając się przed sapiącymi samobieżnymi dźwigami parowymi, szukała bramy numer czternaście. Wreszcie zobaczyła czerwone cyfry na szarej ścianie, pokrytej parowozową sadzą. Do niej też dochodziły tory, ale nie takie całkiem zwyczajne – po obu ich stronach wznosiły się stalowe słupy, dwa razy wyższe od człowieka i gęsto oplecione drutem kolczastym. I jeszcze stali tam żołnierze. Górscy jeźdźcy, w hełmach, okularach i ochraniaczach, ustawieni byli w gęstym, podwójnym kordonie. Między nimi do bramy numer czternaście jeden za drugim szli ludzie, którzy wychodzili z wysokich żelaznych wagonów bez okien.

Ludzie z rękami skutymi za plecami.

Molly znieruchomiała i otworzyła usta, zapominając o sadzy i pyle.

Wszyscy byli wysocy, wyżsi nawet od roślących jeźdźców. Wszyscy brodacami, a mężczyźni Królestwa nie zapuszczali bród, jedynie wąsy, odpowiednio przystrzyżone lub zawinięte, uważali za ozdobę godną dżentelmena. Na nogach mieli szare buty, ubrani byli w znoszone, żółtawe długie... Kozuchy? Skóra na zewnątrz, futro w środku... O, przypomniała sobie, *touloupes*!

I wtedy dopiero zrozumiała, na kogo patrzy.

Jeńcy wojenni. To byli ci legendarni Rooskies, wzięci do niewoli przez jeźdźców.

Za brodatymi mężczyznami szło kilkanaście kobiet, miały chusteczki na głowach i takie same *touloupes*. Nikt z nich się nie rozglądał, patrzyli prosto przed siebie, jakby zupełnie ich nie interesowało, gdzie się znaleźli i co teraz z nimi będzie.

Molly, nie mogąc oderwać od nich wzroku, podeszła jeszcze bliżej drutów.

Wszyscy wokół niej: i ładowniczy, i maszyniści, i smarowniczy, i dyspozytorzy, jeden po drugim rzucali pracę i gapili się na jeńców. Na młodą pannę Blackwater nikt nie zwracał uwagi, więc ona znalazła się tuż przy samym drucie; jeńcy jeden po drugim wchodzili w głąb magazynu.

Zapominając o całym świecie, Molly wpatrywała się w Rooskies, choć nie było w nich nic nadzwyczajnego. No, wysocy, barczyści, z brodami... Ale nie rosną im ogony, nie widać rogów ani kopyt...

Żaden z jeńców nie spojrzał nawet w bok, wszyscy patrzyli prosto przed siebie. Przedostatnia w szeregu szła młoda kobieta. Wyprostowana, z uniesioną wysoko głową, jej postawa zawstydziałaby nawet profesorkę manier i tańca, panią O'Leary. Duże szare oczy, jasne łuki brwi i – uśmiech! Jako jedyna uśmiechała się: nieprzyjemnym, krzywym uśmiechem. Nie było w niej strachu ani lęku, tylko coś

takiego, że po skórze Molly przebiegł dreszcz. Kobieta spojrzała lekko w bok i natrafiła na wzrok Molly. Szare oczy zwęziły się, z ust spłynął zły uśmiech, wargi zacisnęły się, kąciki drgnęły. Kobieta odwróciła wzrok.

A Molly poczuła, że uginają się pod nią nogi.

Jako ostatni szedł chłopak w wieku Molly, może trochę starszy. Miał wielką grzywę słomianych włosów i dużego siniaka pod lewym okiem, ubrany był również w *touloupe*. On też patrzył prosto przed siebie, nie spuszczać wzroku.

Jeńcy tak nie patrzą... Panna Blackwater mogłaby się założyć o swoją nową gotownię (przedmiot zazdrości całej klasy), że tak mógłby patrzeć skaut, zwiadowca. On się nie bał, o nie, Molly widziała czasem strach u największych zabijaków, ale ten Rooskie zachowywał się zupełnie inaczej. Tak jak kobieta, chłopiec pochwycił chciwy wzrok Molly. I tak jak oczy kobiety, jego też się zwęziły. Patrzył na nią tak bacznie, jakby chciał zrobić szybko światłografię – na zawsze uwiecznić Molly w swej pamięci.

Chwilę później konwojent pchnął go w plecy i chłopak odwrócił głowę.

Jeńcy zniknęli w magazynie i Molly ruszyła do bramy.

– Dokąd to, panienko?

– Przepraszam, panie starszy sierżancie, jestem Molly Blackwater, mój tata to doktor Blackwater, przyniosłam mu obiad...

Niemłody wąsaty sierżant jegrów górskich uśmiechnął się.

– Doktora Blackwatera znam, ale was, panienko, widzę po raz pierwszy. A więc bez urazy, ale czujność przede wszystkimi, zwłaszcza jeśli chodzi o Rooskie. Hej tam, Jim! Hopkins!

– Tak jest, sir!

– Skocz no poszukać doktora Blackwatera, jest gdzieś w środku. Powiedz, że córka przyniosła mu obiad, i spytaj, co masz zrobić. Jeśli pan doktor jest teraz zajęty, wrócisz i sam zanieś mu obiad. Nie, panienko, do środka wejść nie wolno. – Pokręcił głową, jakby odpowiadał na nieme pytanie Molly. – Zrozumiałeś, Hopkins?

– Tak jest, sir!

Tyczkowany rudzielec w nowej kurtce i hełmie bez zadrapania, najwidoczniej nowicjusz, pobiegł do bramy.

– Przepraszam, panie starszy sierżancie – odezwała się Molly, robiąc niewinną minę i usilnie trzepocząc rzęsami. Brała przykład z panny O’Leary, która robiła

tak zawsze, gdy rozmawiała z „duszką wojskowym”, jak się niezbyt zrozumiale wyrażała. – A czy ci Rooskies byli strasznie, okropnie dzicy? Bo przecież złapał ich pan wszystkich sam, sir, prawda?

– Ee, ekhm, no, panienko, jak by ci tu powiedzieć... – Starszy sierżant podkręcił wąsa. – Z pewną pomocą niższych rangą, ale tak, sam.

I z dumą wypiął pierś, ozdobioną licznymi naszywkami.

– Rooskies, musi panienka wiedzieć, bardzo lubią gin. Gin, whisky i inne mocne trunki. Mają też swoje, ale wiecznie im mało, dlatego próbują zdobyć je od nas. Wymieniają na skóry, futra, łatwo ich znęcić. Było to tak: położyliśmy, niby przez roztargnienie, pół tuzina butelek starego dobrego jimmy walkera...

– Sierzancie Stevens, niech pan przestanie nabijać mojej córce głowę tymi bajkami – rozległ się za szerokimi barami sierżanta głos doktora. Obok niego majaczyła pociągła fizjonomia poborowego Hopkinsa, pokryta piegami, pasującymi do jego ogniste rudych włosów. – Rooskies są bardzo ostrożni i żadne pułapki z „wodą ognistą” ich nie skuszają.

– Proszę o wybaczenie, doktorze Blackwater! – Sierżant się wyprostował. – Niech się pan nie gniewa, chciałem tylko zabawić naszą miłą panienkę...

– No właśnie – powiedział bez złości doktor, obejmując Molly ramieniem. – A jak potem przyjdzie pan do mnie ze swoim kolanem, będzie miał się pan okazję dowiedzieć, jak się to robi bez znieczulenia, jak na bohatera przystało!

– Sir, błagam, proszę powiedzieć, że pan żartuje!

– Żartuję, Stevens, żartuję. Molly, moja kochana, dziękuję ci za obiad. Sama widzisz, co tu się dzisiaj dzieje, nie mogę nawet zjeść jak człowiek. I ciebie nie chcę wpuścić do środka...

Czcigodny John C. Blackwater był wysoki i chudy; nosił wąsy, jak większość mężczyzn w Nord Jorku. Gdy pracował, zakładał na prawe oko coś w rodzaju monokla, tylko że było w tym z pół tuzina soczewek, na wszystkie okazje w życiu.

– Jedź do domu, kochanie, ja zjem i wracam do pracy, muszę obejrzyć jeńców.

– Rooskies? Tak?

– Tak, trzpiocie. A czemu pytasz?

– Dziewczynka widziała, jak ich prowadzono do środka – wtrącił sierżant. – Musieli ją wystraszyć. Barbarzyńcy, nic dziwnego...

– Naprawdę cię wystraszyli? – Tata odsunął się lekko i zajrzał Molly w oczy. – To rzeczywiście barbarzyńcy, ale wcale nie tacy straszni! Oczywiście – poprawił

się szybko, zerkając na sierżanta – gdy nie są w swoich lasach, tam owszem, są bardzo groźni, jak wszystkie dzikie zwierzęta. A tutaj już nie. Dlatego nic się nie bój i jedź do domu. Rondelki sam przyniosę. Będę miał dzisiaj dużo pracy, zanim wszystkich obejrzę...

– Że też się pan nie boi, panie doktorze – odezwał się z szacunkiem Stevens. – Przecież od nich można podłapać jakąś obcą zarazę!

– Współczesna nauka, sierżancie – odparł sucho doktor Blackwater – zna bezpieczne środki ochronne. Zapewniam pana, że wszyscy jesteśmy tutaj absolutnie bezpieczni. Jeśli stwierdzą jakąś infekcję, barbarzyńca zostanie poddany kwarantannie.

– I ty będziesz ich leczył, tato?

Doktor i sierżant wymienili spojrzenia.

– Oczywiście, kochanie – powiedział doktor, pochylając się i całując Molly w policzek. – W końcu jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, prawda? No, a teraz uciekaj. Stevens, przyjacielu, czy mógłby pan wysłać kogoś, żeby odprowadził Molly do parowozu?

– Jak najbardziej, panie doktorze. Hopkins! A, tu jesteś. Słyszałeś pana doktora? Odprowadzisz panienkę Blackwater do parowozu i dopilnujesz, żeby do niego bezpiecznie wsiadła. Wszystko jasne?

– Tak jest, sir!

Molly nie protestowała, nie mówiła, że przecież jest już duża, a dzielnicę na pewno zna nie gorzej niż tyczkowaty Hopkins i świetnie sama znajdzie drogę. Jeśli tata wbił sobie coś do głowy, nawet mama nie mogła go przekonać.

– Rad jestem, że mogę panience pomóc! – Rudy Hopkins uśmiechnął się, ukazując brak przedniego zęba.

– Dziękuję panu – odparła wytwornie Molly, unosząc suknię gestem podpatrzonym od panny O’Leary. – To bardzo uprzejme z pana strony, sir.

Hopkins, wyraźnie nieprzywykły, żeby ktoś zwracał się do niego „sir”, aż się rozpromienił. I przez całą drogę do przystanku z zabójczą powagą chronił Molly, wysuwając dolną szczękę tak, aż dziewczynka zaczęła się obawiać, że ją wywichnie. Wszyscy schodzili im z drogi; górskich jegrów w Nord Jorku bardzo poważano.

– Gdzie się pchasz, wieśniaku! – warknął Jim na jakiegoś zagapionego farmera, który nie dość szybko, zdaniem Hopkinsa, zszedł im z drogi. – Przepraszam, panno Blackwater, tylu tu nieokrzesanych ludzi...

Minęła ich lokomobila z emblematem Departamentu Specjalnego na drzwiach i Hopkins stanął na baczność, oddając honory dłonią w białej rękawiczce.

Przez ciemne okna nic nie było widać. Lokomobila pojechała dalej.

– Wczoraj, panienko Mollynaird, wzięli jednego. – Hopkins poinformował dziewczynkę szeptem; najwyraźniej zatrzymanie tej wiadomości dla siebie było ponad jego niewielkie siły. – Staliśmy w kordonie i wzięli magika.

– Niemożliwe! – Molly nawet nie musiała udawać. – Prawdziwego magika? Malefika?

– Najprawdziwszego maleficznego malefika! – zapewnił ją Jim.

– Jak go złapali?

– Sąsiedzi donieśli, dziękować Najwyższemu! Podobno zaczęło się od tego, że butelki mleka same przychodziły do niego na próg. Mleczarz zostawiał wszystkie na wspólnej półce, żeby nie dźwigać wózka na górę. Sąsiedzi schodzili po swoje mleko, a ten podobno nigdy! A potem ktoś zauważył, że butelki do niego same, hop, hop, hop, przybiegają pod drzwi. No to donieśli. Całe szczęście, że nie zdążył nic nawyprawiać! Niech panienka pomyśli, co za głupiec! On chyba naprawdę liczył, że wszystkich przechytry i ukryje swoją magiczność, jakby nie wiedział, czym się to wszystko kończy! A w warsztatach parowozowych mówili, że w tym tygodniu jeden kierowca im... no, wystrzelił.

– Jak to wystrzelił? – krzyknęła Molly, przyciskając dłonie do twarzy. – I w nikogo się nie przemienił?

– Dokładnie tak! – Młody Hopkins aż się nadał, dumny z efektu. – Wcale nie zamienił się w żadnego potwora. Mówią, że tak czasem bywa. Podobno już wcześniej ludzie mieli na niego oko, w końcu przyjechali po niego, a on jak nie wystrzeli, jak z procy! To znaczy, pobiegnie. Ci z Departamentu Specjalnego za nim, a on siup, do kolektora, do góry znaczy się, a tam jak nie łupnie! Słup dymu i ognia pod samo niebo! Aż wszyscy poupadali na ziemię!

Molly nie przypominała sobie, żeby tydzień temu w warsztatach maszynowych Nord Jorku pojawiał się jaki słup dymu czy ogień do nieba, ale nie protestowała. Zwłaszcza że właśnie dotarli do przystanku, gdzie podjechał dwuwagonowy parowóz.

\*\*\*

Wracała do domu w kasku na głowie i grubych okularach na oczach. W

parowozie weszła na górne piętro. Wiatr jakby się wściekł, ciskał garściami ostrego śniegu prosto w twarz, jednak Molly uparcie nie schodziła na dół.

Parowóz sapał dziarsko, jadąc tymi samymi uliczkami, wąskimi i ciemnymi, tak samo ciągnęły się po obu stronach wysokie, przytłaczające ściany budynków z żółtymi oknami. Jednak śnieg łagodził, ukrywał beznadzieję otoczenia, rzucał czar zimowej baśni i widok wart był marznięcia na odsłoniętym piętrze.

Zwrotnica, jeszcze jedna, skrzyżowanie... Podniesiona łapa semafora, parowóz hamuje, przepuszczając inny, stukający kołami po ulicy. Molly jechała do domu, ale nie myślała ani o niszcycielach czy monitorach w zatoce, ani o pociągu w depo, lecz tylko i wyłącznie o Rooskies.

I o chłopaku.

Ech. Nie powinno tak być. Ale i on patrzył tak jakoś... jak nie powinien. Jeńcy rzeczywiście ubrani byli jak barbarzyńcy, te ich *touloupes*! I co z nimi teraz zrobią? Pewnie nic złego... Nie, no oczywiście, że nic im złego nie zrobią! Bo inaczej po co tata miałby ich badać?

Molly potrząsnęła głową ze złością, poprawiła kask. Przez to wszystko omal nie przegapiła swojego przystanku! Szybko zjechała na dół po brązowej poręczy (z powodu brzydkiej pogody na górnym pomoście była tylko ona) i popędziła do domu.

I aż do progu nie opuszczało jej wrażenie, że twardy wzrok szarych oczu chłopca świdruje jej plecy.

Mama oczywiście nie chciała słuchać żadnych opowieści, dopóki Molly się nie przebierze, „jak przystało na porządną dziewczynkę”. Dopiero gdy Molly, już w sukience z domowym fartuszkim (ukochane spodnie i flanelową koszulę musiała sobie odpuścić, żeby nie irytować i tak już zdenerwowanej mamy), weszła do salonu, mama podniosła na nią oczy.

– Tak, moja droga?

I dziewczynka zaczęła opowiadać ze wszystkimi szczegółami, tak jak lubiła mama. Interesowało ją, czy córka nie spotkała jakichś znajomych w parowozie, kto był obok taty, co tata robił.

– I właśnie przywieziono jeńców, wyobraża sobie mama? Prawdziwych Rooskies!

– To straszne! – Mama podniosła chusteczkę do twarzy. – Molly, kochanie, bardzo się wystraszyłaś? Wybacz mi, moja droga, nigdy bym cię tam nie wysłała, gdybym wiedziała, że tak będzie. A twój ojciec też dobry! Mógł przecież wysłać



posłańca i dać nam znać, mógł zadbać o to, żeby nie narażać cię na niebezpieczeństwo!

Molly westchnęła w duchu. Nie lubiła, gdy mama robiła tacie wyrzuty z powodu takich błahostek.

– Ale mamó, tam nie działo się nic wielkiego! Zresztą stali tam jegrzy pod bronią, w czterech szeregach!

Trochę przesadziła, ale trzeba się było jakoś ratować.

– To nieistotne. – Mama była nieustępliwa. – Twój ojciec miał obowiązek zadbać o twoje bezpieczeństwo. Już ja sobie z nim porozmawiam, moja droga. Nic takiego się więcej nie powtórzy, możesz być pewna.

Molly mogła już tylko westchnąć.

– Mogę pójść do siebie, mamó? Mam jeszcze lekcje do odrobienia.

Uniwersalna wymówka, która zawsze działała.

– Oczywiście, moja droga.

Już w pokoju Molly z roztargnieniem przekartkowała podręcznik do matematyki, szukając pracy domowej.

*Pociąg pancerny wystrzelił w barbarzyńców 80 pocisków, część o wadze  $6\frac{1}{2}$  funta, część o wadze  $12\frac{1}{2}$  funta. Ile wystrzelono pocisków każdego rodzaju, jeśli waga całkowita pociągu zmniejszyła się o 700 funtów? Wagi zużytej wody i węgla nie uwzględniać.*

Czyli tak: osiemdziesiąt pocisków, sześć i pół funta... No jasne, morskie lekkie, dwu- i ćwierćcalówka. Na wielkim „Herkulesie” takich dział jest sześć w jednodziałowych stanowiskach wieżowych, maksymalny kąt wzniesienia... O czym ja myślę! Przecież w zadaniu o to nie pytają! Dwanaście funtów z hakiem to oczywiście klasyczna trzycalówka, najczęstsze działo na lekkich niszczycielach, minowcach i innej drobnicy. Na „Herkulesie” są takie cztery. Jego główny kaliber to ciężkie haubice siedem i pół cala, a trzycalówki i cała reszta po to, żeby barbarzyńcy nie próbowali podejść...

Molly migiem rozwiązała proste zadanie, wyprowadziła oba równania, rozpisała. Takie rzeczy robiła zwykle w pamięci, ale w szkole wymagają rozwiązywania krok po kroku. A jeszcze mama, jak przegląda jej lekcje, sprawdza, czy nie ma kleksów.

No tak, pięćdziesiąt pocisków dwa i ćwierć cala i trzydzieści trzycalowych. Przed oczami Molly stanął biały, zaśnieżony las, czarne tory i wielkie cielsko

„Herkulesa” w zimowym kamuflażu, zwrócone w stronę lasu. Ogień wyskakujący z luf. Zadarte ku szaremu niebu wyloty haubic. I wybuchy, wybuchy, jeden po drugim, pociski wybuchające na skraju lasu, snopy odłamków, deszcz sosnowych drzazg niszczonych drzew...

Wszystkie działa „Herkulesa” prowadziły ogień. A tam, pomiędzy pniami, wśród wyrywanej wybuchami ziemi i zmielonego na pył drewna biegały małe figurki. Upadały, zrywały się, przemykały i ukrywały w szarawym dymie po wybuchach. A niektóre zostawały na ziemi, w śmiesznych białych szatach, splamionych krwią. „Herkules” walił płaskotorowo, wypływając kolejne pociski. Trzydzieści i pięćdziesiąt, pomyślała przelotnie Molly, nie mogąc oderwać się od tej wizji, tak wyrazistej i tak wiarygodnej, jak żaden sen.

Figurki w białych pelerynach nie chciały się wycofać, uparcie czołgały się po oczyszczonym przedpolu. Najzręczniejsi, ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, dotarli aż do drutu kolczastego, rozciągniętego w dole nasypu. Na „Herkulesie” zaterkotały mitraliezy. Ale jedna z nich, wychodząca wprost z pancernego pokładu przedniego wagonu, niespodziewanie zamilkła. Molly słyszała, jak tata mówił, że blok obrotowych luf często przekrzywia się, klinując cały mechanizm. W jednej chwili kilka białych postaci rzuciło się w tę nieostrzeliwaną przestrzeń. Dwóch albo trzech skosiła seria z innej mitraliezy, dwóch innych również padło: załoga pociągu zaczęła strzelać z karabinów i rewolwerów, z za szybko odsuniętych pancernych osłon.

Przedarł się tylko jeden. Dobiegł i przywarł całym ciałem do pomalowanego w szare plamy pancerza, upstrzonego okrągłymi zaślepkami.

Molly wstrzymała oddech. Nie wiedziała, czy śpi, czy śni na jawie, ani gdzie w ogóle jest, oglądała to wszystko z lotu ptaka.

Postać przywarła do pancerza jeszcze mocniej. Ktoś z załogi z całych sił wygiął rękę i strzelił z rewolweru, trafiając wroga w bok, ale ten ani drgnął. A potem z jego rąk i ramion zaczął walić gęsty biały dym. Zapłonął purpurą rozgrzany do czerwoności metal pancerza i Molly widziała, jak w przeciwległej burcie wagonu otworzyły się drzwi i jak jeden za drugim wybiegali z nich ludzie w mundurach, w czarnych kombinezonach i czarnych hełmach maszynistów. Przywarta do pancerza postać znikła w białym dymie. Widać był tylko płonąca czerwona plama rozgrzanej stali, szybko rozpływająca się po pancerzu we wszystkie strony. Molly ujrzała z przerażeniem, że dziób wagonu pochylił się, jakby się topił, rozpuszczał...

Nie, to niemożliwe! To sen, tylko sen!

Sekundę później wagon „Herkulesa” wybuchł.

– Molly...!

Dziewczynka zerwała się. Serce waliło jej w piersi, brakło oddechu. Co to było, dlaczego? Przysnęła nad podręcznikiem, a mama właśnie w tej chwili musiała wejść, ale...

– Moja droga, czy to jest właściwy stosunek do pracy domowej?

– Ja... – Serce Molly waliło jak oszalałe, dłonie i czoło pokrył pot, język odmówił posłuszeństwa. – Ja już zrobiłam to zadanie, mam, napisałam, o, tutaj...

– Hmm... – Mama zasznurowała usta, przeglądając wnikliwie zapisane starannie strony. – Rzeczywiście. Czy to już wszystko z matematyki na poniedziałek?

– Nie...

Molly spodziewała się bury, lecz mama tylko pogroziła jej palcem.

– Proszę w takim razie odrobić resztę. I potem przynieść pokazać. Żeby potem panią nie musiała obchodzić się bez słodyczy!

– Dobrze, mam – wyjąkała Molly, zadowolona, że się tak łatwo wykręciła.

*Pociąg pancerny «Herkules» zdążył wystrzelić 50 pocisków o wadze 2¼ cała i 30 trzycalowych...*

Siedziała, wpatrzona w podręcznik niewidzącymi oczami. To wszystko jej się przyśniło, to było jasne. Ale czemu aż tak wyraźnie, dlaczego pamięta każdy najmniejszy szczegół? Plamy na burcie „Herkulesa”. Okrągłe zaślepki. Ciężkie pancerne włązy. Zawiasy. Kłęby dymu nad kominami parowozów...

Co się z nią stało? A jeśli...

Molly zrobiło się niedobrze. Odwieczny strach podpełzał jak lodowata żmija, owijał się wokół nóg, pętał łydki, kolana. A jeśli to... magia? Jeśli straszliwe czary wyciągają do niej swe zimne macki? Co, jeśli zejdzie na podwieczorek, a przez ulicę, mimo zimna, śniegu i wiatru, przebiegnie mały gazeciarz, wykrzykując schrypniętym głosem: „Najnowsze wiadomości! Wydanie specjalne! Ciężkie uszkodzenia pociągu pancernego «Herkules»! Atak barbarzyńców odparty! Kupujcie, kupujcie wydanie specjalne! Czytajcie! Pociąg uszkodzony, atak barbarzyńców odparty!”

Za oknami rozległ się hałas, krzyki, Molly zerwała się z miejsca.

Nie, to nie gazeciarz ani lokomobila z tubą, nadający pilne wiadomości. To tylko konstabl ciągnie na posterunek opierającego się bezdomnego, który pewnie przedostał się do bogatej dzielnicy, żeby żebrać.

Uff... Molly oparła czoło o zimną szybę. Nic się nie stało, po prostu się wystraszyła. To tylko sen, trochę zbyt wyrazisty, nic więcej. Ale musi się dowiedzieć, co stało się z „Herkulesem”!

W tę długą sobotę tata wrócił do domu bardzo późno. Molly i tak nie mogła spać, kręciła się, wierciła, to przykrywała kołdrą głowę, to zrzucała ją z siebie, chociaż oszczędna Fanny zawsze „wykręcała” (wedle jej wyrażenia) ogrzewanie na noc. Wreszcie Molly, nie mogąc już wytrzymać, tak jak stała, w nocnej koszuli do pięt i ciepłych skarpetach zbiegła na dół. Z salonu dobiegały głosy rodziców, rozmawiali. Molly przelotnie pozazdrościła młodszemu bratu: śpi jak suseł i nie martwi się żadnymi tam „Herkulesami”.

– Molly! – Mama aż uniosła się zza stolika, gniewnie ścągając brwi. – Jak mam to rozumieć, moja panno? Czemu nie jesteśmy w łóżku?

– Przepraszam, mamó. – Molly dygnęła szybko. – Chciałam tylko zapytać o coś... tatę.

– Nie złość się na nią, duszko – rzekł pojednawczo tata. – W końcu dzieci powinny choć czasem zobaczyć ojca w domu, nie tylko w pracy...

Niezadowolona mama zasznurowała usta i Molly zrozumiała, że ta zuchwałość będzie ją kosztowała dodatkową godzinę niedzielnych robótek ręcznych, ale nie mogła się już zatrzymać.

– Tato, chciałam tylko zapytać... Czy „Herkules” wrócił? Wszystko w porządku?

– „Herkules”? – sposepniał tata i serce Molly znów zatłukło. Nie, nie, nie, tylko nie to, tylko nie to, proszę, proszę, proszę...

– Z tego, co mi wiadomo, wszystko z nim w porządku... – Tata zaczął przecierać swój słynny wielosoczewkowy monokl, która to czynność wymagała staranności i specjalnej zamszowej szmatki. – Telefonowali ze stacji... Dowiadywałem się, czy nie ma rannych, z odmrożeniami; na przedgórzach chwycił siarczysty mróz. Były jakieś niewielkie starcia, ale „Herkules” jak zawsze rozgonił barbarzyńców samym swoim wyglądem...

Molly odetchnęła z ulgą, a raczej uszły z niej siły i powietrze, jak po długiej i wyjątkowo trudnej pracy klasowej. Nogi ugięły się pod nią zdradziecko i musiała opaść na krzesło, nie pytając o pozwolenie. Czegoś takiego mama nie mogła już zdzierżyć.

– Kto ci pozwolił usiąść, młoda damo? – spytała lodowato. – Panienska się zapomina!

– Przepraszam, mamó – wypaliła szybko Molly, która czuła, jak spada z niej ogromny ciężar. – Przepraszam, tato. Mogę odejść?

– Jutro dwie godziny robótek ręcznych zamiast jednej – wygłosiła werdykt mama. – I niech to będzie dla ciebie nauczką, młoda damo. Nie wolno zapominać o zasadach, nigdy i w żadnych okolicznościach. Właśnie to, zasady i wychowanie, odróżnia nas od barbarzyńców. Czy to jasne, moja panno?

– Tak, mamó. – Molly uznała, że nie zaszkodzi znów dygnać.

– Ależ moja droga! – Tata pospieszył Molly z pomocą. – Proszę, nie bądź dla dziecka tak surowa. Stęskniła się, martwi się o heroicznych żołnierzy, służących Jej Wysokości... Dodatkowe pół godzinki robótek w zupełności wystarczy.

– Kompletnie ją rozpuścisz, Johnie Casperze! Gdybym ja jako dziewczynka tak właśnie wpadła do salonu swojej *maman* albo ciotki Cecylii, a potem siadła bez pytania na krzesło, dostałabym od *papa* takie różgi, że przez tydzień nie mogłabym usiąść. A ty – pół godziny robótek! Dobrze, moja panno, podziękuj swojemu wrażliwemu ojcu. Półtorej godziny zamiast dwóch. Ale ma być zrobione porządnie! – Pogroziła palcem. – Sprawdzę osobiście!

– Tak, mamó, dziękuję. Mogę już iść, mamó?

– Możesz odejść, moja panno.

Molly odwróciła się, słysząc jeszcze, jak tata westchnął ze współczuciem.

\*\*\*

W niedzielę, odsiedziawszy i służbę, i przekłete robótki, i godzinę pilnowania brata, Molly wymknęła się wreszcie z domu, nie zważając na mróz i śnieżyce, które przyszyły zza gór. Nasunęła na oczy kask maszynisty, założyła okulary ochronne, postawiła kołnierz kurtki, moleskinowej, na sztucznym futerku. Pożytku z niego mało, ale przecież nie włoży drapowanego palta do samych pięt, które proponowała mama! Do tego watowane spodnie i wysokie buty ze sprzączkami, takie same, jak mają jegrzy, jak chwaliła się Sammy’emu.

Molly przebiegła przez ulicę, po czym zanurkowała w wąski przesmyk alejki między townhouse’ami. Ominęła przysypane śniegiem kontenery ze śmieciami (teraz przez tę pogodę pewnie nieprędko je wywiozą), wyskoczyła na następną ulicę, Amelia Road, potem znowu wąski zaułek, góry śmieci pod murem, zakręt, ślepa uliczka, niewielki murek, który przeskoczyła bez trudu, jeszcze raz wąska alejka, gdzie ledwo przecisnąłby się wózek zmiatacza ulic, szeroka Gearshift Street i już wbiegała na zaśnieżone schody, prowadzące na estakadę parowców

ekspresowych, zmierzających do odległych doków i pawilonów. Dobiegła do zwrotnicy, do rozwidlenia, i skręciła. Robiła coś dość niebezpiecznego, ekspresy jeździły bardzo szybko, a estakada była wąska, ledwo udaje się stać na krawędzi, jeśli zniecka nadjedzie pociąg. Domy i zaułki znajdowały się daleko w dole, estakada stała się węższa, no ale był to najszybszy sposób dostania się do dzielnicy rudego Sama. Ulice ścisnęły się, zwęziły, ściany domów zawisły nad Molly. Gdzieniedzie dzielnicę przecinały estakady, krzyżowało się kilka linii ekspresów.

Ale Sammy'ego na umówionym miejscu nie było, tylko pod latarnią na skrzyżowaniu nudził się Billy Murray, znany w promieniu pięciu dzielnic łobuz i zabijaka. Rówieśnik Molly, był od niej o głowę wyższy i dwa razy szerszy w barach.

– Witam, panienko Blackwater! Co tu panienkę sprowadza?

– Cześć, Billy! Sama widziałeś?

Co ciekawe, ten Billy, którego pięści spróbował każdy chyba chłopiec w bliższej i dalszej okolicy, Molly traktował z dziwnym pobłażaniem. Jej przyjaciół też.

– Sama? Nie, dziś się nie kręcił. A powiedz mi, panienko Blackwater...

– Billy! Ja mam imię!

– No niby tak. – Billy zsunął na kark cienką czapkę, ukazując wielkiego guza na czole. Wyglądało, jakby oberwał pałką konstabla. – Ale jak się pracy szuka, to mówią, żeby z szacunkiem.

– Pracy? Jakiej pracy, Billy? I co ja mam do tego?

Billy podszedł bliżej. Ręce trzymał w kieszeniach połatanego palta, zbyt długiego, pewnie po starszym bracie, który niedawno zaciągnął się do floty – nie z własnej woli.

– Mamę wczoraj zwolnili – powiedział cicho, jego okrągła twarz była śmiertelnie poważna. – Podobno zamiast niej jest teraz w fabryce jakieś parowe urządzenie. Potrzebuję pracy. Dowolnej, panno Blackwater.

– Zwolnili? – powtórzyła stropiona Molly. – Jak to?

Billy, tak jak i Sam, miał szóstkę rodzeństwa. Starszy brat służył i wysyłał jakieś pieniądze, ale ile taki nowicjusz może zarobić? Tata mówił, że płacą im jakieś grosze...

– Słuchaj, Billy – zaczęła bezradnie Molly. – Musisz iść do rzeźnika albo do warzywnego... Albo do parowozowni, nie ekspresowych. Wiecznie im smarowniczych brakuje.

– Już byłem – powiedział Billy głosem pozbawionym emocji. – Nic nie mają. W fabryce zamontowali urządzenia, zwolnili wielu ludzi.

– W Kolejowych Konstrukcjach Waterforda?

– Ta. Moja mama tam pracowała. I rodzice Jimmy’ego Derkacza, i Uszatego Michaela, i Schrypniętego Waltera, i drugiego Billa, ospowatego... Dużo ludzi pobiegło szukać pracy. Spóźniłem się.

– Billy, twoja mama na pewno znajdzie pracę. No mówię ci, znajdzie!

– Może i znajdzie – skrzywił się chłopak. – Za pół stawki. Jako służąca albo pomywaczka...

Molly spuściła głowę; wiatr miotał w nich garściami śniegu.

– Słuchaj – zdecydowała się nagle – umiesz dochować tajemnicy?

Billy prychnął wzgardliwie, wskazując siniak.

– To widziałaś? *Bobby*[3] mi przygrzał, konstabl Parkins. Bo nie chciałem powiedzieć, kto zrobił sklep zegarmistrza w zeszłym tygodniu.

– A wiedziałaś? – zdumiała się Molly.

– No nie – wyznał Billy po namyśle. – Ale bobby’emu i tak bym nie powiedział. Łajdaki. Jak mamę wyrzucili z fabryki, to tak ją obili, że ledwo do domu doszła... Więc jak coś chcesz mi powiedzieć, to pamiętaj: grób, mogiła!

– Przysięgnij! – zażądała Molly.

– Żebym się węgla nałykał!

– Dobrze. Masz tu zaliczkę... – Molly po wielokroć czytała o tym w książkach: kiedy sprytny detektyw wysyła z zadaniem pomocnika, który jest swojakiem w miejskich dołach, zawsze daje zadatek. – Zaliczkę, mówię! – powtórzyła groźnie, widząc wytrzeszczone oczy Billy’ego. – Dwa szylingi. Dawaj rękę! O, raz, dwa, trzymaj. Do dwóch zdążyli cię w szkole nauczyć?

Billy, mówiąc oględnie, niezbyt sumiennie traktował edukację.

– Co trzeba zrobić, Molly? – spytał ochryple chłopiec, z przejęcia oblizując wargi i zapominając o „panience Blackwater”. – Kogoś pobić? Mów kogo, a tak go spiorę, że go rodzona matka nie pozna!

– Pobić? Nie, nie trzeba nikogo bić. – Molly pokręciła głową. – Trzeba się dostać do miejsca, gdzie był „Herkules” – do warsztatów mechaników. I dowiedzieć się, co i jak. Czy wszystko z nim, no, z „Herkulesem”, czy z nim wszystko w porządku. Jak się dowiesz, dostaniesz jeszcze trzy szylingi.

W Nord Jorku rodzina mogła jako tako związać koniec z końcem za piętnaście szylingów tygodniowo. Pięć szylingów, czyli ćwierć funta, to był dzienny zarobek doświadczonego mechanika. Za to inżynier dostawał cztery funty dziennie, a doktor John Casper Blackwater całe dziesięć. Dwieście szylingów, czterdzieści razy więcej niż porządny robotnik...

– A masz? – spytał Billy, znów oblizując wargi.

Molly sięgnęła do kieszeni na piersi, wyłowiła półkoronówkę<sup>[4]</sup>, dodała sześciopensówkę i pokazała chłopcu.

– Załatwione! Powiedz tylko, czego mam się dowiedzieć?

– No, czy nie było walki, a jeśli była, to co się działo. Czy ktoś nie zginął. Ja jestem dziewczyną, dziewczynie nic nie powiedzą, a tobie od razu! – podpuściła go umiejętnie. Billy wyprostował się, wysunął dolną szczękę.

– Jasna sprawa! – Podrzucił zręcznie monety, złapał w locie. – Starczy na jedzenie na dwa dni, a co dopiero za całą piątkę... Ale się matula ucieszy!

– Na te pięć trzeba wpierw zapracować! – ściągnęła go na ziemię Molly, sznurując usta jak mama.

– Zapracuję, nie ma obawy.

– Czyli co, widzimy się jutro? Tutaj?

– Dobra. – Billy pokiwał głową. – Pójdę od razu, w niedzielę na wieczornej zmianie łatwiej się przedrzeć. Rudego sama będziesz szukać?

– Tak.

– Dziś się nie pokazywał. Może go matka gdzieś wysłała. Idź do nich, jak się nie boisz.

– Też coś! – prychnęła Molly. – Uważaj, żebyś ty sam nie stchórzył, jak do warsztatów pójdziesz!

Billy tylko machnął ręką, znikając w gęstym śniegu.

Dlaczego to zrobiła? Nie uwierzyła tacie? Chciała się sama przekonać? Bała się odpowiedzi na te pytania. Bała się też tego, że tata ją okłamuje. I sama nie wiedziała, czego bardziej.

Molly czekała jeszcze na Sama w ich stałym miejscu, na ruinach starej estakady, którą w większości wyburzono, stawiając kamienice czynszowe i ciągnąc nowe linie parowozu. Ale się nie zjawił. W końcu z zasypywanych śniegiem ulic zniknęli chłopcy i dziewczynki; zaczynało się ściemniać. Molly niechętnie poszła do domu.





Billy przyniósł odpowiedź do razu następnego dnia, jaśniejac jak nowa sześciopensówka.

Był wieczór i Molly z niepokojem zerkała na latarników, zapalających gazowe latarnie jedną po drugiej. Wczorajsza śnieżycy już ustała, na jakiś czas przykrywając ziejące rany Nord Jorku, ale na białych połaciach już słała się sadza z licznych kominów.

Sammy znów się nie zjawił i Molly zaniepokoiła się na serio. Siedziała na górze starej estakady, gdzie zostały jeszcze gnijące resztki drewnianych podkładów, i czekała, choć przeczuwała, że i dziś Sam nie przyjdzie.

Za to zjawił się Billy.

– Hej, panienko Blackwater! – Pomachał ręką.

– Znowu „panienko”?

– Przecież dałaś mi pracę. – Wspiął się szybko po wystających ceglach. – No, zrobione! Masz pieniądze? – dodał szeptem.

Molly zabrzączała monetami w kieszeni.

– Mam. Czego się dowiedziałaś?

– O, nie było wcale łatwo – zaczął Billy. – Przy warsztatach dzieją się takie rzeczy! Rozciągnęli nowe druty i jeszcze przesunęli o dwieście jardów. Część Yarrow i Bettelheim zagrodzili, wysiedlają ludzi... Mówią, że będą burzyć i budować warsztaty. Strzelcy stoją w pancerzach!

– O rany! A nie kłamiesz?

– Żeby tak w palenisku spłonął!

– No to jak się dostałaś? – Molly aż rozpięta z ciekawości, ale nie mogła przecież pytać wprost. Nie chciała pokazywać, jakie to dla niej ważne.

– Jakoś się przedostałem! – Chłopak niedbale splunął. – Yarrow zamknęli, wejście do tylnej alejki też, ale że można się przedostać przez okno z sąsiedniej Nazareth, o tym już zapomnieli! No to ja przez okno na klatkę, a tam tylne schody wychodzą właśnie na śmietnik pomiędzy Yarrow i Nazareth. No i wszedłem. Alejka wychodzi dokładnie na tyły warsztatów, tam stoją śmietniki, płot jest wysoki, ale co to dla mnie taki płot! Cegły są tak nierówno ułożone, że i kaleka by wszedł!

– I nie widzieli cię? – zachwyciła się Molly.

– Ha! – Billy znowu splunął. – Akurat by mnie zobaczyli, ślepe krety! Machnąłem przez płot i chodu! Potem tory, tam jest do licha i trochę starych wagonów, wiesz, chyba jeszcze z poprzedniej wojny, no to ja pod nimi, do głównego hangaru. A tam się światła palą, jasno jak w dzień! Podczołgałem się i zajrzałem...

– Po co? Czemu zwyczajnie nie spytałeś przy wyjściu?

– Jak to: po co? – nadał się Billy. – Żeby zobaczyć wszystko na własne oczy! Ci z warsztatów mówili, że „Herkules” wrócił późnym wieczorem i że będzie z nim dużo pracy.

– Dużo pracy? – szepnęła Molly.

– Podobno mocno oberwał. No to, myślę sobie, jak ja za takie pieniądze mam przynieść panience Blackwater niepotwierdzone złe wiadomości? O nie, musiałem sam na własne oczy zobaczyć!

– No mówże wreszcie! – Molly zamachnęła się, żeby go trzepnąć, Billy udał przestrah i naciągnął mocniej na głowę stary kaszkiet. Uszy miał czerwone z zimna, ale chyba do tego przywykł.

– Widziałem „Herkulesa” – wyszeptał. – Stoi w drugim hangarze. Mocno oberwał, z przedniego wagonu został tylko wózek.

– Tylko wózek... – Molly zawirowało w głowie.

Biała postać, przyciśnięta do pancerza, wymalowanego w szaro-białe plamy...

I rozbłysk, jasny, wesoły, słoneczny. Jak na wiosnę, gdy wiatr z gór zdmuchuje w stronę morza przekłete chmury, wiszące nad Nord Jorkiem całą jesień i zimę.

– Dokładnie tak! Resztę ma niby w porządku, ale ściągnęli go z powrotem. A ci z pociągu chodzą zli jak buldogi, słyszałem, jak się żrą z robotnikami.

– Brawo, Billy – powiedziała martwym głosem panna Blackwater. – Masz tutaj swoje trzy szylingi... – Spojrzała na jego buty, zdeptane, z oderwanymi

podeszwami. – Niech mama kupi ci nowe buty.

– Buty! – Billy aż gwizdnął. – Panienko Blackwater, chyba masz nie po kolei w głowie! Jakie buty, jak w domu nie ma co do garnka włożyć? A matula wczoraj cały dzień przepłakała, i Judy razem z nią, i Katy. Ech, dziewczyny... – Podrzucił monety i złapał. – Pójdę do kramarza, mamy u niego sześć szylingów długu. Oddam część, a za resztę kupę mąki, masła, grochu, może kawałek piersi... – Oblizał się. – Mam się jeszcze czegoś dla ciebie dowiedzieć, Molly? Powiedz słowo, a wkradnę się choćby do Parlamentu!

– No, żeby cię złapali! Nie. Lepiej się dowiedz, co z Samem, dobrze? To nic trudnego. Dwa szylingi, pasuje?

– Pół korony!

Molly już miała się oburzyć, ale spojrzała na czapkę Billy'ego, nieodpowiednią na tę pogodę, na sfatygowane buty, na cienki flauszowy paltot i stary wełniany szalik – i nie spierała się.

– Ale wtedy już bez zaliczki!

– Dobra! – zgodził się szybko Billy. – Wierzę ci.

\*\*\*

Molly wróciła do domu i wysłuchiwała gderania Fanny – dobrze chociaż, że mamy nie było w domu, podobno poszła na jakiś obiad charytatywny, bo dopiero by się Molly oberwało. Guwernantka Jessica położyła już spać Williama i poszła, a tata był w Klubie Kolejowym – mimo poniedziałku.

W swoim pokoiku Molly, nie zapalając gazu, jak stała, padła na łóżko i nakryła się kołdrą. Za coś takiego, za leżenie na pościeli w wierzchnim ubraniu – można było zostać bez słodyczy, a jeśli wziąć pod uwagę, że Molly w ogóle nie pozwalano leżeć, to nawet cały dzień o chlebie i wodzie.

„Herkules” stracił pierwszy wagon. Został tylko wózek. Dokładnie tak jak w jej wizji. Identycznie. O mamusi... To niemożliwe, zupełnie niemożliwe. Takie rzeczy dzieją się tylko wtedy, gdy człowieka dopadnie ta straszna, zgubna magia, przed którą nie ma ratunku. Wprawdzie Emily Dunkins zapewniała, że czasami ludzie widzą różne rzeczy przed silną migreną, jednak Emily była znaną w całej szkole pleciugą. Całkiem fajna dziewczyna, ale plotła, co jej ślina na język przyniesie. A najlepsze, że potem sama wierzyła we własne wymysły.

Co się z nią, Molly, teraz stanie? Co zrobi, jeśli Departament Specjalny zjawi się w szkole ze swoją camera obscura? Dokąd uciec?

– Panienko Molly! Panienko Molly!

Fanny. Trzeba wstać; Fanny jest miła, ale nieporządku nie lubi prawie tak samo jak mama.

– Kolacja, panienko Molly!

Molly zupełnie nie pamiętała, co jadła tamtego wieczoru, w ogóle nie czuła smaku. Fanny zerknęła na nią strapiona, w końcu podeszła, dotknęła czoła dziewczynki. Mamrocząc coś pod nosem, zniknęła w kuchni i wróciła z dużym kawałkiem puddingu truskawkowego na talerzyku.

Truskawki hodowano w specjalnych szklarniach i z punktu widzenia rodziny Sama czy Billy’ego kosztowały majątek. Molly kochała pudding, ale teraz jadła bezmyślnie, nie czując smaku owoców.

W przedpokoju kwaknęła poczta parowa.

– Co tam znowu? – mruknęła Fanny, idąc do drzwi wyjściowych. Tam z podłogi wystawał wygięty króciec – kawałek rury od pneumatycznej czy, jak nazywano ją w Nord Jorku, parowej poczty.

Syczenie, cmok-cmok drzwiczek. I...

– Panienko Molly! – Fanny była chyba wzburzona. – To do panienki.

List? Do niej? A jeśli...? Pod Molly ugięły się nogi. A jeśli Departament już wszystko wie, jeśli zorientowali się, że Molly jest wiedźmą? A w Nord Jorku nie ma miejsca dla wiedźm.

Fanny opowiadała, że dawno, dawno temu wiedźmy palono – zanim zdążyły zrobić komuś krzywdę, nim ich ciała zniknęły w ognistym słupie. Co prawda to rozwścieczało wiedźmy jeszcze bardziej i póki ich nie zdemaskowano albo póki same nie wybuchły, starały się wyrządzić jak najwięcej szkód.

– Poczta, panienko Molly.

W domu doktora Blackwatera panowała swoboda i liberalizm, jednak list Fanny podała zgodnie z etykietą: na srebrnej tacy, w białych rękawiczkach.

Koperta wyglądała całkiem zwyczajnie. Nadawca nakleił znaczek, czyli wysłał list z poczty, nie z domu. Właściciele poczty domowej płacili raz w miesiącu za każdy wysłany i otrzymany list, na rurze mocowało się specjalny licznik.

Mr. William S. Murray

11 Holt Street, 25

Nord York

NW 5 NY

The Kingdom

Miss Mollynaird E. Blackwater

14 Pleasant Street

Nord York

NE 1 NY

The Kingdom

*Droga panno Blackwater,*

*Sammy został przesiedlony dwa dni temu z całą rodziną. Zaangażowany był w to Departament Specjalny. Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć. Spotkajmy się osobiście w tym samym miejscu co wcześniej.*

*Panienki posłuszny sługa*

*William*

*PS Proszę zniszczyć ten list natychmiast.*

Molly wpatrywała się w list rozszerzonymi oczami. Dobrze chociaż, że nie otworzyła ust.

Billy nigdy nie rwał się do nauki, a tu nagle pisze niczym pierwszy lord Admiralicji do Jej Wysokości Królowej. Ile czasu musiało mu zająć wykaligrafowanie tych wszystkich liter? Pewnie leciał szablonem, jeśli był na poczcie. Molly bardzo wątpiła, żeby w domu Billy'ego w ogóle było pióro czy atrament. I dopiero wtedy dotarła do niej treść listu. Sammy trafił do Departamentu Specjalnego. Z całą rodziną. Billy nie pisał, czy to w Sammym dopatrzone się skłonności do magii, czy w kimś z jego rodzeństwa. Może Billy jej powie... Do diabła, powiedziała w duchu Molly. Na głos by się nie odważyła, Fanny na coś takiego podskoczyłaby aż do sufitu i na pewno poskarżyłaby mamie. Ani diablów, ani wiedźm, ani tym bardziej magii służąca Blackwaterów nie znosiła.

Do diabła, powtórzyła. Poczowała chłód w żołądku, zrobiło jej się niedobrze.

Czyżby Sammy miał zniknąć tak samo, jak zniknęła Jenny Fitzpatrick?

I przecież Molly nie wyjdzie teraz na dwór, mama może wrócić w każdej chwili, zresztą Fanny i tak jej nie puści!

Molly przygryzła wargę. Billy na pewno rozumie, że „panienka Blackwater” nie zawsze może wyjść z domu. Nawet nie da się wysłać mu wiadomości! Licznik by się przekręcił i tata dowiedziałby się, co i dokąd wysłano.

Zostaje czekać. Samowi już i tak nie pomoże, jego z całą rodziną pewnie już dawno wywieźli na południe...

– A któż to do panienki napisał, chciałabym wiedzieć?

Obok Molly stanęła wsparta pod boki Fanny.

– Koleżanka... Znasz ją, Fanny, to Emily, Emily Dunkins.

– Ta, co ma włosy czarne jak sadza?

– Właśnie ta. Pisze, że nie będzie jej jutro w szkole, i przeprasza, miała oddać książkę...

Mówiąc to, panna Mollynaird Evergreen Blackwater przeszła obok komika i niby niechcący wrzuciła do niego kopertę. Papier szybko zajął się ogniem.

\*\*\*

Od tamtego wieczoru strach stał się nieodłącznym towarzyszem Molly.

Wprowadził się do jej pokoju, rozgościł i najwyraźniej nigdzie się nie wybierał.

Molly siedziała nieruchomo na łóżku, zarzuciwszy kołdrę na plecy. Wcisnęła dłonie między kolana i patrzyła nieruchomo na drżący płomień grubej świecy. Nie mogła ani spać, ani nawet leżeć. Sama wywieźli. Śmiesznego piegowatego Sama, jej wiernego rycerza. Dlaczego, za co? Czy obudziła się w nim magia, a Departament Specjalny nagle to wyczuł? A może wcale nie w nim, tylko w kimś z jego rodziny?

Zresztą, to już nieważne. Ważne jest to, że ich nie ma i już nigdy nie wrócą do Nord Jorku. Nawet jeśli w nim samym nie znajdą ani grama magii, to zostanie na południu Królestwa. W poprawczaku, to znaczy w przytułku. W najlepszym razie w jakiejś rodzinie zastępczej.

Molly spróbowała sobie wyobrazić, jak Sam siada przed obcą nastroszoną kobietą z czerwoną nalaną twarzą, jak mamrocze: „Proszę, niech mi pani wybaczy, madame”, a madame ma podwinięte rękawy szarej brzydkiej sukni, a dłoń zaciśniętą na różgach.

Dawno już nastał wieczór, zgęstniała ciemność, mama wróciła z proszonego obiadu, lokomobilą przyjechał z klubu tata, Fanny witała ich w przedpokoju, podała późną herbatę. Molly słuchała głosów rodziców w salonie, ale nawet się nie

ruszyła, choć jeszcze wczoraj pobiegłaby się przywitać. Ale teraz mogła myśleć tylko o Sammym i „Herkulesie”.

Teraz musi być bardzo, bardzo ostrożna. Przecież nie wiadomo na pewno, czy jest w niej ta magia, czy nie. Równie dobrze mógł to być zwykły zbieg okoliczności! A Sammy w ogóle nie ma z nią nic wspólnego, to już zupełnie inna sprawa. No to czemu się trzęsie, dlaczego musi się uspokajać? Sammy’emu już nie pomoże, chyba że pojechałaby go szukać na południu, na pewno już ich wyprawili z Nord Jorku...

Molly w końcu zasnęła płytkim snem, na siedząco, oparta o ścianę.

Nazajutrz znów sypał śnieg. Spadło go tyle, że w niektórych miejscach nie mogły przejechać parowozy i lokomobile, na ulice wyjechały odśnieżacze. Kiedyś Molly lubiła patrzeć, jak łapy tych zwierzopodobnych urządzeń zgarniają zaspę po zaspie, przerzucając śnieg na transporter. Z komina waliła para, śnieg się topił, woda posłuży maszynom w parowozowniach i warsztatach... Oszczędni gospodarze Nord Jorku nie marnowali niczego.

Po wczorajszym wieczorze Molly pękała głowa. Próbowiła poskarżyć się mamie, ale odbiła się od jej zasznurowanych ust i twardego „Mollynaird Evergreen!”. Po wysłuchaniu długiej tyrady pouczeń powlokła się do szkoły. Twarde, ostre bryłki śniegu, pół na pół z sadzą, chłostały w twarz. Ołowiane niebo wisiało bardzo nisko; dym z kominów Nord Jorku mieszał się z wypływającymi zza gór chmurami. W drodze do szkoły Molly wpadła niechcący na konstabla, omal nie znalazła się pod kołami lokomobili i w ostatniej chwili uskoczyła spod parowozu, który podkradł się niezauważony. Maszynista odprowadził ją oburzonym gwizdem.

W szkole też wszystko poszło nie tak. Na matematyce Molly długo i tępo wpatrywała się w zadanie na tablicy. *Z portu Doonberry i portu Nord Jork w tym samym czasie wyruszyły ku sobie niszczyciel i monitor...* Przed jej oczami od razu stanęła pokiereszowana kanonierka; Molly potrząsnęła głową, uwalniając się od tej wizji.

– Panno Blackwater! Czy pani ma gorączkę? Co to za dziwne grymasy? Zadanie zrobione? Proszę pokazać! Co ma znaczyć ta pusta strona? Co znaczy: jeszcze nie zaczęłam? Proszę spojrzeć, inni już kończą!

Molly zanurzyła pióro w kałamarzu, ale zamiast poliniowanego papieru i nabrzmiewającej kropli atramentu widziała tylko niskie chmury, szeregi niekończących się fal i walczącą z nimi niską kanonierkę. Po lewej stronie najeżały się dzikie skały wrogiego brzegu; nad ostrymi szczytami co chwila coś błyskało,

z krótkim opóźnieniem dochodziły odgłosy jakby gromu.

Czternaście cali, co najmniej czternastocalowe działa BL Mk II, długość lufy trzydzieści pięć kalibrów, waga pocisku tysiąc czterysta dziesięć funtów, maksymalny zasięg...

– Panno Blackwater!

...Monitor z trudem utrzymuje się na kursie. Lufy dwóch dział głównego kalibru zadarte są maksymalnie w górę. Wystrzał, z luf wyrywa się dym, okrętowa artyleria wali gdzieś daleko, za linię skał na wybrzeżu. Morze przy burcie monitora nagle zawrzało, czarną wodę zastąpił wir białej piany i potężny statek drgnął, jakby wpadł na kamienie. Ale skąd by się tutaj wzięły kamienie? Po pokładzie w strugach siekącego deszczu biegną marynarze w sztormiakach, ciągną coś, jakby kawał wielkiego brezentu. Z białej piany przy burcie wysuwa się coś czarnego, nie wiadomo, czy to skała, czy stwór. To coś sięga aż do lin, metal gnije się, pokład przechyla się niebezpiecznie i monitor z rozpaczliwym wyciem, jakby wzywał pomocy, daje całą wstecz, ale inercja nadal pcha go do przodu, prawa burta zgniata się, jak gdyby była nie z mocnej stali, lecz z przegniłej dykty...

– Panno Blackwater!

Molly się zerwała.

– Do gabinetu dyrekcji. Natychmiast – warknęła pochylona nad dziewczynką rozgniewana matematyczka.

Dyrektorka, pani Lindgrow, miała do Molly słabość. Nic dziwnego, panna Blackwater zawsze dostawała najwyższe noty na corocznych miejskich konkursach matematycznych, fizycznych oraz plastycznych.

– Co się stało, moja droga? Źle się czujesz? Pani Perkins przysłała mi zawiadomienie...

– T-tak, pani dyrektor. – Molly wpatrywała się w czubki swoich butów. – Źle się czuję. Tak.

– Czemu wobec tego nie poszłaś do medyka, panny Knightwalk? Czemu nie zgłosiłaś tego nauczycielowi przed rozpoczęciem lekcji?

– M-myślałam, że mi przejdzie, pani dyrektor.

– Rozumiem – westchnęła pani Lindgrow. Była już niemłoda i mimo piastowanego stanowiska niespecjalnie ostra. Wprawdzie w jej szkole karano uczennice różgami, ale przecież w każdej innej było tak samo. – Idź do domu, Molly.



Tego dziewczynka się nie spodziewała.

– Do domu, pani dyrektor?

– Tak, do domu. Nie mam teraz do ciebie głowy. Uczysz się świetnie, a każdy może czasem mieć gorszy dzień. Poza tym znowu... – Wstała, odsunęła zasłonę. – Znowu nawiedził nas Departament Specjalny. Ostatnio często nas nachodzą...

Nogi Molly zrobiły się zupełnie miękkie.

A jeśli przyszli po mnie? Jeśli się dowiedzieli, że się przyjaźnię... przyjaźniłam... z Samem i teraz będą mnie... no, tego? A może Billy wpadł i zdradził, że to ja go wysłałam dowiedzieć się, co się stało z Sammym, a przedtem z „Herkulesem”?

– Biegnij do domu. – Pani Lindgrow podniosła dłoń do czoła, jakby była bardzo zmęczona. – I wyśpij się. I powiedz o wszystkim tacie, doktor Blackwater to wybitny lekarz, na pewno ci pomoże. Idź, Molly, muszę powitać panów z Departamentu.

Molly zgarnęła książki, narzuciła kurtkę, owinęła szyję szalikiem. Odźwierny, pan Bannister, właśnie czytał wysłaną pocztą parową notatkę od pani Lindgrow: uczennica Blackwater została wysłana do domu na polecenie pani dyrektor.

– Niech pani wraca do zdrowia, panienko. – Grzecznie przyłożył dwa palce do daszka czapki.

– Dziękuję, panie Bannister. Ja...

Nie zdążyła dokończyć. Szerokie drzwi szkoły otworzyły się i kilku wysokich mężczyzn w skórzanych paltach do pięt, w skórzanych rękawiczkach i okrągłych okularach ochronnych weszło do środka.

– Chwileczkę, panienko – powiedział pierwszy z nich stalowym głosem. – Bardzo proszę, żeby panienka nie wychodziła. Kontrola Departamentu Specjalnego. Proszę wrócić do klasy.

– Panienka źle się czuje, została wysłana do domu na polecenie pani dyrektor. – Pan Bannister jako emerytowany jegier poważał dyscyplinę.

– Ale nie umiera i nie krwawi – zripostował sucho mężczyzna. – Proszę wrócić do klasy, panienko.

Na jego rękawie pod emblematem Departamentu widniały trzy szewrony. Pozostali mieli po jednym. Nie było innego wyjścia – Molly bardzo powoli odwróciła się na sztywnych nogach i poszła za kontrolerami. Jeden z nich niósł na ramieniu trójnog, dwóch innych kamerę pod lnianym pokrowcem.

– Trochę szybciej, panienko.

W klasie trwała znajoma procedura. Dziewczynki kolejno siadały przed kamerą, jeden ze sprawdzających kręcił korbką, drugi zaglądał w głąb kamery i wreszcie nieszczęsnej uczennicy pozwalano wstać, ku jej wielkiej uldze.

– Panno Blackwater! Pani kolej.

Czy tylko jej się zdawało, czy kontroler z trzema szewronami źle na nią spojrział? Nogi nie chciały jej słuchać, dusza uciekła w pięty, serce waliło jak szalone. Magia... mama... tata...

– Proszę patrzeć prosto w obiektyw, panienko, proszę się nie wiercić – polecił sucho kontroler.

Molly zebrała wszystkie siły i spojrzała w połyskujące soczewki. Czuła się tak, jakby wycelowano w nią lufy działa.

Ręka w skórzanej rękawiczce poruszyła się, Molly usłyszała, jak w środku kamery cicho trzeszcza zębate kółka.

Nie smarowano ich, pomyślała. Od dawna już nikt ich nie smarował. Pewnie nie ma kto. Wszyscy tacy ważni, łapią ludzi, w których budzi się magia, a o kółkach zębatych nikt nie pamięta.

Molly tak się skupiła na tych nieszczęsnych kółkach, spragnionych smaru, że kontroler musiał dwa razy powtórzyć, że jest wolna i może wstać.

Do domu Molly leciała jak na skrzydłach. Słabość minęła, jakby za sprawą... magii.

Fanny zaczęła od razu swoje wzdychania, z salonu wyszła mama, wyraziła zaniepokojenie. Molly nie miała jednak temperatury ani nic jej nie bolało.

– Aha. – Mama i Fanny wymieniły spojrzenia. – Połóż się, Molly. Lekcje odrobisz później, jak się lepiej poczujesz.

Do wieczora Molly doszła do siebie. Musiała, po prostu musiała zobaczyć się z Billym! Pewnie już drugi dzień czekał na nią na starej estakadzie. To było umówione miejsce jej i Sammy’ego, teraz może będzie jej i Billy’ego...

Z domu udało jej się wyjść jednak dopiero dwa dni później. Nic nadnaturalnego się w tym czasie nie stało, co trochę poprawiło Molly humor. Ostrożnie spytała tatę, co się dzieje z tymi, których wysłano na południe z powodu magii, a gdy doktor Blackwater uniósł znacząco brew, pospiesznie opowiedziała o Jenny Fitzpatrick.

– Właściwie nic złego. – Wzruszył ramionami tata i zaczął niemiłosiernie trzeć

swój monokl. – Chociaż nie ma tym ludziom czego zazdrościć, trzyma się ich w zamknięciu, w specjalnych celach, dopóki magia nie osiągnie...

– Johnie Casperze Blackwater! – rozległ się wzburzony głos mamy. – Co to za zwyczaj, prowadzić z Molly tak nieprzystojne rozmowy!

Tata spieszył się bardzo i nic więcej nie powiedział.

Gdy spotkała się z Billym, na Nord Jork znów spadła zamieć. W tym roku zima była wyjątkowo śnieżna i mroźna. Billy owinął twarz szalikiem i co chwila zanosił się kaszlem.

– Zabrali Sammy’ego, z całą rodziną. Nawet jego ojca, masz pojęcie? I odwieźli ich pod konwojem.

– Ale u kogo w końcu znaleźli magię?

Billy machnął ręką, ale szybko schował zmarznięte dłonie w rękawy cienkiego palta.

– U dwóch osób! U mamy Sama i jego młodszego brata.

– Czeka, u George’a?

Billy pokręcił głową.

– Tego nie wiem, ale podobno u kogoś z młodszych. Wszystkich zabrali.

– A jak się dowiedzieli? W szkole?

– U jego matuli w fabryce. Nagła kontrola. Przyjechały dwa oddziały z tymi... no, z tymi na trójnogach. Prześwietlali ludzi, podobno wtedy widać w człowieku magię. A potem przyszli do nich do domu i całą dzieciarnię też zaczęli prześwietlać. I znaleźli w chłopaczku.

– To straszne, Billy! Żyjesz sobie, krzywdy nikomu nie robisz, a potem trach! I znajdują w tobie magię. I... i koniec!

– To tak jak z czerwoną dżumą – powiedział z miną znawcy Billy, pociągając nosem i bezceremonialnie wycierając smarki rękawem. – Żyjesz sobie, żyjesz i nagle ciach! Sąsiad, stary Mitch, opowiadał, że jak w siedemdziesiątym szóstym w Petuarii ludzie chorowali, to było tak samo: dzisiaj zdrowy, jutro kaszlesz krwią, pojutrze umierasz. To co, panienko Molly, trzeba się czegoś jeszcze dla ciebie dowiedzieć?

– Na razie nie... – westchnęła Molly. – A jak twoja mama, znalazła pracę?

– Była na giełdzie – skrzywił się Billy – to powiedzieli tylko: damy znać. Jutro idzie do starych doków, tam można dostać pracę jednodniową. Pójdę razem z nią, jak mi niczego nie podrzucisz. Pomyśl, na pewno nie chcesz, żebym kogoś obił?

Molly pokręciła ze smutkiem głową. Dla nikogo nie było już ratunku. Ani dla nieśmiałej, milczącej Jenny, ani dla wiernego przyjaciela Sama... Mogła już tylko drzeć, wspominając wyraziste wizje, tę z „Herkulesem” i tę z monitorem.

Przypomniało jej się nagle, jak wtedy, na ostatniej kontroli, ten najstarszy stopniem niemiło na nią spojrział. A może to się właśnie nazywa, że strach ma wielkie oczy?

\*\*\*

Powoli zbliżało się Boże Narodzenie. Molly uczyła się pilnie, wkrótce dadzą im półroczne tabele, a mama nie uznaje innych ocen prócz AAE[5], wypisanych kaligraficznym pismem pani Lindgrow.

Billy kręcił się przy niej, jednak nie został takim przyjacielem jak Sam. „Herkules” i przeniesienie rodziny Sama trochę ich do siebie zbliżyły, ale nie zrodziła się między nimi bliska przyjaźń.

Na gruzach starej estakady Molly chodziła nadal; tam najłatwiej było jej dojść do siebie, gdy smutek stawał się nie do zniesienia. Billy jakby wyczuwał, kiedy przychodzi, bo niezmiennie wyłaniał się z wieczornego zmierzchu i siadał obok. Milczeli. Czasem chłopiec pytał, czy panna Molly nie ma dla niego jakiejś pracy. Molly było wstyd, w końcu zaproponowała Billy’emu, że da mu kilka szylingów tak po prostu, ale odmówił.

– Nie, panienko Molly. Ja tak nie mogę. Ani ja, ani matula nigdyśmy nie żebrali. No nic, jakoś sobie poradzimy.

Tamtego dnia Molly wlokła się smętnie do domu, grzęznąc w zaspach śniegu, którego znów dosypało w ciągu dnia. Padało niemal bez przerwy, maszyny sobie nie radziły i ulic Nord Jorku nie miał kto odśnieżać. Molly siedziała trochę na gruzach estakady, ale Billy się nie zjawił, więc postanowiła wrócić do domu.

A po drodze spostrzegła... trzech Rooskies. Ubrani w pomarańczowe kamizelki włożone na koszule (sławetne *touloupes* zniknęły bez śladu) ładowali śnieg na przyczepę lokomobili. Dwóch niemłodych już brodaczy i ten sam chłopak, którego Molly widział wtedy przy bramie numer czternaście!

Pracowali bez wysiłku, jak gdyby przerzucali coś lżejszego od brył zbitego śniegu zmieszanego z sadzą. Pilnował ich jeden konstabl, który wyglądał, jakby nie bał się, że jego więźniowie zbiegną.

Molly przyjrzała się uważniej – ale nie, nie mieli ani łańcuchów, ani kul. Byli wolni... no, prawie wolni. Nie wiedzieć czemu poczuła rozczarowanie.

Barbarzyńcy w książkach byli posepni, źli, zawzięci i woleli śmierć od niewoli, oczywiście do czasu, gdy ktoś z głównych bohaterów – dżentelmen albo lady z Królestwa – nie wyjaśni im, jak bardzo się mylą.

Rooskies, zagadkowi mieszkańcy północnych ziem za Karn Dredem, których królewskim kartografom nie udało się nanieść na mapy, ci Rooskies nie powinni pokornie ładować śniegu, nie powinni i już! A już na pewno nie mógł tego robić ten chłopak o słomianych włosach, z wilczym spojrzeniem stalowoszarych oczu. Bo wtedy nie byłby wilkiem, tylko... tylko...

Molly zwolniła kroku i zrozumiała, że ten Rooskie ją widzi. I nie tylko widzi, ale wie, kim ona jest, że ją poznaje – i to nawet nie odwracając się, nie spoglądając na młodą pannę Blackwater!

Po obu stronach Pleasant Street paliły się gazowe latarnie, świeciły się witryny porządných – innych tutaj nie było – sklepów. Spieszyli dokądś dżentelmeni i damy, jechały powoli ciężkie lokomobile, nieopodal gwizdał, szykując się do ruszenia z przystanku, parowóz. Linia nie biegła przez Pleasant Street, tylko ją przecinała – przecież mama Molly za nic w świecie nie zgodziłaby się mieszkać „z tymi okropnymi dzwonkami i gwizdkami pod samym oknem”!

Cisza i spokój. Stoi i poziewuje jeszcze jeden konstabl, zerka na kieszonkowy zegarek, pewnie zaraz kończy się jego zmiana...

– Stój, dokąd to!

Molly odwróciła się: ze sklepu zegarmistrzów Cunninghama i Prota wybiegła pochylona, jakże znajoma postać, przemknęła przez Pleasant Street, zręcznie skoczyła tuż przed kołami lokomobili i pobiegła dalej, do prześwitu między domami, gdzie zaczynał się zaułek, prowadzący na Gearshift Street.

Billy! I coś przyciska do piersi! Och, nie...

– Stój, złodzieju! – Za Billym pobiegł sam pan Cunningham, chudy i długonogi, i dwaj jego sprzedawcy. – Trzymajcie go! Policja! Policja! Łapać złodzieja!

Oślupiała Molly przycisnęła dłoń do ust.

Jak na zawołanie przez Azalia Street przejechał parowóz, Billy zręcznie przeskoczył tuż przed nim, nie zwracając uwagi na gwizdy maszynisty, pan Cunningham i jego sprzedawcy musieli się zatrzymać – ale po drugiej stronie Billy wpadł prosto na konstabla, pilnującego trzech Rooskies.

– Stój, draniu! – Krzyknął konstabl i wyskoczył szybko z kabiny lokomobili, celując w Billy’ego z rewolweru.

Nie żartował. Billy stropił się tylko na chwilę, ale konstablowi to wystarczyło.

Jego ręka w skórzanej rękawiczce chwyciła mocno kołnierz chłopca. A z drugiej strony Pleasant Street pojawiła się jakże znajoma lokomobila w barwach Departamentu Specjalnego.

Billy szarpał się i wierzgał w powietrzu, gdy rosły konstabl bez wysiłku trzymał go nad ziemią.

– Trzymajcie... uff, uff... złodzieja... – wykrztusił zasapany pan Cunningham.  
– Tak, to on, to on, uff... Dziękuję, panie konstablu...

Dwaj starsi Rooskies nadal melancholijnie wrzucali śnieg na naczepę, nawet się nie odwrócili, demonstracyjnie pokazując, że to ich zupełnie nie dotyczy. Odwrócił się tylko chłopak, nie patrzył jednak na szarpiącego się Billy'ego, tylko na Molly. Patrzył jej prosto w oczy, nieuprzejmie, zuchwale i zupełnie, zupełnie po barbarzyńsku!

Jakby na coś czekał.

Konstabl zajmował się teraz czymś innym, jednak żaden z Rooskies nie próbował uciec, szuflowali śnieg na przyczepę i to wszystko. Obojętni, pokorni... Tylko chłopiec stał, oparty o łopatę, i patrzył na Molly.

Billy'ego tymczasem postawiono na ziemi i pan Cunningham, biorąc się pod boki, ze wzburzeniem opowiadał coś konstablowi. Ten zdążył już przypiąć Billy'ego kajdankami do długiego łańcucha, przymocowanego do jego torby, i teraz z ważną miną spisywał zeznania zegarmistrza do specjalnego notesu, co chwila kiwając głową. Potem szarpnął palto chłopca, wsunął mu rękę za pazuchę i wyciągnął połyskujący złotem kieszonkowy chronometr.

Molly jęknęła w myślach. Billy, ty głuptasie...

Musiała coś zrobić, szybko! Małego złodzieja, złapanego na gorącym uczynku, zakują jak dorosłego i oddadzą sędziemu. Sędziów przysięgłych nie dostanie. Sędzia nazaczy karę: przytułek dla nieletnich. Tak naprawdę jest to przytułek jedynie z nazwy, w rzeczywistości zaś – najprawdziwsza katorga. Wiedziała, że w Nord Jorku mieści się coś takiego, w południowej części, za starymi dokami, wciśnięty między dwa dymiące kominy zakładów, wytopu i walcowania stali. Widziała tych, którzy trafili na roboty, tylko raz jeden – gdy jechała z mamą lokomobilą do Dworca Południowego. Mama zaciskała usta i głośno skarżyła się, że na tutejszych ulicach porządnemu dżentelmenowi, nie mówiąc już o damie, strach się pojawiać, a Molly z nosem przyciśniętym do szyby patrzyła, patrzyła i patrzyła na wielkie budynki fabryk, które wydawały się potworami, owiniętymi rurami z parą, niczym arteriami i żyłami. Łączyły je łuki estakad, topornie połączone ze stalowych kratownic, po których tam i z powrotem

jeździły parowozy, ale inne niż w mieście, niskie i pękate, potężniejsze z wyglądu. I obok nich, po torach, szedł długi szereg chłopców w pomarańczowych kamizelkach na więziennych strojach.

Do nich właśnie dołączy Billy. Który już nawet się nie opierał, pociągał tylko nosem i wpatrywał się w ziemię. Lokomobila Departamentu Specjalnego przyhamowała, ale nie stanęła, przejechała powoli obok nich.

„Teraz!” – usłyszała Molly.

„Uciekaj, Billy!” – krzyknęła, a może tylko jej się zdawało? Ale bardzo wyraźnie zobaczyła, jak z pieca sapiącej lokomobili – tego samego, do którego Rooskies ładowali śnieg – wytryskuje słup płomienia, zrywa zawory, jak z każdego sprzęgu, z każdego otworu biją strugi świszczącej pary, a lokomobila wzdryga się niczym smagnięty batem koń.

Zaskoczony konstabl zamachał rękami i jakoś tak niefortunnie zahaczył o sprzączkę własnej raportówki, że ta się rozpięła. Billy zareagował od razu: błyskawicznie pochwycił łańcuszek od kajdanek i skoczył w wąski zaułek między domami. W ręku konstabla został ukradziony chronometr.

– Łapać go! – wrzasnęli jednym głosem konstabl, pan Cunningham i dwaj subiekci. Lokomobila Departamentu, która nie zdążyła odjechać zbyt daleko, stanęła jak wryta w kłębach białej pary.

Konstabl już zrobił ruch, jakby chciał pobiec za Billym, ale przypomniał sobie o powierzonych mu jeńcach i został. Pan Cunningham, który dostał z powrotem swój zegarek, nie miał zamiaru nikogo gonić. Dwaj subiekci popatrzyli na siebie bez entuzjazmu i z okrzykiem: „Za nim!” pobiegli za chłopcem w ciasną uliczkę.

O, już go nie złapią, pomyślała Molly. Uliczka łączyła Pleasant Street z Amelia Road, a dalej była już Gearshift z estakadą szybkiego parowozu, za którą zaczynał się świat całkiem innych dzielnic. Jeśli się nie wie, kogo konkretnie szukać, można by się tam błąkać i rok.

Molly odwróciła się bardzo ostrożnie. Lokomobila, w której jeszcze niedawno dumnie zasiadał konstabl, przechyliła się na bok, jedno koło miała dziwnie wykręczone. Nadal otulały go kłęby pary, a języki ognia wysuwały się żarłocznie z pieca, jakby w nadziei, że znajdą jakieś pożywienie oprócz zimnego metalu.

Lokomobila Departamentu Specjalnego wrzuciła wsteczny.

– I co to było za diabelstwo! – Klasnął w ręce konstabl. – Czy pan, panie...

– Cunningham, konstablu. Michael J. Cunningham junior – wypalił ochoczo właściciel sklepu zegarmistrzowskiego.

– Czy życzy pan sobie, panie Cunningham, byśmy spisali zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa? – Mina konstabla świadczyła wyraźnie o tym, jak bardzo nie chce mu się tego robić. Pan Cunningham zrozumiał ją prawidłowo.

– Zawiadomienie, panie konstablu? Nie, nie, po co tyle papierów! Zegarek odzyskany, chłopak nie wyrządził żadnej krzywdy i pewnie skrył się już w swoich slumsach. Ale podziękowanie dla pańskiego przełożonego spisałbym z wielką chęcią, panie konstablu!

– Dziękuję panu bardzo, panie Cunningham, dziękuję bardzo! – Konstabl podkreślił węża. – Ej, wy tam, pracować, pracować! – ponaglił jeńców. – Czego nie rozumiecie? *Rabotaj! Trud, trud! Bystro!*[6]

Jeńcy przyłożyli się do pracy trochę bardziej.

Chłopiec obejrzał się i niby obojętnie przesunął wzrokiem po ulicy. Róg Pleasant Street i Azalia Street już wracał do normy. Damy i dżentelmeni ruszyli dalej, ponarzekawszy na upadek obyczajów, niania w długim palcie tłumaczyła coś chłopcu i dziewczynce, może pięcioletnim, nachylając się nad nimi i wskazując palcem uliczkę, w której zniknął Billy.

Molly napotkała wzrok młodego Rooskiego i odwróciła się.

„Idź do domu” – usłyszała. I nie zastanawiając się, czy to jest głos ani skąd dobiega, zrobiła, jak jej kazano. Za jej plecami lokomobila Departamentu Specjalnego zatrzymała się przy wyprężonym jak struna konstablu.

A trzej Rooskies nadal ładowali śnieg, tak samo melancholijnie.





Molly zdawała sobie sprawę, że teraz Billy musi zniknąć – a przynajmniej tak zawsze robili bohaterowie jej ukochanych książek. Oczywiście panna Blackwater doskonale wiedziała, że kradzież nie jest w porządku, ale... Po pierwsze, pan Cunningham był bardzo bogaty, po drugie, wyjątkowo niesympatyczny, a po trzecie, Billy musiał pomagać mamie. Szlachetni zbójcy zawsze grabili bogatych i dzielili się łupem z biednymi. O tym również Molly czytała w książkach.

Mama Billy'ego została bez pracy, jemu też ciężko było ją znaleźć. Kto nie zdążył, ten się spóźnił. Nawet gdyby go wzięli na młodszego smarowniczego, dostałby najwyżej dwa pensy za cały dzień... Nie, nie ma co się zastanawiać, Molly potrząsnęła głową. Billy się ukrył i nie ma sensu go szukać. Sam cię znajdzie, jakby co. I w ogóle, niedługo Gwiazdka, Molly ma dobre oceny i mogłaby sobie porysować statki i inne fantastyczne parowe maszyny kroczące...

A magia... A co magia? Coś jej się przywidziało, zbieg okoliczności. Przecież prześwieltali ją kontrolerzy i nic nie znaleźli. Więc proszę się uspokoić, panienko Mollynaird Evergreen, i zapomnieć o wszystkim. Lokomobila też wybuchła sama z siebie...

Nie wiedziała, skąd przyszedł do niej ten spokój i pewność siebie. Może ze snów? Teraz niemal co noc miała rzeczywiste sny – z rozciągającymi się aż po horyzont zaśnieżonymi lasami, białymi prześwitami pokrytych lodem jezior, niedostępnymi szczytami gór, które jak mur bronią leśnego kraju. Z rzekami, wodospadami, spadającymi ze skał i niezamarzającymi nawet w największy mróz.

To były tylko lasy i lasy – nic poza tym. A jednak Molly ogarniał spokój i lęk odchodził. A rano znów pragnęła rysować. Coraz częściej rysowała jednak nie niszczyciele i monitory, nie pociągi pancerne z działami, lecz właśnie góry. Góry, które zobaczyła we śnie. Spadające z nich srebrne, lodowate strumienie, które niczym perłowe węże pełzły hen, na północ. Niskie zimowe słońce nad biegnącymi

w nieskończoność lasami. I jedna góra, samotna, czarna i naga, bez odrobiny śniegu. Niepołączona z Karn Dredem, oddzielającym Królestwo od Dzikich Ziem. Na rysunkach Molly wznosiła się samotnie, a leśne morze zalewało, jak przybój, jej smoliście czarne, jakby pokryte sadzą zbocza.

Skąd to wszystko, po co, dlaczego, Molly nie myślała. Rysowała.

I wydawało się jej, że teraz już się wszystko ułoży. Tak zupełnie, zupełnie wszystko. Pewnie, że szkoda Sama i jego rodziny, że szkoda Billy'ego, no, ale jego akurat nie złapali. Molly przemykała się kilka razy do ich dzielnicy, rozmawiała trochę z tymi dzieciakami, o których wspominał w rozmowach Billy. Wyglądało na to, że zniknął. Ale matka Billy'ego podobno nie martwiła się jakoś szczególnie i odpowiadała tak, jak rodzice nieszczęsnej Jenny Fitzpatrick: Billy pojechał za pracą do dalekiego krewnego, tylko nie na południe, lecz na zachód.

Wszystko to były oczywiście uliczne plotki, ale Molly tak bardzo chciała wierzyć, że z Billym jest wszystko dobrze! I że Sammy, który przecież nie był skażony magią, trafi do porządnej rodziny zastępczej. No bo przecież bywają dobre rodziny zastępcze, prawda? Ciesz się i raduj, Molly.

Gwiazdka była coraz bliżej, na ulicach i w witrynach sklepów wystawiano choinki, bogate domy ozdabiano świecącymi i wieńcami z jemioly, ustawiano wielkie kolorowe lampiony ze świecą w środku. W gazecie każdego dnia opowiadano o powolnym, lecz pewnym posuwaniu się dzielnych górskich strzelców i jegrów ku przełęczom; mówiło się, że na wiosnę wojska dotrą już za Karn Dred. „Herkules” dostał nowy wagon, wyremontowano staruszkę „Hektora”. Pociągi pancerne, wypełniające pajęczynę torów przenikliwym gwizdem, raz po raz wysyłano na północ. I monitory, i krążowniki też nie zostały w zatoce, mimo przeszywającego wiatru z gór. Wszystko szło jak najlepiej. Tylko tata coraz więcej czasu spędzał w rozjazdach na swojej parowej drezynie, pomagając chorym i rannym.

Żadne wizje już Molly nie nawiedzały. Wszystko, co wydarzyło się nie tak dawno, wydawało się już tylko złym snem – wszystkie strachy, przecucia i zagadki. Nie ma w niej nic. Żadnej magii. I zupełnie nie ma się czym martwić.

Kilka razy spotykała na swojej ulicy i na sąsiednich tamtego chłopca, jednego z Rooskies. Zwykle ładował jakieś worki czy skrzynie albo stał na chwiejącej się niebezpiecznie drabinie i naprawiał latarnię gazową. Molly była zdumiona: jak dziki barbarzyńca może w ogóle coś naprawiać? Z czasem i on stał się jedynie częścią miejskiego krajobrazu, tak jak dostawcy, kominiarze, sprzedawcy z zieleniaków, mleczarze, maszyniści, woźnice i tak dalej.

Tamtego dnia, dokładnie na tydzień przed Gwiazdką, kiedy w Nord Jorku wreszcie udało się odśnieżyć ulice i place, Molly wracała do domu udekorowaną odświętnie Pleasant Street. Zeskoczyła z podnóżka parowozu, który przeciął ulicę, i wesoło, w podskokach, biegła do domu.

A między chodnikiem i jezdnią, to umykając przed kołami lokomobili, to wpadając pod nogi przechodniów, biegł duży, piękny kot. Zadbany, puszysty, najwyraźniej domowy. Biegał, miauczał rozpaczliwie i patrzył w górę na ludzi, jakby pytał: „A może ja jestem pańskim kotem? Może to pani mnie zgubiła...?”.

Molly zawsze chciała mieć kota. Wykraczało to poza granice wyznaczone przez mamę, tu już nawet tata nie mógłby pomóc. A jednak dziewczynka zwołała kroku. Jakim cudem znalazła się na ulicy, taki piękny, czysty, białokremowy, tak niepodobny do tych chudych i wyleniałych bywalców śmietników?

Przez Pleasant Street, wśród innych niezbyt licznych lokomobili, jechała też lokomobila Departamentu Specjalnego. Molly przemknęło przez myśl, że ostatnio często widuje ich w pobliżu swojego domu...

Kot, który omal nie dostała kopniaka od jakiegoś poirytowanego dżentelmena, miauknął z oburzeniem i skoczył prosto na jezdnię.

Oj! – przeraziła się Molly.

Lokomobila Departamentu nagle szarpnęła i z cylindra wyleciał ze świstem strumień pary. Śmiertelnie przerażony kot podskoczył i ruszył, ale w złą stronę i Molly już widziała, jak najeżdża na niego wielkie przednie koło lokomobili. Nie, nie, nie! – Molly zacisnęła pięści, przyciskając je z przerażeniem do twarzy. – Nie, nie, uciekaj, uciekaj! I złapała kota za kark.

Albo raczej – wydawało jej się, że złapała, no bo przecież gdzie stała ona, a gdzie był kot!

A jednak kota wyrwała spod kół i odrzuciła w tył czyjaś niewidzialna ręka, jednocześnie ostro szarpiąc za dźwignię hamulca lokomobili, który zatrzymał się ze zgrzytem, otulony kłębam pary. Zupełnie tak jak wtedy, gdy uciekł Billy. Kot przysiadł, cofnął się i pobiegł – prosto do Molly!

A z przechylonej na bok lokomobili wysiedli szybko dwaj mężczyźni w skórzanych paltach i lśniących hełmach z krótkimi czarno-biało-czerwonymi plumażami. Wysiedli i zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę Molly. Kot, mrużąc, ocierał się o nogi dziewczynki, głęboko przekonany, że oto znalazł sobie nową panią. Oszołomiona Molly stała niepewnie i mrugając oczami, patrzyła na zbliżających się mężczyzn z Departamentu. Kot najeżył się, wygiął grzbiet

i prychnął wściekle – chyba pracownicy Departamentu zupełnie mu się nie spodobali.

Obaj mężczyźni zatrzymali się, spoglądając z góry na pannę Blackwater. Okulary ochronne zasłaniały prawie całe ich twarze – Molly miała teraz na sobie takie same.

– Jak się panienka nazywa? Imię, nazwisko, miejsce zamieszkania?

Kot prychnął jak szalony. Kłam! – rozbłysło jej w głowie.

– Maggie, proszę pana – wyjąkała Molly. – Maggie Perkins. To znaczy Margaret, Margaret Perkins, proszę pana.

– Miejsce zamieszkania, panno... Perkins – Jeden z mężczyzn wyjął oprawiony w skórę notes z wytłoczonym emblematem Departamentu.

– Piston Street dwadzieścia jeden, mieszkania dziewiętnaście – wypaliła bez zająknięcia Molly i dopiero potem zdała sobie sprawę, że podała nie tylko adres Sammy'ego, ale i jego nazwisko. Co więcej, Sammy rzeczywiście miał starszą siostrę Margaret.

– Dziękuję, panno Perkins. Myślę, że będzie panienka musiała pójść z nami... Krewnych panienki zawiadomimy pocztą.

– Ja? Z wami? – Molly cofnęła się o krok. W jej żołądku narastał lepki kłęb lodowatego zimna, nogi się uginały.

– Tak, z nami. – Skinął głową drugi mężczyzna. – Pokażcie jej żeton, Jones...

Uciekaj! – rozległo się w jej głowie. Ale Molly miała nogi jak z waty i wpatrywała się w stojących mężczyzn tak, jak zahipnotyzowany ptak patrzy na węża. Uciekaj! – krzyknął z rozpaczą głos. A ona znów nie ruszyła się z miejsca.

Rozległ się łoskot i po prawej stronie runęła wysoka przystawiana drabina, a razem z nią... Tamten Rooskie. Wraz z nim spadły kłęby jakichś linek czy kabli, młotek, pełny zestaw wiertel, śrubokrętów, gwoździ i wkrętów. Całe to bogactwo rozsypało się po chodniku, a chłopiec, wołając z silnym akcentem: „Sorri, sorri!”, skoczył prosto pod nogi obu mężczyzn.

Uciekaj, głupia! – usłyszała znowu.

– Ty durniu! – wrzasnął jeden z nich i szybkim ruchem złapał chłopca za kark.

– A... e... sorri, ser, pliiz, ser! – zajęczał ten żałośnie, składając błagalnie ręce.

W środku Molly jakby coś wybuchło i nogi same ruszyły z miejsca.

Obaj mężczyźni patrzyli teraz na niezdarnego chłopca; przecież znieruchomiła, onieśmielona dziewczynka i tak się nigdzie nie ruszy. I znowu ktoś wbijał

w świadomość Molly polecenie za poleceniem: Pierwszy krok powoli. Za lokomobilę. Drugi szybciej. Uważaj, parowóz! Dogoń go, szybciej! Skacz!

Z boku wyglądało to bardzo zwyczajnie. Czcigodni dżentelmeni z Departamentu Specjalnego zapytali o coś porządnie ubraną dziewczynkę i wyraźnie pozwolili jej odejść. No bo nie uciekała od nich na złamanie karku, lecz spokojnym krokiem poszła do parowozu i dopiero gdy zobaczyła, że ten zaraz ruszy, pobiegła za wagonem.

– Uff... – wyrwało się Molly. Podała konduktorowi pieniądze za bilet, ten skinął głową, wsunął bilet w paszczę kasownika parowego i pociągnął za dźwignię.

Kompletnie nieprzytomna Molly przecisnęła się w głąb parowozu. Ostrożnie spojrzała w przerwę między pasażerami – dwaj mężczyźni z Departamentu rozglądali się, wyraźnie jej szukając. A Rooskie nadal miotał się pod ich nogami, pewnie mamrocząc przeprosiny ze swoim strasznym akcentem.

Parowóz przeciął Pleasant Street i lokomobila Departamentu Specjalnego zniknęła. Gdy konduktor patrzył w inną stronę, Molly wyskoczyła, nie czekając na następny przystanek, i od razu wbiegła w uliczkę między domami, przemknęła między kubłami śmieci, skręciła raz, drugi, trzeci... Znała te miejsca lepiej niż własną kieszeń.

Nad ziemią biegingy ogromne kolana rur gazowych; Molly wbiegła na nie po zardzewiałych stopniach i położyła się, wciśnięta między dwie grube rury. Widziała lokomobilę Departamentu Specjalnego stojącą w tym samym miejscu. Dwaj czcigodni dżentelmeni w kaskach pobiegli w dwie różne strony. Młody Rooskie na kolanach zbierał swój dobytek.

Molly przeczekiwała, serce waliło jej jak szalone, i gdy lśniąca kaska Departamentu znalazły się wystarczająco daleko, szybko zeskoczyła i przebiegła przez drogę.

– Miau! – odezwał się stanowczo biały kot, wbiegając obok Molly do przedpokoju. Dziewczynka podskoczyła zdumiona. A to historia! Czyli nie stracił jej z oczu, biegł za parowozem! Że też się nie zgubił, nie pomylił drogi... Mądry kotek! Kot przesadził próg jednym susem, zastygł na chwilę, obejrzał się i powtórzył: „Miau!”. Brzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć: „Jestem twoim kotem”. I potruczał na górę po schodach. Nie podszedł do kuchni, skąd płynęły smaczne zapachy, ani do drzwi piwnicy, w której mieszkały szczury, z godną podziwu regularnością straszące mamę i Fanny. Nie, od razu wbiegł na pierwsze piętro.

Molly pobiegła za nim.

– Panienko Molly! – rozległ się oburzony głos.

No jasne, Fanny. Jeszcze bardziej zagorzała strażniczka wszelkich zasad niż mama. Molly musiała zostać. Z całych sił starała się zachowywać jak gdyby nigdy nic, wesoło odpowiadała Fanny, nie zapamiętując ani jej pytań, ani swoich odpowiedzi. Czego chciał od niej Departament, dokąd mieli ją zabrać, co zamierzali z nią zrobić? A przecież prawie już uwierzyła, prawie się uspokoiła, że nie ma nic wspólnego z magią! Uznali, że jest wiedźmą? Że wyciągnęła kota spod kół lokomobili dzięki swojej magicznej sile? Ojoj...ojoj...

Molly weszła do siebie i nieprzytomna ze zdenerwowania padła na łóżko. Jej dłoń natrafiła na coś miękkiego, jedwabistego, co odpowiedziało zadowolonym mruzeniem. Kot! Zwinął się w kłębek na narzucie, jakby mieszkał tu całe życie!

– I co ja mam z tobą zrobić... – szepnęła Molly, patrząc w duże zielone oczy.

– Mrr! – odparł zdecydowanie kot. I otarł się o palce Molly. „Tu mnie głaszcz, moja nowa pani...” Molly podrapała kota za uchem.

– Mrr, mrr... – Zadowolony zwierzak zmrużył oczy.

Z jakiegoś powodu przy mrużącym kocie Molly mniej się bała. A przecież stała się przestępcą, uciekła przed tymi z Departamentu Specjalnego! Co prawda ciężko im będzie ją zidentyfikować, miała przecież nasunięty na czoło hełm, okulary zasłaniały pół twarzy... Nos i usta zwykle osłaniała maską lub przykrywała szalem, jednak dziś jak na złość się zsunął. Ale i tak nie będzie łatwo ją rozpoznać. To jasne, że gdy sprawdzą adres i nazwisko, szybko się zorientują, że Margaret Perkins z całą rodziną została przeniesiona. Pewnie w aktach będzie światłograficzna podobizna Margaret, ale niewiele im to da. Zaczną wysyłać wiadomości, zapytania, minie trochę czasu, zanim dostaną odpowiedzi, porównają, podejmą decyzję...

A gdy już wreszcie zrozumieją, że Molly podała się za dziewczynkę od dawna przebywającą na południu Królestwa w rodzinie zastępczej albo w przytułku – kto wie, wtedy dopiero wrócą na Pleasant Street. Ale wrócą. Na pewno. I zaczną przeszukiwać dom po domu. Powoli, niespiesznie, metodycznie. Aż wreszcie znajdą.

I co ona wtedy zrobi? Co zrobi, jeśli to rzeczywiście... Aż się bała pomyśleć... Jeśli to mimo wszystko magia? Siedziała, kołysząc się w przód i w tył, głaskała kota, a właściwie kotkę. Głaskała i głaskała, słuchając zadowolonego mrużenia, wsuwając palce w miękką, czystą sierść.

– I kto mógł cię wyrzucić, taką śliczną, taką milutką? – Mimo wszystkich

tragedii dzisiejszego dnia Molly znalazła w sobie jeszcze litość dla kotki. Ech, gdyby pozwolili jej zostać... a przecież nie pozwolą. Zaraz powiedzą, że ma się pozbyć tego stworzenia, że to coś ma zniknąć natychmiast, w tej chwili!

– Panienko Molly!!! – W drzwiach stała wstrząśnięta do głębi Fanny, zastygła w bezruchu niczym posąg demaskującego obowiązku. – Co to jest? Co to jest?!! Na narzucie?!!

W piersiach Molly poruszyła się głucha złość. Nic mi nie wolno, nikt mi już nie został! A teraz zabiorą mi jeszcze kota...

– To kot, Fanny.

– Widzę, że nie krokodyl, panienko! – Służąca wzięła się pod boki. – Pani mamusia będzie bardzo, ale to bardzo niezadowolona. Panienko, wynieśmy to stworzenie szybko tylnymi drzwiami, i po sprawie. No, panno Molly?

– To mój kot, Fanny.

– No, panienczko – służąca zmrużyła oczy – zobaczymy, co powie pani Anna. A może panienka nie wątpić, że zaraz jej o wszystkim powiem. Ja po tym stworzeniu sprzątać nie będę!

– Phhh! – zasyczała kotka, unosząc się.

– O, proszę, jeszcze będzie na mnie syczeć! – Rozgniewała się Fanny. – Dość tego, moja panno. Idę do matki!

– Nie zwlekaj, Fanny. – Molly włożyła w te słowa maksimum chłodu i wrogości.

– Hm! – Służąca dumnie zadarła nos, odwróciła się i zbiegła po schodach. – Pani Anno! Pani Anno! Co tu się dzieje...!

– Zaraz nas stąd wygonią – powiedziała Molly do kotki, jakby ta mogła zrozumieć. – Ale nie odchodź daleko, dobrze? Będę dawać ci jeść. Może zamieszkaż u nas na tyłach domu?

– Mrr? – zamruczała w zadumie kotka i wstała.

– Molly! – To była mama. Oczywiście zła jak sto diabłów. – Molly, jak mogłaś... Jak śmiałaś... Niewiarygodne, karygodne nieposłuszeństwo... Gdybym nie była człowiekiem nowoczesnym, to przysięgam, że stłukłabym cię tak, że zapamiętałabyś na całe życie!

Molly zapragnęła nagle zapytać mamę, czy ją samą tłukli tak, że zapamiętała na całe życie. Ale przestraszyła się, przestraszyła się samej siebie, tej podnoszącej się z głębin lodowatej złości, okrutnej i wyrachowanej.

– W tej chwili!!! Żeby mi to ogoniaste stworzenie natychmiast stąd zniknęło! A potem osobiście, osobiście, moja panno, własnymi rękami wszystko tutaj wypierzesz i wyczyścisz! Nie zamierzam zmuszać do tego biednej Fanny!

– Mrr – zamruczała zachęcająco kotka, patrząc na Molly. Dziewczynka ostrożnie wyciągnęła ręce, kotka pozwoliła się wziąć.

– Uu! – Odsunęła się z odrazą mama. – Ależ cuchnie śmietnikiem!

To nie była prawda. Kotka nie cuchnęła żadnym śmietnikiem, ale nie było sensu zaprzeczać.

Molly powoli zeszła na dół; za nią, jak konwojenci, podążały mama i Fanny.

– Na dwór mi z tym stworzeniem! Już! – poleciła mama.

Fanny szła do kuchni, uśmiechając się pod nosem.

– Pozwoli pani, pani Anno, że pójdę do swoich zajęć. Sos już dochodzi...

– Oczywiście, Fanny, moja droga. Moja panno, do kogo ja mówię?! Proszę wynieść mi to bydlę z domu!

– Dobrze – powiedziała przez zęby Molly. – Ale mogę ją wynieść na podwórze z tyłu? Nie chciałabym, żeby ją od razu zabili.

Pominęła obowiązkowe „mamo”, ale nikt tego nie zauważył.

– Niech będzie. – Mama zasznurowała usta. – Ale szybko! Na moich oczach!

I zamaszystym kokiem przeszła przez salon do kuchni. Molly szła za nią, trzymając na rękach spokojnie mruczącego kota. Fanny z nieskrywaną satysfakcją otworzyła tylne drzwi, wychodzące na kubły ze śmieciami.

– Szybciej!

Molly wyszła na środek kuchni i przystanąła. Obie, mama i Fanny, patrzyły na nią. A z kąta kuchni na wszystkich spoglądał... szczur. Wielki, ohydny, zuchwały gryzoń.

Szczurów w Nord Jorku zawsze było dużo, mimo wykładanych trutek. Mama, która bała się szczurów śmiertelnie, regularnie najmowała szczurołapów, którzy wykładali w piwnicy i na podwórzu za domem wstrętne pułapki. Ale i to niewiele pomagało, a nawet, zdaniem Molly, nie pomagało zupełnie.

Szczur wybiegł z kąta i bezczelnie przebiegł przez kuchnię. Wtedy zaważyły go i Fanny, i mama. Tego, co się stało dalej, ludzkie słowa nie są w stanie opisać. Fanny z przeraźliwym piskiem pobiegła do drzwi, jakby chciała je zamknąć, zmieniła zdanie, poleciała z powrotem, miotając się i chwytając to pogrzebacz, to szczypce. A mama wydała z siebie rozdzierający szloch – nie krzyk, nie pisk, ale



właśnie szloch, który przeszył ściany i dach, i pewnie był słyszalny w całej dzielnicy. Potem skoczyła w górę (i to w sukni do samej ziemi!) i w oszałamiającym susie znalazła się na wysokim kuchennym stole. Zatupała nogami, podbierając suknię rękami, jakby szczur najbardziej na świecie pragnął wspiąć się po materiale i wpić się zębami w jej twarz czy rękę.

– Iiiii!!! – piszczała Fanny, która znalazła się na taborecie.

– Aaaaa!!! – wrzeszczała mama, trzęsąc się tak, że Molly zaczęła się bać, czy nie dostanie ataku padaczki.

– Mrr! – skomentowała krótko kotka. Zawinęła się zwinnie i z gracją i dużą siłą odbiła się od podłogi, by skoczyć w górę.

To był piękny skok, godny tygrysa albo lwa. Szczur zakręcił się, jakby chciał się wycofać, ale było już za późno. Kotka przycisnęła go łapami do podłogi, wbiła w niego pazury, a potem szybko zatopiła zęby w jego karku i podrzuciła szczura do góry. Gryzoń zwiotczał i znieruchomiał. A kotka zastygła wdzięcznie, ze szczurem w pyszczku, i spoglądała znacząco to na mamę, to na Fanny.

– Iii... – Służąca przestała wreszcie piszczeć. – Pani Anno...

– Czy szczur jest martwy? – Mama, blada jak śmierć, zwróciła się do kota absolutnie poważnie.

Kotka, rzecz jasna, nie odpowiedziała. Podreptała niespiesznie do uchylonych drzwi, wyśliznęła się przez próg i znikła. Przez kilka sekund nikt się nie ruszał. A potem w drzwiach znów zjawiła się biała kotka, już bez szczura. I spojrzała pytająco na mamę, jakby czekała.

– D-d-dobry... k-kotek... – wykrztusiła mama słabym głosem.

– Widzi mama, jaki z niej pożytek! – ruszyła do ataku Molly. Nie wolno było przegapić takiej okazji!

– Tak, szczury łapie jak złoto – przyznała Fanny, ocierając pot z czoła. – Och, jak ja nie cierpię tych stworzeń! Szczurów oczywiście – dodała szybko, zerkając z obawą na kotkę. – Ale jak go chwyciła, pani Anno! Jak chwyciła!

– No tak, panno Mollynaird... – Mama patrzyła w dół, jakby nie rozumiejąc, jak się tutaj znalazła. – Ee... proszę podać mi krzesło, panienko, z łaski swojej... No cóż. Kot... cóż, kot może być... pożyteczny. I biorąc pod uwagę twoje oceny, które są naprawdę, naprawdę niezłe... Myślę, że będziesz mogła go zatrzymać.

– Hura!!! – nie wytrzymała Molly.

– Ale, moja panienko, będziesz najzupełniej, całkowicie odpowiedzialna za

utrzymanie porządku, za karmienie i...

Dalsza przemowa Anny Nicole Blackwater nie była już interesująca.

Gdy wieczorem Molly leżała już w łóżku, przy jej ręce, obejmując łapkami przedramię, sapała cicho kotka. Pozostało tylko wymyślić dla niej imię...

– Di. Diana. Nazwę cię Diana – wymamrotała sennie Molly. Mruczająca puszysta istotka, która przyciskała jej rękę ciepłym ciężarem, uspokajała i odpędzała czarne myśli. – Skoro już z ciebie taki łowca[7]...

Świeżo upieczona Di, czyli Diana, podniosła okrągły łeppek, otworzyła wielkie zielone oczy i miauknęła cicho, z aprobatą. A potem ułożyła się wygodniej na ręce Molly i zasnęła.

Molly również zapadła w sen. Tym razem przyśnił jej się wyraźny, świąteczny i bardzo spokojny sen. Znów widziała wielką czarną górę, bardzo podobną do tej, którą rysowała, i wznoszące się nad nią chmury. Spojrzenie Molly sunęło nad zaśnieżonymi lasami, rejestrując białego zająca i głuszca, a może cietrzewia? Łosie podążały dokądś całymi stadami, wilki biegły swoimi ścieżkami, lisy myszkowały na otwartych przestrzeniach. To było życie, zupełnie niepodobne do tego na wąskich ulicach Nord Jorku, z jego estakadami i dymem, żółtymi oknami i zatłoczonymi parowozami. W tym śnie nie działo się nic złego, był tylko las, ogromny las bez końca, las pierwotny, z którego wszystko wyszło i do którego wszystko powróci.

I Molly wiedziała, jak to się stanie. Drzewa wyrzucają niezliczoną ilość nasion, które – podchwytywane przez wiatry i posłuszne woli dzikich ostępów – przenoszą je ponad ostrymi szczytami Karn Dredu. Nasiona opadają na ziemię – wszędzie. Na tory kolejowe, ulice i dachy fabryk, na place i w zaułki z kubłami śmieci, na wielkie składy węgla, wydobywanego w pobliskich kopalniach, i na stal, wytapianą w hutach Nord Jorku.

A potem z południa przychodzi ciepło i ci żołnierze armii północy budzą się do życia. Cienkie korzonki, tak słabe, że bez trudu można je wyrwać, znajdują mikropeknięcia w cegle albo bruku ulicy. Docierają do ziemi, skutej okowami ulic i kajdanami fundamentów. Docierają i zaczynają rosnąć w iście magicznym tempie.

Wypadają z nasypów szyny i podkłady, pękają, odskakują śruby... Para śwista z przebitych korzeniami rur, przemieszczają się wsporniki mostów, nie mogąc oprzeć się naporowi zielonego wojska. Są drzewa, które składają siebie w ofierze: w zakładach wybuchają pożary po przebiciu pojemników z gazem. Ale w miejscu spalonych drzew wyrastają nowe, a inne, rosąc na dachach zwykłych domów, zapuszczają korzenie aż do piwnic, niszczą dachy, wsporniki, rozsadzają ściany,

a w te szczeliny wdziera się kawaleria pnączy, przychodząc z dołu, z zaśmieconych podwórek.

I wszystko, wszystko, wszystko zaczyna się walić. A nad stertami kamieni, nad żelaznymi belkami, pomiędzy zburzonymi mostami i estakadami, jak między żebrami gigantycznego stwora, wyrasta nowy las. Nie liczy strat. Przychodzi, żeby zwyciężyć.

I o dziwo, Molly ta perspektywa zupełnie nie przerażała.



Rano obudziła się świeża i wypoczęta. Wskoczyła z łóżka, zanim jeszcze Fanny zaczęła walić do drzwi. I nawet zwykłe marudzenie Williama przy śniadaniu, jego zaczepki i przedrzeźnianie nie mogły zepsuć jej humoru. Myślała o magii, ale już bez wcześniejszego strachu. I nawet okoliczności spotkań z Departamentem Specjalnym nie budziły w niej paniki.

Być może był to dobroczynny wpływ Di. Schodząc na dół za Molly, kotka podrapała łapką zamknięte drzwi od piwnicy. Fanny zmarszczyła brwi, ale Diana cicho miauknęła, otarła się o jej nogi, zajrzała w oczy i służąca, mamrocząc coś pod nosem już bez złości, uchyliła drzwi. Di pomknęła w dół jak błyskawica i równie szybko wróciła, ciągnąc za kark uduszonego szczura.

Mama krzyknęła, ale nie tak głośno jak dzień wcześniej. Molly zerwała się z miejsca i otworzyła drzwi kuchenne: Diana potruchtowała na dwór i szybko wróciła, już bez szczura. Miauknęła skromnie i równie skromnie odeszła w kąt, gdzie zaczęła wylizywać postawioną dla niej miskę.

– Ale z niej łowca, pani Anno! – powiedziała z zadowoleniem Fanny.

Mama słabo skinęła głową, ale na Di patrzyła już bez wrogości. Mały William z okrzykiem: „Kotek!” rzucił się, żeby złapać Dianę na ręce, lecz kotka wywinęła się zręcznie i uciekła.

– Nie ruszaj – strofowała go mama. – Kotka musi przywyknąć. Poczekaj, aż sama do ciebie przyjdzie.

– Ale ja chcęęcęcęc! Teeraaaz!

– Chcę, chcę... Będziesz musiał wytrzymać – odparła spokojnie mama. – Poza tym, drogi Williamie, masz całe policzki w kaszy. Proszę się szybko umyć!

Molly patrzyła na mamę, brata, Fanny i Dianę i było jej dobrze – tak dobrze, jak nie było od bardzo, bardzo dawna, od tego pamiętnego dnia, w którym zniknęła

Jenny Fitzpatrick i w duszy Molly zamieszkał strach.

Czas płynął, do Gwiazdki zostały tylko dwa dni, zaczęły się upragnione ferie zimowe i Molly była w świetnym humorze. Jak na zamówienie poprawiła się też pogoda. Wszędzie rozwieszono światełka, stały ubrane choinki, nad kominkami wisały nieodzowne skarpety na prezenty, a drzwi zdobiły wieńce z jemioly lub świerkowych gałęzi i czerwono-białych listków gwiazdy betlejemskiej. Jednym słowem, pojawiło się to wszystko, od czego przed Bożym Narodzeniem człowiekowi robi się cieplej na sercu. W tym bajkowym klimacie Molly zdążyła całkiem zapomnieć o swoich niedawnych lękach.

Dzień zaczął się przyjemnie i wszystko było wspaniale, aż do chwili, w której Molly musiała wyjść na chwilę z domu – mama wysłała ją po jakiś drobiazg do zieleniaka. Dziewczynka nie zdążyła przejść dwudziestu jardów, gdy natknęła się na własną twarz. A w każdym razie podobną. Na okrągłym słupie ogłoszeniowym widniał nowy, świeżo naklejony plakat Departamentu Specjalnego. Z wielkiego zdjęcia patrzyła na nią dziewczynka w hełmie maszynisty i nasuniętych na oczy okrągłych okularach. Odślonięta dolna część twarzy odlegle przypominała Molly, zwłaszcza broda z dołeczkiem, choć poza tym ciężko byłoby ją rozpoznać.

„Poszukiwana” – głosił plakat. „Wiedźma”.

Właśnie tak. Wiedźma.

„Groźny poziom magii... Konieczna natychmiastowa izolacja i relokacja... Poddani Jej Wysokości, dysponujący jakimikolwiek wiadomościami o wiedźmie, mają obowiązek natychmiast powiadomić Departament Specjalny”.

Czyli wszystko jak zwykle. Widziała już takie plakaty i ulotki, tylko wtedy były na nich zupełnie inne twarze. I bez okularów. No to kiepsko z wami, drodzy kontrolujący, pomyślała nagle Molly ze złośliwą radością. Nie znajdziecie mnie, nie znajdziecie! Naklejajcie sobie swoje plakaty, ile chcecie. Takie okulary mają wszyscy, hełmy też nie są rzadkością, bo ojcowie wielu dzieci są górskimi strzelcami, jegrami albo pracują w załogach pociągów.

Szukajcie. Naklejajcie. Nigdy mnie nie znajdziecie.

I dopiero wtedy zauważyła lokomobilę Departamentu i trzech mężczyzn w kaskach, stukających do drzwi domu na Pleasant Street 8. No jasne, przecież tam mieszka Allison MacNayer, rówieśniczka Molly. Bawiły się razem, gdy były małe, dopóki Molly się to znudziło: ona lubiła niszczyciele, monitory i pociągi pancerne, a Allie – lalki, pluszaki i bajki o księżniczkach.

A więc Departament sprawdza wszystkie domy w okolicy, w której mnie

widziano...

Buńczuczność Molly skurczyła się i znikła. Został strach. Poprzedni lodowaty strach. Departament już tutaj jest. No tak, przecież nie są tępymi łajdakami z książek. Przeszukają wszystko. Nie pominą nawet jednej szczeliny. Nogi się pod nią uginały, straciła dech, w skroniach huczało, pociemniało w oczach. Uciec! Schować się w domu pod kołdrą i niech to wszystko okaże się złym snem! Niech tata, wielki i silny, jakoś to załatwi! On może wszystko!

Lecz mimo przerażenia i bryły lodu w brzuchu Molly nie zwolniła kroku i nie rzuciła się do ucieczki. Niespiesznie weszła w uliczkę między domami, od razu znajdując się na tyłach własnego domu. Zaraz tu będą, myślała gorączkowo. Poznają? Nie poznają? Lepiej będzie poczekać, zobaczyć, co się stanie, jeśli przyjdą do domu. A może nie?

Na podwórku Molly wspięła się po obtłuczonym ceglanym murze tam, gdzie biegły gazowe rury. Przeczółgała się po wąskim wierzchu i przyczaiła, osłonięta górną częścią prostopadłej ściany. Stąd widziała, co dzieje się w kuchni i w salonie.

Mama i Fanny nadal były w domu. Molly czekała. W jej piersi tłukło się serce, twarz płonęła, żołądek ścisnął się mocno. Co to? Czyżby weszli? Tak jest. Weszli do salonu, nie zdejmując błyszczących kasków z plumażami. I mają przy sobie trójnog z kamerą. Mama coś im tłumaczy. Plecy ma wyprostowane, ręce trzyma przed piersią, nie to co Molly, która nigdy nie wie, co z nimi zrobić...

Podają mamie jakiś papier... Molly zmrużyła oczy. Rany, to ten sam plakat! Mama patrzy i kręci głową, jeszcze raz i znowu. Jeden z kontrolerów stawia na podłodze trójnog z kamerą, będą chcieli sprawdzać... Mama dumnie unosi głowę – Molly zna ten gest: „Fu, co za pomysł!” – i z miną urażonej godności siada przed obiektywem. Jeden ze sprawdzających kręci korbką, zamiera na chwilę... i kiwa głową. Mama wstaje, dumnie prostuje ramiona. I Molly jest przekonana, że jej twarz ma wyraz zarezerwowany wyłącznie dla prawdziwych dam: „A nie mówiłam!” – od niego bledną i tracą rezon nawet zahartowani nordjorscy konstable.

Prowadzą Williama. Chłopiec jest wystraszony, przytula się do Jessiki. Wszystkich, nie wyłączając Fanny, sadzają przed kamerą... i puszczają. Został już tylko tata, ale teraz jest poza domem.

A przecież Molly już prawie zdołała sobie wmówić, że żadnej magii w niej nie ma i być nie może! Lokomobila konstabla zepsuła się sama z siebie, kotce Di udało się w ostatniej chwili uskoczyć spod kół, a lokomobila Departamentu po prostu najechała na wystający z bruku kamień. No to czego się bała? Czemu dobrze

wychowana panienka, córka szanowanego doktora Johna Caspera Blackwatera, siedzi wysoko mimo zimna i wiatru, zamiast zejść stąd i wrócić do domu, sięść przed kamerą – dumnie, jak mama, z miną urażonej godności, raz na zawsze zawstydzając Departament Specjalny?

Bo oni są przekonani, że mają do czynienia z wiedźmą. Czemu? Z jakiej racji? Tak po prostu? A może jednak nie? Ale przecież, żeby nie wiadomo jak się chowała, przyjdą znowu. I jeszcze raz, do skutku. Albo zostawią wezwanie z poleceniem, by stawiała się w Departamencie osobiście. Co wtedy zrobią rodzice? Molly nie wiedziała i nie miała się kogo poradzić. Nawet Billy przepadł jak kamień w wodę, nie miała od niego żadnych wiadomości. Tak... Departament Specjalny chyba da sobie spokój. Tak jest, zabierają trójnog, wychodzą... Poszli.

Molly szybko ześliznęła się na dół i z uliczki świetnie widziała, jak trzech mężczyzn w błyszczących kaskach z czarno-biało-czerwonymi plumażami załadowało do lokomobili swój trójnog i odjechało. Dziewczynka odprowadzała ich wzrokiem i dopiero kiedy skręcili w Azalia Street, wpadła do domu. Di podbiegła do niej, miauczając alarmująco.

– Panno Molly! – Twarz mamy była biała z przerażenia. – Panienko... Molly, moja kochana, co tu się dzieje? Czemu nachodzą nas panowie z Departamentu Specjalnego? I szukają... szukają... – głos mamy załamał się nagle – dziewczynki, która... na ulicy...

– Mamo, o czym mama mówi? – Molly zdołała powiedzieć to ze zdumieniem i lekceważeniem zarazem, chociaż wszystko trzęsło się w niej ze strachu, a nogi ledwo ją trzymały. – Mało to dziewczynek? Widziałam, jak przed chwilą wchodzili do domu Allison...

– Ale oni nie szukają zwykłej dziewczynki, szukają takiej, która... – Mama z przerażenia zasłoniła twarz rękami. – Szukają takiej, która wzięła kotkę, białą kotkę z ulicy! Jak twoja Diana!

Molly poczuła, jakby ktoś z całej siły walnął ją w pierś. Kotka. No tak, kotka. Wielka, piękna, puszysta – i zwracająca uwagę.

– Spytał, czy nie przynosiłaś ostatnio kota... – mówiła dalej mama. – Na całe szczęście Di się schowała, jakby wiedziała, a miskę wcześniej sprzątnęłaś. Odpowiedziałam, że nigdy nie było u nas żadnych kotów...

– A ja potwierdziłam – dodała ponuro Fanny. – Jak żyjemy, nie mieliśmy tu żadnych kotów, możecie spytać sąsiadów, pani Anna nie znosi kotów.

– Mówili – jęczała dalej mama, łamiąc ręce – że szukają wie...

– Wiedźmy – dokończyła ponuro Molly. – Tak, nawet plakaty rozwiesili. Poszukiwana...

– Molly... Czy to ty...? – wyszeptała mama i aż się zachwiała.

Molly podbiegła do niej, złapała ją pod rękę. We dwie z Fanny podprowadziły ją do fotela.

– Mój neseserek... – Mama odchyliła głowę, przyciskając do czoła wierzch dłoni. – Tam są sole trzeźwiące...

Z kuchni wróciła Fanny, również blada jak śmierć.

– Panienko Molly, co się dzieje? I pana Johna jak na złość nie ma...

– Wszystko. Będzie. Dobrze – powiedziała twardo Molly, podsuwając mamie pod nos flakonik z solami. – To tylko nieporozumienie. Wszystko się wyjaśni.

– Zostawili dokument. – Mama z trudem poruszała wargami. – Mamy przyjść jutro, z tobą... Na kontrolę na obecność magii.

– No to pójdziemy. – Molly wzruszyła ramionami, zbierając w sobie całą dzielność. A co innego mogła powiedzieć? – Sprawdź mnie i wypuszczą. Jak zawsze.

– Naprawdę? – Mama po dziecięcemu złapała Molly za rękę, z nadzieją zajrzała jej w oczy. Jakby to ona, a nie Molly, miała dwanaście lat.

– No pewnie, mamó. Niech się mama nie denerwuje, wszystko będzie dobrze. Mogę pójść do siebie?

– Idź... panienko...

Fanny się zakrzętnęła.

– Proszę pozwolić, że pomogę, pani Anno... Powinna się pani położyć.

Molly na palcach weszła do siebie. Dobrze chociaż, że William jest zajęty z guwernantką i chyba niczego nie podejrzewa. Sprawdzili go, przygoda już się skończyła i można wracać do zabawek, parowozów i pociągów pancernych.

A przecież będą ich znowu sprawdzać, pomyślała Molly. I relokują, jeśli ja... jeśli ze mną... jeśli okażą się...

Uciekać, wpadło jej nagle do głowy. Uciekać, dokądkolwiek, żeby tylko ich nie ruszyli. Była sobie taka Mollynaird Evergreen Blackwater, a teraz nie ma. Nie ma – to nie ma, jak mawiał Sammy. Mamę i brata już sprawdzili, w nich nie znaleźli magii. Nie ruszą ich. No pewnie, że nie ruszą. Jeśli Molly zniknie, z nimi wszystko będzie porządku.



Zniknie? Jak zniknie? Po co? Przecież bardzo możliwe, że ona wcale... Aha, na pewno. Departament nie ma wątpliwości, że jesteś wiedźmą. I wiedzą o kotce. A to znaczy, że Di musi zniknąć razem ze mną. Zniknąć. A ja, Molly, jak prawdziwa dama, muszę mieć pewność, że z rodzicami, bratem, Fanny i Jessicą wszystko będzie w porządku. To znaczy, że trzeba uciekać.

Ale jak uciekać? Dokąd, do kogo? Teraz, zimą? I gdzie ona będzie mieszkać? Skąd weźmie jedzenie? Pytania skakały jej po głowie niczym piłeczki tenisowe. No tak, nie ma dokąd uciekać... Ale... Zostało jeszcze jedno wyjście. Nie najlepsze, ale jednak. Jeśli nie ma w niej żadnej magii, wtedy wróci. Potem, kiedyś. Gdy zyska zupełną pewność.

A jeśli magia jest... No cóż, wtedy dopadnie tylko ją, Molly, w głuchym lesie, gdzie nikomu nie wyrządzi już krzywdy. Zapięły ją oczy.

Molly zdecydowanym ruchem wyciągnęła spod łóżka skautowski plecak z grubej brązowej skóry, z licznymi przegródkami i kieszeniami. Już wiedziała, co robić. W końcu nie na darmo przyjaźniła się z Sammym i podtrzymywała znajomość z Billym – nie była jakąś tam porcelanową laleczką, jak Allison.

Ciepłe spodnie, rajtuzy, jeszcze jedno. Fufajka. Sweter. Szal. Maski. Zapasowe okulary. Zapalniczka. Scyzoryk, przedmiot wielkiej zazdrości małego Williama. Paski. Kask z ciepłą podkładką. Maść na mróz. Rękawiczki. Jeszcze jedno, grube, z jednym palcem. Kompas. I książeczka z mapami topograficznymi.

Molly pakowała się gorączkowo. Musi uciekać, uciekać. Niech sobie potem przychodzą. Dziewczynka? Jaka dziewczynka? Nie ma żadnej dziewczynki. Szukajcie, ile chcecie. Obserwujcie dom. Sprawdzajcie.

Skarpety, grube i cienkie, wełniane golfy. Ciepłe buty na suwak. Świnka skarbonka z dziurką w brzuchu, zamkniętą okrągłym korkiem; Molly żał było rozbić śmiesznego glinianego prosiaczka. Monety, kilka banknotów, uzbierane przez ostatni rok na duży model drednota „Orion”, z prawdziwą parową maszyną w środku. Kurtka. Dobrze, gdzie teraz są wszyscy? Aha, w sypialni mamy...

Molly jak cień ześliznęła się na dół po schodach. Salon, kuchnia, tylne drzwi. Dobrze nasmarowane zawiasy nie skrzypnęły. Di, gdzie jest Di? Gdzie kotka? Pod jej nogami rozległo się gniewne „Miau!” – „Niby gdzie mam być, jak nie tutaj?”. Uderzenie wiatru w twarz. Uciekaj, Molly, uciekaj! Molly odetchnęła głęboko. I pobięła.

Szybko, szybko, uliczką na tyłach, mijając cudze drzwi i sterty śmieci, mijając szczury, które uskakiwały w różne strony na widok bezszelestnej Di. Szybko, przez Azalia Street, po której biegły szyny parowozu, osiem kwartałów w dół, tam gdzie

mieszkali Billy i Sam.

To była inna droga, dziś Molly nie odważyła się iść estakadą dla pospiesznych parowozów. Kto wie, może Departament już ją obstawiał... Spieszyła się. Uciec jak najdalej, zgubić się w labiryntach dolnego Nord Jorku, pociętego estakadami i tunelami. Uciec jak najdalej, póki nie podniosą alarmu. Wytrzyma. Da radę. Di nie odstępowała jej na krok.

Krótki zimowy dzień kończył się i nad Nord Jork nasuwała się ciemność. Dobrze, że po niedawnych śnieżycach panowała teraz typowo grudniowa pogoda, bez silnych mrozów i zamieci. Molly przeczytała jednak wystarczająco dużo książek o podróżach i podróżnikach, żeby wiedzieć, że długo na tym zimnie nie wytrzyma. Musi znaleźć jakieś schronienie na noc. Skręcając po raz kolejny w zaułek z kubłami śmieci, gdzie nie paliły się gazowe latarnie, Molly zastygła nagle, przywierając do ściany. Z ulicy, po której biegły tory miejskiego parowozu, weszła tu za nią jakaś postać. Weszła i zatrzymała się, rozkładając szeroko ręce. Kotka przytuliła się do nóg Molly.

– Dziewczynka – powiedział niski, mocny głos z dziwnym akcentem.

Hej, przecież tak samo mówił tamten chłopak, Rooskie, który spadł z drabiny, gdy ona ratowała Dianę! Suchy trzask, jakby rozdarło plastikowy worek, i obok Molly zapłonął płomyk, ciepły, żółty, jak od świeczki. Popłynął w powietrzu, zamarł, wydobywając z ciemności twarz chłopca, jego słomiane włosy, zmrużone oczy. Teraz nie wydawał się już taki usłużny i pokorny.

– Chodźmy, dziewczynka – powiedział po prostu. – Chodźmy, *kołdunja*[8].

Ostatniego słowa Molly nie zrozumiała.

– Kim jesteś?

– Wsiesław moje imię. My nazywacie mój naród Rooskies.

W języku Molly mówił znośnie, chociaż z silnym akcentem, pomijając rodzajniki i nadużywając bezokolicznika.

– Czemu za mną idziesz?

– Bo na ciebie polują. Taka *wółszebnica*[9] jak ty... Oni się ciebie boją.

– Jacy oni? Co to znaczy *wółszsz*... Jak mnie nazwałeś?

– Wiedźma.

– Nie jestem wiedźmą! – zaprotestowała gwałtownie Molly.

– To dlaczego uciekasz? Jeśli ty uciekasz, ja może pomóc.

– Nie twoja sprawa, Rooskie!

– Ja ci już raz pomóc – mówił spokojnie chłopiec, znęcając się nad gramatyką. – Koszka[10]. Pamiętasz? Kot!

– Spadłeś wtedy specjalnie?!

– Pewnie! Inaczej by cię złapali, *wolszebnica*, a ty jeszcze nie gotów.

– Do czego?

– Używać magię.

– Skąd wiesz o magii?

– Ja dużo wie. Patrz ogień.

Płomień świecy popłynął od chłopca o imieniu Wsiesław do Molly i wrócił. To nie był lampion czy latarnia, lecz kołyszący się strzęp ognia. Chłopiec ujął go w dłoń, jak Prometeusz na obrazku w jednej z książek Molly.

– Nie parzy cię? – spytała głupio Molly, wpatrzona w płomyk.

– Jeśli ty uciekać – powtórzył mocniej chłopak – ja pomagać.

– Niepotrzebna mi żadna pomoc! – Molly jeszcze mocniej przywarła do ściany.

Wsiesław westchnął.

– Oni złapać cię jutro. Psy. Ślad.

– Jutro już mnie tutaj nie będzie.

– Zgubić ślad – powtórzył uparcie chłopiec. – Ja pomagać!

Płomyk tańczył na jego dłoni, oświetlając twarz, która teraz wyglądała znacznie doroślej.

– Ty wiedźma – powiedział bez cienia wątpliwości – wziąć ogień. Świeć.

I podszedł do niej.

– Mrr... – zamruczała przyjaźnie Di. Nie zjeżyła się, nie prychnęła...

– Twój kot znać magię – powiedział poważnie Wsiesław. – Ogień.

Podsunał do Molly otwartą dłoń, na której trzepotał języczek żółtawego płomienia.

– Nie bać się. Wziąć ogień!

Molly oblizwała wyschnięte wargi. I ostrożnie, bardzo ostrożnie otworzyła zaciśniętą pięść.

Ale chłopak pokręcił głową.

– Warieżka[11]. Zdjąć!

Pierwszego słowa Molly nie zrozumiała, ale i tak było jasne, czego on chce. Zębami ściągnęła rękawiczkę, wysunęła drżącą rękę.

– Blżej – powiedział władczo Wsiesław. – Nie bać się.

Od płomyka płynęło przyjemne ciepło, a nie parzący żar.

Molly odruchowo zerknęła na otwartą dłoń chłopca.

Ciemna, pokryta odciskami. Dwie białe blizny u podstawy kciuka. I jeszcze jedna, głęboka, przecinająca opuszkę palca serdecznego.

– Blisko – powiedział i sam przysunął dłoń. I przechylił lekko, jakby przelewał coś albo przekładał żuczka.

Strzęp płomienia posłusznie przeniósł się na dłoń Molly. Dziewczynka krzyknęła cicho. Poczowała lekkie łaskotanie i ciepło. Płomyk zachwiał się, szarpnął, strzelił w górę kilkoma iskrami, jakby w kominku runęły nadpalone drwa, i zrobił się dwa razy większy.

Chłopiec się uśmiechnął.

– Jest twoja magia... Niewiedźma nie może. Teraz idź.

– Dokąd? – stropiła się Molly. Nie miała chęci wypuszczać z dłoni żółtawego płomyczka. I przestała się bać.

– Uciekać z miasta?

– Tak.

– Pomogę. Zacisnąć *kułak*!

– *Kułak*? – nie zrozumiała Molly.

Wsiesław zacisnął pieść.

– Aha, *kułak*! – Posłusznie ścisnęła palce. Płomyk od razu przygasł, ale nie zgasł, a jakby zasnął, przytulnie usadowiony w dłoni Molly.

– Idź. Ja za tobą. Mój czas tutaj się kończy.

I Molly poszła. Rooskie podążał za nią, obok nich biegła Di. Molly czuła, jakby świat się zmienił, rzeczywistość topniała i odpływała jak śnieg na wiosnę. Idę z chłopcem o imieniu Wsiesław – język sobie można połamać! – razem z nim uciekam z Nord Jorku... Chłopiec najwyraźniej znał labirynty Dolnego Miasta nie gorzej od niej.

– Na dół. – Zatrzymał się nagle przy stalowej klapie. – Zgubić trop. Pies nie znaleźć.

– Jak to, tam? – spytała przerażona Molly.

– Tam – potwierdził chłopak. Wsunął rękę za pazuchę, wyjął jakiś woreczek, rozwiązał tasiemkę, rozsypał zawartość wokół żelaznej klapy. – Teraz w dół.

Na dole strasznie cuchnęło. I były szczury. Di, wyraźnie ożywiona, od razu skoczyła w pierwszą boczną odnogę tunelu. Szelest, pisk, chrzęst i wkrótce potem kot popędził za Molly i Wsiesławem, oblizując się z zadowoleniem. Szli wąskim gzymsem po płynącym wolno w zagłębieniu strumieniu nieczystości. Molly starała się tam nie patrzeć, nos zacisnęła palcami i oddychała przez usta. Dobrze, że miała okulary i nie szczypało w oczy. Szli długo, nie tracąc orientacji: na rozwidleniach i skrzyżowaniach wymalowano strzałki z nazwami ulicy, pod którymi biegły kanały. Wkrótce dotarli na przedmieścia Nord Jorku.

– Dokąd chcesz iść?

Molly się zawahała. Ma mu powiedzieć? Przecież został wzięty do niewoli przez jęgrów.

– Chciałam zaciągnąć się jako junga na pociąg pancerny...

Nie wiedziała, czy on zrozumie słowa „pociąg pancerny”, a jeśli nawet – to jak przyjmie to oświadczenie, ale Wsiesław jedynie skinął głową.

– Tak. Dobrze. Jest słusznie.

– A ty?

– Spotkać się w lesie.

– Ty spotkasz mnie? W lesie?

– Nie mogę pociąg pancerny. – Wsiesław z żalem rozłożył ręce i nagle mrugnął zawadiacko do Molly. – Złapać ja. Nie, złapać mnie, słusznie?

– Złapią mnie – poprawiła Molly. – Tak, rozumiem...

– Znaleźć cię – powiedział z przekonaniem Wsiesław. – Ja cię znaleźć, *wołszebnica*...

– Dobrze – szepnęła Molly. Z jakiegoś powodu wierzyła, że tak będzie.

– Ty iść teraz. – Chłopiec lekko pchnął Molly w plecy. – W górę. Tam... szukać pociąg-pancerz.

Skinęła głową. Chłopak wskazał żelazne kłamry schodów, kończące się przy klapie wjazdu.

– Iść! Szybko!

Kotka wskoczyła Molly na ramiona i położyła się tam, tworząc kołnierz. Kłamry ruszały się, chyba dawno nikt z nich nie korzystał. Kłapa wjazdu podniosła się po

dłuższej chwili. Powiało zimnym, czystym powietrzem i Molly obejrzała się ostatni raz: Wsiesław znowu zapalił płomyk na dłoni, uśmiechnął się zagadkowo i poszedł, niknąc w ciemności.



Molly odsunęła ciężką, zardzewiałą klapę i wydostała się na zewnątrz. Noc przed Bożym Narodzeniem jarzyła się światłami, wszędzie paliły się gazowe latarnie i pachniało przyjemnie tym, czym powinno pachnieć w warsztatach kolejowych: smarem, impregnatem do podkładów, paleniskami, dymem parowozowym i tak dalej. Di zwinnie zeskoczyła na ziemię, miauknęła i pobiegła przodem, do otwartej bramy wysokiego hangaru, gdzie stał oświetlony potężny „Herkules”.

Molly szła, nie kryjąc się, jakby prowadzona instynktem. Cała jej postać mówiła, że ma pełne prawo tutaj być i zadawanie jej jakichkolwiek pytań to tylko strata czasu. Ma prawo i koniec. Nie było to proste, ale czasem chłopakom z Nord Jorku udawało się dostać na okręty floty Jej Wysokości albo na pociągi pancerne, które w sumie były tym samym, czym okręty, tylko na lądzie. Ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, zostawali jungami – przyjmowano ich do załogi. Wiadomo, że nie była to powszechna praktyka, ważyło się na to niewielu. Zdarzało się, że ochotników odsyłano do domów albo przytułków, ale niektórzy mieli szczęście.

Oczywiście tacy szczęściarze byli bardzo nieliczni i więcej szans mieli chłopcy. Na niszczyciele, krążowniki czy monitory dziewczyn nie brano w ogóle, wiadoma rzecz, marynarze Jej Wysokości to ludzie bardzo przesądni. Jednak na lądzie, gdzie oficjalnie walczył Kobięcy Korpus Pomocniczy, dziewczyny miały jakieś szanse, ale tu już Molly potrzebowała odpowiedniej historii...

Warsztaty działały na trzy pełne zmiany, dzień i noc. „Herkules” był oczywiście chroniony, ale tylko pro forma, przecież Rooskies nie atakowali Nord Jorku. Na przedmieściach nie było kamiennych osłon dla dział i mitraliez, nikt nie myślał o rozciąganiu drutów kolczastych czy budowaniu umocnień. Wojna toczyła się daleko w górach, nordjorskie przedmieścia, nie mówiąc już o centrum, były bezpieczne.

„Herkules” stał w hangarze, pod szynami był dół, z góry spuszczano drabinki do wieżyczek dział. Dźwigi unosiły skrzynie z pociskami, oddzielnie układano pociski prochowe. Przez otwarte luki w pancernych ścianach mechanicy ciągnęli szlauchy parociągów. Huk, trzask, odgłos uderzeń parowych młotów, skrzypienie i zgrzyt ostrzy.

Molly szła z otwartymi ustami.

Pachnące smarem i prochem wnętrza „Herkulesa”, kłębowisko rur i przewodów, dźwigi, wentyle, zawory, cylindry i sprężyny. Ludzie dokądś spieszyli, zajęci swoimi sprawami, nikt nie zwracał uwagi na dziewczynkę w skórzanej kurtce i ciepłych spodniach, obok której biegła puszysta biała kotka.

Molly jakimś cudem wiedziała, co ma zrobić. O słowach chłopca – o tym, że jest wiedźmą, nie myślała. Płomyk był na jej dłoni i nic się nie stało, więc może jakoś to będzie? Może wszystko okaże się nie takie straszne? Molly nie miała teraz głowy do magii, wpatrywała się w „Herkulesa” szeroko otwartymi oczami, patrzyła na obrotowe wieżyczki i kopuły haubic, na stanowiska mitraliez, na sponsony[12] w burtach z lekkimi działami, na pancerne płyty, pomalowane w szaro-białe linie i wielokąty. Nigdy jeszcze nie była tak blisko prawdziwego pociągu pancernego. Z daleka widziała go nieraz, ale żeby tak, na wyciągnięcie ręki...

– John! Silver! – zawołał ktoś z lewej strony i Molly omal nie podskoczyła, zaskoczona.

W otworze owalnych pancernych drzwi stała kobieta, masywna i barczysta, ale wcale nie gruba czy sflaczała. W hangarze nie było gorąco, jednak rękawy miała podwinięte do łokci, dzięki czemu widać było ręce, muskularne, w bliznach, w niczym nieustępujące męskim. Wysmarowany kombinezon z moleskinu, takie jak u Molly wysokie buty, krótkie siwe włosy, ściągnięte rzemieniem na czole. Na przedramieniu, nad wałkiem zawiniętego rękawa, były naszywki: szeroki trójkąt, pod nim czteropromienna rozetka i szeroki prostokątny pas jeszcze niżej. Starszy bosman – pierwszy, po dowódcy i starszym oficerze, przełożony załogi. Twarz w średnim wieku, klasyczny nos, jak u gipsowych głów w gabinecie rysunku, brązowe, dobre oczy, chociaż głos ostry i gburowaty.

– Johnie Silverze, co tam się znowu dzieje w twoim kambuzie?! – krzyczała pani bosman. – Ja mam za ciebie odkręcać króćce? Komu nie działa piekarnik, może mnie?! Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie, następnym razem dostaniesz baty, osobiście ci wkropię!

– Tak jest, *ma'am*! Proszę o wybaczenie, *ma'am*! To się więcej nie powtórzy, *ma'am*!



Wzmiankowany John Silver, wielki i gruby, z czerwoną twarzą (jak przystało na szanującego się kuka), ubrany w poplamiony, miejscami nawet przepalony kombinezon, przebiegł obok, w jednej chwili znikając w trzewiach „Herkulesa”. A po chwili rozległ się stamtąd jego głos:

– Proszę o wybaczenie, *ma’am*, ale ci, jak ich tam, rurarze, zrobili swoje, o nic mnie nie pytając! Teraz już się nie precisnę do króćców, teraz nity trzeba by ścinać!

Na twarzy pani bosman odbiło się wszystko, co myśli o Johnie Silverze, nieznanym Molly „rurarzach” i w ogóle wszystkich, których ona, z ich dwiema lewymi łapami, nie dopuściłaby do „Herkulesa” na odległość strzału z czternastocalówki. Ściągnęła brwi, zacięła usta i już miała splunąć, gdy jej wzrok padł na wpatrzoną w nią z niemym zachwytem Molly.

– Postaraj no się, Silver, brzuch wciągnij i wszystko będzie dobrze! Widzę, żeś się tu u mnie spał za bardzo?! Taak, a co to znowu za zjawisko? – Popatrzyła na Molly, zmarszczyła brwi. – Co to z ptaszek mi tu lata przy moim pociągu?

– Za pozwoleniem, *ma’am*, mam na imię Maggie! – zameldowała Molly, znów używając imienia siostry Sama.

– Maggie? – Pani bosman podparła się pod boki. – I co ty tu robisz w nocy, Maggie?

– *Ma’am*, proszę o wybaczenie... Chciałabym zostać jungą!

Pani bosman prychnęła głośno.

– Jungą! A to dobre! Staje przede mną sikorka i oświadcza, że chce zostać jungą! I jeszcze kota ze sobą przyprowadza! Przysięgam na swoją mitralieżę, dawno się tak nie śmiałam!

– *Ma’am*! – dobiegł znów z „Herkulesa” głos Johna Silvera. – *Ma’am*, melduję, że nijak się tam precisnąć! W życiu tam już nie wleżę i nikt nie wlezie, *ma’am*! Trzeba rury zbijać! Naklepali bez sensu, *ma’am*, sami powinni łomot dostać!

– Już ty mnie nie ucz, Johnie Silverze! – huknęła pani bosman. – Już ja sama, bez ciebie, zdecyduję, kto ma oberwać, a kto nie!

– Ja... – zaczęła Molly, ale od razu jej przerwano.

– Jak się zwracasz do starszego stopniem?! O dyscyplinie pojęcia nie ma, a jeszcze jungą chce zostać! Laleczka!

– Proszę o wybaczenie, *ma’am*! – wypaliła Molly. – Melduję, że nie jestem laleczką, tylko...

Pani bosman znów jej przerwała, mrużąc oczy.

– Dużo się tutaj takich kręci, jedni chcieliby przygód na własnym tyłku spróbować, inni zarobić parę szylingów... Mówisz, że nie jesteś laleczką? A wiesz ty, że junga nie tylko je i śpi, a jeszcze musi coś umieć? A ty, sikorko, pewnie nawet nakrętki od podkładki nie odróżnisz? Nie mówiąc już o kluczu czołowym i fajkowym!

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że odróżniam! Podkładka jest płaska, umieszcza się ją pod nakrętką albo pod śrubą i potrzebna jest, żeby więcej było powierzchni oporowej! Wtedy można dokręcić mocniej i nakrętka nie będzie tak odchodzić. A nakrętka...

– Hmm... Dobrze, zgadza się. Mówisz dobrze, ale i tak nie chce mi się wierzyć, że dasz radę, sikorko. Zresztą, zobaczymy. Hej, Silver! Co tam u ciebie?

– Melduję, *ma'am*, na razie nic! Przepraszam, *ma'am*, ale nijak się tam nawet ręki wcisnąć nie daje!

– Ech ty, grubasie nieporadny! – Pani bosman skrzywiła się z irytacją. – No, zobaczymy, sikorko. Mówić dobrze mówisz, a trzymałaś ty kiedy klucz maszynowy w rękach?

– No pew... Och, proszę o wybaczenie, *ma'am*! – wypaliła Molly. – Melduję posłusznie, że tak, klucz maszynowy w rękach trzymałam.

Podróżując z tatą jego drezyną, chcąc nie chcąc, nauczyła się wielu rzeczy, zwłaszcza że zawsze bardzo starała się pomóc.

– Hm. Skoro tak, to zaraz cię wypróbujemy!

O rany, jak to zaraz?! Molly nie spodziewała się, że to się stanie tak szybko... Ale skoro chciała być jungą, teraz musi sobie poradzić. Żeby tylko nie pomyliła wszystkiego ze strachu, to nie klasówka w szkole, tu szans na poprawę nie będzie... Odetchnęła głęboko, weszła na wąski trap, chwyciła zimne poręcze. Diana za nią, kotka wyraźnie się nie bała.

– Hm! No, sikorko, włącz na pokład. A to cudo puchate dokąd? – zmarszczyła się znowu pani bosman.

Działać należało szybko.

– *Ma'am*, melduję posłusznie, że to moja kotka! Łowca zawołany, wszystkie szcury na „Herkulesie” wydusi! Ona je raz, za kark, i po krzyku!

– Zaraz tam wszystkie... – nie uwierzyła pani bosman, ale nie protestowała, a Diana w jednej chwili wbiegła po schodkach.

– Dziękuję, *ma'am*! – zatrajkotała Molly.

– Hm! No, zobaczymy. Wejdziesz no wreszcie, sikorko, ile razy mam ci powtarzać! Nieprzytomna ze szczęścia Molly wskoczyła prosto w otwarte drzwi.

Twarde wysokie obramowanie. Półmrok, wąsko i ciasno, żelazne dziurkowane siedzenia z rzemieniami. Ściany pokrywa, jak skóra nieznanego zwierza, płatanina rur, wąskich i grubych, błyszczących, miedzianych i pokrytych białą termoizolacją. Krany, wentyle, pokrętła, pokrętka...

– Tu, sikorko!

Znowu pancerne drzwi, za nimi kambuz. Jak grubemu kukowi udawało się tu poruszać, Molly nie wiedziała. W tej chwili jego nogi, w butach z brudnymi onucami, wystawały dziwnie wygięte ze stalowej skrzyni z drzwiczkami, pewnie wspomnianego piekarnika.

– Wyłaż, Silver! Wyłaż, mówię ci!

– Tak jest, *ma'am*, wychodzę! – dobiegł zduszony głos z wnętrza aparatu.

Urządzenie było oplątane rurami, tak samo jak wnętrzności Herkulesa. Nogi Johna Silvera poruszyły się, zamachały.

– Co tam z tobą, utknąłeś? – zapytała ponuro pani bosman.

– Melduję posłusznie, że nie, *ma'am*! – Silverowi udało się wydostać i teraz z otwartymi ustami gapił się na Molly.

– Zmiennika ci sprowadziłam – rzuciła niedbale pani bosman. – No, sikorko, posłuchaj. Trzeba wcisnąć się w tę szczelinę, tam będzie biegła rura, dwa i dwie piąte cala. Między nią a podłogą idą trzy króćce, trzeba na nich zawory odkręcić. Trzymaj klucz! To nastawny, widzisz? Umiesz się takim posługiwać?

– Melduję, że tak, *ma'am*!

– No, to ładuj się tam, sikorko.

– Mrau!

– A tobie czego trzeba, sierściuchu? O swoją panią się boisz?

– Mrr! – Skok, pisk i od razu cisza.

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że złapała szczura!

– Widzę przecież, Silver, że nie królika. No, jeśli mi tego szczura położy pod nogą... Hm, mądry kot, do hangaru zaniósł...

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że ma na imię Diana! I świetnie łapie szczury!

– Już mówiłaś, sikorko! Starczy tego gadania, włącz do środka! Potem będziesz

wychwalać swojego kota!

– Tak jest, *ma'am*!

Wsunąć się do szczeliny nie było łatwo nawet szczupłej i zwinnej Molly. Ciemno zupełnie, króćce i wentyle musiała wymacać, klucz co i rusz chciał wypaść z palców, przy okazji zdzierając skórę na kostkach...

– Melduję, *ma'am*, że dziewczynka nie da rady, zakleпки trzeba by ściąć...

– Milcz, Silver, zobacz lepiej, dokąd to kocisko poszło ze szczurem. Jeśli zacznie go żreć na moim progu, to słowo daję, że zarobi kopniaka...

– Tak jest, *ma'am*... – Perspektywa pilnowania kota wyraźnie nie uśmiechała się Silverowi.

– No i jak tam, sikorko?

Molly z całych sił pociągnęła klucz na siebie, ostatnia podkładka stawiała opór.

– Melduję... *ma'am*... że zaraz... Ała!

Podkładka przekręciła się nagle i pięść Molly uderzyła w stalową ściankę.

– Nie jójcz mi tu! – huknęła na nią pani bosman. – Co, rączkę podrapałaś? Takie rzeczy dzieją się tu bez przerwy! A mówiłaś, że chcesz na jungę!

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że wszystko w porządku! Zadanie... wykonane, *ma'am*!

– Hm. To wyłaź i zaworów nie zapomnij! Bo jeszcze tam zostawisz...

Molly stała przed panią bosman wyciągnięta jak struna. Obok siedział John Silver, który zameldował, że kot, *ma'am*, wyniósł szczura za bramę hangaru!

– Hm! No, poradziłaś sobie, sikorko. A oprócz kluczy i nakrętek co jeszcze umiesz? Może i na maszynach parowych się znasz?

– Melduję posłusznie, że tak, *ma'am*! Trochę się znam!

– Hm. A konkretnie na czym? Na przykład czym różni się suwak muszlowy od suwaka tłokowego? Tylko mi nie mów, że jeden jest w muszli, a drugi w tłoku!

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że tłokowy w odróżnieniu od muszlowego jest zrównoważony i ma dwa tłoki na wspólnym trzonie... – Molly zaczęła się rozkręcać.

John Silver i pani bosman wymienili znaczące spojrzenia.

– Hm... A powiedz no mi, sikorko... jakie rury są w kotle parowozowym szersze, płomieniówki czy płomienice?

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że płomienice!

– Hmm. A dlaczego, sikorko?

– Dlatego, *ma'am*, że płomieniówki służą tylko do tego, żeby dym wychodził, a w płomienicach są jeszcze rurki przegrzewacza pary, *ma'am*!

– Hm. A skądżeś ty do nas przyleciała, sikorko Maggie?

– Z... melduję posłusznie, *ma'am*, że z Nord Jorku!

– A gdzie są twoi rodzice, sikorko Maggie z Nord Jorku?

– Oni... oni... – Molly spuściła głowę, nie chciała kłamać.

– Na brudasa mi nie wyglądasz – mówiła tymczasem pani bosman. – Na żebraczkę tym bardziej, ubrania masz nowe, porządne i nietanie. – Nachyliła się nagle nad Molly, zajrzała jej w oczy, ale wyraz jej twarzy nie był surowy czy niezadowolony. – Przyznaj no się, uciekłaś?

Tego dziewczynka się nie spodziewała, przynajmniej nie tak szybko. Ale wyglądało na to, że pani bosman trzeba mówić prawdę.

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że tak, uciekłam. – Molly skinęła głową.

– Hm – powiedziała pani bosman, ale nadal bez gniewu czy złości. – Zuch, że nie kłamiesz, Maggie z Nord Jorku. I na maszynach się znasz, i twoja kotka ładnie szczury łapie. A co się tyczy rodziców... – Jej oczy zwęziły się nagle, spojrzenie było zimne i twarde. – Powiedz no mi uczciwie, czemu uciekłaś?

Molly westchnęła ciężko.

– Bili? Znęcali się nad tobą? – bardzo cicho i bardzo twardo spytała pani bosman, kładąc dłoń na ramieniu Molly. – Obrywałaś za nic i zawsze ty byłaś winna?

To już byłoby krzyżące kłamstwo. Ani mama, ani tata nigdy nie tknęli jej nawet palcem. Dostawała zakaz jedzenia słodczy, czasem była pół dnia o chlebie i wodzie albo cały wieczór ślęczała nad robótką za to, że źle trzymała ręce albo zwróciła się nie tak jak trzeba – ale nie bili. A w szkole Molly zawsze uczyła się dobrze i była na tyle sprytna, żeby tam nie zarobić różgi. Ale coś przyczajonego głęboko w oczach pani bosman, takiej silnej, barczystej i pewnej siebie, sprawiło, że dziewczynka bez słowa skinęła głową. Zapiekły ją oczy i po policzku spłynęło coś gorącego.

– Taak. – Pani bosman się odsunęła. – Wszystko jasne, sikorko. Pomówię z panem Reginaldem Cartwrightem, to starszy oficer „Herkulesa”. Na razie zostaw swój bagaż w moim przedziale. Znajdziemy miejsce i dla ciebie, i dla twojej kotki. Jak ona się nazywa?

– Melduję posłusznie, *ma'am*, że Diana, Di.

– Dobrze, dobrze, możesz już nie meldować się tak posłusznie, tylko przy wykonywaniu poleceń. Mam na imię Barbara, panna Barbara Walles, starszy bosman pociągu pancernego „Herkulesa”. Chodź, sikorko, pokażę ci, gdzie masz zostawić rzeczy. Ale pamiętaj, Maggie, że po swojej kotce, jak gdzieś nabrudzi, sprzątasz sama, od razu!

– Tak jest, *ma'am*!

Przedział starszego bosmana, wąski jak piórnik, mieścił się w wagonie pancernym dla składu osobowego. Wielki „Herkules”, jak wyjaśniła dziewczynce Barbara, mógł sobie pozwolić na to, żeby rozlokować załogę z pewnymi wygodami, w odróżnieniu od „Hektora”, gdzie nawet podwieszanych koi starczyło tylko na jedną trzecią załogi.

– Tu się możesz rozłożyć. – Barbara wskazała górną półkę, teraz złożoną i opartą o ścianę. – Posiedź na razie tutaj, nigdzie nie wychodź i pilnuj kota! Chociaż nie, możesz ją wypuścić, ze szczurami mamy tu dopust boski... A ja porozmawiam z panem Reginaldem. Siedź tutaj. Głodna nie jesteś? Masz tu suchary, konserwy, jedz, junga. Kogo nie ma, ten już pojadł.

– Dziękuję, *ma'am*!

Pani bosman westchnęła.

– Wystarczy „pani Walles”. Albo „panno Barbaro”. No, zostawiam cię!

Nasmarowane drzwi przesunęły się w lewo, panna Barbara klepnęła Molly po ramieniu i znikła.

– Mrr – podsumowała Diana i spojrzała pytająco na Molly: „Wszystko w porządku?”. – Mrr? – I zrobiła krok w stronę drzwi.

– No to idź... – westchnęła Molly, choć nie chciała zostawać teraz sama.

Kotka z ważną i niezależną miną wyśliznęła się za próg. Miała dużo odpowiedzialnej i potrzebnej pracy. No i smacznej, rzecz jasna. Molly miała tylko nadzieję, że Di nie rozwłóczy szczurów na środku pociągu. Wcisnęła się w kąt, zamknęła oczy i westchnęła.

Na razie wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Pani bosman nie zadawała pytań, które, zdaniem Molly, powinna zadać: a jeśli twoi rodzice pójdą na policję? Jeśli zgłoszą porwanie? A jeśli właśnie teraz wysłali list pocztą parową do Departamentu Specjalnego? Molly się skuliła. Żeby oderwać się od tych myśli, rozejrzała się po kajucie – choć w sumie nie było tu zbyt wiele do oglądania.

Koja i szarozielony wojskowy koc, kanty ostre jak nóż. Wieszak przy drzwiach, na nim szynel, kurtka i sztormiak. Drzwiczki obok, jakby od szafy ściiennej. Dużo wypolerowanych do blasku rur, wentyli i pokręteł, o, nawet jest osobny wlot i wylot poczty parowej! Coś w rodzaju maszynowego telegrafu, trzy rury do rozmowy; od razu widać, że mieszka tu nie jakiś tam majtek, a właśnie pani bosman...

Niewielka światłografia w ramce, Molly rozpoznała na niej „Herkulesa”, jego uroczyste wyjście z warsztatów. Kilka obrazków w niedrogich ramkach, znowu „Herkules”, lufy dział zadarte, dym, haubice prowadzą ogień. Las, drzewa zmiecione i potrzaskane, walają się białe szczapy, obok nich leżą nieruchome ciała. Molly zamrugnęła oczami. Futrzane czapki, *touloupes*, których nie da się z niczym pomylić... Zabici Rooskies. A przy nich żadnej broni. Ani karabinów, ani nawet typowych dla barbarzyńców mieczy czy włóczni. Leżą na śniegu ludzie i widać, że są martwi. Dlaczego? Z jakich powodów pani bosman trzymała tę światłografię w swojej kajucie?

Poza tym był jeszcze rozkładany stolik, twarde, obrotowy fotel, nad koją i pod nią wysuwane szuflady, jakby komoda. Dwa kubki na stole, finka z drewnianą rękojeścią. Pasy i raportówki na haczykach. Światłografii krewnych, rodziny czy dzieci Molly nie znalazła. W tym momencie za ścianą rozległy się kroki.

– Oto i ona, sir, Maggie z Nord Jorku, we własnej osobie. Zna się na technice parowej, wciśnie w każdą szczelinę i na dokładkę jest właścicielką kotki polującej na szczury.

Molly zeskoczyła z koi. Do kajuty wszedł wysoki oficer w oliwkowej bluzie, bryczesach w tym samym kolorze i wysokich butach z suwakami, podobnych do tych, które nosiła Molly. Na lewej piersi cały wybór baretek, na ramionach pagony komodora. Twarz pociągła, zapadnięte policzki, garbaty nos, oczy głębokie, ciemne, ostry podbródek. Można by się go przestraszyć, gdyby nie fakt, że Molly od razu poczuła wobec niego niezrozumiałą ufność.

– Taak – powiedział mężczyzna spokojnym, silnym głosem, wchodząc do przedziału i pochylając nad Molly. Za nim ostrożnie wsunęła się pani bosman. – Zobaczmy, kogo tym razem wyciągnęły twoje sieci, Barbaro.

– Panie Cartwright, a na co tu patrzeć! Sikorka jak sikorka, ale uparta i zna się na rzeczy. Ja ją rekomenduję.

– Czyżby? – Cartwright uniósł brwi. – Siadajcie, Barbaro, siadajcie, nie stójcie nade mną jak wyrzut sumienia. Jak powiadają Rooskies, w *tiesnotie*, *no nie w obidie*. Czyli siedzimy sobie na głowie, lecz w miłym towarzystwie. Panno

Maggie, proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że uciekłaś z domu? Wiesz zapewne, że lord dowódca wydał specjalny dekret, dopuszczający przyjmowanie nieletnich wyłącznie w przypadku potwierdzonego sieroctwa tychże oraz udokumentowanej odmowy udania się do innych dalszych krewnych?

Molly spaşowiała. W szkole była zwykle najlepszą uczennicą, znała odpowiedzi na wszystkie pytania i jeszcze znacznie więcej – a tu taka wpadka! Nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, czy istnieją jakieś dokumenty dotyczące jung... Co prawda, nie było czasu. Ale z pomocą pospieszyła jej pani bosman.

– Bito ją, panie Cartwright. Bez powodu i bardzo mocno. Uciekła, bo nie mogła już tego znieść.

– Ach, więc to tak – sposepniał komodor. – No, to oczywiście zmienia sytuację. Rózgi za przewinienia normalna rzecz, każdego tak w dzieciństwie wychowywano. Ale żeby coś podobnego... Panno Maggie... Margaret, mam rację? A nazwisko?

– Perkins, sir! – Molly poszła w zaparte, podając nazwisko siostry Sama.

– Perkins? – zareagowała ostro pani bosman. – Taki chudy rudzielec, z wąsami, jak u kara... Przepraszam, Maggie...

Molly poczuła chłód. Czyżby panna Barbara znała ojca Sama?

– Znęcali się nad nią dla samej przyjemności dręczenia – powiedziała z niespodziewaną mocą pani bosman. – To nie są jej prawdziwi rodzice, panie Cartwright.

Molly słuchała tego z otwartymi ustami. Skąd ten pomysł? Jak to: nieprawdziwi? Przecież podała się za siostrę Sama – czy to znaczyło, że on...

Nic już nie rozumiała.

– Od razu skojarzyłam nazwisko! – mówiła dalej Barbara. – Zetknęłam się z tym Perkinsem w Dalekich Rozjazdach, na Trzeciej Mili, przy Gromowym Moście, koło Pięciu Braci. Pamiętam, że dałam mu po tej jego parszywej gębie, jak się za bicie wziął, o, zasunęłam mu wtedy, jak się patrzy. I zapamiętałam go dobrze. A potem ktoś mi powiedział, Simpkin, zdaje się, starszy smarowniczy z Ósmego Rozjazdu, że po kilku kolejkach ginu Perkins skarżył mu się, że starsza pasierbica nie jest ani jego córką, ani żoną. Ponoć kobieta wcześniej wyszła za mąż za pewnego mężczyznę, który już miał córkę. Co się stało z jej prawdziwą matką, Perkins nie wiedział, a może tylko Simpkinowi wszystkiego nie opowiadał? Krótko mówiąc – odetchnęła pani starszy bosman – ten mężczyzna, prawdziwy ojciec Maggie, zmarł dość szybko, na śpiączkę.

Panna Barbara jakby przestała zauważać porządną kurtkę Molly i jej buty, nijak



nie pasujące do obrazu nieszczęsnej sierotki z biednej rodziny.

Reginald Cartwright zmrużył oczy.

– Rzadki przypadek. Większość młodych panienek i dam trafia zwykle do...

– Nie taki znowu rzadki, raz na dwadzieścia – weszła mu w słowo pani bosman.

– Krótko mówiąc, panie Cartwright, Maggie nie mogła tam już wytrzymać. Oboje, i pan, i pani Perkins – zacisnęła ze złością szczęki – bili ją dla samej przyjemności bicia.

– Taak... – Na twarzy starszego oficera odmalowały się targające nim uczucia. – Jednym słowem, można by to zgłosić na policję.

Molly pojęła, że nie wolno już dłużej kusić losu.

– Panie komodorze, pani Cartwright, nie trzeba, proszę... Ja nie chcę... Przecież tam, tam są jeszcze inni, moje przyrodnie rodzeństwo, bracia i siostry... Lepiej, żeby nie...

– Z policją się związujesz, kłopoty wywołujesz – poparła Molly pani bosman. – I tak niczego im nie udowodnimy. Już lepiej ja temu Perkinsowi przy okazji znów dam po mordzie. Poprzednio to nawet żałowałam, ale teraz...

Muskularne ręce pani bosman wróżyły nieszczęsnemu Perkinsowi spore nieprzyjemności.

– A gdyby nasz doktor obejrzał Maggie? Spisał formalny protokół? – zaproponował komodor. – A ja i pani podpiszemy go jako świadkowie?

– Hmm... – zastanowiła się pani Walles.

– Tak, tak, niech ją obejrzy – zadecydował komodor. – Takie świadectwo nie zaszkodzi. Jak mówią Rooskies, *kaszy nie prosit* – jeść nie woła. Raz spisane, będzie sobie leżało i już.

– Komodorze, proszę o wybaczenie, ale pozwoli pan, że najpierw ja... – powiedziała stanowczo Barbara, kładąc dłoń na ramieniu Molly. – Dziewczynka się wstydzi. Zawsze to obcy mężczyzna, nawet jeśli doktor...

– Tak, oczywiście – zgodził się komodor. – Zaczekam za drzwiami.

O rany! Molly zrobiło się zimno. Co teraz będzie?! Przecież nie ma na mnie żadnych śladów, tylko zdarte kolano! Co ja powiem? Nie, proszę nie patrzeć, nie ma już żadnych śladów, wszystko dawno zeszło?

– Rozbierz się – poleciła tymczasem pani bosman. – Lekarze lekarzami, a ja cię nie dam skrzywdzić.

Molly jakby język przymarzł do podniebienia. I zamiast wykrztusić, że nie ma

już śladów pobicia, zaczęła posłusznie zdejmować kurtkę i wełniany sweter.

– No, śmiało, śmiało – zachęciła ją Barbara. – Mnie nie musisz się wstydzić.

Guziki wyślizgiwały się z palców. Co ona powie, co powie? Czemu teraz milczy? Na co czeka?! Została już tylko koszulka. Molly zsunęła ją z ramion i zamarła, nisko spuszczając głowę, wpatrzona w podłogę. Policzki jej płonęły i najbardziej na świecie chciała się teraz zapaść pod stalowy pokład.

– Sss – zasyczała ze złością pani bosman. – Ssukin... Wybacz mi, Molly, moja kochana... Taak... No, niech ja go tylko spotkam, i tę jego żoneczkę... Już ja ją za włosy wytargam i kablem po chudym tyłku bez litości przejadę. Tak... Ubierz się, Molly. Komodorze! Niech pan wejdzie!

Molly nie zdążyła nic zrobić, nadal wpatrzona w czubki swoich butów czuła, że jej uszami można by palić w parowozowym piecu.

– Można? – spytał ostrożnie komodor i zaraz potem wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Sądzę... – oznajmiła kamiennym głosem panna Walles. – To znaczy, sir, za pozwoleniem, wydaje mi się – poprawiła się szybko – że już wszystko jasne. Pana raport i moje świadectwo najzupełniej wystarczą.

– Tak – odezwał się po długiej chwili pan Cartwright. – Tak, Barbaro. Miała pani absolutną rację, starszy bosmanie. Boże mój, biedne dziecko... I czym oni ją tak...? Kańczugiem?

– Najwyraźniej, sir. A proszę spojrzeć na to! Musiał mieć haczyki...

– Boże drogi! – Znowu wzdrygnął się Cartwright. – Słowo daję, że nie tylko pani, ale i ja znalazłbym temat na krótką rozmowę z panem Perkinsem. *Kak tol'ko takich kak on ziemia nosit!*

– Proszę o wybaczenie, sir, ale nie orientuję się tak dobrze jak pan w przysłowiach Rooskies...

– Należy się dziwić ziemi, że wytrzymuje obecność takich osobników.

– Hmm. Dobrze powiedziane, po barbarzyńsku, ale słusznie. Ale co zrobić z Maggie?

– Co zrobić, pani bosman? Oto, co zrobimy. Napisze pani protokół oględzin i przyniesie mi do podpisu. A ja porozmawiam z kapitanem, chociaż wyniku i tak jestem pewien... Jednym słowem, można włączyć pannę Maggie...

– Margaret.

– Pannę Margaret Perkins do załogi pociągu pancernego „Herkules” na

stanowisko junga z należnym wynagrodzeniem i zakwaterowaniem. Kotkę proszę zaciągnąć także. Rzeczywiście taki z niej łowca?

– Sir, przy mnie złapała wielkiego szczura i wyciągnęła z wagonu, nie rozdzierając go w środku!

– Mądry kot. Proszę działać, Barbaro. – Pan Cartwright szybko wyciągnął rękę, pogładził Molly po głowie i wyszedł. Na korytarzu rozległy się jego szybkie kroki oraz okrzyki: „Sir!”.

Molly nic już nie rozumiała. Co oni na niej zobaczyli?

– Nie, ja tego tak nie zostawię... – mamrotała tymczasem panna Walles, wściekle trzaskając szufladami. – Gdzie ten cholerny... wybac mi, Maggie... gdzie ten nieszczęsny blankiet? A, tu jesteś... No, wyłaźże... A ty sama chociaż widziałaś, co ci zrobili?

– Nie... – wykrztusiła Molly, nadal wpatrzona w podłogę.

– Jasna sprawa, przecież nie masz oczu z tyłu głowy... Stań tutaj, przy lustrze, a ja ci drugie potrzyham. Nie odwracajże się, spójrz!

Molly spojrzała. No, plecy. Jej własne. Pieprzyki, blizna pod lewym ramieniem, po tym jak spadła z huśtawki... Co tu jest do oglądania?

Ale pani bosman wyraźnie coś zobaczyła, komodor również. Co więcej, uznali, że za coś takiego należałoby Perkinsowi nakłaść po mordzie. Inna rzecz, że Perkinsa poddano już relokacji i panna Walles daremnie będzie go szukać po stacjach i posterunkach.

– Słowo honoru, sama bym w to nie uwierzyła – mówiła tymczasem pani bosman, kręcąc głową. – Nie, Maggie, tam już nie wrócisz. I nie bój się, tu, nawet jak dostaniesz po karku, to zawsze za coś. No, zobaczyłaś?

Molly skinęła głową – uszy nadal płonęły. I nadal nie widziała na swoich plecach nic, żadnych śladów pobicia.

– Ubieraj się – zakomenderowała pani bosman. – Od tej chwili jesteś jungą na „Herkulesie”. Idziemy do kwatermistrza, wyda ci wszystko, co trzeba, póki jeszcze jest czas. Jutro o świcie wyruszamy.

Molly zacisnęła powieki, serce jej waliło, prawie nie mogła oddychać. Została jungą „Herkulesa”! Wprawdzie pod obcym nazwiskiem, ale jednak!

Wizyta u kwatermistrza zajęła im chwilę, choć mimo późnej pory kwatermistrz był na miejscu.

– Popatrz no, Finnegan, sprowadziłam ci nowego jungę. Dasz jej wszystko? –

powiedziała pani bosman tak obojętnie, jakby codziennie przyprowadzała tu dziewczynki w wieku Molly.

Kwatermistrz Finnegan, wysoki, chudy, z zapadniętymi policzkami i rudawymi wąsami, skinął głową.

– Oczywiście, panno Barbaro. Idziemy, jungo. Panienska...?

„Blackwater”, chciała powiedzieć Molly.

– Perkins, panie Finnegan. Margaret Perkins.

– Perkins, Perkins... – zastanowił się kwatermistrz. – Czekajcie no, panno Barbaro, czy to przypadkiem nie ten typ, któremu...

– Któremu dałam po mordzie przy Pięciu Braciach – potwierdziła pani bosman.

– Panna Margaret to jego przyrodnia córka. I powiem tak: nie troszczył się o nią wystarczająco dobrze. Jeszcze jakieś pytania?

Finnegan zrozumiał aluzję.

– Dobrze, panno Barbaro, dam jej, co trzeba.

Tak też się stało. Zdaje się, że na „Herkulesie” trzymali wszystko, co mogłoby się kiedykolwiek przydać, również na wypadek, gdyby kolejny junga miał wzrost i budowę Molly.

Dostała mundur: szerokie spodnie i frencz, pas i koalicijkę z ciężkim nożem, którym można było i ciąć, i kłuć, i piłować. W rękojeści miał tajną skrytkę, w środku narzędzia: szydło, igła, śrubokręt, nawet małe zapalniczka.

Nóż zakładało się, gdy „Herkules” zaczynał bitwę. Gdyby z pociągami coś się stało, musieliby wracać pieszo; w lasach przedgórzy taki nóż, jak wyjaśniła pani bosman, mógł oznaczać różnicę między życiem i śmiercią.

\*\*\*

Trochę później leżała już pod kołdrą na górnej półce w przedziale panny Walles. Di zwinęła się w kłębek między ścianą i Molly. Panna Barbara już sapała na dole, a Molly nie mogła spać. Stało się – oto opuszcza Nord Jork, wyjeżdża pod obcym nazwiskiem, zabierając ze sobą wszystko, co miała zabrać: uwagę Departamentu Specjalnego, własne podejrzenia i strachy oraz potencjalną magię.

Panna Mollynaird Evergreen Blackwater nie na darmo otrzymywała w szkole najwyższe oceny z logiki. Naturalne pytanie: „Co dalej?” mogło mieć tylko jedną, równie naturalną odpowiedź. Molly musiała się dowiedzieć, czy jest w niej magia, czy nie. Bo jeśli jest, musi uciekać dalej, żeby ci dobrzy ludzie, pani bosman

i komodor, nie ucierpieli, gdyby... gdyby coś jej się stało. A jeśli nie ma w niej magii – co jeszcze trzeba dowieść – będzie musiała wrócić i... przekonać o tym pozostałych.

Problem polegał na tym, że Molly nie miała pojęcia (jak zresztą wszyscy chyba mieszkańcy Nord Jorku), w jaki sposób można dowieść obecności lub nieobecności magii. Tak czy inaczej, wszystkie te dziwne sytuacje należało wyjaśnić. Co zobaczyli na niej bosman i komodor? Ślady po biczu z dziewięcioma końcami? Skąd się tam wzięły i czemu nie widziała ich sama Molly?

Jej myśli powracały do dziwnego chłopca o imieniu Wsiesław. Jeńca, który jej pomógł i bez cienia wahania nazywał „wiedźmą”. Wsiesława, który spokojnie trzymał na dłoni ciepły ognek, wyraźnie znał się na magii i nie bał się jej. Jakby nie groziło mu, że spłonie do cna, zabierając ze sobą wszystkich, którzy znaleźliby się w pobliżu.

Ale Rooskies to przecież barbarzyńcy, wrogowie – tak myślał, w to właśnie wierzył cały Nord Jork. Wrogowie, którzy uparcie trzymali się zaśnieżonych przedgórz Karn Dredu, powoli wypierani przez górskich jegrów i strzelców coraz dalej na północ, do przełęcz. Za nimi, w nieznanym, nienaniesionym na mapę wielkich, nieprzebytych lasach leżały zagadkowe osady. Nikt nie wiedział, czy mają tam jakieś miasta. No, może armia Jej Wysokości wiedziała, ale nie przeciętni mieszkańcy Nord Jorku.

I pani bosman, i pan komodor, i cała załoga „Herkulesa” walczyli z Rooskies. A ona, Molly, rozmyśla, jak spotkać się z ich wrogiem... Ale przecież Wsiesław sam jej kazał się zaciągnąć na pociąg. Molly zacisnęła dłonie na skroniach. Nie wiedziała, nie wiedziała, nie wiedziała! Niczego... już... nie wiedziała...



Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk...

Molly podniosła się na koi. Ciepło i cicho, stukot kół, półka się kołysze... „Herkules” jechał. Molly przechyliła się, spojrzała w dół – no tak, pani bosman już była na posterunku!

Bosman na posterunku, a ona, Molly, chrapie sobie w najlepsze!

– Mrr – powiedziała niezadowolona Di, która wyraźnie chciała spać dalej. No, gdzie ty sobie idziesz! Przecież jestem tutaj, ciepła i puchata! Śpij!

Ale Molly już biegła korytarzem.

„Herkules” nabrał prędkości, koła łaskotały na stykach. Pancerne zasłonki opuszczone, wszystko gotowe do walki. Panią bosman Molly znalazła w przednim wagonie; Barbara z dwoma mechanikami sprawdzała jakieś parociągi.

– *Ma’am*, junga Perkins melduje się na stanowisku! – zawołała Molly, wyciągnięta jak struna.

– Spocznij, junga Perkins – odpowiedziała Barbara. – Obudziłaś się? Nie chciałam cię zrywać od razu pierwszego dnia, ale skoro się już meldujesz...

I cały dzień Molly spędziła na nogach, razem z panią bosman i innymi ze składu pokładowego. „Herkules”, jak mówiła panna Barbara, to nie jest zwyczajny pociąg z żelaznymi wagonami i parowozem, to jedna całość, złączona masą kabli, przewodów i rur. Para wprawiała w ruch mechanizmy, para pomagała przeładować działa, haubice i mitraliezy, pomagała obracać je i naprowadzać na cel. Cylindry, piece, przegrzewacze, tłoki były wszędzie, tak samo jak zawory, złączniki, łączniki, kurki, a wszystko to musiało być w idealnym stanie i w pełnej gotowości.

Potem był obiad, który pani bosman i Molly osobiście przyniósł John Silver. Jadły z kociołków kaszę suto okraszoną masłem i Molly mogłaby przysiąc, że nic lepszego nigdy nie miała w ustach. Fanny gotowała wspaniale, ale żadne z jej

wyszukanych dań nie mogło równać się z tą zwykłą kaszą z łoskotem pociągu w tle, w słabym świetle lampy, obok podrygujących króćców.

– O trzeciej w nocy przejedziemy przez Pięciu Braci – mówiła z pełnymi ustami panna Barbara, wyraźnie nie przejmując się zasadami zachowania przy stole – ale nie zatrzymujemy się tam. Czekają na nas na ósmym odcinku, daleko na północy, mają tam teraz ciężko. Jutro od rana – odłożyła łyżkę i spojrzała uważnie w oczy Molly – jutro od rana, junga, będziecie przebywać w wagonie załogi, do mojej dyspozycji. Bez wyraźnego polecenia – ani kroku. Wszystko jasne, junga?

– Tak jest, *ma'am!* – odpowiedziała ponuro Molly. No tak, ukryją ją w jakimś bezpiecznym miejscu... Chociaż, skąd wziąć takie miejsce w idącym do walki pociągu?

Po porannym obchodzie i wszystkich codziennych pracach, jak wyraziła się pani bosman, należało stawić się przed dowódcą „Herkulesa”, kapitanem[13] Malcolmem Ironside'em.

– Idziemy na główny posterunek, tam jest kapitan. Chciał się z tobą zobaczyć, ale powiedział, żeby cię nie upiększać – ostatnie słowo Barbara wymówiła z niezadowoleniem. – Pewnie chce się dowiedzieć, czy pilnie pracowałaś.

Obie, Molly i pani bosman, miały na sobie poplamione kombinezony robocze.

– Idziemy – powtórzyła panna Barbara, lekko ściskając przedramię Molly.

Na widok posterunku Molly zamarła w niemym zachwycie. Peryskopy na głównej platformie, podniesione nad podłogą. Rury do komunikacji. Lśniący brązem telegraf maszynowy. Centralny rozdzielnik paropoczty. Dalmierzowa stacja. Najprawdziwszy, wielki dyferencjator z licznymi połączonymi kółkami zębatymi oraz okrąg z wygrawerowanymi cyferkami. Pulpit sterowania strzelaniem, na którym zadawało się wszystkim działom kierunek i kąt wzniesienia.

Na mostku obok peryskopów stał kapitan Ironside, z krótką szyperską bródką i krzywą fajeczką, teraz zgaszoną. Ciemnooliwkowy mundur, emblematy sił pancernych – i zimny badawczy wzrok szarych oczu.

Panna Barbara dyskretnie kuksnęła zapatrzoną Molly pod zębra, dziewczynka od razu stanęła na baczność.

– Spocznij, bosmanie, spocznij, junga. Gratuluję dołączenia do załogi „Herkulesa”, panno Perkins. Szkoda, że musimy od razu ruszać do walki i nie zdążycie przejść koniecznego szkolenia. No cóż, jak mawiał mój dziadek, znany admirał Ironside, nigdzie się tak szybko nie nauczysz, jak w walce.

Na centralny posterunek wchodzili inni oficerowie, przybył również komodor

Cartwright i uśmiechnął się ciepło do Molly. Kapitan „Herkulesa” miał specyficzny sposób prowadzenia rozmowy: on pytał, Molly odpowiadała. Matematyka. Mechanika. Budowa maszyn. Przy tym przerywał jej dosłownie po dwóch zdaniach, mówiąc: „Dobrze, to wystarczy”. W końcu skinął głową z aprobatą i zarządził Molly czas wolny aż do kolacji. Dziewczynka na sztywnych nogach zeszła z głównego mostka.

Za nią kroczyła naburmuszona pani bosman, mamrocząc pod nosem: „Kto wymaga takich rzeczy od jungi!”

Aż do kolacji Molly rzeczywiście wyglądała przez okno na zaśnieżone lasy, pośród których wiała się czarna, podwójna nitka torów. Za nimi zostawały posterunki i rozjazdy, długie baraki warsztatów polowych i magazynów. Minęli już Trzecią Milę i Pięciu Braci; pociąg łaskotał na zwrotnicach, pokonał most, przerzucony nad głębokim i szerokim wąwozem, powoli zaczynał wspinać się pod górę.

– Szósty odcinek – powiedziała półgłosem panna Barbara, stając obok smętnej Molly. – Jeszcze jeden zakręt i będzie nasz, ósmy, prosto do góry. No a tam... – Gwałtownym ruchem wyciągnęła rękę, poprawiła Molly pukiel włosów. – Masz siedzieć tu, zrozumiano? I nie ruszać się stąd nawet na krok!

– Tak jest, *ma'am!*

– Przywykniesz – westchnęła pani bosman. – Przy okazji, pan Cartwright mówił, że sam chce cię uczyć fizyki i matematyki. Pan Glenwood, starszy mechanik, będzie cię uczył maszyn i mechanizmów, doktor Nesbit pisma i historii, i jeszcze podstaw medycyny. Wszystkim się spodobałaś, junga. Kapitan był bardzo, bardzo zadowolony z twojej wiedzy. Powiedział, że ani się obejrzymy, jak panna Perkins będzie miała pagony podporucznika. O, wtedy to ja będę stawać przed tobą na baczność i oddawać honory!

Tu już Molly nie wytrzymała, pociągnęła nosem i szybko objęła panią bosman.

– No, no, junga... – Barbara niezgrabnie poklepała Molly po plecach. – Dość tych czułości... Bo jak nie, to zaraz mi tu będziesz wentyle polerować, aż zaczną świecić jak słońce!

Ale jej ton mówił sam za siebie: surowej pani bosman zrobiło się przyjemnie, może nawet się wzruszyła.

Ósmy odcinek biegł ze wschodu na zachód przedgórzami, na podjazdach „Herkules” musiał włączać zębate przekładki, z dwóch stron przyciskające się do centralnej, trzeciej szyny, która miała nacięcie po obu stronach. Póki zupełnie się



nie ściemniło, panna Barbara w milczeniu pokazywała Molly pogruchotane pnie drzew. Śnieg przykrył litościwie leje po pociskach, a na umarłe drzewa, jakby ich żałując, nałożył wysoką, puchatą czapę.

Rooskies wycofali się stąd z początkiem jesieni. Odeszli wyżej, ku przełęczom, sądząc, że Korpus Górski nie zdoła podciągnąć wystarczająco ciężkiej artylerii, a już na pewno nie zaciągnie tak wysoko swoich pociągów pancernych.

Mylili się. Królewski Korpus Inżynieryjny umiał w razie potrzeby kłaść tory nawet zimą. „Herkules” nie bał się ostrych zboczy, wjeżdżał coraz wyżej, odganiając barbarzyńców ogniem swoich haubic, a na przednią linię wysuwali się inżynierowie. Tory przebijały się przez śnieg.

Ściemniło się już, gdy „Herkules” zatrzymał się na ostatnim rozjeździe, gdzie na fasadzie długiego baraku ciągnącego się wzdłuż torów wymalowano czerwoną farbą nazwę: „Wesoły barbarzyńca”. Tutaj paliły się ogniska, chodzili ludzie, sapały parowozy, ciągnące wagony załadowane workami, skrzyniami i beczkami. Górscy jegrzy byli wszędzie: maszerowali, stali na warcie, biegali w różne strony... Pośród tego chaosu między dwoma ogniskami zastygła grupa oficerów w futrzanych płaszczach i czapach.

– Oho! – Panna Barbara aż gwizdnęła. – Lord Spencer, par Królestwa! Tylko co on tu robi...?

„Herkules” hamował powoli. Molly patrzyła przez wąską szczelinę na prawdziwego lorda i para Królestwa. W świetle ogniska nie dało się dojrzeć twarzy, widać było tylko ostry podbródek i spiczasty, haczykowaty nos.

Niespodziewanie lord odwrócił się od rozprawiającego oficera i spojrzał na przesuające się cielsko „Herkulesa”. Spojrzał prosto na Molly, prosto w jej oczy, choć za nic w świecie nie zdołałby jej wypatrzeć za szczeliną szerokości dwóch palców. Dziewczynka się odwróciła. Żołądek ścisnął się jej w lepki kłęb strachu.

– Co się stało? – spytała pani Barbara.

– Nic, *ma'am*, tylko w brzuchu mnie ściska...

– A, to nic, zdarza się. Idź, gdzie trzeba, i pójdziemy na wieczorny obchód.

\*\*\*

Sen przyszedł szybko, opadając na Molly jak ciężki koc, a razem z nim pojawił się Wsiesław. Stał w śniegu po pas, obok niego po prawej stronie wielki, siwy wilk, a po lewej niedźwiedź, ogromny, większy od tych, które Molly zdarzało się oglądać w cyrku albo zwierzyńcach. Tak musiał wyglądać prehistoryczny

niedźwiedź, który stał się prehistoryczny jeszcze przed Katakлизmem. Szeroka okrągła głowa, małe sterczące uszy i zupełnie niezwierżące spojrzenie czarnych oczu.

Cała ta trójka stała i w milczeniu patrzyła na Molly. A raczej na sunącego powoli „Herkulesa”. Patrzyli na Molly przez stal i pancerz, dokładnie tak samo, jak wczoraj patrzył lord Spencer, par Królestwa.

– Maggie, wstawaj, Maggie! – Pani bosman już była ubrana, w hełmie i kombinezonie bojowym. – Wstawaj, junga. Ruszamy, wkrótce zacznie się walka. Rooskies uznali, że nasze posterunki wysoko w górach są słabo chronione, musimy im pokazać, że się mylą. A ty masz siedzieć tutaj, pamiętasz?

– Tak jest, *ma'am*! Pani Barbaro, a mogę o coś zapytać?

– Hm. No, pytaj, pytaj, sikorko. Tylko nie o to, kiedy cię puszczą do walki.

– Nie, panno Barbaro. Co się stało z „Herkulesem”, kiedy wrócił do Nord Jorku po walce i go naprawiali?

– A skąd ty to wiesz, junga? – Zdaje się, że Molly udało się zdumieć panią bosman. – Skąd o tym wiesz, dziewczyno?

– Jeden chłopak z sąsiedztwa przedostał się przez płot do warsztatów, tak tylko, dla kawału. Mówił, że pierwszy wagon...

– Ładnych masz kolegów, Maggie. Zresztą, co tu się dziwić, chłopaki w slumsach zawsze byli urwipołciami. Tak, mocno wtedy oberwaliśmy... I twój kolega mówił prawdę, zniszczony był pierwszy wagon.

– Panno Barbaro, ale... ale jak im się to udało? Czy oni mają armaty? To przecież barbarzyńcy! Chłopcy mówili, że mają tylko bardzo stare muszkiety...

Pani bosman skrzywiła się niezadowolona.

– Jak im się to udało? Nie wiem, junga. Widać stworzyli jakąś minę czy beczkę z prochem, dotoczyli pod pancerz i łupnęło. Ale i my ich wtedy natłukaliśmy jak psów. Drugi raz już im się coś takiego nie uda! No, pamiętaj, sikorko, siedź tutaj i nosa stąd nie wystawiaj!

Telegraf brzęknął, wypolerowany brązowy dysk przekręcił się i w ramce pojawił się czerwony napis na białym tle: „ALARM!”.

– Załóż hełm! Nie zapomnij! No, czas na mnie. – Panna Barbara szybko ścisnęła ramiona Molly i wybiegła z kajuty. Drzwi szczęknęły cicho, przesuwając się po nasmarowanych prowadnicach.

Molly posłusznie usiadła na koi pani bosman. Nie miała co robić, nie było na co

patrzeć, szczeliny zasłonięto pancernymi osłonami... Kotka Diana wskoczyła jej na kolana, otarła się pyszczkiem, jakby chciała pocieszyć swą panią. Ułożyła się wygodnie i Molly rzeczywiście poczuła się lepiej.

„Herkules” jakiś czas jechał bardzo powoli, jakby po omacku. Zatrzymał się. Szarpnął, przejechał jeszcze kawałek. Staął. Gdzieś pod podłogą rozległ się głośny syk, wagon się zakołysał. Zapadła cisza.

Molly zacisnęła powieki i bardzo wyraźnie zobaczyła zaśnieżony „korytarz” w lesie, wystające spod śniegu pniaki; ktoś starannie wyciął wszystkie drzewa w pobliżu torów. „Herkulesa” widziała teraz jakby z boku, patrząc na niego z kniei. Niezgrabny potwór, plujący parą i dymem, wysmarowany w biało-szare plamy i pasy, w daremnej próbie zlania go z krajobrazem. Molly widziała, jak drgnęły i poruszyły się lufy haubic, zadarły w górę. Kapitan Ironside na głównym stanowisku wyznaczał każdemu z dział cel i wzniesienie.

Wyteżywszy wzrok, Molly zrozumiała, że „Herkules” nie jest tu sam. Białą wycinkę przecinały transeje, tu i tam widać było okrągłe gniazda mitraliez i lekkich górskich działek. W tranzejach coś się poruszało, gdzieś unosiły się dymy, strzelcy i jeźdźcy szykowali się do obrony. Z przodu tory kończyły się, urywały dwieście jardów od brzegu lasu. Tam również ciągnęły się transeje i okopy, pale z drutem kolczastym, z tyłu za to zebrał się cały „zwierzyniec”: parowe koparki, lokomobile, maszyny do wyrównywania ziemi. Były też wielkie parowe samobieżne maszyny z kleszczami jak u kraba: mogły wyjąć z ziemi pień drzewa, ścisnąć go i w kilka minut przepiłować najgrubszą nawet sosnę lśnięcymi dyskami cyrkularnych pił.

Tory miały biec dalej. Przyprószone śniegiem stosy podkładów, szyny... Obok, ustąpiwszy drogi „Herkulesowi”, zastygł samobieżny dźwig do układania torów, na nim warstwami leżały gotowe sekcje szyn i podkładów. W baraku po lewej coś chyba robili z szynami i podkładami, może właśnie łączyli, bo dźwig podnosił stamtąd gotowe elementy, ładował.

Praca wre. Tam, gdzie przed nimi bieleje ściana lasu, gdzie jeszcze nie wycięto potężnych sosen, będą układać drogę pancernemu „Herkulesowi”. Molly pomyślała odruchowo, że w sumie to niewygodne, żeby pociąg pancerny nie mógł poruszać się bez torów. Gdyby miał koła... ogromne koła... albo takie „buty”, jak ma tamta parowa koparka...

W las wbija się wycinka, musieli zacząć ją całkiem niedawno, widać nasyp, po którym pobiegną tory, wtedy „Herkules” będzie mógł jechać dalej. Aż do gór.

Zimowy las wokół pociągu był nieruchomy i niemy. Zastygły na gałęziach

puszyste szale śniegu, panuje cisza, nic się nie rusza, nie skrzypi... Ta wizja nie zaskoczyła Molly. Nie zdumiała się również, widząc między sosnami trzy duże zwierzęta: wielkiego szarego niedźwiedzia, białego wilka i jeszcze jednego „misia”, młodszego i mniejszego, który już zmienił kolor z brunatnego na szary. Cała trójka bezgłośnie, nie zaczepiając nawet gałązki, prześliznęła się przez podszyt i zastygła na oczach obsługi dział „Herkulesa”.

Ostry brzęk. Molly wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Telegraf drgnął: zamiast napisu: „Alarm!” pojawiło się: „Ognia!”. Białe litery na czerwonym tle. W chwilę później „Herkules” drgnął, a w uszy Molly jakby walnęło wielkim młotem, dziewczynka prawie ogłuchła.

Nie wiedząc, co robić, Molly padła na kolę, zaciskając uszy rękami i zamykając oczy. Di przywarła do niej niczym ciepły, uspokajający kłębuszek.

A w miejscu, gdzie przed chwilą stała trójka zwierząt, powoli przesunął się wielki słup gęstego, czarnego dymu. Na śniegu pojawił się rozległy głęboki lej. Niedźwiedzie i wilk zniknęły. Nie, jednak tam były! Znowu mignęły na krawędzi lasu, walnął kolejny pocisk. Widocznie haubice „Herkulesa” mogły uderzać również bardzo blisko pociągu.

W transejach zaczął się ruch, strzelcy i jeźdźcy rzucili się na miejsca. Tu i tam pojawiały się i znikwały niebieskawe dymy, żołnierze strzelali z karabinów, ale do kogo – Molly nie wiedziała. Las pozostawał nieruchomy i niemy, tylko trzy żywe istoty, biały wilk i dwa szare niedźwiedzie, przemykały się jego brzegiem, od czasu do czasu pokazując się i znowu chowając pod osłonę wiekowych sosen.

Pociąg pancerny tymczasem otworzył ogień z pozostałych dział, haubice wysyłały pocisk za pociskiem gdzieś daleko, w stronę niewidocznego celu; raz po raz waliły trzycalówki i brzeg lasu zasnuwał się dymem. Potężne sosny nie mogły stawić oporu pociskom, wypełnionym lidditem[14], pnie rozpadały się na kawałki, wyrzywało je z ziemi, korzenie wydawały się rękami, wyrzuconymi w górę w niemym bólu. Wtedy Molly poczuła, że każdemu wybuchowi towarzyszy bolesne ukłucie gdzieś w sercu, że dławi jej oddech, przed oczami stają barwne kręgi. Skuliła się, podciągnęła kolana do piersi, wcisnęła twarz w płaską poduszkę.

– Mrr, mrr! – Niespokojna Diana dotknęła swojej pani miękką łapką, powtórzyła z naciskiem: – Mrr!

Dziewczynce trochę ulżyło.

– Wszystko w porządku – wyszeptała Molly do kotki. Pogłaskała ją raz, drugi, trzeci i ból ustępował.

Działa „Herkulesa” nadal waliły jedno po drugim, ale z przerwami. Molly widziała teraz już tylko kajutę pani bosman, a białe zaśnieżone pole i las, wstrząsany wybuchami, zniknęły. A potem znów brzęknął telegraf i w okienku pojawił się napis: „ALARM ODWOŁANY!”, zielone litery na białym tle.

Molly wstała, w uszach jej dzwoniło. Na zewnątrz rozległ się syk, otwierały się pancerne szczeliny. Dziewczynka zerwała się, przywarła do okna, wyteżyła wzrok, ale nie widać było nic szczególnego. Wiatr przeniósł kłęby dymu, odsłaniając czarne leje i sterczące z ziemi połamane drzewa. Nikogo nie ma, zwierzęta także zniknęły. Stropiona i zbita z tropu Molly siedziała z mruczącą Di na kolanach, dopóki nie wróciła pani bosman.

– Brawo, junga Perkins! Pochwała! Rozkaz bojowy – nie opuszczać pomieszczenia – wykonany!

– Ja... – wymamrotała Molly, nagle czerwieniąc się i jękając. – Chciałabym pomóc...

– Teraz będziesz pomagać! – obiecała jej panna Barbara. – Prace regulaminowe na wszystkich bez wyjątku stanowiskach!

– Tak jest, *ma'am*! – zawołała Molly z całym entuzjazmem, jaki zdołała udać.

Nie czuła nic poza strachem. A jeśli magia jednak nadal w niej jest? Bo skąd wzięłyby się w niej te obrazy, te zwierzęta na brzegu lasu, pociski wybuchające obok? Jak inaczej mogłaby je zobaczyć? I co zrobić, jeśli nagle... Uciekać, pomyślała. Uciec jeszcze dalej. Dziwny Wsiesław, który nie bał się magii, to jedyna nić, jedyna nadzieja.

Bo przecież jeśli rację mają ci z Departamentu Specjalnego, jeśli rację miał poborowy Hopkins, opowiadając Molly o robotniku z warsztatów, który stanął w ogniu, to ona musi uciekać z „Herkulesa”. Żeby nic się nie stało kapitanowi Ironside’owi, komodorowi Cartwrightowi, starszemu bosmanowi pani Walles ani tym wszystkim dzielnym maszynistom, strzelcom i artylerzystom armii Jej Wysokości, którzy tak walecznie bronią Nord Jorku.

\*\*\*

Do rana „Herkules” stał w jednym miejscu, noc minęła spokojnie. Nazajutrz znów strzelali do jakichś niewidocznych celów, ale w pobliżu pociągu pancernego nikt się nie pokazywał i pociski haubic latały bardzo daleko za las, tak że wybuchów zupełnie nie było widać.

Panna Barbara powiedziała, że ogień korygują obserwatorzy: wznoszą się

w górę w balonie i przekazują wiadomości przez telegraf optyczny, semaforem. Artyleria „Herkulesa” pomaga odległym, wysuniętym posterunkom.

Pani bosman była w świetnym humorze. Po pierwsze, wszystkie mechanizmy „Herkulesa” działały idealnie, nic się nie zepsuło i nie zacięło. Dowódca pociągu pancernego kapitan Ironside był bardzo zadowolony.

Dzień Molly wyglądał tak jak dzień każdego innego jungi: wykonywanie bosmańskich poleceń, sprawdzanie, sprawdzanie, sprawdzanie, wymiana, wyłączanie, przełączenia, przekręcanie, czyszczenie, polerowanie i tak aż do obiadu.

Diana również nie próżnowała: złapała i zaprezentowała dwa szczury, które, jako mądry kot, wywlokła z wagonu, obsypywana pochwałami przez wszystkich, którzy to widzieli.

A po obiedzie dziewczynkę wezwał do siebie starszy oficer „Herkulesa”, komodor Cartwright. Jego kajuta faktycznie zasługiwała na to miano. Stół był znacznie większy, stał tu prawdziwy fotel z wysokim oparciem, koja była o wiele szersza. Komodor miał nawet własną umywalnię i toaletę.

Na ścianach półki z książkami i światłografiami, wśród nich znowu „Herkules” w różnych ujęciach i jeszcze jeden pociąg pancerny, mniejszy, ale nie „Hektor”.

– A więc, panno Perkins, pani bosman pewnie panią uprzedziła, że mam dawać pani lekcje fizyki i matematyki?

Molly się wyprężyła.

– Tak jest, sir!

– Wobec tego zacznijmy. Kapitan Ironside już panią przeegzaminował, ale ja muszę wiedzieć dokładnie, co pani wie, a czego nie. Zacznijmy od czegoś prostego, jak mówią Rooskies – *licha bieda naczało*[15], to znac... ee... kłopoty szybko mijają.

Z algebrą i geometrią Molly poradziła sobie dość sprawnie, komodor zadowolony kiwał głową.

– Doskonale, junga. Chwila przerwy i zajmijmy się układami równań. Sądzę, że sobie pani poradzi.

Molly skinęła głową. Komodor odchylił się na oparcie fotela, skinął dziewczynce ręką.

– Spocznicie, junga. Nie siedźcie, jak mówią Rooskies, *arszyn progłotiw*[16], czyli wprowadziwszy do przewodu pokarmowego długi i twardy przyrząd

mierniczy w celu nadania ciała wyjątkowej sztywności.

– Ojej! – nie wytrzymała Molly. – To Rooskies umieją takie rzeczy?

– Rooskies, junga, nie takie rzeczy umieją. Nawet na niedźwiedziach jeżdżą!

– Ojej!

– A ich niedźwiedzie są inne niż te, które zwykło się oglądać w zwierzyńcach, dwa razy większe!

Dłonie Molly, która pilnie słuchała komodora, same z siebie sięgnęły po ołówek i papier, i kilkoma kreskami przedstawiły trzy zwierzaki, ściągające na siebie ogień głównego kalibru „Herkulesa”. Pan Reginald Cartwright tymczasem opowiadał o zdumiewających zwyczajach Rooskies, tak innych od zwyczajów cywilizowanego, kulturalnego mieszkańca Królestwa, a Molly rysowała, nie patrząc niemal na papier. Dwa niedźwiedzie i wilk. Drzewa wokół, rozszczepiony pień. Lej po wybuchu. I spojrzenia, wzrok trójki zwierząt skierowany na nią, na Molly – tak jak zapamiętała. Komodor przerwał opowieść w pół słowa.

– Co wy tam macie, junga?

– Sir, ja... ja to widziałam, sir...

– Siwa – wycedził przez zęby pan Cartwright. – Narysowaliście Siwą, junga, starą niedźwiedzicę matkę. Mówią, że zawsze pojawia się jeśli nie z całym miotem, to przynajmniej z młodym niedźwiedziem na chwilę przed tym, jak Rooskies decydują się sprawdzić siłę naszej obrony. Jaką miała sierść, junga?

– Siwą...

– Zgadza się. Stara niedźwiedzica nie linieje, wygląda identycznie zimą i latem. I gdzie ją widzieliście, junga?

Molly wiedziała, że opowiadanie starszemu oficerowi „Herkulesa” o swoich podejrzeniach odnośnie do magii byłoby zupełnie nie na miejscu.

– Melduję, sir, że w czasie pierwszego starcia!

– A gdzie byliście, junga, w czasie pierwszego starcia?

– Melduję, że zgodnie z rozkazem pani bosman byłam w jej kajucie, sir! – wypaliła Molly.

– Ach tak? I nie wychodziliście?

– Melduję posłusznie, że nie, sir! Tylko osłona... była nie do końca... opuszczona.

– Osłona? – Pan Cartwright zmarszczył czoło. – A tak, zgadza się, pamiętam, że

starszy mechanik już meldował, że system zasłonięcia szwankuje. Trzeba będzie znowu to sprawdzić.

– Strzelano do nich, sir? Do tych niedźwiedzi? Dlaczego, sir? – ośmieliła się spytać Molly.

– Strzelaliśmy, junga, strzelaliśmy. Niestety, wielu naszych artylerzystów, w tym niektórzy oficerowie, wierzy w głupie przesady. Chciałbym, żeby mieli choćby kroplę waszej twardości ducha! Za pozwoleniem, junga, chciałbym zostawić sobie wasz rysunek. Pięknie pani rysuje, panno Perkins.

– Umiem też kreślić...

– Jeszcze lepiej! – ucieszył się komodor. – Nie ma sensu, żebyście polerowali żelastwo, znajdziemy dla was ciekawsze zajęcie...

A więc to nie było przywidzenie czy sen, myślała potem Molly, już zwinięta na swojej półce, z Dianą w objęciach. To wszystko działo się naprawdę! Dwa niedźwiedzie i wilk... Po co tu przyszły, ryzykując? Czego chcą? A jeśli to prawda, to co robić? I czy to znaczy, że Wsiesław miał rację? A może nie, może to wszystko to tylko jeden wielki zbieg okoliczności? Ale coraz trudniej było jej w to uwierzyć...

Wystarczyło, żeby Molly zasnęła, a cała trójka, dwa niedźwiedzie i wilk, znowu przed nią stanęła. Zwierzęta stały i patrzyły, a ludzki głos, głos Wsiesława, mówił powoli, zwracając się do niej, do Molly, tym razem w języku Królestwa: „Niepotrzebnie uciekasz przed swoim darem. Niepotrzebnie się bronisz. Nie uciekniesz od niego, nie wyrzucisz go z siebie, nie zrezygnujesz. Magia i tak znajdzie do ciebie drogę. To prawda, że to, co my nazywamy czarodziejstwem, jest groźne, jak groźny może być piorun, huragan, trzęsienie ziemi albo wybuch wulkanu. Nie możemy sprawić, żeby piorun nie uderzył – ale możemy nauczyć się nie stawać na jego drodze lub skłonić go, by nam służył. Zbyt długo uciekałaś, Molly Blackwater, twoje oczy są zamknięte, uszy także. Twoja droga jest niczym krąg: można po nim biec długo i nie dobiec donikąd. Krąg można tylko rozerwać. Jeśli wystarczy ci odwagi”.

– Mrr... – zamruczała zaniepokojona kotka, trąc Molly nosem w policzek.

Molly usiadła. Serce jej waliło, brakło tchu. Co robić, co robić?! „Mamo... Zawsze taka spokojna, opanowana – jeśli tylko nie ma w pobliżu szczurów czy pracowników Departamentu – mamo, powiedz mi, poradź, co robić?!” Ale mama milczała, a Wsiesław przemówił znowu, gdy tylko Molly przyłożyła głowę do poduszki: „Jesteś nasza, Molly Blackwater, zawsze byłaś i zawsze będziesz”.



„Nie! – krzyknęła Molly, nie rozumiejąc już, czy krzyczy we śnie, czy na jawie. – Nie zdradzę swoich! Panny Barbary! Komodora Reginalda! Kapitana Ironside’a! Nie chcę, żeby ich zamordowano!”

„Ale oni mordują nas – powiedział twardo Wsiesław. – Zabijają tylko dlatego, że się od nich różnimy. Dlatego, że potrzebują naszych ziem, naszych rzek i lasów. A my się bronimy”.

„Jesteście barbarzyńcami! Dzikimi barbarzyńcami, podobnymi do zwierząt! Królestwo to postęp!” – wyciągnęła Molly ulubione hasło pani Lindgrow.

„Tak sądzisz?” – Wsiesław we śnie uśmiechnął się. I zniknął.

– Maggie! Co z tobą, junga? – Pani bosman już stała przy Molly, patrząc na nią z niepokojem. – Krzyczałaś... Co się stało...?

– Nic, nic, panno Barbaro – wykrztusiła Molly. – To tylko sen, zły sen...

– Hm! Ładny mi sen! Jak będziesz tak wrzeszczeć, junga, wyślę cię spać do tendera parowozu, na węgiel! To cię nauczy nie budzić innych ludzi... – burczała panna Barbara, ale ani w jej głosie, ani w oczach nie było złości, raczej niepokój. – Śpij, junga.

I nagle pogładziła Molly po głowie. Szybko, jakby się wstydziła, i od razu cofnęła rękę, odchrząknęła speszona.

– No, śpij wreszcie! – powtórzyła. I musnęła mruczącą Di.

„Oni nas zabijają. Zabijają tylko dlatego, że jesteśmy inni. My się bronimy”.

Z pogardliwie zmrużonymi oczami widmo Wsiesława zastygło przy wąskich drzwiach do kajuty pani bosman. „Oni nas zabijają”. I zniknęło w ciemności. Molly spała.

Kotka Diana, niespokojna, czujna, siedziała obok, patrząc w to miejsce, w którym jej pani widziała cień, przybyły ze snów do realnego świata. Pani bosman nic nie spostrzegła.



W ciągu nocy dźwig układający tory, parszając i plując parą, ułożył długi rząd ciągnących się w dal szyn. „Herkules” stał już pod parą i ruszył z miejsca, jak tylko się rozwidniło.

Molly wszystko robiła na siłę. Na siłę wstała, na siłę zjadła, na siłę powlokła się za panią bosman.

„Kim w końcu jestem? Wiedźmą? Naczyniem z magią, które prędzej czy później wybuchnie, jak mówi się w Nord Jorku – czy wołszebnicą, która może nauczyć się przelewać złoty płomyk na dłoni, tak jak Wsiesław?”

Jego słowa: „To oni nas zabijają” nie chciały się odzepić. Dobrze jeszcze, że od rana było dużo pracy i na Molly nikt nie zwracał uwagi. Elewatory pocisków wymagały regulacji i Molly po raz pierwszy znalazła się na bojowej platformie „Herkulesa”, obok wielkiej, siedmioipółcalowej haubicy, przykrytej z góry pancernym kołpakiem.

Cylindry i tłoki, otwierające zamek działa, podające najpierw sam pocisk, a potem specjalny nabój z prochem, tworzyły najprawdziwszy labirynt, wzniesiony wokół armaty jakby po to, żeby nikt niewtajemniczony się tam nie dostał. Znów dziewczynce przydała się umiejętność wciskania się w najciaśniejsze zakątki – budowniczy „Herkulesa” nie przejmowali się chyba tym, jak artylerzyści będą docierać do tych miejsc, schowanych głęboko pod kłębowskiem rur, króćców i tłoków.

I tam zastał ją alarm bojowy.

– Biegiem do kajuty! – zawołała pani bosman stalowym głosem.

– Rozkaz, *ma'am*! – odpowiedziała Molly, zeszła w głąb wagonu i noga za nogą powlokła się do kajuty.

Pociąg pancerny prawie przytulił się do zastygłego dźwigu, który w ciągu nocy

bardzo oddalił się od przedniej bazy jęgrów i strzelców górskich. Z przodu sapały, z wysiłkiem przenosząc łyżki pełne ziemi, cztery parowe koparki.

Bum! – huknął pierwszy strzał; „Herkules” od razu zaczął z głównego działa. Oszołomiona Molly natychmiast przypadła do odsłoniętej szczeliny. Daleko w przodzie, na szarym niebie widać było aerostat korygujący. Wybuch – i nad lasem pojawił się czarny słup dymu. I jeszcze jeden. I jeszcze.

Wydawało się, że wszystko odbędzie się tak samo jak wczoraj – „Herkules” będzie wysyłał pocisk za pociskiem, gdzieś daleko, daleko, nad biało-szaro-czarną pokrywą bezkresnych lasów będą rozkwitać wybuchy i nic poza tym.

– Siwa! Za drzewami! – rozległ się nagle czyjś krzyk. Molly ktoś zepchnął na bok, jakiś artylerzysta skoczył do mitraliezy, od razu huknęły na górze dwie trzycalówki wagonu pancernego.

Tuż przy brzegu lasu pędziła, zwinnie lawirując między drzewami, wielka szara niedźwiedzica. Tuż za nią biegł mniejszy niedźwiedź, z tyłu biały wilk. Jeszcze dalej osłupiała Molly ujrzała łańcuszek ludzkich postaci w obszernych białych szatach. Ciężko było je dojrzeć na śniegu, przemieszczali się krótkimi przebieżkami, padając w głęboki śnieg i zamierając. Molly aż się wzdrygnęła z zimna. W rękach trzymali coś jakby długie strzelby, też owinięte czymś białym; dostrzec zbliżających się Rooskies nie było łatwo.

Obok w sponsonie zatrzęsała się i zagrzechotała karabinowymi strzałami mitralieza. Ktoś krzyczał, ktoś wołał coś na górze, grzmiała haubica. Na brzegu lasu, jak w pierwszej wizji Molly, waliła szybkostrzelna artyleria „Herkulesa”, pociski i odłamki siekły drzewa, tłusty czarny dym tworzył szczelną zasłonę. Strzelano również z okopów: Molly widziała, jak obsługa dział zadziera lufę armaty, odbiega, kuli się i zaciska uszy, a potem szarpie za sznur spustu.

Rooskies pozostali na brzegu lasu – zalegli, zniknęli w śniegu pośród przesuwających się zasłon czarnego dymu. Molly wstrzymała oddech, nie była w stanie oderwać się od szczeliny. Brzdęk, brzdęk, brzdęk. Krótki ryk.

– Przerwać ogień! – krzyknął jakiś oficer. – Monce! Do ciebie mówię! Przerwać ogień! Dość, starczy! Bo nie podejda bliżej!

Nie podejda bliżej? – Molly nie zrozumiała. No przecież o to chodzi, żeby nie podeszli!

W nagłej ciszy coś huknęło na brzegu lasu, wzniósł się biały obłoczek dymu i po panczerzu pociągu coś z brzękiem smagnęło. Stojący przy mitraliezie Monce zawołał:

– Głupcy, nie przebiją pancerza, tylko się zdradzą!

I rzeczywiście, biały obłoczek jeszcze wisiał w powietrzu, a w to miejsce już uderżyły dwa trzycalowe pociski. Monce zaśmiał się histerycznie:

– Dostaliście?! Dostaliście?!

Molly skuliła się, zwinęła w kłębek, jak kotka Di. „Herkules” milczał. Nie strzelano również w okopach.

Molly z drżeniem przywarła do szczeliny. Wiatr powoli rozwiął dym, odsłaniając ścięte pnie sosen. Ktoś przy wagonie pancernym krzyknął, znów ryknęło z prawej strony, w pobliżu ostatnich wagonów „Herkulesa” śnieg nagle zawirował, wzbił się do góry i ubrane na biało postacie nagle znalazły się tuż przy drucie kolczastym. Jegrzy nie zdążyli otworzyć ognia, a ponad słupami jakby samo z siebie rozwinęło się szerokie białe płótno i kilkudziesięciu Rooskies rzuciło się po nim do transzei. Po prawej i lewej strzelano z karabinów, kilka postaci w bieli ścięło z narzuconego płótna. Ale wielu zdążyło przebiec i wdrzeć się do okopów.

Nawet stąd Molly słyszała dzikie, szalone, mrozące krew w żyłach wycie. Z ludźmi, którzy tak krzyczeli, musiało się dziać coś naprawdę strasznego. Dziewczynka chciała skulić się jeszcze bardziej, zapaść pod podłogę, zacisnąć uszy, zamknąć oczy, a najlepiej zakopać się pod kołdrę na swojej koi i żeby obok mruczała Diana, i żeby to wszystko okazało się tylko strasznym snem.

„Herkules” znów wypluwał pociski, które spadały pomiędzy brzegiem lasu a tą transzeją, do której wdarła się grupka Rooskies. Po transzei już biegli jegrzy, lśniły w zimowym słońcu wzniesione bagnety, a tam, w okopach, do których wdarł się wróg, wszystko ucichło. Nie było żadnego dźwięku, żadnego ruchu.

I nagle właśnie tam poleciały pociski z pociągu. Jego szybkostrzelne działa waliły nad transzeją, nad okopami podniósł się dym, a łańcuszek żołnierzy, niczym mrówki na ścieżce, czekał, przygięty, przyciśnięty do dna wijących się parowów. Wybuch, drugi, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze...

– Z lewej! – To chyba znowu Monce.

Ta sama grupka białych widm. Korzystając z tego, że cała uwaga żołnierzy i artylerzystów „Herkulesa” była przykuta do prawej flanki, kolejny oddział Rooskies niespodziewanie podszedł aż do drutów i narzucił na nie takie samo płótno, kierując się prosto na wzniesione bagnety jegrów.

– Ognia!

Molly rozszerzonymi z przerażenia oczami widziała, jak salwa zmiotła z płótna pół tuzina Rooskies, jak na ich białych szatach rozplływały się czerwone plamy

krwi. Ale jakby spod ziemi przy okopach zjawiała się druga grupa barbarzyńców, pobiegli za pierwszymi, skacząc prosto na głowy i ramiona broniących się jegrów.

Molly widziała, jak postać w białej szacie przebiły naraz dwa bagnety i jak potem dwóch jegrów, których broń utknęła w ciele, upadło, jeden przebity bagnetem, drugi zwalony strzałem z bliska.

– Ognia! – wrzeszczał ktoś.

Armaty „Herkulesa” huknęły znowu, powalając i swoich, i wrogów. Molly wydawało się, że świat się rozpada. Pociski mieszały śnieg z ziemią i krwią.

– Siwa! Siwa na godzinie trzeciej! – wrzasnął Monce i jego mitralieza splunęła ogniem.

Prosto na pociąg pancerny, prosto na Molly pędziła wielka szara niedźwiedzica, wzbijając za sobą chmurę śniegu. Śnieżny pył wznosił się wyżej, rozpląwał coraz szerzej, zamykając widoczność artylerzystom „Herkulesa”.

– Aaa! – krzyknął Monce, a mitralieza zgrzytnęła strasznie i zamilkła.

Zastąpiły ją inne, śnieg wokół Siwej kipiał od kul, lecz ona pędziła dalej, nietykalna. Monce nie wytrzymał pierwszy, zawył, odskoczył od niemej mitraliezy, potknął się i rozłożył jak długi na podłodze. Przebity strachem jak kulą leżał – młody, chudy chłopak z zapadniętymi policzkami, jakich wielu w fabrykach i w dokach Nord Jorku. Zwyczajny jego mieszkaniec. Zwyczajny poddany Jej Wysokości. Jego wzrok, wzrok szaleńca, skrzyżował się ze spojrzeniem Molly.

– Uciekaj! – wychrypiał chłopak.

Lecz ona nie uciekła. Wstała i jakby prowadzona nieznaną siłą, podeszła do porzuconej przez Monce’a mitraliezy. Niedźwiedzica była coraz bliżej, coraz wyżej podnosiła się śnieżna zasłona. A za nią kryły się kolejne szeregi Rooskies. Jej dłonie same spoczęły na rękojeściach. Nie miała pojęcia, jak strzelać, co trzeba zrobić, zwłaszcza że działo było przecież zaklinowane... Jej dłoń już ścisnęła rękojeść zaworu obrotowego, pociągnęła w swoją stronę. Blok luf obrócił się, zaskoczył, coś szcęknięło i mitralieza splunęła ogniem.

Na karku wielkiej niedźwiedzicy wykwitła czerwona plama. Zwierz skręcił gwałtownie, śnieg wzbił się jeszcze wyżej i Siwa zniknęła. A z podniesionej przez nią zamieci jeden za drugim wyłaniali się Rooskies. Wszyscy w białych szatach, z długimi muszkietami, a może fuzjami, z zatkniętymi w nie bagnetami. Spadli na żołnierzy w transzejach jak stado polarnych sów na łatwą zdobycz.

– Maggie! – Skądś zjawił się starszy oficer, komodor Cartwright. – Boże, co ty tu...

– Stała przy mitraliezie, sir! – krzyknął ktoś. – Siwą trafiła!

– Siwą? Connors, ludzi tu, szybko! – I zawołał na górę: – Ognia, ognia!

Czyjeś ręce odepchnęły Molly od mitraliezy, zatupały nogi, po trapach pobiegli ludzie. Cała prawa burta „Herkulesa” wypływała kule i pociski, na zrytym śniegu, pośród linii transzei zostawało coraz więcej nieruchomych ciał w białych szatach, na których rozkwitły czerwone maki.

Zawyła syrena, pociąg pancerny szarpnął się, cofając. Molly odrzuciło od szczeliny, dziewczynka już niczego nie rozumiała. Jak to, dlaczego, po co? Czemu się cofają? A przecież właśnie się wycofywali! Co prawda, niedaleko. „Herkules” zamarł znowu, huknął wszystkimi działami. Strzelały ostatnie wagony, pan Cartwright wykrzykiwał rozkazy, a na Molly spadła jak jastrząb pani bosman:

– Maggie! Zwariowałaś! Co ja ci...

– Panno Walles! Nie teraz! – huknął starszy oficer.

– Do kajuty! Potem porozmawiamy! Tu się takie...

– Tak jest, *ma'am!* – pisnęła Molly.

W huku dotarła do wąskiego przedziału i wspięła się na swoją półkę. Jak za sprawą czarów zjawiała się Diana, wskoczyła na stolik, potem do Molly i zamruczała uspokajająco, jakby nie bała się strzałów ani huku. Walka jednak nie cichła, waliło ze wszystkich stron i Molly mogłaby przysiąc, że wybuchy dochodzą z końca pociągu – stamtąd, dokąd biegły prowadzące do Nord Jorku tory.

A potem łupnęło tak, że Molly podrzuciło na półce i nawet nieustraszona Diana wrzasnęła dziko, chowając się pod kołdrą. Łupnęło, zadygotało i ścichło. Wszystko, od razu. Jak nożem uciął. Jakiś czas później zmęczony telegraf brzęknął, pokazując w okienku upragnione: „ALARM ODWOŁANY!”.

Chwilę później do przedziału wpadła pachnąca smarem i prochem pani bosman.

W Molly jakby coś pękło, zeskoczyła z półki, objęła panią Walles i się przytuliła.

– Pani Barbaro!

– Maggie, dziewczynko, chwała Bogu, że zachował cię całą i zdrową! – Pani bosman siadła ciężko na dolnej półce. – Ale się porobiło... Opowiadali mi, że sama stanęłaś do mitraliezy i Siwą zraniłaś?

Molly przełknęła w końcu zdradziecką kulę w gardle, skinęła głową.

– Przecież zaklinało ją na amen? – Panna Barbara pokręciła głową, kładąc obie ręce na ramionach Molly. – Sama widziałam! Bolec wpadł w mechanizm

obrotowy i utknął, blok luf nie powinien się ruszyć!

– Ja... ja nie wiem, *ma'am*... – wykrztusiła Molly. – Ja zobaczyłam niedźwiedzia...

– Niedźwiedzicę. Nazwaliśmy ją Siwa. Ale o tym chyba słyszałaś...

Molly pokręciła głową.

– Och, co za dzień – westchnęła pani bosman. – No więc, Maggie, Siwa to...

– Proszę o wybaczenie, *ma'am* – przerwała jej Molly, która nagle nabrała śmiałości. – O Siwej opowiedział mi już pan Cartwright. A co tak walnęło na koniec? I potem wszystko ścichło?

Panna Barbara przygryzła język.

– Bystra jesteś, junga. Ech, nie chciałam cię straszyć, ale widzę, że przed taką spryciarą jak ty nic się nie ukryje. Rooskies zniszczyli szyny za naszymi plecami. Dopóki tego nie naprawimy, nie ruszymy się z miejsca.

– Ojej... i bardzo zniszczyli?

– Bardzo, junga. – Pani bosman znów uśmiechnęła się do dziewczynki, która z wrażenia zapomniała o subordynacji. – Lej na dwadzieścia jardów, tory skręcone w korkociąg, po podkładach nie ma nawet wspomnienia. Nie wiem, jak to zrobili. Kiedy się tam dostali, jak podłożyli ładunki? A jednak im się udało. Jak mawia starszy oficer: *Prosoczilis'*, co podobno znaczy w tym ich barbarzyńskim języku: przeciekli. Krótko mówiąc, dopóki nie zasypimy dołu i nie położą nowej pętli torów, będziemy tutaj sterczeć.

– *Ma'am*, a... a kiedy naprawią?

– Nie bój się, sikorko, szybko. Całą noc będą pracować, do rana powinni wszystko naprawić.

– A... ale Rooskies na pewno wiedzą, że będziemy naprawiać tory? To po co wysadzali, ludzi tracili?

– Oni nie liczą się i nigdy nie liczyli się z ludźmi – prychnęła panna Barbara. – To się u nich nazywa... och, pan Cartwright mówił... O, *na miru i smiert' krasna*[17], czyli na świecie śmierć ma kolor czerwony. Oni ten kolor bardzo szanują... A gdy umierają, to faktycznie są cali w czerwieni. Tory wysadzili, bo może planują uderzyć w innym miejscu i nie chcą, żeby „Herkules” zdążył z pomocą. Ale nic im to nie da, jest jeszcze stary „Hektor”, są „Achilles” i „Patrokles”. I tam ich odbiliśmy. Słyszałam, że lord Spencer spieszy tutaj z pomocą. No, nie zwieszaj nosa na kwitnę! Jeszcze powalczymy!

– Wiem... – westchnęła Molly.

Po wszystkim, co się dziś stało, po ciepłych i lepkich od cudzego potu rękojęściach mitraliezy, po rozkwitłym na grzbiecie Siwej krwawym kwiatku Molly znalazła się jakby między dwoma światami. W jednym była wystraszoną dziewczynką z porządnej rodziny Nord Jorku, która nie mogła uwierzyć w to, co się stało: jak mogła do kogoś strzelić, nawet jeśli było to tylko drapieżne zwierzę. A w innym była Molly Blackwater – uciekinierką, która przechytryła Departament Specjalny, oszukała dowódcę pociągu pancernego i pod przybranym nazwiskiem walczyła o swoje życie.

– I jeszcze kapitan chciał cię widzieć. – Panna Barbara uśmiechnęła się słabo. – Starszy oficer Cartwright legendy o tobie opowiada: jak to zmusiłaś Siwą do odwrotu, ilu Rooskies, kryjących się za śniegiem, zastrzeliłaś...

– Zastrzeliłam...? – wykrztusiła Molly słabym głosem.

– No tak. – Panna Barbara nie zwróciła uwagi na brak formalnego zwrotu. – Ale nie przejmuj się tym, junga, oni atakują, my się bronimy.

Wszyscy mówią: my się bronimy, pomyślała Molly, przypominając sobie Wsiesława. Ale przecież przedgórza... Przecież tu byli kiedyś Rooskies, mieszkali tutaj, prawda?

I ostrożnie spytała o to na głos.

– Też coś! – Pani bosman machnęła ręką. – To przecież barbarzyńcy! Siedzą na swoich ziemiach, nic nie robią i wydobywać niczego nie pozwalają. Ani węgla, ani rudy, ani lasu! A Królestwu jest to wszystko potrzebne, bez tego nic nie zrobimy! To my jesteśmy postępem, my odkryliśmy wiek pary; ponoć tylko patrzeć, jak pojawiają się powietrzne statki. Potrzebujemy stali, dużo stali i jeszcze więcej węgla! Ziemi na południu jest mało, ludzi ciągle u nas przybywa. To gdzie zakładać nowe farmy? Tylko tutaj! Rozumiesz teraz, sikorko?

„Sikorka”, prawdę mówiąc, niewiele zrozumiała, ale na wszelki wypadek kiwnęła głową.

– A Siwa... – odważyła się jeszcze Molly. – Starszy oficer mówił, że nawet niektórzy oficerowie wierzą w różne przesady...

– Siwa robi dziwne rzeczy. – Panna Barbara zniżyła głos do szeptu i nawet obejrzała się na drzwi. – Ludzie mówią, że to wcale nie jest niedźwiedzica. Kiedyś sama takich gadułów uciszałam, a teraz to już nie wiem. Widziałaś, jak śnieg się za nią unosił? Jak coś takiego może się zdarzyć? Jaki wiatr mógł go tak podnieść?

– Ale panno Barbaro, jak to możliwe? To przecież zwierz, zwykły zwierz, tylko



wielki, prawda?

– Niby tak, sikorko, ale nie wiem, jak to wszystko wyjaśnić. I nikt nie wie.

– Może to m-m...

– Czego meczysz, junga?

– Może to m-magia...

– O, zaraz magia! – skrzywiła się pani bosman. – Monce, ten, który spanikował przy mitralizie, on lubi takie bajki opowiadać. Że niby Rooskies władają niezwykłą magią i mają moc nad zwierzętami. Albo że sama Siwa to wcale nie żaden niedźwiedź, lecz czarownica. Jak można takie głupoty gadać?! Przecież magia, jak się do kogoś przyczepi, wykańcza człowieka szybko, w kilka tygodni, no, najwyżej miesięcy, a bajki o Siwej krążą z pięć lat! Człowiek nie może sterować taką mocą, bo spłonąłby w jednej chwili! Myślisz, Maggie, że w Królestwie nie próbowali jej wykorzystać, nie próbowali badać, tak zrobić, żeby służyła ludziom, żeby postęp jeszcze szybciej szedł?

– N-nie wiem...

– Ano widzisz, sikorko. Próbowali i to nie raz! A kończyło się to zawsze tak samo: magik najpierw przemieniał się w potwora, a potem płonął, zabierając ze sobą wszystkich, którzy byli obok. Próbowali, próbowali, aż wreszcie lordowie i parowie Królestwa poszli do Jej Wysokości i zakazano w Królestwie wszelkiej magii, jako przypadłości szczególnie niebezpiecznej.

– A czy choroby można zabronić?

– Zabronić niby nie, ale poddać kwarantannie nie zaszkodzi, tak samo z magią. A Rooskies, choć są barbarzyńcami, ulepieni są z tej samej gliny co i my. Krew mają równie czerwoną, serce w tym samym miejscu, płuca i całą resztę tak samo. Ludzie nie mogą panować nad magią, koniec, kropka! Gdyby było inaczej, Królestwo już dawno władałoby wszystkim, co potrzeba.

– Ale Siwa...

– Wielu jeszcze rzeczy nie wiemy, sikorko Maggie, bardzo wielu, ale sama widziałaś: Monce stchórzył właśnie dlatego, że wierzy w bajki. A ty nie wierzysz i zaczęłaś strzelać do niedźwiedzia.

– A gdyby Siwa dobiegła do „Herkulesa”?

– I co by się niby stało? – Pani bosman klasnęła w ręce z niezbyt przekonującą beztroską. – Nic by się nie stało! Panczerza nie przegryzie, „Herkulesa” łapami z torów nie zepchnie!

– To po co tak biegła, panno Barbaro?

– A dlatego, że to Rooskies. Tutaj nawet niedźwiedzie, jak to się mówi, są jak oni. Nie bój się tak, sikorko, nie blednij, żartowałam! Zapamiętaj, co najważniejsze: nie ma w tym żadnej magii i być nie może. A jeśli jest, jeśli Rooskies nic nie zrobią ze swoimi magami, tym gorzej dla nich! I dla tych pierwszych, i dla tych drugich, rozumiesz, junga?

– Tak jest, *ma'am*, rozumiem!

– I bardzo dobrze. A teraz chodźmy do kapitana.

Ale zanim zdążyły przekroczyć próg bosmańskiego przedziału, nagle ciszę rozdarły wszystkie co do jednej syreny „Herkulesa”. Di podskoczyła na czterech łapach prawie pod sufit, wystraszona Molly chwyciła za rękę panią bosman; ta tylko zgrzytnęła zębami, patrząc na czerwone słowo w okienku telegrafu: „ALARM!”.

Od razu zatrajkotały mitraliezy z obu burt, walnęło jedno działo, po nim drugie. Panna Barbara zawołała: „Siedź tutaj!” i wybiegła, jednak Molly nie miała zamiaru siedzieć w kajucie jak w klatce. Pobiegła za panną Walles, która pędziła centralnym przejściem „Herkulesa”, a wokół niej rozpętało się prawdziwe piekło.

Z krzykami i przekleństwami, od których pani Blackwater od razu by zemdlą, żołnierze biegli do dział, zajmowała miejsca obsługa mitraliez. Wariując, dławili się przegrzaną parą cylindry, tłoki błyskawicznie popychały skrzynki z pociskami, naboje prochowe i pociski artyleryjskie.

– Zaatakowali! Rooskies! Dźwig! Wysadzili! Pali się! – dobiegały zewsząd oszalałe krzyki.

Molly szybko skręciła, pobiegła na górę po wąskich schodkach trapu. Znała „Herkulesa” jak własną dłoń, tyle razy rysowała przeciw jego plany. Trap prowadził do jednej z wież obserwacyjnych, gdzie teraz, nie wiedzieć czemu, nikogo nie było.

W środku znajdował się za to peryskop z pierwszorzędną optyką, wylot poczty parowej, dźwignie sygnałów alarmowych i telegrafu maszynowego: „przeciwnik z lewej”, „przeciwnik z prawej”, „piechota”, „kawaleria”, „artyleria” i tak dalej. Co się stało z obserwatorem z tej wieży, Molly się nie zastanawiała. Rozejrzała się i usłyszała zdecydowane „Miau!” – Diana z ważną miną usiadła obok żelaznego taboretu.

– A co ty tutaj robisz?! – zaatakowała ją Molly.

Ale kotka najspokojniej w świecie zaczęła się myć, jakby próbując zatrzeć

wrażenie niedawnego przestרחu. Widząc, że zwierzak nie wyjdzie stąd z własnej woli, a ganiecie się z nim było ostatnią rzeczą, jaką należałoby się teraz zajmować, junga „Herkulesa” tylko westchnęła i przywarła do okularu.

Zimowy wieczór jeszcze nie zdążył rozlać się na dobre, ale słońce już schodziło za ostre wierzchołki zaśnieżonych drzew. Atak Rooskieś chyba został odparty, zadowolili się wysadzeniem torów „Herkulesa”. Co się stało z zajętymi transejami i okopami, Molly nie wiedziała, nie zdążyła spytać pani bosman. Widziała pole z licznymi dołkami po pociskach. Widziała biegających po przejściach między okopami strzelców i jegrów, odwracające się działa... Nie widziała tylko jednego – przeciwnika.

Z tyłu, za ostatnimi wagonami, faktycznie coś płonęło, dymiąc straszliwie. Nawet bez żadnej lornetki widać było szycę dźwigu kolejowego, leżącego na boku i zrzuconego z torów, tam gdzie przez całą noc miały być prowadzone prace remontowe.

Działa waliły bez ładu i składu, żołnierze w okopach strzelali, a Molly nijak nie mogła zrozumieć gdzie i w kogo. Pociski spadały albo w pobliżu lasu, albo blisko linii okopów, bez żadnego porządku. Molly była pewna, że jej oczom ukaże się zaraz Siwa albo inny niedźwiedź z wilkiem obok, ale chociaż rozglądała się dookoła, nic takiego nie widziała.

Za to bardzo wyraźnie ujrzała coś innego.

Zasłonę. Zasłonę na swoich oczach. Jakby silny wiatr wiał jej w twarz, niosąc śnieżne pociski, ostre, zimne bryłki siekły policzki i czoło. A przecież tak naprawdę tego nie było. Nie stała pod gołym niebem, jest w wieży Herkulesa, gdzie nie przeniknie żaden wiatr. A więc to... to magia, zrozumiała nagle. Magia rzuca zasłonę na pociąg pancerny i wszystkich, którzy w nim są. A tak naprawdę...

Białą postać, która sama jedna brnęła do „Herkulesa”, Molly spostrzegła nie od razu; pojawiła się znikąd, jakby utkana z powietrza. Biała postać w długiej szacie szła chwiejnie, opierając się ciężko na białym kosturze. Twarz krył głęboki kaptur, ale chód był ciężki – tak w Nord Jorku chodzili zmęczeni życiem starcy.

I chyba nikt jej nie widział. Nikt prócz Molly. Dziewczynka ostro szarpnęła rączkę telegrafu: „piechota”, „na prawej burcie”, dalej, dalej!

Postać stanęła. Wsparła się ciężko na kosturze, wyprostowała i spojrzała prosto w twarz Molly, przez te wszystkie lunety, peryskopy, soczewki i lustra. Starucha. Wiekowa, pomarszczona starucha. Suche, wyblakłe wargi drgnęły, układając się w krzywy uśmiech. Ręce, zagięte i powykręcane niczym konary, które miały już swoje lata i groził im upadek, wyciągnęły się do Molly przez stal i pancerz.

Molly krzyknęła – jej twarzy dotknęły nagle lodowate palce, wpiły się boleśnie w policzki, pociągnęły, jakby starucha chciała ją wyrwać z wieży.

„Chodź tutaj, chodź tutaj, chodź tutaj...”

Molly zakręciło się w głowie. Szept zdawał się płynąć zewsząd. Di zasyczała wściekle, jeżąc sierść i ogon. Starucha zachwiała się nagle. Jej twarz wykrzywiła dzika nienawiść. Zrobiła kolejny krok i znalazła się przy burcie wagonu.

Ostatnie, co zobaczyła Molly przez swój peryskop, to jak na starej zapaliła się biała szata i postać, niczym żywa pochodnia, przyłgnęła do pancernych płyt „Herkulesa”.

Dla Molly czas się zatrzymał. Zamarł harmider walki, krzyki ludzi, huk broni, trzask mitraliej – wszystko ucichło. Ośłupiała dziewczynka patrzyła w dół, gdzie na burcie pociągu rozpływała się plama rozgrzanego do czerwoności metalu. Stal zrobiła się purpurowa, potem biała. Na koniec spłynęła, topiąc się niczym lód w wiosennym słońcu.

Jakby nie czując żaru, do środka weszła postać w białej szacie, cała w płomieniach. Ogień buchał, lecz szata starej pozostała dziewiczo biała, nietknięta ogniem, nieubrudzona sadzą. Śmierć przyszła, zrozumiała nagle Molly, drętwiąc z przerażenia. Nie widziała ani twarzy, ani oczu, nie widziała nic prócz płomieni, płynących strumieniem z palców postaci.

W tej samej chwili coś ze straszną siłą uderzyło w wieżyczkę z dołu, rozrywając zamocowania i śruby – stalowa pokrywa razem z Molly wyleciała w powietrze. A wszystko to bez jednego dźwięku, jakby ktoś zadbał o to, żeby Molly nie popękała błona bębenkowa. I powoli, jakby w trosce, by miała czas obejrzeć wszystko dokładnie. Niczym we śnie wieża przepłynęła w powietrzu, ukazując Molly obraz zniszczenia i śmierci.

Przednią połowę pociągu wypełniały płomienie: ogień wyrywał się ze wszystkich szczelin i styków, wyważał pancerne drzwi i osłony na ambrazurach, chciwie sięgał po ludzi, skaczących w śnieg z tego piekła. Bezgłośny wybuch rozpruł burty pierwszego wagonu. Stalowe ściany rozstępowały się, rozpadały, niczym ścianki w domku dla lalek, a w niebo strzelał rudo-czarny grzyb. Molly nadal otulała szczelna cisza, jakby ktoś zatkał jej uszy watą, czuła jedynie nacisk – jak wtedy, gdy nurkuje się głęboko w wodzie.

Wokół niej ratującą się załogę „Herkulesa” kosiło odłamkami; tam, gdzie niedawno stał pociąg pancerny, trwały wybuchy, wylatywał w powietrze zapas amunicji. Ośłupiała Molly zastygła w swojej wieżyczce i nie poczuła nawet, kiedy

runęła w śnieg. A potem nastąpiło uderzenie tak silne, że pociemniało jej w oczach. Nieznana siła, chroniąca ją w pierwszych chwilach wybuchu, zniknęła.

Cisza wokół ustąpiła miejsca hukowi wybuchów, od których dzwoniło w uszach i mroczyło w oczach. Molly wcisnęła się w stalową wieżę, zamknęła oczy, nie była w stanie ruszyć się ani pomyśleć. „O mamusiu...” Huk odrzuconej pokrywy, lodowate powietrze pachnące prochem...

– Maggie! – ktoś zawył jej tuż nad uchem. Zaryczał dziko, jak zwierzę.

Czyjaś ręka złapała ją za kark, szarpnięciem wyrwała z wieży, przycisnęła do śniegu. Pani bosman! Oczy rozszerzone szaleństwem, twarz umazana sadzą i krwią, nie wiadomo, swoją czy cudzą.

– Jesteś cała? Ranna?

Nim Molly zdążyła odpowiedzieć, Barbara już ciągnęła ją za sobą, odczołgując się od płonącego składu amunicji. Całego przodu pociągu już nie było, płomień lizał pancierz pierwszego parowozu, jednak z ocalałych tylnych wagonów już waliła artyleria, osłaniając tych, którzy przeżyli. Śnieg wciskał się w rękawy, za kołnierz, twarde i zimny, drętwiały nadgarstki – to było chyba jedyne wrażenie, prócz piekielnego huku, które spadło na Molly ze wszystkich stron.

Panna Walles czołgała się szybko i zręcznie, rozplaszczając i wiła, ciągnąc za sobą sparaliżowaną Molly. Obok nich czołgał się jeszcze ktoś; wokół świstały kule i pociski, a Molly mogła robić tylko jedno: oddychać. Ktoś krzyczał wściekle, ktoś wył z przerażenia, ktoś przeklinał. Panna Barbara upadła z góry na Molly, osłaniając ją sobą.

– Boże, żeby tylko wyciągnąć, żeby tylko ciebie wyciągnąć... – usłyszała Molly gorączkowy szept pani bosman. Jej rozszerzone oczy wypełniało szaleństwo.

– Rooskies! – zawyli żołnierze tuż obok. Barbara szarpnęła się konwulsyjnie i Molly zdołała unieść się na łokciu.

Postacie w białych szatach z zasłoniętymi czymś białym twarzami, z długimi dziwacznymi karabinami i zatkniętymi na nich długimi bagnetami, byli tuż-tuż. Molly widziała, jak jeden z nich zadygotał, jego pierś załapała się czerwienią i upadł na stratowany śnieg, nie wypuszczając z ręki karabinu.

Barbara ryknęła, zerwała się, szarpnięciem podnosząc Molly. Jedną ręką przerzuciła sobie dziewczynkę przez ramię i zaczęła biec. Od ocalałych wagonów „Herkulesa” spieszyła pomoc; załoga pociągu, strzelcy, jegrzy biegli i strzelali, strzelali – stojąc, klęcząc, w biegu – i Rooskies zaczęli padać. Ale byli już bardzo blisko, ze wszystkich stron otaczając grupkę ludzi z załogi „Herkulesa”.

– Maggie! Maggie wyciągnijcie! – wrzeszczała co sił w płucach panna Barbara. Jęknęła ciężko i potknęła się, jakby wpadła na niewidzialną przeszkodę, a potem upadła twarzą w śnieg.

– Panno Barbaro! – pisnęła Molly, podnosząc się i próbując ciągnąć za sobą panią bosman.

– Uciekaj! – wychrypiała kobieta. Jej twarz wykrzywił ból, a ręka sięgała do biodra i Molly spostrzegła nagle, że cała dłoń panny Barbary jest we krwi.

Ktoś do nich podbiegł – starszy oficer Cartwright! Strzelał z dwóch rewolwerów naraz, ale straszni, pozbawieni twarzy Rooskies już byli wokół nich.

– Nie! – krzyknęła nagle Molly. – Nie, ja nie chcę! Wynoście się stąd, wszyscy! Wynocha! Precz!

Podniesione karabiny, palce na spustach. Błysk bagnetu, wzniesionego nad panną Barbarą.

– Nie chcę!

Molly zerwała się na równe nogi, wystawiając przed siebie prawą rękę. Jakby jej dłoń naprawdę mogła zatrzymać bagnety i kule...

– Nie!

– Maggie! – krzyknął ktoś z załogi „Herkulesa”. – Junga! Ratujcie jungę!

W twarz Molly uderzył nagle wściekły wiatr, w uszach huczała krew. Stała pochylona, z wysuniętą przed siebie ręką, z zaciśniętymi zębami. Lufy strzelb Rooskies splunęły ogniem.

– Nie!!!

Coś szczelnego, niewidzialnego, ale namacalnego rozwinęło się wokół niej, wokół panny Barbary, starszego oficera, kilku artylerzystów i strzelców z załogi pociągu pancernego. Molly zobaczyła, jak zamierają w zdumieniu postacie w białych szatach. Coś ciepłego spłynęło z palców Molly. Coś ciepłego, dobrego, znajomego osłoniło ją, wzięło w obronę.

Kule znieruchomiały i spadły w śnieg. Rooskies zatrzymali się, ale nie wyglądali na stropionych. Przeciwnie: jakby dobrze wiedzieli, co teraz trzeba zrobić, wszyscy naraz padli na ziemię, unikając lecących w ich stronę kul.

Magia, pojęła nagle Molly. Tworzę magię. Celują we mnie lufy karabinów, ale nic nie mogą mi zrobić. Trzymam tarczę, chronię pannę Barbarę i pana Cartwrighta, i wszystkich na „Herkulesie”, którzy byli dla mnie dobrzy...

– Maggie... – usłyszała wstrząśnięty szept pani bosman.

Odwróciła się: panna Walles uniosła się na łokciu, przyciskając drugą dłoń do przebitego biodra, pod nią na śniegu rozlewała się plama krwi. Patrzyła na nią ogromnymi oczami. Już wie, pomyślała Molly.

Walka skończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła. Rooskies w białych szatach wycofywali się, odczołgivali, szybko i zręcznie, nadal trzymając na muszce ocalałych z „Herkulesa”. Wysunięta dłoń Molly nagrzewała się coraz bardziej, jakby dziewczynka wsunęła palce w garnek z gotującą się wodą.

– Maggie! – głośno, z rozpaczą krzyknęła panna Barbara.

A któryś z artylerzystów zawył wściekle, z palącą nienawiścią:

– Wiedźma!

Wiedźma. Nazwał mnie wiedźmą. Wszyscy już zrozumieli. Myśli, krótkie i ciężkie, spadały jej na głowę jak ciężkie cegły.

– Teraz my wszyscy... Ona... ona nas wszystkich...! – wrzeszczało już kilka głosów.

Szczęk, ostry i twardy. Molly rozumiała, że to dźwięk przeładowania karabinu, ale nadal nie mogła w to uwierzyć.

– Co wy? – krzyknęła panna Barbara. – Zwariowaliście? Strze...

Nic więcej Molly już nie słyszała: tuż przed nimi śnieg wzbił się, zawirował, skoczył w górę wściekłą zamiecią, a z tej zamieci, osłaniającej wycofujących się Rooskies, wyskoczyły dwa zwierze. Biały polarny wilk i wielki niedźwiedź, białoszary, ale nie tak wielki jak Siwa. Wilk jednym susem wybił podniesiony rewolwer i przewrócił pana Cartwrighta na śnieg, a potem skoczył, uderzając łapami w plecy Molly, rzucając ją na śnieg. W chwilę później niedźwiedź, który znalazł się obok, kłapnął szczękami, chwytając kołnierz jej kurtki.

Pani bosman zawyła dziko.

Molly padła jak worek z mąką. Magia – czy co to było? – znikła, zostawiając po sobie wrażenie straszliwej pustki i oparzenia, które pojawiły się na dłoni – tej, którą Molly wystawiła przed siebie.

Pustka w środku. Nie ma siły oddychać, nie ma siły patrzeć. Zresztą, po co? Molly jakby zapadła się pod lód, schodząc coraz głębiej, a nad jej głową zamykały się ciemne wody. Serce, możesz się już zatrzymać. Po co bić? Nie ma po co. Wszystko stracone.

Niedźwiedź ryknął ochryple, machnął łbem, wrzucając sobie Molly na grzbiet. Zwierzę rozwarło szczęki i ruszyło, a dziewczynka jakimś cudem trzymała się jego

karku, choć jej ręce zwisały bezwolnie po obu stronach.

– Maggie! – krzyknęła za nią pani bosman. I znów, z rozdzierającą rozpaczą: – Córeńko...!

A ktoś z załogi pociągu nacisnął spust, mierząc w wiedźmę, kula gwizdnęła tuż obok. Niedźwiedź skoczył w bok, z tyłu mknął za nim biały wilk i spod jego łap tryskał śnieg, wznosząc się, wirując, osłaniając uciekinierów nieprzebytą zasłoną.

Molly wtuliła twarz w siwe futro. Nie miała siły się ruszyć, nie miała siły zsunąć się z jego karku. Moje serce staje, pomyślała nagle Molly. No tak, przecież sama mu powiedziałam: możesz się zatrzymać. Przez chwilę wydało jej się to śmieszne. No proszę, umieram, bo sama sobie kazałam. Wściekle zaryczał niedźwiedź, zawył gdzieś obok wilk, zakołysała się ziemia. Śnieg zasnuł wszystko wokół i Molly już nic więcej nie widziała.





**CZĘŚĆ  
DRUGA**

**KARN DRED**



Ciemność była cicha i ciepła. I aromatyczna. Smacznie aromatyczna. Zapach ziół i owoców – malin, jagód, poziomek – otaczał Molly miękką osłonką. Chwilami przebijała goryczka, ale niezbyt mocna. A potem przyszło światło, również ostrożne, delikatne. Nie raziło w oczy, przeciwnie, niespiesznie zachęcało do ich otwarcia. I gdy Molly wreszcie je otworzyła...

...znalazła się w głębi ciepłego stawu, jakimś cudem mogła oddychać pod wodą. Nad jej głową wisi słońce w zenicie, ale nie paliło. Z dna stawu wznosiły się leniwie rozkołysane długie, zielonkawe taśmy wodorostów, których nazw Molly nie znała.

Lot był wspaniały. Szybowała, szybowała nad dnem, usłanym kamieniami i kawałkami drewna, dającymi schronienie wielu małym stworzonkom. Wokół przemieszczały się żabki, trytony i wodne jaszczurki. Duże żuki trudziły się nad dzwoneczkami, niestrudzenie pracowały pająki. Pająki pływaki przesuwały się to tu, to tam; nad powierzchnią trzepotały skrzydłami ważki.

– Molly... – zawołał ją jakiś głos, młody, dziewczęcy. Nie odwróciła głowy, było jej tak doobrzeeee... – Molly – powtórzył głos, z naciskiem. – Obudź się, Molly! Proszę, obudź się...

No trudno, trzeba. Wszystkiego dobrego, kijanki, tobie też, żabko! I tobie, wodna żmijko...! O, a kto tam jest? Nad powierzchnią stawu pochylał się biały wilk. Zupełnie jakby miał się napić, ale nie, on tylko wsuwał nos w wodę, śmiesznie rozwierał szczękę. Co on robi? Po co...?

– Wołam cię – odezwał się głos, teraz już z irytacją. – Wynurz się, Molly, zbudź się! Proszę cię! Tak ładnie cię proszę – dodał niepewnie.

Molly westchnęła, zrobiła wymach rękami i w kilku ruchach dosięgła powierzchni. Wysunęła głowę i...

...siedziała, dławiąc się i łapiąc za pierś rękami, w półmroku, na szerokim

i niskim łóżku. To nie było łóżko, do którego przywykła w domu, ani wąska koja w przedziale pani bosman. Przykrywała ją barwna kołdra, umiejętnie zszyta z małych kawałków. Pod plecami miała poduszkę, pachnącą suszonymi ziołami. W głowie łóżka płonęły trzy świece, na ścianach tańczyły czerwone odbłaski, jakby od palącego się w pobliżu kominka. Sufit ginie pod pękami ziół, jakichś korzeni i cebulek wszelkiej maści. Ściany też obwieszane były ziołami, a półki zastawione glinianymi słoiczkami i butelkami z ciemnego szkła.

A na ławie przysuniętej do łóżka siedział...

– Ty? – wyrwało się Molly, zamruwała oczami.

– Ja. – Wsiesław skinął głową, bo to był on we własnej, choć wychudzonej i zmęczonej osobie. Zapadnięte policzki, oczy głęboko pod brwiami, pod oczami ciemne kręgi. Szara koszula ze sprzączką, nie wiadomo dlaczego przesuniętą na bok, czerwony haft biegnie po kołnierzu i wyłogach. Jakieś krzyżyki, postacie – ciężko zrozumieć. Molly pomyślała, że ktoś naprawdę pięknie to wyhaftował, ona nigdy by tak nie zrobiła. Mamie na pewno by się spodobało.

Mama... Och... I czemu czuje taką słabość, nie może ruszyć nawet ręką...

– Gdzie ja jestem? – zapytała bezradnie.

I wspomnienia napłynęły z ostrą jasnością. Płonący „Herkules”, białe szaty atakujących Rooskies, pani bosman z przestrzelonym, krwawiącym biodrem... Białe wilk! I niedźwiedź, którzy wrzucił ją sobie na kark...

– Myśmy to byli – skinął głową Wsiesław.

– I należy się nam podziękowanie. – Zabrzmiał dziewczęcy głos. – Inaczej już byś nie żyła.

Dziewczyna mówiła znacznie lepiej w imperialnym angielskim niż Wsiesław. Z wyczuwalnym akcentem, lecz bez błędów. Stała obok chłopca, jedną nogę stawiając na ławie i opierając się łokciem o kolano, wysoka, szczupła, chyba piętnastoletnia. Bardzo, bardzo ładna i zupełnie inna niż szkolne koleżanki Molly. Delikatnie zarysowane kości policzkowe, wysokie łuki brwi, duże oczy, broda z dołeczkiem... I duże oczy w kolorze bursztynu. Molly nigdy i u nikogo nie widziała dotąd takich oczu. A zamiast włosów – Molly krzyknęła cicho – zamiast włosów dziewczyna miała wilcze futro. Białe futro polarnego wilka, niezbyt długie i gęste, spadające na wysoką szyję. Nosila ciemnoszarą kurtkę z sukna z takim samym złotym haftem jak u Wsiesława i szerokie spodnie, wpuszczone w miękkie skórzane buty.

– Ty, ty... – wyjąkała Molly, niegrzecznie wskazując ją palcem.

– Wołka. Tak w ogóle to Tańka, ale Wołka bardziej mi się podoba. W twoim języku to pewnie byłoby Wolfie lub Wulfi. Wolfie – powiedziała niemal czystym imperialnym. – Po naszymu *wolf* to *wołk*, podobnie, prawda?

– Podobnie – przytaknęła Molly. Boże drogi, czyżby to był wilk przemieniec? Wilkołak?! Aaa, ratunku!!!

Molly z trudem pokonała chęć schowania się pod kołdrę.

– Pij! – Wołka wsunęła w zdrętwiałe palce Molly kubek z czymś wrzącym. – Pij, to ci dobrze zrobi.

Wsiesław przez cały ten czas milczał, chyba usiłował nadążyć za rozmową, w napięciu marszczył czoło.

– Jestem starszą siostrą Wsiesława – mówiła dalej Wołka. – *Sister* – *siestra*, też podobnie prawda? Prawie tak samo.

Molly zdołała tylko skinąć głową.

Tak, rzeczywiście podobnie. *Siestra. Wołk. Wołk... Folk* – to naród, a *wołk* to w języku Rooskies wilk. Lud wilków. Jakie to wszystko bliskie. Jakie podobne. I jakie... pasujące, pomyślała Molly, patrząc na Wołkę.

– Pij – poleciła surowiej dziewczyna, widząc, że Molly się waha. – Jeszcze trochę i byś odeszła za *Kostianoj Predel*, głupia.

– Kościane co?

– No... krawędź, zrobiona z kości – wyjaśniła Wołka. – To znaczy, że omal nie umarłaś. No, pij wreszcie! – W bursztynowych oczach błysnęło coś wilczego.

Molly szybko przystawiła kubek do ust. Od lekko gorzkawego, mocnego aromatu od razu zakręciło się jej w głowie, napłynęła słabość.

– Od razu lepiej. – Wołka skinęła z aprobatą, Wsiesław też kiwnął. Patrzył na Molly bez uśmiechu (czego jej teraz bardzo brakowało), ale ze zdumiewającą dobrocią.

– W-wołka... a skąd ty... nasz język? – Myśli plątały się, słowa również.

– Skąd znam wasz język? Uczyłam się. Z waszymi... ee... jeńcami. Myślisz, że nie sposób nauczyć się waszego języka? Phi! To łatwe. Idę o zakład, że nasz będzie ci trudniej opanować.

– Opanować? – wyjąkała Molly. – P-po co? Czy wy mnie... co wy...

– A co myślisz – spytała nagle Wołka, nachylając się i zaglądając Molly prosto w oczy – że po to wyciągnęliśmy cię spod kul, żeby odesłać do domu, do rodziców?

Molly się wzdrygnęła.

– Ty, wilk przemieniec... wilkołak... ty mnie...

– Aleś ty głupia! – roześmiała się Wołka. Chwilę później, zrozumiawszy, czego wystraszyła się Molly, roześmiał się również Wsiesław. – Nie, nie zjem cię. Kto by jadł takie brudne, nieumyte dziewczynki... Poczekaj, jak cię w... no, w domu mycia[18]... eee... wyparuję... *evaporate*... ewaporuję... O, do licha! Sama zobaczysz. Krótko mówiąc, umyję. Bo teraz każdy szanujący się wilk od twojego zapachu dostałby silnego kataru: sadza, węgiel, smar, proch... I jeszcze pot – dodała bezlitośnie, a Molly zaczerwieniła się po nasadę włosów. – Twoje ubranie było całe w sadzy i krwi.

We krwi... Panna Barbara! „Córeńko!”

– Aa co się stało? – wyjąkała Molly. – Ja tylko pytam, nie chcę nikogo obrazić. Co się stało z...

– Z tą kobietą, która nazwała cię córką? Wsiesław ci powie, on tam wrócił, gdy ja zajmowałam się tobą i Priedsławą Młodsza.

– Priedsława? – znowu nie zrozumiała Molly.

– Wy mówicie na nią Siwa – wyjaśniła Wołka, a jej wzrok był teraz naprawdę wilczy. – Postrzeliłaś ją. Pamiętasz?

– Ja? – Molly się skuliła.

O rany, o rany, no tak, przecież trafiłam...

– Strzelałam do niedźwiedzicy – wykrztusiła dziewczynka i zamrugła, czując szczypanie w nosie. – Do zwierzęcia, nie do człowieka. I skąd wiecie, że...

– Do ludzi też nieźle postrzelałaś – powiedziała ponuro Wołka, wymieniając spojrzenia z bratem. – Do naszych. Ruskich.

No tak, to nie byli Rooskies Nord Jorku. Wołka wymawiała to słowo zupełnie inaczej.

– Siwa wiedzieć wszystko – odezwał się Wsiesław, próbując odejść od niebezpiecznego tematu. – Powiedzieć, że tylko magik móc w nią trafiać.

– Czas przeszły, bracie – skarciła go Wołka w imperialnym. – Ona miała ochronę, Blackwater. Dlatego wszystkie te wasze działa i mitraliezy nie mogły nic jej robić. A tobie się udało, szczęściem, niezbyt mocno. Nie jesteś jeszcze prawdziwą wołszebnicą. Prawdziwą czarodziejką.

– Ale masz moc – podchwycił Wsiesław – której potrzebujemy. Dlategośmy cię zabrali.

– Słyszeliśmy, jak krzyczeli do ciebie „wiedźma” – przerwała bratu Wołka. – Zastrzeliliby cię, Blackwater, jak nic. Na ich oczach uczyniłaś taką magię, że Departament Specjalny nie musiałby już niczego badać.

– Wszystko i tak było jasne – poparł siostrę Wsiesław. – Oni by cię zabili, Molly.

Patrzył na nią poważnie, bardzo poważnie. Ale w tym wzroku było coś takiego... coś takiego, że jej serce zaczęło szybciej bić. O czymś takim dziewczynki w jej klasie szeptały po kątach, obgadując chłopców z męskiej szkoły pana Glenwooda.

– Mój młodszy braciszek ma absolutną rację – skinęła głową Wołka. – Nie wyszłabyś z tego żywa. Choć przed chwilą uratowałaś im życie.

– Kobieta, która ty nazwać... która nazwała cię córką – poprawił się szybko Wsiesław pod groźnym wzrokiem starszej siostry. – Z nią wszystko dobrze. Jest ranna, ale nie bardzo. Chociaż...

– O tym porozmawiamy później – przerwała mu ostro Wołka. – Odpoczywaj, Molly. Nic ci tutaj nie grozi i...

– To dlaczego mnie nie puścicie? – Oczy Molly, ku jej niezadowoleniu, wypełniły się łzami.

– O tym już opowiedzą ci starsi – odparła Wołka z nieprzeniknioną twarzą. – Ale mogę cię pocieszyć: wypuszczą. Gdy już odsłużysz nam służbę.

– Służbę? Jaką służbę?

– Dowiesz się – ucięła Wołka. – Teraz śpij. Oddałaś całą siebie, gdy broniłaś swoich, chociaż nie byli tego warci.

– *Siestra, stoj...* – Wsiesław mówił po rosyjsku, lecz Molly zrozumiała. *Stoj*, prawie jak *stop*. „Zatrzymaj się, siostró”.

Wołka zamarła na chwilę, potem westchnęła, skinęła głową i serdecznie klepnęła brata po ramieniu. Powiedziała coś szybko półgłosem, czego Molly nie zrozumiała.

– Obudziliśmy cię z czarodziejskiego snu. – Wołka pochyliła się nad Molly. – Teraz czas, żebyś zasnęła zwykłym snem, który wróci ci siły. Przed tobą wielkie dzieło. Chodź, bracie.

Razem odeszli od łóżka. Molly chciała ich zatrzymać, zaprotestować, ale sen napływał na nią falami, tym razem rzeczywiście zwyczajny, bez wizji.

\*\*\*

I znów przebudzenie, ale już bez żadnej wody czy lotu we śnie. Molly była nawet trochę rozczarowana. Za to czuła się o niebo lepiej. W każdym razie mogła usiąść i spuścić nogi z łóżka. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie długą do pięt koszulę, miękką i przyjemną w dotyku. Dziewczynka się spłoniła. To znaczy, że ją rozbierali, wszystko z niej zdjęli! Pół biedy, jeśli robiła to Wołka, a co jeśli Wsiesław?! Na samą myśl zapragnęła zapaść się pod drewnianą, wyszorowaną podłogę.

– Mrr, mrr, miau! – rozległo się tuż obok.

– Diana! – krzyknęła cicho Molly.

Kotka spokojnie wskoczyła na łóżko, czyściutka, jakby nie miała za sobą płonącego pociągu i wędrówki przez las. Molly zgarnęła Dianę i przytuliła do siebie, niemal płacząc.

– Znalazłaś mnie, znalazłaś...

Kotka mruzczała zadowolona, nie próbując się wyrwać, ocierała się pyszczkiem o dłoń Molly.

– Ty kotka? – rozległo się od drzwi.

Molly się wzdrygnęła. W niskim wejściu stał wyprostowany Wsiesław. Był w tym samym stroju, tylko na pasie po prawej stronie miał nóż.

– Ja kotka? – nie zrozumiała Molly.

Chłopiec skrzywił się z irytacją. Własne błędy strasznie go denerwowały.

– Nie. Twoja kotka[19]?

– Moja. Była ze mną. – Molly starała się mówić powoli, prostymi słowami. – Zgubiła się. A teraz mnie znalazła.

– Ona przybiegać... – Wsiesław zmarszczył brwi. – Drzwi... *skriesti*...

– Co? – nie zrozumiała Molly.

– Drapała w drzwi – wyjaśniła Wołka, która właśnie przyszła.

Diana od razu zasyczała, prężąc się i jeżąc sierść.

– Boi się mnie. – Wołka się uśmiechnęła. – Słusznie! Ale nie bój się, kotku, nic ci nie zrobię.

Diana jakby rozumiała, że o niej mowa, od razu się uspokoiła i zaczęła układać, jak zwykle obejmując łapkami przedramię Molly.

– Wszystko, jak ja mówić – powiedział Wsiesław, patrząc na Molly i uśmiechając się. – Spotkać się w lasach. Ty pamiętać? My mówić...

– Jesteś beznadziejny – powiedziała Wołka w imperialnym i powtórzyła to samo w języku Rooskies. Wsiesław się uśmiechnął, wcale nie obrażony.

– Ty być ten, kto znać język – odpowiedział jej również imperialnym i zwrócił się do Molly: – Ty pamiętać? Molly?

– Pamiętam. – Molly nie wiedzieć czemu spłoszyła. – Wymyśliłeś to wszystko wcześniej, jeszcze tam, w Nord Jorku, prawda?

Wsiesław zmarszczył czoło, chyba nie do końca zrozumiał. Wydawało się, że tu, na swojej ziemi, gorzej rozumie język Molly. Wołka szybko przetłumaczyła i chłopiec skinął głową z uśmiechem.

– Ja widzieć silna *wołszebnica*. Którą pewnie zabiją, jeśli nie ucieknie. – Ostatnie zdanie wyszło mu całkiem dobrze i Molly poczuła dziwną falę ciepła płynącą od Wsiesława.

Magia. Wołka też to wyczuła i skrzywiła się, kręcąc głową. Najwyraźniej nie chciała, żeby brat doskonalił swój imperialny w ten sposób.

– Ty przyszłaś – powiedział z wysiłkiem. – I teraz ty jest z nami.

– Po co? – spytała Molly, patrząc to na brata, to na siostrę.

– Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. – Wołka klepnęła ją w ramię, po przyjacielsku, ale tak mocno, że Molly omal nie spadła z łóżka. – Chodźmy jeść, a potem... potem spotkasz się z Priedslawą. Z Siwą, jeśli tak ci wygodniej.

– To ona tutaj jest?

– Oczywiście. – Wołka skinęła głową. – To przecież jej dom. No, chodźmy, chodźmy.

Do stołu nakryto w sąsiednim pokoiku, malutkim, z niewielkim oknem. Ściany również obwieszane były pękami ziół, korzeni i cebulek; z jednej ze ścian wystawał biały bok wielkiego pieca. Na stole stały parujące gliniane miski z czymś gęstym, leżały drewniane łyżki.

– Przespałaś cały dzień i cały ranek. To nie śniadanie, lecz obiad – wyjaśniła Wołka. – Kapusta, ziemniaki, marchewka, dziczyzna. Sup[20]. W waszym języku brzmi podobnie. Zapamiętałaś? Sup.

Zupa była gęsta i smakowita, choć całkiem inna niż w domu. Grube kromki żytniego chleba, ciemnego, o smaku prawdziwej skórki, w odróżnieniu od tego bladego pszenicznego, który można ścisnąć jak watę i który ma podobny smak.



To było naprawdę smaczne. Racje żywnościowe w pociągu w ogóle nie mogły się z tym równać. Molly jadła, zerkając na rodzeństwo. Wołka spokojnie nabierała zupę drewnianą łyżką, a Wsiesław kręcił się, marszczył czoło, zerkał na Molly.

Wołka prychnęła i rzuciła coś w swoim języku.

– Martwi się o ciebie – powiedziała z wilczą prostotą. – Niepokoi, jak przyjmie cię Siwa. – Spojrzenie Wołki stało się teraz cięższe.

– Dla-dlaczego? – wyjąkała Molly.

Nadal czuła dziwne rozdwojenie. Porwali ją Rooskies, rodzeństwo, najwyraźniej władający tą samą straszną magią, której tak bali się ludzie w Nord Jorku. Zabrali ją nie wiadomo dokąd, w głąb nieprzebytych lasów, gdzie boją się zapuszczać nawet nieustraszeni jegrzy Jej Wysokości. Nie wiadomo, co stanie się z nią jutro, nie wiadomo, jakiej służby się po niej spodziewają, a jednak Molly się nie bała. Martwiła się o innych – o rodziców, o brata, o Fanny – lecz nie o siebie.

Ponieważ tych dwoje umiało kierować magią. Nie bali się jej, potrafili się nią posługiwać. A przy tym i ją nazwali czarodziejką. I nie byli wrodzy, ani trochę. Chociaż, zaczerwieniła się, mieliby ku temu wszelkie podstawy, czego Wołka nie omieszkała jej wytknąć.

– Strzelałaś – powtórzyła znów siostra Wsiesława. – Wiedziałaś, że tu trafisz, że możemy ci pomóc, i mimo wszystko strzelałaś. Twoje przekłete Królestwo atakuje nas, my bronimy się, jak możemy, ale wciąż się cofamy. Rok po roku, cały czas się cofamy, powoli, lecz nieuchronnie.

Molly spuściła wzrok. No tak, to przecież *bloody*[21] Rooskies, wrogowie. Tak było i tak pozostanie. Oni stoją na drodze postępu! Tak, właśnie tak. „Polano, leżące na drodze postępu – jak mawiał tata, unosząc w górę palec. – A polano trzeba usunąć”.

– Ale...

– Nie bój się. – Wołka patrzyła na nią surowo, lecz bez nienawiści czy wstrętu. – Teraz jesteś z nami. Nasza.

Wsiesław pokręcił głową.

– Ona zawsze będzie swoja własna – powiedział powoli, z wysiłkiem. – Nie żądaj, żeby przeszła na naszą stronę tak szybko – specjalnie mówił w imperialnym, chciał, żeby Molly usłyszała jego słowa, nie przekład.

Wołka niechętnie skinęła głową, przesunęła dłonią po gęstym wilczym puchu na swojej głowie.

– Tak czy inaczej, z twoją magią nie pożyłabyś długo w Nord Jorku. Albo zabiliby cię swoi, albo twoja magia. Ale Priedsława-Siwa lepiej ci o tym wszystkim opowie. Nie bój się, Blackwater! W boju tyś *trusa nie prazdnowała*. No, nie tchórzyłaś. Miałaś czelność strzelać, miej teraz odwagę spojrzeć w oczy temu, w kogo mierzyłaś.

Molly przełknęła ślinę, ścisnął jej się żołądek. O mamusiu, chyba jednak się boi. Nawet jeśli to wstyd. Wyszła za Wołką z pokoju do ciemnej sieni, jak nazwała to pomieszczenie wilczyca. Na ścianach wisiały różne narzędzia: łopaty, topory, grabie, widły, wszystko czyste, porządnie utrzymane, gotowe do użycia.

– Poczekaj. – Molly poczuła bolesny ucisk w żołądku i trochę niżej. – Ja, ja muszę... – zaczerwieniła się aż po uszy. O Boże, o takich rzeczach mówić przy chłopcu!

– A! – zrozumiała Wołka. – Chodź, pokażę ci. Wybacz, ale umywalek, w których woda sama płynie, tutaj nie mamy. I całej reszty też nie... Ale to nic, przywykniesz. Twoja kotka już się przyzwyczała. I nawet mysz złapała.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa, z niewielkiego otworu, wyraźnie specjalnie zrobionego przez budowniczych w rogu drzwi, wyłoniła się Diana. Usiadła i z zadowoloną miną zaczęła myć sobie pyszczek.

– Ona już się czuje jak w domu. – Wołka się uśmiechnęła. – No, chodźmy.

Taak, z toaletą w domu tych Rooskies było nie bardzo. Nawet bardzo nie bardzo. Molly z przerażeniem patrzyła na to coś, co nazwali wygodką czy latryną, bo nawet takie słowo przypomniała sobie Wołka.

Nie, nie, nie, ja tak nie mogę, jęczała w duchu Molly.

– Ja nie przywykłam. Co za barbarzyńcy! Gdzie jesteś, moja ciepła toaleta, gdzie się tak wygodnie czytało...?

Tak, tutaj było naprawdę zimno. Twardzi Rooskies nie przewidzieli w tym miejscu ogrzewania. Zużywszy całe wiaderko wody, Molly wyskoczyła stamtąd jak z procy, wróciła do chłodnej sieni. Wołka powitała ją pobłażliwym uśmiechem, przez co Molly spłonęła rumieńcem.

– No nic, jakoś przywykniesz – rzuciła siostra Wsiesława i dodała: – Królowna...

Molly przełknęła to obraźliwe słowo, choć wszystko w środku niej krzyczało z oburzenia.

– Rozumiem, że łazienki również nie macie? – spytała słabym głosem, przypomniawszy sobie zagadkowe słowa Wołki o „domu mycia”.

– Takiej jak u was nie mamy. Ale to nic, spodoba ci się – prychnęła Wołka. – Sama zobaczysz. Chodźmy, Priedsława Młodsza czeka.

Ostatnie słowa Wołka wymówiła z szacunkiem, jakby to był tytuł hrabiego czy nawet księcia. Chłopiec otworzył drzwi, tak samo niskie jak wszystkie drzwi w tym domu. Było ciemno, cicho, mocno pachniało ziołami. Dużo miejsca zajmował starannie pobielony piec; zasłonki w oknach zaciągnięto, przez szczelinę pomiędzy nimi widać było zamknięte okiennice.

Na wysokim łóżku przy ścianie, pod kołdrą zszytą z barwnych skrawków, leżała kobieta. Na poduszce rozsypały się jej piękne, długie, gęste włosy. Były srebrne, ale nie wyglądały na włosy starej kobiety. Przeciwnie, świeciły własnym blaskiem. Molly zamarła z otwartymi ustami.

Wołka bez ceregieli kuksnęła ją w bok i sama pokłoniła się nisko, odsuwając prawą rękę od lewego ramienia i dotykając nią podłogi. Molly, tak jak umiała, powtórzyła jej gest. Giętka Wołka, dotykając podłogi, aż zgięła rękę w nadgarstku, Molly ledwo musnęła deski końcami palców. I znów zobaczyła ten sam złośliwy wzrok, a wargi wilczycy poruszyły się, bezgłośnie powtarzając to samo obraźliwe: „Królowna!”.

– Priedsława Wołgowna – przemówiła ostrożnie Wołka, prostując się. – Wot[22]...

Co znaczyło to wot, Molly nie wiedziała, może znów jakieś powitanie? Dziewczyna wilkołak cofnęła się do brata, chłopca niedźwiedzia.

„Podejdz, Molly Blackwater” – rozległ się spokojny, łagodny kobiecy głos, przemawiający w czystym imperialnym – w głowie Molly. „Nie mówię w twoim języku – powiedziała z żalem kobieta – dlatego muszę używać mocy. Niestety, niewielu tak potrafi. O ileż wszystko byłoby prostsze, gdybyśmy nie musieli uczyć się swoich języków! Podejdz, Molly”.

Dziewczynka miała nogi jak z waty. Kolana się pod nią uginały, dziwne, że nie upadła.

„Nie bój się – zachęciła ją kobieta. Głos miała niski, a w każdym razie taki wydał się Molly. – Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy”.

Drżąc, Molly zmusiła się, żeby oderwać wzrok od barwnych dywaników przy łóżku i podnieść głowę. Bała się. Wszystko w niej dygotało. W niej, dzielnej Molly Blackwater, która uciekła z domu, wyrwała się z łap Departamentu Specjalnego, została jungą w pociągu pancernym Jej Wysokości i strzelała z prawdziwej mitraliezy!

Co spodziewała się zobaczyć? Tę samą prastarą staruchę, która szła na śmierć, przepalając płyty „Herkulesa”? Pokreślone zmarszczkami policzki, zapadnięte wyblakłe oczy, krzywe żółte zęby?

Na poduszkach leżała kobieta już nie młoda, ale jeszcze nie stara, chyba w wieku mamy Molly. Leciutkie zmarszczki w kącikach oczu i ze dwie ciągnące się od nosa do ust. Bardzo ładnych ust, z pełnymi, czerwonymi wargami, za którymi kryły się białe zęby. Zagadkowa Priedsława Młodsza mogła mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Wielkie brązowe oczy, pięknie wygięte łuki brwi, jak u Wołki, miękkie policzki, cienki, prosty nos, jasna, ale nie blada cera. I biała blizna w kształcie gwiazdki na policzku poniżej kości, absolutnie niepsująca wyglądu.

Molly zapatrzyła się na tę kobietę. Za brązowymi oczami kryła się siła i tajemnica, i jeszcze coś, czego dziewczynka z Nord Jorku nie umiała nazwać.

„Witaj w moim domu, Mollynaird Evergreen Blackwater”.

– M-można po prostu Molly... – wyjąkała dziewczynka.

Priedsława uniosła lekko brwi, nie zrozumiawszy jej słów.

– Nie na głos, niedomyślna! – zasyczała z tyłu Wołka. – Myśl w głowie! Mów w głowie! Wtedy cię zrozumie! – I szybko powiedziała coś do leżącej w swoim języku.

„Można po prostu Molly” – powtórzyła posłusznie Molly już bez słów.

„Od razu lepiej – ucieszyła się Priedsława. – Usiądź tutaj, tak, na łóżku, musimy porozmawiać o wielu rzeczach. Pewnie masz mnóstwo pytań?”

„Tak – mówienie w myślach było czymś nowym, ale Molly starała się, ile sił – ale przede wszystkim, *ma'am*, proszę o wybaczenie, że ja, że ja, że pani... to znaczy, że ja panią...” – zaplątała się beznadziejnie w swoich myślach i poczuła, że się czerwieni.

„Że mnie trafiłaś? – dokończyła łagodnie czarodziejka. – Nie gniewam się i nie jestem na ciebie zła. Dobrze wiem, czemu do mnie strzelałaś – i cieszę się. Bo żadna inna próba nie dowiodłaby z taką jasnością, kim jesteś i co potrafisz”.

„Wołka mówiła, że nikt inny nie mógłby pani trafić” – wyjąkała Molly.

„Tańka miała rację. Potrafię się obronić, Molly, i tylko mag, silny mag, może przebić się przez moje czary. Niestety, mogę tak chronić tylko siebie... a ty potrafisz też innych. – Priedsława westchnęła, jej twarz drgnęła lekko w grymasie bólu. – Co prawda, tworząc czary, omal się nie zabiłaś. Tańka, to znaczy Wołka, zdążyła w ostatniej chwili”.

Molly się skuliła. Palce jej rąk zaciskały się i rozluźniały, na skroniach pojawił się pot.

„To znaczy... to znaczy, że we mnie jednak jest magia...?”

W jej głowie rozległ się cichy śmiech.

„Nadal w to nie wierzysz? Tak, Molly Blackwater, jest w tobie magia. I to bardzo silna”.

Molly się stropiła. Ranna czarodziejka nie odzywała się, jakby oczekując jakiejś odpowiedzi.

„*Ma'am*, ja... ja nie wiem, co powiedzieć. Czy ja nie spłonę? Od tej magii? To znaczy, mówiono nam, uczono nas, że... że magia może mieć skutki śmiertelne – mówiła szybko, jękając się i płacząc. – Przepraszam, *ma'am*...”

Czarodziejka uśmiechnęła się łagodnie, z sympatią.

„Wszystko w porządku, Molly Blackwater. Po pierwsze, nie mów do mnie *ma'am*. Nie lubimy tu tytułów Królestwa. Nazywaj mnie Priedsławą Wołgowną albo Wolchowną, jeśli tak ci wygodniej, możesz też mówić: Młodsza. Chcesz o coś zapytać? Pytaj, nie lękaj się”.

„*Ma'am*, to znaczy Priedsławo Wolchowna. – Molly ciężko było wymówić to słowo nawet w myślach. – Dlaczego Młodsza? To jakiś tytuł?”

„Tak, tytuł... – Czarodziejka się uśmiechnęła. – Są nas trzy siostry, trzy czarodziejki naszego narodu, i ja jestem najmłodsza. Dwie inne, jak się pewnie domyślasz, to Średnia i Starsza. – Molly wyczuła, że przy tym ostatnim słowie myśli Młodszej jakby się potknęły. – Czy wiesz już, co chciałaś wiedzieć? Możemy iść dalej?”

„Tak”.

„W zasadzie dobrze was uczyli, Molly Blackwater. Magia może być straszna, jak straszna jest siła nagiego słowa. I jeśli człowiek nie nauczy się nią władać, to rzeczywiście może zginąć – tak jak ty omal nie zginęłaś tam, przy pociągu pancernym, o czym już ci mówiłam. O co chodzi? Jesteś zdenerwowana, rozczarowana?”

Molly nie wytrzymała, pociągnęła nosem, szybko łykając nieproszone łzy.

„Co takiego?” – zaniepokoiła się Młodsza.

„Przepraszam, Priedsławo Wolchowna... Ja, ja myślałam... liczyłam... że Departament Specjalny... że oni kłamią!”

„Nie – westchnęła Priedsława. – Wierzyłaś im, Molly Blackwater. I dlatego

uciekłaś. Czy nie tak?”

Molly rozpaczliwie pokręciła głową.

„Nie, to znaczy tak, wierzyłam... Chciałam się ratować... Ale gdzieś głęboko w środku myślałam, że jest inaczej... Gdy Wsiesław pokazał mi płomyk na swojej dłoni... Dopiero teraz zrozumiałam, że nie chciałam im wierzyć...”

„Teraz to już nieważne, w co właściwie wierzyłaś – powiedziała z poprzednią łagodnością Priedsława. – Ważne jest to, że magia, pozostawiona bez uwagi, bez nadzoru, prędzej czy później – a im silniejsza, tym szybciej – zabije swojego pana”.

„I on wybuchnie? I spali wszystkich dookoła?”

„Ach, to. Tu masz rację. Może też stać się potworem. Ale w większości przypadków człowiek, który przekroczył granice siły, po prostu płonie jak drwa w piecu... Może przy okazji spowodować pożar, podobnie jak przewrócona świeca, lecz nic poza tym”.

„Czyli Departament Specjalny jednak nas okłamywał?”

„W czymś na pewno – przyznała Priedsława. – Ale my generalnie nie bardzo rozumiemy politykę Królestwa i teraz nie to jest ważne. Teraz najważniejsze jest, żebyś nauczyła się panować nad swoją siłą – a potem kierować nią wtedy, gdy jej potrzebujesz, a nie od przypadku do przypadku. Ale to zadanie na długo, na wiele lat...”

„Wiele lat? – pomyślała ze strachem Molly. – *Ma'am*... och, przepraszam... Priedsławo Wolchowna... ja chcę wrócić do domu, do rodziców, do brata! Ja...”

„Wtedy zabije cię albo twoja własna magia, albo Departament Specjalny – padła chłodna odpowiedź, zadźwięczała w niej stal. – I nie chodzi nawet o ciebie, Molly Blackwater, ale o tych, którzy zginą z twojego powodu. Lub z twojej ręki. Albo z powodu twojej siły, która wyrwie się na wolność, gdy staniesz ogniu, który wypali wszystko wokół na wiele mil”.

„Wiedziałam, wiedziałam! – pomyślała z przerażeniem Molly. – Strzelałam do nich i oni mi tego nigdy nie wybaczą...!”

„Mylisz się, dziecko – powiedziała nieco łagodniej czarodziejka. – My, Rooskies, jak nas nazywacie, albo *Ruskije*, jak my nazywamy siebie, łatwo wybaczymy, czasem nawet zbyt łatwo. Gardzimy kłamstwem i nie jesteśmy zbyt dobrzy w splataniu słów – nie umiemy kłamać, przekupywać, atakować z za węgła. Lecz szanujemy wrogów – uczciwych wrogów. Wrogów, z którymi walczymy twarzą w twarz. – Odwróciła się i spojrzała Molly prosto w oczy. – Ty byłaś takim wrogiem. Walczyłaś i byłaś gotowa umrzeć za sprawę, w którą wierzyłaś... albo

nadal wierzysz, teraz to nieważne. Takiego wroga szanujemy. Ale – jej głos znów stał się twardy – teraz musisz odsłużyć dla nas służbę, Molly Blackwater z miasta Nord Jork. Dopiero wtedy możemy cię wypuścić. Potraktuj to jako zapłatę za krew”.

„Zapłatę za krew?”

„I za wszystko, co zrobili twoi rodacy mojemu narodowi. – Głos Młodszej brzmiał jak pękająca kora. – Tak się złożyło, że właśnie ty masz to, czego potrzebujemy, Molly Blackwater. Widzisz, jesteśmy uczciwi. Nie chcemy nikogo oszukiwać, nawet wroga. To rzadko się opłaca, ale cóż, tacy jesteśmy i jeśli się zmienimy, przestaniemy być sobą. Nie rozumiesz? To nic, z czasem zrozumiesz”.

„Ja m-mam coś, czego p-potrzebujecie?” – Molly jąkała się nawet w myślach.

„Tak. Twoją magię”.

„Chcecie... chcecie mi ją odebrać?!” – zadrżała dziewczynka.

Priedsława uśmiechnęła się, patrząc Molly w oczy.

„Magii nie sposób odebrać, nawet odbierając komuś życie. Jest w tobie już na zawsze, Molly Blackwater, aż do końca, bez względu na to, jaki on będzie. Ale ty chcesz wiedzieć, czego będziemy od ciebie potrzebować?”

„Tak. I jak się o mnie dowiedzieliście. Czemu ja? Wsiesław... przyszedł za mną, prawda?”

„Mądra dziewczynka. Szukaliśmy. Szukaliśmy wśród swoich, szukaliśmy u obcych. Magia nie zna różnic pomiędzy językami, jest we krwi, w szpiku, jest w trzewiach. I jest u wszystkich, Molly Blackwater, u każdego z nas”.

Gdyby Wsiesław i Wołka jej nie złapali, Molly upadłaby, pociemniało jej w oczach. Priedsława drgnęła, skrzywiła się i w świadomość Molly wdarł się lodowy wicher, rozdzierający słabość na strzępy.

„Magia jest u wszystkich? Ale jak to, ale wtedy jak...?”

„Magia jest w każdym – powtórzyła cierpliwie czarodziejka. – Ale w każdym ma inną moc, przypomnij sobie, co mówiłam. Tak jak muzyka czy śpiew. Każdy może zaśpiewać, ale czy wszyscy będą chcieli słuchać? Każdy może dotknąć strun, ale czy wszystkim uda się wydobyć melodię? Teraz rozumiesz, Molly Blackwater?”

„N-niezupełnie – wyznała Molly. – A zagrożenie? Co z groźbą tej magii, z którą nie umiesz sobie radzić?”

„Magia ma swoją cenę, oczywiście. Jeśli zbyt mocno albo nieumiejętnie

szarpniesz strunę, może pęknąć. I smagnąć tych, co stoją obok. Ale nie bój się, niebezpieczna jest tylko ta magia, która przekroczy pewien poziom. Znakomita większość ludzi, chwała wszystkiemu jasnemu, jest znacznie poniżej tego poziomu. To tak jak komponujących prawdziwie wielką muzykę jest niewielu. We mnie, Tańce, Wsiesławie, magia jest silna i nie można zostawić jej tak, jak jest. Podobnie z tobą. Ludzie generalnie nie zbliżają się do swoich granic i nie mają pojęcia, że w ogóle coś potrafią”.

„A gdyby ich uczyć? Gdyby pomóc?”

„Można to zrobić. Ktoś będzie musiał poświęcić mnóstwo sił i czasu, żeby zapalić płomyk z pomocą magii, znacznie więcej niż przy zapaleniu go w zwykły sposób. A ktoś inny musi tylko pomyśleć – i płomyk zapłonie. Pierwszy człowiek będzie bezpieczny zawsze, czy będziemy go uczyć, czy nie. A drugi... drugi zginie, jeśli nie nauczy się panować nad swoją magią. Albo jeśli będzie się uczył źle – i zgubi innych, jeśli wykorzysta swoje umiejętności bez wiedzy, co i jak musi zrobić. Magia jest delikatna, jej równowaga jest krucha. Zbyt potężne, nieumiejętne zaklęcie może narobić wiele złego, i to w miejscach, które, wydawałoby się, nie mają nic do tego. Rozumiesz teraz, Molly Blackwater z Nord Jorku?”

„Teraz tak – odparła Molly. – A jak mnie znaleźliście?”

Priedsława wzruszyła ramionami.

„Tego nie musisz wiedzieć”.

„Czegoś ode mnie chcecie, prawda? I ja w zamian za to chcę się dowiedzieć!”

„Prawdziwa córka swego Królestwa – rzuciła chłodno czarodziejka. – Już się targuje. Uspokój się, dziecko, Wołka, Wsiesław i Jarina wpadli na ciebie przypadkiem. Prawie. Tak się po prostu złożyło”.

„A co Wsiesław robił w Nord Jorku? Był w niewoli? I tak łatwo z niej uciekł?”

„Zadajesz pytania o sprawy, które nie mają z tobą nic wspólnego, Molly Blackwater”. – Gniew w głosie czarodziejki wyrwał się na powierzchnię i przez chwilę dziewczynce wydało się, że widzi kosmaty pysk Siwej. Rozgniewanej Siwej.

„Jestem prawdziwą córką Królestwa. – Molly nie miała pojęcia, skąd w niej śmiałość, żeby w ten sposób odpowiadać czarodziejce, której nie imaly się kule. Może ze złości? – Targuję się. Mam coś, czego potrzebujecie...”

„Przeżyliśmy bez tego bardzo, bardzo długo – przerwała jej wrogo Priedsława. – Przestań zgrywać dorosłą, Molly Blackwater! Myślałam, że jesteś mądrzejsza. Prędzej czy później pojawi się ktoś ze zdolnościami podobnymi do twoich. Prędzej



czy później. A ty nie możesz czekać, ciebie magia pochłonie szybko. Chcesz dalej mierzyć się ze mną charakterem, dziewczynko?!”

W twarz Molly patrzyła teraz rozgniewana, zła niedźwiedzica. Molly zadrżała. Naprzeciw niej podnosiła się, prostowała ramiona stara, surowa siła; moc, która nie potrzebowała pociągów pancernych i mitraliez, siła, która narodziła się w tych zaśnieżonych lasach na długo przed tym, gdy pierwsi ludzie Królestwa pojawili się w nordjorskiej zatoce.

„Ja... ja chcę do domu” – wykrztusiła Molly.

„Nie ma dla ciebie drogi do domu, niemądra dziewczyno – padła odpowiedź. – Już ci mówiłam: dopóki nie nauczysz się panować nad swoją magią, ukrywać jej, nie możesz wrócić. Powiedziałam”.

Molly pociągnęła nosem, z rzęsy spadła łza. Poniosło ją, tak, poniosło...

„Ale gdy zrobisz to, czego od ciebie chcemy, będziesz mogła wynieść się na cztery strony świata”.

„Słowo?”

„Słowo honoru. – Czarodziejka uśmiechnęła się krzywo. – Jeśli coś jeszcze mamy, to właśnie honor. Kupcy na naszej ziemi nie spisują transakcji na papierze, sądzą, że wystarczyć powinno kupieckie słowo. Za to mieszkańcy twojego kraju też nami gardzą. Był czas, gdy my... gdy im również wierzyliśmy na słowo. Że można się dogadać, podzielić wszystko dobrze i sprawiedliwie. Dostaliśmy nauczkę i zapamiętaliśmy ją. Dlatego uspokój się, Molly Blackwater, i słuchaj, co do ciebie mówię”.

Molly przestąpiła z nogi na nogę. Czowała się nieswojo, gdy ta dziwna, niezrozumiała i przerażająca postać źle wyrażała się o jej ojczyźnie. Choć właściwie z jakiej racji wróg miałby o niej mówić dobrze? Ale i tak było jej nieprzyjemnie

„Słuchaj, co do ciebie mówię – powtórzyła Priedsława. – Jutro Wsiesław i Tańka zawiozą cię do przełęczy i jeszcze dalej, na nasze ziemie, do mojej średniej siostry. Ona będzie cię uczyć, ja nie mogę. Wasi – w myślach pojawiła się zimna pogarda – wasi nie dają nam spokoju, trzeba ich odpędzać...”

„Odpędzać? – powtórzyła stropiona Molly. – Ale przecież magia... przecież ona... bum, trach i po wszystkim... Widziałam, na pociągu...”

„Zapomniałaś? – rzuciła ostro Priedsława. – Magia ma swoją cenę. I równowagę. Coś bardzo potężnego... Może okazać się to zbyt potężne dla mnie i innych. Dlatego tak – odganiem. Odsuwam ich jak najdalej od przełęczy. A ty

ruszysz za przełącz”.

„Za przełącz? – Molly zamrugała. – Ale jak to?”

„Co – jak to? Tu jest wojna, Molly Blackwater. A ty potrzebna nam jesteś żywa. I swoim rodzicom również. I młodszemu bratu”.

Molly spuściła głowę, bardzo nisko. Łzy płynęły już teraz same.

„Nie płacz – powiedziała Priedsława. – W pociągu pewnie nie płakałaś. Spłacisz swój dług i odejdiesz, gdy zechcesz. Chyba że...”

„Chyba że?” – chlipnęła Molly. To „chyba” jej się nie spodobało.

„Chyba że sama zechcesz u nas zostać, czarodziejko”.

„Ja? Zostać? U was? Nie, nigdy! Mama, tata, brat... i dom, mój dom...”

„Zapomniałaś, Molly Blackwater, że jesteś wiedźmą. Nawet jeśli nauczysz się ukrywać swoją magię, życie w Nord Jorku stanie się dla ciebie życiem na krawędzi. Najmniejszy błąd i cię znajdą, a z Departamentem Specjalnym, sama wiesz, nie ma żartów. Nie zdołasz się niczego więcej nauczyć i magia będzie cię kąsać – dlatego że się jej wyrzekłaś, dlatego że z niej zrezygnowałaś. Sama zaczniesz się przeklinać, że skazałaś na zapomnienie swój dar”.

„Ja, ja... – Molly ścisnęła pięść. – Nie jestem zdrajcą! Ja nigdy... Ja...”

Priedsława westchnęła.

„Pożyjemy, zobaczymy, jak u nas mówią. Tymczasem czeka cię podróż. Zobaczysz od razu, czemu walczymy. A teraz idź. Tańka i Wsiesław zaopatrzą cię we wszystko, co trzeba”.

Głos czarodziejki umilkł w głowie Molly i zapanowała dziwna, nieprzyjemna, głucha cisza. Leżąc na łóżku Priedsława krótko skinęła głową, skrzywiła się i odwróciła do ściany. Wsiesław bez ceregieli pociągnął Molly za rękaw. Trzeba było iść.



– Trudno – burczała nad ranem Wołka, patrząc na stropioną Molly. – Za przełęczą cię wyszoruję, tam mają porządną dom mycia, nie to co tutaj...

Na samo wspomnienie zagadkowego „domu” Molly zrobiło się słabo. Rooskies mieli zupełnie inne wyobrażenie o czystości, zdaniem panny Blackwater, poważnie przesadzone. Tańka i Wsiesław, będąc w ludzkiej postaci, umyli się w lodowatej wodzie, a potem, przemieniwszy w wilka i niedźwiedzia, jeszcze długo tarzali się na śniegu.

Molly gapiła się na ich przemianę z wytrzeszczonymi oczami, zapomniawszy o oddychaniu. Chwilę wcześniej rodzeństwo stało obok niej, trzymając się za ręce. Potem popatrzyli na siebie, parsknęli śmiechem i Wsiesław zaczął się rozbierać, zupełnie nie wstydząc się ani siostry, ani jej, Molly! Przerażona Molly zasłoniła twarz rękami. Koszmar, koszmar, koszmary koszmar! Ci barbarzyńcy w ogóle nie mają pojęcia o przyzwoitości! Jak chłopiec może rozbierać się przy niej, przy dziewczynce, pannie Blackwater!

Molly z całych sił zacisnęła powieki, odwróciła się i wcisnęła piąstki w oczy. Nie, nie, nie, ona nic, zupełnie nic nie widzi! W chwilę później Molly poczuła buchający żar, jakby ktoś otworzył drzwiczki od pieca. Wiedziała, zrozumiała od razu, że obok ożyła magia, potężna i pierwotna, przychodząca z czasów, gdy ludzie potrafili rozmawiać ze zwierzętami.

– Nie musisz siebie zasłaniać – rozległ się kpiący głos Tańki. Zdanie było niezgrabne i Molly już miała zwrócić na to uwagę, głównie po to, żeby wilczyca nie czuła się tak pewnie, ale w porę zmieniła zdanie. – No otwórz, otwórz oczy!

Z gęstej mgły prosto na nią wyszedł potężny niedźwiedź. Stapał bezszelestnie, z gracją, jakiej nikt by się nie spodziewał po tym zwierzu, choć nie był przecież tak ogromny jak Siwa.

– Zaraz go dla ciebie osiodłamy – oznajmiła Wołka. Zadowolona z efektu

pokazała w uśmiechu białe zęby; wyglądało to trochę jak wilczy wyszczerz. Molly mogła się tylko domyślać, co przekazała im Priedsława z ich bezgłośnej rozmowy.

– Osiodłamy? Jak osiodłamy?

– Tak po prostu. Jeździłaś konno?

Molly szybko kiwnęła głową.

– No to się utrzymasz, nogi przetrzucisz na jedną stronę. Poprzednim razem brat trzymał cię na karku słowem, ale daleko tak nie zajedziecie. Tym razem osiodłamy go jak wierzchowca.

Molly zastanowiła się – dom Priedsławy stał chyba bardzo, bardzo daleko od miejsca walki.

– Jak cię stamtąd wyciągnęliśmy, straciłaś przytomność – powiedziała jeszcze wilczyca. – Zdjęliśmy cię z jego grzbietu, nałożyliśmy mu uprząż, przywiązaliśmy do twojego karku i tak dojechaliśmy. No, nie stój jak słup, pomóż!

Ale z pomocy Molly niewiele było pożytku. Pasy myliły jej się w rękach, sprzączki wyskakiwały ze zmarzniętych palców. Niedźwiedź stał spokojnie, zerkając z rozbawieniem. Tańka starannie złożyła ubrania brata, po czym spakowała je w sakwę przy siodle.

– Teraz moja kolej. – Zdecydowanym ruchem ściągnęła pasek i zrzuciła kozuszek.

Molly odwróciła się szybko.

– Aleś ty dziwna – usłyszała głos Wołki. – Co w tym takiego? Jeszcze uszy sobie zatkać. Pieszczoszka, słowo daję.

Molly zaczerwieniła się, zaczekała na drugą falę ciepła i otworzyła jedno oko. Zarysy figury Tańki zasnuł dym, pojawiła się gęsta mgła, a chwilę później wyskoczył z niej potężny biały wilk.

Molly krzyknęła cicho z zachwyty. Tak, magia istniała naprawdę, zresztą, nikt w to nie wątpił, nawet w Nord Jorku. I faktycznie można ją było sobie podporządkować. Nie dać się spalić, zmusić ją do służby – tego musiała się tylko nauczyć i dziwni Rooskies właśnie jej to proponowali.

Jej, Molly, poddanej Jej Wysokości Królowej! Pchają ją do zdrady, głupcy! Żaden człowiek, który dorastał w Królestwie, nie przejdzie na stronę barbarzyńców! Bo Królestwo i tak zwycięży, ono zawsze zwycięża. Czasem tylko trzeba mu więcej czasu, to wszystko. Molly szybko urwała własne myśli. Jeśli ta, jak jej tam, Priedsława potrafi rozmawiać w głowie jej, Molly, to być może umie

też czytać w myślach.

Zimowy dzień rozlewał się wokoło, cichy i pogodny. Śnieg, który w Nord Jorku był zwykle brudnoszary, tu prezentował się w całym swoim pierwotnym pięknie, puszysty i nietknięty, jak bezcenny kobierzec. Okna domu Priedsławy, stojącego na południowym zboczu Karn Dredu, wychodziły na południe, gdzie na horyzoncie wznosiły się liczne słupy dymu.

Rodzeństwo Rooskies nie powiedziało ani słowa, nie spojrzeli nawet w stronę dymu, ale poczuła, jak z ich zwierzęcych oczu wyziera nienawiść. Skuliła się, odwróciła szybko – już lepiej patrzeć na piękne górskie szczyty, na wspinające się po zboczach sosny i świerki, na ich puszysty zimowy strój niż na te dymy...

Niedźwiedź podszedł bliżej, znacząco potrząsnął głową z uprzążą, jakby chciał powiedzieć: „Dość tego mitrężenia czasu!”.

– Już, już, ja... tylko zawołam kotkę – powiedziała onieśmielona Molly. – Di! Diana! Kici-kici!

Stąpając dumnie z podniesionym ogonem, z domu wyłoniła się towarzyszka panny Blackwater. Molly zdumiała się: na pewno kotce nie chciało się wychodzić na to zimno z przytulnego, ciepłego domu, gdzie w dodatku można było sobie do woli łapać myszy. A jednak wyszła. Diana podeszła do Molly, spojrzała na nią swoimi kocimi oczami, miauknęła krótko, opierając się przednimi łapkami o jej biodro: no, na co czekasz? Molly szybko podniosła kotkę, wsadziła ją sobie za pazuchę, gdzie Di zwinęła się w kłębek, zmniejszając prawie o połowę. Niedźwiedź spojrzał na nią niecierpliwie: możemy wreszcie ruszać?

– Tak, tak, już...

Drżąc cała, Molly wdrapała się na siodło. Usiadła bokiem, jak kazała jej wilczyca, a niedźwiedź-Wsiesław odwrócił się i zerknął żartobliwie, jakby uprzedzał: „No, teraz się trzymaj!”.

– Iiiiiiii! – To było wszystko, co zdołała wykrztusić z siebie Molly: niedźwiedź i wilk ruszyły z miejsca i popędziły przez las z prędkością, od której zapierało dech w piersiach.

Dom Priedsławy Wolchowny szybko skrył się za murem leśnych wielkoludów, wystrojonych w ogromne śnieżne czapy. Molly piszcziała przerażona, że niskie gałęzie zaraz uderzą ją w czoło lub zrzucą z siodła, ale niedźwiedź wiedział, którądy biec. To musiała być jakaś ich ścieżka, ukryta przed ludzkimi oczami, ale Molly, cała drżąca, i tak przytuliła się do kosmatego karku.

Nie bała się w stalowym wnętrzu pociągu pancernego, gdzie otaczały ją rury,

cylindry, króćce i zawory. Maszyny były jej żywiołem, jej przyjaciółmi, jednak tutaj, na grzbiecie niedźwiedzia przemienca, Molly czuła, że świat, który zna, rozpada się na kawałki.

Magia. Magia wszędzie, magia we krwi, magia w każdym – w każdym! Jak to w ogóle możliwe?

Niedźwiedź i wilk mknęły po białej ścieżce, Molly przyjrzała się i pojęła, że śnieg nie był tu tak głęboki jak po bokach, wokół wiecznych sosen. Kto odśnieżał, oczyszczał drogę w tych nieprzebytych lasach? I czy w takiej głuszy są w ogóle trakty? Czy są tu miasta? Jak ci Rooskies w ogóle tu żyją? Molly zrozumiała, że nigdy w życiu nie zadawała sobie tego pytania.

Początkowo myślała, że skierują się prosto na północ, w górę zbocza, ku przełęczom, jednak Wsiesław i Tańka trzymali kurs na wschód, ku morzu, zostawiając górskie szczyty Karn Dredu po lewej stronie.

Dokąd zmierzają? A może... Molly wyteżyła pamięć, przywołując wiedzę z lekcji geografii. Karn Dred ciągnął się z zachodu na wschód, dochodząc do Nord Gveylingu i skręcając na północ, gdzie morskie fale uderzały w niedostępne skały z rzadkimi zatokami.

Z południowych zboczy spływały rzeczki i strumienie, dopływy rzeki Mjor, u której ujścia rozłożył się Nord Jork. A gdyby ruszyć z miasta na północny zachód, byłaby tam najstarsza z odkrytych przez Królestwo dróg za przełecze – właśnie tym traktem armia Jej Wysokości dotarła najdalej na północ.

Czyżby Wołka i Wsiesław chcieli ją dostarczyć tą drogą? – zdumiała się Molly. To było niebezpieczne, groźne dla wszystkich! Tam są wzmocnione posterunki, dawno temu pociągnięte tory i patrolowe pociągi pancerne, bliźniaki „Kastor” i „Polluks”, kursują tam i z powrotem! Próbowwała skontaktować się z Wsiesławem w myślach, lecz bezskutecznie, niedźwiedź biegł dalej, zwinnie nurkując w szczeliny w zwartej ścianie splecionych i ośnieżonych gałęzi.

Wyruszyli w drogę o świcie i w ciągu tego krótkiego zimowego dnia zdołali przebyć co najmniej trzydzieści mil. Molly strasznie bolały pośladki, zeszywniały jej plecy, kark i ramiona, w końcu prawie płakała ze zmęczenia. Słońce opadało ku zachodowi, ale światła było jeszcze dość, gdy nagle zatrzymali się tak gwałtownie, że Molly omal nie wyleciała z siodła.

– Aa! Co się stało? Jesteśmy na miejscu?

Wołka ryknęła krótko, machnęła głową: „Złaź”.

Di, która całą drogę przesiedziała cichutko za pazuchą, wyskoczyła zwinnie i od

razu zniknęła z pola widzenia. Pewnie ruszyła na polowanie, zupełnie niespieszona tym, że zamiast piwnic Nord Jorku wokół rozpościera się zimowy las. Dziewczynka zrobiła dwa niepewne kroki na sztywnych nogach. Całe ciało bolało ją tak, że pragnęła tylko jednego: paść twarzą w śnieg i się rozpłakać.

Niedźwiedź delikatnie pchnął ją do przodu.

– Dokąd? Tam? Mam tam iść? – wykrztusiła Molly.

Przemieńcy zatrzymali się na brzegu lasu, przed Molly rozpościerała się otwarta przestrzeń, szeroki krąg o średnicy jakichś dwóch mili. Nie było na nim zupełnie śniegu. Ani jednego płatka. Jakby ktoś troskliwie zdmuchiwał stąd biały pył, niesiony przez zamiecie, zrzucony przez śnieżyce, wysiewany przez płynące nisko chmury. A może pod ziemią kryło się ciepło, oddziałujące nawet w najsroźszą zimę? No jasne, podziemne ciepło, co innego! Śmiesznie było pomyśleć, że mogłoby to być coś innego...

Molly rozejrzała się bezradnie. Diany nigdzie nie było widać, a wilk i niedźwiedź stały nieruchomo – łapy mocno wparte w ziemię, mięśnie napięte, w gotowości do skoku. Oboje, Wołka i Wsiesław, patrzyli jej prosto w oczy. Idź i patrz. Ale na co tu pa...

Molly posłusznie odwróciła się ku pustej przestrzeni. Która teraz nie była pusta. Absolutnie.

Ku niebieskiemu zimnemu niebu sięgały dziesiątki, setki białych słupów. Ich biel w wielu miejscach przybrudzona była sadzą. Molly odruchowo zrobiła krok do przodu, wyteżyła wzrok.

I zrozumiała. Białe okopcone słupy to kominy. A na gołej, czarnobrazowej ziemi wokół każdego z nich można się było domyślić wianuszka polan, spalonych do cna. Ogień umarł tu dawno temu, lecz ziemia nie ożyła, zamordowana czymś więcej niż tylko zwykłym płomieniem.

Molly zrobiła jeden niepewny krok, potem drugi... Śnieg się skończył, stała teraz na ziemi, tutaj, pod ścianą lasu, pokrytej grubą warstwą opadłych igieł. Znowu krok, drugi, trzeci... Zwierzęta zostały z tyłu, świdrując wzrokiem plecy dziewczynki. Idź i patrz.

Poszła, zamierając, usiłując nie patrzeć na okopcone kominy, wychodzące spod ziemi jak palce zmarłych. Wsiesław i Tańka dostarczyli ją do najważniejszego miejsca, gdzie do kominów od brzegu lasu było najbliżej. Pod nogami sucho chrzęściła ziemia, rozpadając się na grudki popiołu. Jak coś takiego było możliwe w środku zimy?! Dlaczego nie ma tu śniegu, czemu nie przykrył tego... tego straszego

miejsca?! Nie rosło tu nic, ziemia była zupełnie naga. Nie było suchych źdźbeł ani przyniesionych wiatrem liści, nie było kompletnie nic. Jakby ani na wiosnę, ani latem nic się tu nie zieleniło, żeby umrzeć jesienią i znów dać życie czemuś nowemu.

Po zimie przychodziła wiosna, ale tu życie nie wracało. Molly szła, rozumiejąc, że idzie przez pole, zabite raz na zawsze. Do czegoś, co kiedyś było wsią. Wsią, z której zostały tylko okopcone kominy.

„Nie chcę, nie chcę na to patrzeć! Przecież ja nic o tym nie wiem! Nie jestem winna! Po coście mnie tu ściągnęli?!”

„Idź i patrz” – nakazywał wzrok niedźwiedzia i wilka.

„Co ja mam z tym wspólnego?!” – chciała krzyknąć Molly. „Nikogo nie zabijałam! Niczego nie paliłam! Widzę to po raz pierwszy!”

„Idź i patrz”.

Obejrzała się: niedźwiedź i wilk groźnie schyliły łby, patrząc na nią ponuro. Ich spojrzenia nie wróżyły nic dobrego komuś, kto nie posłucha. Szybko dotarła do granicy wsi. Tu ziemia zmieniła się w czarny kamień, jakby stopiona od nieznośnego żaru, który na wieki wygonił stąd ślady życia. Wystający komin, wokół niego dawno ostygłe głownie, węgle, resztki dolnych zrębów. Wiatr, deszcz i śnieg już dawno powinny to wszystko rozmyć, a jednak resztki domu pozostały nietknięte. Molly szła powoli ulicą, domyślając się w czarnych zarysach na ziemi furtek, płotów i bram, fundamentów domów, szop, stodół i chlewów. Wszystko spalone na popiół i sam popiół spalony powtórnie. Martwa czarna powierzchnia, bo już nawet nie gleba, lekko skrzypiała pod nogami i Molly wydawało się, że bije od niej kwaśnawy zapach starej spalenizny. Zapach, który zawsze i wszędzie towarzyszy wielkiemu nieszczęściu...

Nagle wystraszyła się, że zaraz nadejście na czyjeś zwłoki. Ten strach zrodził się z niczego i Molly w jednej chwili ogarnęła panika. Zamordowana wieś patrzyła na nią pustymi oczami pieców, kominy mogły w każdej chwili zmienić się w palce ozywających trupów, gotowych złapać ją, zdławić, rozedrzeć... Pośrodku wsi wznosił się szary kamień, istny gigant, co najmniej dwanaście stóp wysokości, tyle samo szerokości i ze trzydzieści stóp długości. Nie pokrywała go sadza, był czysty; kształtem przypominał klin lub ogłowie topora. Ostrze mierzyło na południowy wschód.

Tam, skąd do tej wsi przyszła śmierć. Ostra krawędź wskazywała Nord Jork. Nie było na nim żadnych napisów, żadnych znaków ani symboli. Nagi milczący granit, którego nie przesunąłby i tuzin parowozów.



Oni tu leżą, pojęła nagle Molly, patrząc na czerwonawoszarą powierzchnię. Leżą tu, ludzie z ognistej wsi. Gdy Rooskies tutaj wrócili, zebrali ciała zabitych. Wzięli każde ciało, ostrożnie, delikatnie, znosząc poczerwiałe, zwęglone kości do wielkiej braterskiej mogiły. Cała drżąc, Molly zamknęła oczy.

I zobaczyła: bardzo wielu ludzi wokół głębokiego dołu, milczące szeregi mężczyzn, kobiet i dzieci, i trzy oddzielnie stojące postacie przy samym brzegu wspólnej mogiły. Trzy kobiety. Jedna wysoka, barczysty i prosta, w której Molly od razu rozpoznała Priedsławę Wolchowną Młodszą. Obok niej stała kobieta niższa nieco i widać, że dużo starsza. Jej twarz tonęła w cieniu, nie sposób było dojrzeć rysów. A przy niej zupełna starowinka, zgarbiona, wsparta na krzywej lasce. Młodsza, Średnia i Starsza.

Co one zrobiły, Molly nie rozumiała, poczuła tylko napływającą ze wszystkich stron gorącą falę magii. Zew, pomyślała. Rooskies kogoś wołają... Stop, a gdzie kamień?

Granitowy głaz wyłonił się zza mgły jakby sam z siebie, choć Molly miała wrażenie, że pcha go łbem jakiś wielki kosmaty stwór. Kamień bezgłośnie spoczął na miejscu, przykrywając mogiłę. Molly stała, przykładając dłoń do zimnej powierzchni monolitu. Po co mnie tu ściągnęli? Nie jestem niczemu winna! To nie ja! Nie mam z tym nic wspólnego! W ogóle o niczym takim nie słyszałam!

I czemu nie ma tu śniegu?

Molly stała. Milczał zimny kamień, milczały okopcone kominy. Wokół rozlewała się straszliwa cisza, martwi patrzyli na nią spod ziemi, ale ona nie chciała zobaczyć i zrozumieć, co tak naprawdę ich zabiło. Może po prostu wybuchł tu pożar i Królestwo nie ma z tym nic wspólnego?!

Obejrzała się – Wołkę i Wsiesława ledwo można było zobaczyć na brzegu lasu, choć oboje chyba specjalnie się pochyłili, żeby Molly nie straciła ich z oczu.

„Mogę już wracać?” – zapytała bezgłośnie.

Odpowiedzi nie było. Molly ostatni raz spojrzała na spaloną wieś. To nie ja, nie ja! Niczego tu nie paliłam! Nikogo nie zabijałam! Nic o tym nie wiem!

Niedźwiedź i wilk czekali na nią w tym samym miejscu.

„No co, widziałaś?” – pytał ich wzrok.

– Widziałam! – krzyknęła ostro Molly, przełykając gulę w gardle. W końcu była córką Królestwa i poddaną Jej Wysokości! – No i co?! Co chcieliście mi tym powiedzieć?

Wołka warknęła głucho, wyszczerzyła kły; niedźwiedź niezgrabnie przestąpił z łapy na łapę, gwałtownie podniósł głowę, jakby ujrzał coś za plecami Molly. Dziewczynka odwróciła się i zobaczyła nietkniętą wieś pod szarym jesiennym niebem, stojącą w kręgu uprzątniętych teraz pól. Od brzegu lasu do wsi szedł szybko szereg jegrów z karabinami i strzelbami, lokomobila ciągnęła po polu ciężkie działo, z jego lufy wyrwał się słup ognia i dymu... Obłok wybuchu bezgłośnie rozlał się po obrzeżach, niszcząc kilka sąsiednich domów.

– Nie, nie, nie! Nie chcę! – Zamachała rękami Molly, odwracając się.

Wizja posłusznie znikła. Niedźwiedź podszedł do niej, spojrzał jej prosto w oczy.

„Przed tym się nie ukryjesz, Molly Blackwater” – mówił jego wzrok.

Molly milczała stropiona. Ze wschodu, od wielkiego morza wiatr przygnał tłuste stada ciemnych chmur, niebo zasnuło się szybko, światło przygasło. Poleciały pierwsze płatki śniegu i Molly obejrzała się, żeby zobaczyć, jak będą topnieć, dowodząc tym samym słuszności jej domysłów.

Na lasem, nad pustą przestrzenią z brudnobiałymi martwymi palcami kominów przepłynęło ciężkie, żałosne westchnienie, jakby wiatr zawodził w suchych gałęziach, nad umarłymi po jesiennemu łądogami. Od dalszej części lasu na to, co kiedyś było wsią, nasunął się obłok mgły. Śnieg walił coraz bardziej, gęstniejąc z każdą minutą, pochłaniając kominy, zastygając na ziemi w małe srebrne kałuże, jakby chciał przykryć nagość martwych pól.

Ale mgła wyraźnie tego nie chciała. Poruszała się, nasuwała na spaloną wieś i po obu jej stronach wznosiły się lekkie strugi śniegu, jakby ktoś troskliwie zdmuchiwał albo zmiatał świeże zaspy z ubitej ziemi.

„Żeby pamiętali” – Molly wydawało się, że powiedział to Wsiesław, ale nie, niedźwiedź nawet na nią nie patrzył, on i Wołka nagle bardzo nisko skłonili głowy, zupełnie nie po zwierzęcemu przypadli do ziemi – to mógł być tylko pokłon.

Mgła nasuwała się, śnieg skrywał wszystko wokół i w pewnej chwili Molly poczuła, że Wołka szarpie ją za połę. Wilczyca odciągała ją stamtąd. Niedźwiedź Wsiesław również wstał, otrząsnął się i podszedł.

„Wskakuj na siodło” – mówił bardzo wyraźnie jego wzrok.

Boże, a gdzie się podziała kotka? Jak ją tu teraz znaleźć?

– Di! Diana! – krzyknęła Molly tak samo jak przed domem Priedsławy, i kotka znów pojawiła się jakby znikąd, z tą samą niewzruszoną miną.

Wołka ryknęła głucho, z rozdrażnieniem. No, dość tej zwłoki! Nawet kłapnęła

zębami, gdy Molly próbowała jeszcze obejrzeć się przez ramię. Niedźwiedź pokręcił tylko okrągłą głową.

Znów chowając za pazuchą bardzo zadowoloną nie wiedzieć czemu kotkę i jęcząc przy każdym ruchu, Molly wgramoliła się na niedźwiedzi grzbiet. I wkrótce znów pędzili przez gęstniejący śnieg, który walił tak, że Molly z trudem widziała parę okrągłych uszu swego „wierzchowca”. I wtedy dopiero zrozumiała, że zaraz zapadnie ciemność – czy oni chcą nocować w lesie? Na śniegu?! Jak to w ogóle możliwe?! Ale wyraźnie nie było innego wyjścia. Wołka zniknęła teraz zupełnie w tej śnieżycy. Jak oni wyczuwali kierunek, skąd wiedzieli, którądy biec – pozostawało zagadką.

Molly pochyliła się jeszcze niżej, niemal przywierając do niedźwiedziego grzbietu. Pod kosmatą skórą wyczuwała supły potężnych mięśni; Wsiesław przemieniec biegł spokojnie, jakby po równej drodze. Barbarzyńca! A jednak na jego grzbiecie Molly czuła się bezpieczna. I zobaczyła się jakby z boku – dziewczynka siedząca na wielkim zwierzu, pędzącym przez gęstniejącą noc, wilk biegnie obok niedźwiedzia i cała trójka niknie w zapadającym mroku.

Koleżanki z klasy pękłyby z zazdrości, pomyślała nagle Molly. Po raz pierwszy przez te wszystkie dni ucieczki i krótkiej służby na „Herkulesie” pomyślała o szkole i przyjaciółkach. Pomyślała bez strachu, bez rozpacz, zupełnie jakby wyjechała z rodzicami gdzieś na południe.

Jess Petterson zrobiłaby wielkie oczy i przycisnęła dłonie do policzków. Christie Vickers, klasowy *tomboy*[23], klepnęłaby ją po ramieniu i zaczęła wypytywać: „A jak się utrzymałaś na grzbiecie? A czy to bardzo się różni od jazdy konno?”. I nawet ta zarozumiała Kate Middleton, która wiecznie wszystkim zapewnia, że wyjdzie za mąż za księcia, nawet ona ugryzłaby się w język.

Nord Jork, szkoła, dziewczynki... Mama, tata i brat... Jak do was wrócić? Uwierzyć, że Rooskies faktycznie mnie wypuszczą? Nauczą, jak obiecali, ukrywać magię, i wypuszczą? Trzeba, trzeba wytargować, żeby przekazali rodzicom list, pomyślała Molly. Zatrzymamy się, przemienią się w ludzi i wytarguję to. Na pewno.

Od niedźwiedzia płynęło ciepło i mimo śniegu wokół Molly nie marzła. Kiedyś, czytając książki przygodowe, marzyła, żeby tak właśnie pędzić w nieznaną, lecieć ku nowym, niezbadanym ziemiom, tajemniczym ostępom, nieprzebytym kniejom, zagadkowym rzekom, gdzie nie trafił jeszcze żaden badacz Królestwa. Tylko że w książkach nie było ani słowa o ogromnym, łamiącym w stawach zmęczeniu, ani o zimnym wietrze, od którego drętwieje twarz, ani o strasznych, spalonych wsiach.

Noc spadła na zimowy las niczym jastrząb na zdobycz. Śnieżyca nie chciała się skończyć, na niebie nie było ani gwiazd, ani księżyca, i bardzo szybko ciemność zamknęła nad nimi swoje miękkie skrzydła. Molly wyciągnęła się, jej pięty znalazły się niemal na niedźwiedzim grzbiecie. I w tej samej chwili stanęli.

Ani wilk, ani niedźwiedź nie wrócili do ludzkiej postaci. Wsiesław ryknął tylko, wskazując Molly na sakwę przy siodle, gdzie znalazły się suchary i słonina. Potem niedźwiedź położył się na śniegu i przyzywająco machnął łapą do Molly, bez ceregieli wskazując na swój bok. Wołka warknęła krótko, energicznie kiwając łbem.

W sakwach znalazła się też kołdra, z jednej strony gładka, jakby z jedwabiu; śnieg zsuwał się z niej, nie przyklejał. A druga strona była bardzo, bardzo miękka i ciepła. Onieśmielona Molly wtuliła się w bok niedźwiedzia, zawinęła w kołdrę. Z drugiej strony położyła się Wołka, na piersi dziewczynki w puszysty kłębek zwinęła się Diana, po swojemu życząc Molly spokojnej nocy: polizała jej policzek języczkiem szorstkim jak tarka.

Bardzo gęsty śnieg wciąż padał cicho, jakby chciał zasypać ich z kretesem. Molly zamknęła oczy i od razu zapadła w sen, jak w ciemną otchłań morza.



Znów śniła jej się czarna góra. Gigant wznoszący się wśród zaśnieżonych lasów. Nieopodal, na południu, jeśli sądzić po słońcu, ciągnęły się grzbiety Karn Dredu. Góra była niespokojna. Nad ściętym, płaskim wierzchołkiem unosił się dymek, wydobywał się też z pęknięć w zboczach. W podziemnych ciemnościach drzemał ogień.

Nie wiedzieć czemu Molly zrozumiała to bardzo jasno – jakby ktoś jej o tym opowiadał, choć niczyjego głosu, nawet w myślach, nie słyszała. Ogień drzemał, ale nie zawsze tak było. Czarne zbocza pokrywały zastygłe strumienie stopionego niegdyś kamienia; w dole, u podnóży, sterczały zwęglone szkielety drzew. Nawet ogień nie zdołał zgładzić ich do końca – zabił, lecz nie powalił.

„Rooskies nie wystarczy zabić” – przypomniała sobie zdanie, podsłuchane kiedyś, gdy u rodziców zebrali się goście, lekarze i oficerowie. „Rooskies nie wystarczy zabić, trzeba ich jeszcze powalić”.

Drzewa umarły, ale nie runęły. Mocno trzymały się kamienistej ziemi martwymi już korzeniami, żeby ogień nie poszedł dalej, a ogień umarł z głodu, nie znalazłszy dość pożywienia w węglach pokrywających pnie. Te tutaj umarły, żeby mogły żyć inne.

Czarna góra dyszała dymem, powoli wypełniając się siłą i wściekłością. Jakby szybując w górze, Molly widziała rozchodzące się pod ziemią płomienne żyły, tak bardzo użyteczne, dające życie wielu gorącym źródłom. Na północnych zboczach Karn Dredu (że to właśnie Karn Dred, Molly nie miała żadnych wątpliwości) brały początek liczne rzeczki. Większość z nich nie zamarzała nawet w największe mrozy, nad źródelkami kłębiła się para. I ten stan należało utrzymać. Utrzymać za wszelką cenę...

– Mrr... – zamruczała z wyrzutem Diana, znów liżąc Molly po twarzy swoim szorstkim języczkiem. Wstawaj, ja już jestem gotowa, umyłam się i w ogóle!

Molly się przekręciła. Jak się okazało, w nocy zsunęła się całkiem na niedźwiedzia i teraz ten czekał cierpliwie, aż ona się obudzi. Za to Wołka kręciła się tam i z powrotem, całą sobą próbując nakłonić wszystkich do pośpiechu.

– Już, już – wymamrotała Molly, niechętnie wydostając się spod kołdry, i od razu zadrżała z zimna. A przecież musiała jeszcze przeprowadzić... ee... procedury higieniczne. I to w lesie, w śniegu, na mrozie! Na samą tę myśl Molly zatrzęsała się jeszcze bardziej i jednocześnie, o dziwo, zachichotała. No, żeby teraz zobaczyły ją koleżanki!

Musiało się bardzo ochłodzić. W nocy śnieg przestał wreszcie padać, ale i tak było go aż za dużo. Miejsce ich noclegu otaczał wysoki wał, wszystkie ścieżki i prześwity między pniami zasypało białym puchem, gałęzie ugięły się pod ciężarem śniegowych czapek. Dokąd iść? Gdzie się kierować? Molly zrozumiała nagle, że bez przemieńców nie przeżyłaby tu ani jednego dnia, nawet gdyby miała ze sobą ekwipunek.

Wsiesław podniósł się ze swego śnieżnego legowiska, wyprostował ramiona, pokręcił głową, zupełnie nie po niedźwiedziem. I nadstawił bok pod strzemiona. „Wskakuj!”

Molly pospiesznie wrzuciła do ust zimnego suchara i kawałek słoniny, ugasiła pragnienie roztopionym w manierce śniegiem, po czym znów znalazła się na grzbiecie swego wierzchowca. Całe ciało miała sztywne i obolałe, a o czekającej podróży myślała bez przyjemności. Ale co było robić.

Dzisiaj ich droga biegła w górę zbocza, powoli, acz nieuchronnie robiło się coraz bardziej stromo. Lecz niedźwiedziowi i wilczycy zupełnie nie przeszkadzał wysoki śnieg ani zwalone pnie czy pokraczne korzenie starych sosen. Wsiesław pruł śnieg niczym pług, zostawiając Wołce szeroką ścieżkę. Mknęli pod szarym niebem przez niemą białą gęstwinę bardzo długo, by wreszcie znów znaleźć się na skraju lasu.

– Znowu? – spytała z wyrzutem Molly.

Na otwartej przestrzeni wznosiły się wystające kominy, jednak tutaj pozostałości spalonej wsi przykrył śnieg. Wsiesław otrząsnął się, jakby mówił: „Złaź”. A jednak, znowu. Molly przewróciła oczami: mam was dosyć, widziałam już waszą wieś. Nie mam z tym nic wspólnego, mówię wam, nic! Wilk i niedźwiedź patrzyli na nią nieprzeniknionym wzrokiem: wiemy, co o tym myślisz, ale trudno, cierp, póki jesteś z nami.

– *Si fueris Romae, Romano vivito more; si fueris alibi, vivito sicut ibi*[24] – błysnęła Molly znajomością łaciny. – Wiem, wiem. Ale...

I ugryzła się w język. Przemieńcy przyprowadzili ją nie tylko na obrzeża zniszczonej wsi, do niemych świadków jej śmierci – przyprowadzili ją do jednego z posterunków strzelców górskich i jegrów Jej Wysokości.

To był istniejący od dawna posterunek, a nawet prawdziwy fort, z biegnącą na południe linią torów, szeroko rozrzuconymi artyleryjskimi kaponierami, licznymi redutami i transejami przykrytymi zaroślami kołków z drutem kolczastym. W niektórych miejscach królewscy saperzy wysadzili okopcone kominy, a cegieł i kamieni użyli do budowy gniazd mitraliez i stanowisk dla krótkolufowych, grubych haubic okopowych.

W zimowe niebo wznosiły się dymy. Sapał na torach parowóz manewrowy, zbierając niezaladowane wagony, wkrótce spodziewano się kolejnego eszelonu z Nord Jorku. Ciężko kłapała szerokimi kołami wielka lokomobila z pługiem z przodu, odśnieżając drogę po nocnych opadach.

Wszędzie było czarno od żołnierzy. Maszerowali, ustawiali się, zapełniali transeje i reduty, widać ich było na murach otaczających fort. Wyraźnie do czegoś się tu szykowano...

I rzeczywiście: w pobliżu torów wypluwała kłęby dymu dziwna romboidalna machina z czymś w rodzaju ruchomych taśm, obejmujących korpus na brzegach. Gąsienice, przypomniała sobie Molly. No tak, gąsienice, znajomi taty mówili o nowych mechanizmach bojowych z całkiem innym pędnikiem, którym podobno niestraszne są bezdroża.

Po obu bokach maszyny bojowej widać było sponsony, z każdego wystawała jedna lufa działa. Co prawda, nawet z tej odległości można było zobaczyć, że są to działa małokalibrowe. Nie, pomyślała Molly, gdzie tam tym niezgrabnym żółwiom do wielkich, pięknych pociągów!

Fort mieścił się nieco poniżej wysokiego brzegu lasu, gdzie zatrzymali się przemieńcy, więc Molly mogła spokojnie patrzeć na to, co działo się w twierdzy. Widziała też grupkę ludzi w czarnych płaszczach, stojących obok gąsienicowego pojazdu.

Molly zmrużyła oczy. Od zawsze miała dobry wzrok, a stąd do maszyny bojowej nie było nawet stu jardów. Aż dziw, że jegrzy zostawili wysoki lesisty grzbiet bez ochrony... Zresztą, przestrzeń od gęstwiny do biegnących wzdłuż niej torów zapełniały druty kolczaste, blindáže z ambrazurami i zadaszone przejścia. Nagie zbocze narzucało się jako kierunek ataku i Molly nie wątpiła, że każdy cal tutaj był pod ostrzałem artylerii. Atakujący mieliby się z pyszna. Może właśnie dlatego ten grzbiet pozostawiono bez uwagi?

Wołka trąciła ją pyskiem w biodro, jakby mówiła: „Patrzysz nie na to, co trzeba!”.

Z setki jardów niewiele nie da się zobaczyć, ale w pewnej chwili Molly poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w pierś lodowatym prętem. Lord Spencer, par Królestwa! W wysokiej futrzanej czapie i długim czarnym płaszczu. Jak zdołała go dojrzeć z tej odległości?

W tej samej chwili Molly poczuła jego wzrok. Lord podrzucił głowę, gestem powstrzymał mówiących do niego ludzi. Wołka skoczyła na Molly z boku, przewracając ją w śnieg. Niedźwiedź cofał się powoli, kręcąc głową, i Molly mogłaby przysiąc, że powietrze przed nim drży, jak latem nad rozpalonymi kamieniami, chociaż co tutaj mogło drzeć w taki ziąb, gdy na dworze było najwyżej dziesięć stopni Fahrenheita[25]?

Wołka przycisnęła Molly do ziemi i sama przywarła tak nisko, jak mogła. Niedźwiedź ryknął, machnął łapą: szybciej! Wilczyca zerknęła na Molly, chyba z poczuciem winy. Jakby chciała powiedzieć: „Nie dopilnowaliśmy”. Niedźwiedź ryknął znowu i Wołka pozwoliła Molly wstać. Wsiesław już podstawił dziewczynce swój grzbiet.

Chwilę później mknęli przez las, wyraźnie kierując się na zachód, w najbardziej nieprzebytą gęstwinę. Nie zatrzymywali się aż do wieczora, gdy Molly omal nie spadła z wycieńczenia, a Diana głośno, alarmująco miauczała.

Przemieńcy byli wyraźnie niespokojni. Na postoju Wołka kręciła się wokół Wsiesława, który siedział niczym cyrkowy niedźwiedź na stołku. Wilczyca skamlała cicho, a jej młodszy brat odpowiadał krótkim porykiwaniem. Wyraźnie się porozumiewali, nie mieli jednak zamiaru wtajemniczać Molly w treść rozmowy.

Druga noc nie była już tak spokojna jak pierwsza. Niepokoiła się Diana, Wołka co chwila zrywała się i biegła w ciemność, głucho ryczał niedźwiedź. A Molly ledwo zamknęła oczy, znów widziała czarną ognistą górę pośród tajemniczych północnych lasów, a potem lorda Spencera w otoczeniu ludzi w maskach, w szerokich płaszczach do ziemi, z uniesionymi staromodnymi szpadami. Stali na brzegu jakiegoś lasu, zbyt głuchego i zaśnieżonego, by można go było uznać za miejski nordjorski park przed Bożym Narodzeniem.

Molly obudziła się i zrozumiała, że Boże Narodzenie już minęło. Przyszło i poszło, a ona nawet o nim nie pomyślała, jakby ktoś odciął szczelną kurtyną całe jej poprzednie życie. Nie było choinki ani prezentów, nie było radości oczekiwania ani pisków braciszka, rozpakowującego zestaw ołowianych żołnierzyków, każdy wielkości dłoni. Nie było świątecznego stołu, parujących talerzy, salatek,



brytfanek, nie było wykrochmalonego i sztywnego jak deska białego fartuszka Fanny. Wszystko przepadło. Na zawsze.

Dlatego że ona, Molly Blackwater, okazała się wiedźmą. Dlaczego tak? Za co? Co ona takiego zrobiła? Komu?!

– Nienawidzę cię, nienawidzę! – wrzasnęła z całych sił, wymachując pięściami.  
– Nienawidzę cię, magio! Bądź przeklęta! Odebrałaś mi wszystko, wszystko!

W plecy uderzyły ją łapy Wołki; Molly upadła twarzą w zaspę, zakrztusiła się śniegiem.

– Wrrryyyy! – ryknęła jej wilczyca prosto w ucho.

To było bardzo wyraźne: „Milcz!”, lecz Molly była zbyt wściekła, zbyt mocno poczuła swoją stratę. Wyraźniej niż w rzeczywistości widziała salon ich domu z ogniem w kominku, choinką obsypaną świecami, blaskiem sztucznych ogni, słodkimi bułeczkami, ciastem, srebrnymi sztućcami i śnieżnobiałym obrusem. I całe swoje poprzednie życie: takie zwyczajne, przytulne, z lekcjami, wakacjami, deską kreślarską, z czystym wygodnym ubraniem i ciepłą... ciepłą toaletą w domu!!!

Molly wrzasnęła jak ranny zwierz, odwróciła się, obiema rękami chwyciła kosmatą wilczą szyję i ścisnęła ją z całej siły, z całej nienawiści. Magia...? A masz, masz, masz!

W bursztynowych oczach zapłonęło zdumienie, bezmierne, wszechogarniające zdumienie. Tańka nawet się nie broniła, jakby nie mogła zrozumieć, że to się faktycznie dzieje.

Molly ścisnęła jej gardło jeszcze mocniej. Niesamowite, mroczne, obrzydliwe pragnienie – zabić, zabić, zabić wszystkich, którzy staną jej na drodze – pochłonęło świadomość, zgasiło wolę. Cios. Oślepiający wybuch bólu i Molly rzuciło na bok. Kotka rzuciła się bronić swoją panią, prychając dziko, ale spotkał ją ten sam los.

Wielki niedźwiedź zwisał nad dziewczynką, z nisko pochyloną głową, obnażonymi zębami. Ryczał, nisko, basowo, i w tym ryku też była gotowość mordy. Ale nie z własnej woli, lecz w obronie siostry. Potężna łapa wyciągnęła się, pazury dotknęły brody dziewczynki. Oczy zwierza patrzyły prosto w oczy człowieka i Molly zrozumiała, że wystarczy jeden nieznaczny ruch, by oddzielić jej głowę od tułowia.

– Chru? – wydusił z siebie niedźwiedź. Molly prawie nie wątpiła, że miało to oznaczać: „No?”.

Dziewczynka osłabła, zadrżały jej wargi. Tylko się nie rozpłakać, tylko się nie

rozpłakać, tylko się nie rozpłakać! Przekłęte łyzy, dokąd?! Molly chlipnęła żałośnie. Niedźwiedź mruknął, krótko, przeprasza jąco. I cofnął łapę. Molly wydostała się z zasy, podeszła do otrząsającej się Wołki. Uklękła przed nią i przechyliła głowę.

– Prze-przepraszam – wyjąkała. – Przepraszam! Proszę cię, wybac mi! Ja nie chciałam... Nie wiem, co mnie napadło... Wybaczysz mi, Wołka, co? *Wolfie*...

Wargi wilczycy drgnęły, ukazały się zęby, ale nie był to groźny grymas. Wołka trąciła pyskiem dłoń dziewczynki, a potem znieńska polizala ją w policzek. Tego już było za wiele. Molly złapała Wołkę za szyję, wtuliła twarz w jej szorstkie, ciepłe futro i rozpłakała się, teraz już na dobre.

\*\*\*

Przemieńcy trzymali kurs na północ, nie oddalając się od zajętego przez wojska Królestwa starego traktu, wiodącego ku przełęczy. Trakt znalazł się w posiadaniu Jej Wysokości dawno temu, zdążono położyć tory, dwupasmową drogę z mostami, stacjami, tunelami, parowozowniami, nawet z liniami telegrafu optycznego. Jeździły tędy pancerne pociągi, przybywały eszelony górskich jegrów, lokomobile ciągnęły artylerię. Nawet taka miłośniczka książąt, księżniczek i wszelkiego salonowego blichtru jak Kate Middleton zrozumiałaby, że armia Królestwa szykuje się do natarcia.

Na małych stacyjkach i dużych stacjach stały pociągi, a parowozy manewrowe dawały z siebie wszystko, ustawiając puste wagony w należywym porządku. Z peronów parowe dźwigi wyładowują ciężkie haubice, wysyłające dziesięciocalowe pociski na sześć–siedem mil; stało tu wiele dziwnych, romboidalnych, napędzanych parą pojazdów na szerokich gąsienicach. Armia Królestwa wciskała klinem parową prasę w niepodległe góry Rooskie. Molly czytała wielokrotnie, że zimą tutejsze przełęcze, zasypane ogromnymi ilościami śniegu, są nie do przebycia – jednak generałowie Jej Wysokości chyba postawili sobie za punkt honoru dowieść, że jest inaczej.

Im wyżej wspinali się przemieńcy z Molly, tym robiło się zimniej i śnieżniej. Lasy były teraz wyraźnie niższe, ziemia bardziej kamienista, tu i tam wśród sosen i świerków wystawały szare skały zwiastujące, że niedługo dotrą do głównego grzbietu.

Raz po raz natrafiali na pozostałości spalonych wsi, które były tu przed nadejściem Królestwa. Rozrzucone na brzegach rzek i strumieni, z młynami wodnymi, rozległymi pastwiskami i polami, wsie zdawały się wyrastać z samej ziemi – aż do chwili, gdy przybyli tu słudzy Jej Wysokości.

Molly próbowała o tym nie myśleć, ale jej nie szło. Zniszczone wsie przykrywała gruba, ciężka warstwa śniegu, ukrywając straszliwą nagość spalonych podwórzy. Molly rozumiała już, czemu Wsiesław i Wołka przyprowadzili ją do tamtego nagiego kręgu z wielkim granitowym monolitem pośrodku. Tamta wieś była pierwsza. Szok i ból były tak wielkie, że Rooskies poświęcili ogrom sił, by stworzyć braterską mogiłę. Myśleli, że nigdy nie odejdą z tych miejsc, a straszna naga przestrzeń, chroniona tajemniczymi leśnymi siłami, będzie wiecznym miejscem pamięci o poległych. Mylili się.

Królestwo szło naprzód, nawet na chwilę nie osłabiając naporu.

Molly, niedźwiedz i wilk szli, zostawiając za sobą puste lasy. Rooskies odeszli stąd dalej na północ, aż do przełęczy. Jak rozumiała Molly, walki toczyły się teraz bardziej na zachód, tam gdzie stał dom czarodziejki Priedsławy i gdzie „Herkules” stracił połowę pancernych wagonów.

Gdy ich droga biegła brzegiem lasu, po swojej lewej ręce Molly mogła nieustannie obserwować sięgający ku zimowemu niebu gęsty dym. Dymiły parowozy na torach. Dymiły lokomobile, parowe ciągniki oraz dźwigi. Dymiły niezliczone piece i kominki w fortach, wzniesionych wzdłuż torów kolejowych. Dymy wyciągały ku niebu widmowe ręce, których nie umiał rozwiać nawet ostry wiatr.

Molly ledwo trzymała się na grzbiecie niedźwiedzia. Z jedzenia przemienicy zabrali ze sobą tylko suchary i słoninę, sami zadowalali się paskami suszonego mięsa, które dawała im Molly; wydawało się, że nie czują żadnych niewygód. Nie przemieniali się w ludzi, z dziewczynką porozumiewali się gestami albo porykiwaniem, jak przyznawała Molly, bardzo wyraźnym. Droga stawała się coraz trudniejsza, skały napierały, nasuwały się ze wszystkich stron, musieli ostro kluczyć, przeciskając się w tym labiryncie.

Z czasem Molly popadła w tępą obojętność. Nie zastanawiała się już, dokąd wynieśli się stąd wszyscy Rooskies, czemu armia Królestwa nie przeszła za przełęcz, co robił tu lord Spencer i co to za romboidalne potwory na gąsienicach dostarczono do górskich fortów. Chciała tylko jeść i ogrzać się.

Ciepło i jedzenie. Jedzenie i ciepło. Przemienicy i Di starali się, jak mogli, żeby ją rozgrzać, ale nieprzywykła do takich wypraw Molly zupełnie upadła na duchu. Pod koniec dnia mogła już tylko leżeć na grzbiecie niedźwiedzia, wtulając twarz w jego futro, nie patrząc na obrzydłe, w kółko takie same obrazy: sosny, śnieg i kamienie.

Szeroki wąwóz, którym biegła droga do przełęczy, nieuchronnie się zwężał. Po

obu stronach coraz wyżej i wyżej wznosiły się skały, szare i niedostępne, nagie, porysowane pęknięciami. Coraz mniej było tajnych ścieżek, biegnących między górskimi sosnami; przemienicy, chcąc nie chcąc, musieli zbliżyć się do flankowej osłony przesuujących się na północ jegrów.

Bardzo ryzykowali, ale Molly było już wszystko jedno. Znajdą ich czy nie znajdą, ostrzelają czy nie ostrzelają, co za różnica. Byle tylko skończyło się to podrygiwanie na grzbiecie, zimno, głód i zmęczenie. Czasem myślała, że jakoś szybko się poddała, łatwo uległa zwykłym przecież niewygodom zimowej wyprawy, ale te myśli rozplýwały się, jak obłoki na letnim niebie.

Jednego dnia w ogóle nie ruszyli z miejsca, ukrywali się w skałach, za stojącymi w zwartym szyku sosnami. Ostrożnie odsuwając gałązkę, Molly zrozumiała dlaczego: lasy cofały się, przed nimi otwierało się wąskie przejście, gdzie nie było już nic prócz kamieni, porośniętych krzywymi niskimi drzewkami zboczy i śniegu, wyściełającego dno przełęczy.

Dotarli do przełęczy, gdzie zaczynał się najtrudniejszy odcinek. Musieli przemknąć przed nosem górskich jegrów i strzelców, obok rozciągniętych na śniegu spirali drutu kolczastego. Całe szczęście, że nie podciągnęli torów, do pełni szczęścia brakowało im tylko pociągu pancernego.

Wojsko zdążyło się tu porządnie umocnić. Molly widziała szare pudełka baraków i magazynów, widziała stojące w pełnej gotowości baterie, widziała lokomobile z wycelowanymi ciężkimi działami, zagradzające przełęcz „jeże” z pajęczynami drutu, wzniesione z worków z piaskiem osłony i przedpiersia. Jegrzy i strzelcy wzniesli taką barierę, że mogłaby przeszkodzić im samym, gdyby zdecydowali się ruszyć dalej, w górę, aż do przełęczy.

Wilczyca i niedźwiedź leżeli obok w kompletnej ciszy. Nie odzywała się też Diana – głodna, bo domowej kotce niełatwo znaleźć zdobycz w zimowym lesie i to wysoko w górach.

– Czekamy na noc, tak? – spytała cichutko Molly.

Leżąca obok niej Wołka skinęła kosmatą głową.

– Aha – powiedziała Molly i mocniej przytuliła się do ciepłego niedźwiedziego boku. Nie myślała teraz o przyzwoitości, o tym, że obejmuje nie zwykłego niedźwiedzia (nawet jeśli był to przemieniec), tylko chłopca, „młodego panicza”, jak nazywałyby go służba, gdyby urodził się w bogatej nordjorskiej rodzinie, którego obejmowanie uznano by za strasznie nieprzyzwoite. Teraz to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Molly pomyślała nagle, że bez wahania przytuliłaby się do Wsiesława w jego jak najbardziej ludzkiej postaci, weszłaby razem z nim pod

kołdrę, gdyby dzięki temu mogła przestać marznąć.

Cały dzień się kryli, Molly karmiła Dianę resztką słoniny. Kotka dosłownie krzywiła się, ale jadła z iście majestatyczną godnością – godnością króla, wtrąconego przez buntowników do celi i zmuszonego do jedzenia więziennej polewki.

W ciągu dnia ku przełęczy ruszyła wielka kolumna wojska, co najmniej tysiąc górskich jegrów, złączone po trzy potężne lokomobile z wielkimi kołami wciągały sześciodziałową baterię. Będą nacierać, pomyślała Molly. Armia Królestwa po raz pierwszy przekroczy przełęcz. Przejdzie za Karn Dred. Nadal nie mogła pojąć, czemu przemienicy wybrali tę właśnie drogę. Przecież na pewno znali inne ścieżki, bo jak inaczej mogłaby tu zostać ta *wółszebnica* Priedsława? Czemu musieli ją ściągnąć właśnie tu?

Żeby pokazać jej spalone wsie? To naprawdę było przerażające – ale co ona ma z tym wspólnego? Przecież nie ona wysłała tu żołnierzy, nie ona wydawała rozkazy! A więc dlaczego? Wypatrywała ciemności jak zbawienia. I rzeczywiście, gdy tylko zgęstniał mrok, przemienicy wstali i otrząsnęli się. Wsiesław spojrzął na Molly i w milczeniu pochylił się, by mogła wsiąść. Wołka z nadzieją patrzyła w niebo, ale jak na złość świecił księżyc, wysypały się gwiazdy i światło odbijało się od białego śniegu. Nawet srebrzyście szare futro obu zwierzy odcinało się od tła. Na pyskach przemienców odmalowało się zmartwienie.

Molly znów rozciągnęła się na niedźwiedzim grzbiecie. Wołka pobiegła przodem, na zwiad. Jakiś czas szli wzdłuż zachodniego zbocza, bezgłośnie sunąc od jednego pasa cieni do drugiego. Po prawej zostały ogniska wojskowego obozu, tam jasno płonął ogień, syczały i świstały lokomobile, od czasu do czasu rozlegały się rozkazy. Ktoś się po coś formował, ktoś gdzieś maszerował, ktoś kogoś zmieniał.

Zbliżali się do przełęczy, do białego, nietkniętego śniegu, bez ohydnych spirali drutu kolczastego, jeszcze bardziej ohydnych baraków i zupełnie niepasujących tu lokomobili.

Wołka skradała się przodem, Wsiesław z Molly na grzbiecie szedł za siostrą. Zwierzęta przemieszczały się bezszelestnie, nawet śnieg nie skrzypiał pod ciężkimi niedźwiedzimi łapami.

Na przodzie zamajaczyła ostatnia linia obrony. Palily się tam jasne latarnie, olbrzymie, podobne do tych zasilanych oliwą potworów, umieszczonych w lataniach morskich. Sprytna optyka, wklęsłe lustra i soczewki, kierowały do przodu snop światła; reflektory obracały się wolno i promienie światła sunęły po

dziewiczym śniegu i wystających spod niego skałach tuż przy samej przełęczy.

Wołka zamarła, przytulona do skały, tonąc w cieniu za ostrym występem.

Zamarł i Wsiesław; Molly czuła, jak pod jego skórą napięły się mocne mięśnie. Niedźwiedź też krył się w cieniu, w ostatnim szerokim pasie, gdzie załom kamienia chronił przez wojskowymi reflektorami. Światło przesunęło się. Krótka chwila względnej ciemności.

Niedźwiedź ruszył. Molly nigdy nie przypuszczała, że zwierzęta, nawet przemienicy, mogą poruszać się z taką prędkością. Przemknął nad białym śniegiem niczym kula armatnia, dosłownie wbijając się w zbawienny pas ciemności, gdzie już czekała przytulona do kamienia Wołka.

Reflektory przesunęły się; ustawiono je tak, żeby przynajmniej jeden stale oświetlał dno wąwozu, dwa pozostałe – ściany. Wołka podczołgała się do przodu, żeby odszukać następną kryjówkę. Dziewczynka pomyślała przelotnie, że strzelcy powinni byli zająć zbocze góry, wejść na grzbiet po obu stronach wąwozu... A może nawet tak zrobili, jednak tamtejsze czujki niczym się nie zdradzały.

Poczuła, że niedźwiedź znowu szykuje się do skoku, odetchnęła, przytuliła się mocniej i w tej samej chwili poczuła wzrok. Pusty i zimny, który z uporem szukał w ciemności właśnie jej, Molly Blackwater. Wiedziała to, zrozumiała od razu, choć nie wiedziała jak.

– Naprzód! – wrzasnęła niedźwiedziowi prosto do ucha i w tej samej chwili zapłonął czwarty reflektor, stojący za pozostałymi.

Snop światła uderzył prosto w ich kryjówkę, cienie rozpierzchły się wystraszone, bezlitosne światło wystawiło ich na pokaz. I noc wybuchła. Najpierw krzykami, a potem również strzałami. Ku niepojętemu zdumieniu Molly nikt nie krzyczał: „Alarm!”, „Rooskies!” albo po prostu: „Tam są!”.

Dziesiątki głosów zawyły:

– Wiedźma! Wiedźma!

Huknęły strzały. Na szczęście niedźwiedź skoczył do przodu chwilę wcześniej, w chwili gdy zrozumiał, co krzyczy jego jeździec. Kule zadzwoniły o kamień, posypały się odłamki, wzbily w górę fontanny śniegu zmieszanego z dymem. Molly pomyślała, że tak pewnie wyglądają wspomniane w książkach kule wybuchowe.

Niedźwiedź mknął wielkimi susami i zastygał na ułamki sekund, zbijając strzelcom celowniki, nie pozwalając wziąć się z wyprzedzeniem.

– Wiedźma! Zabijcie wiedźmę! – krzyczeli z tyłu.

Molly wcisnęła twarz w kark przemienca. Szybciej, szybciej, proszę cię! Przy jej własnym było szalenie małe kocie serduszko. Naprzeciw kulom skoczyła Wołka, wysoko-wysoko, ściągając ogień na siebie.

Zatrąkotała mitralieza, po niej druga. I gwizd, gwizd, gwizd, ze wszystkich stron. Wściekłe wycie Wołki. Niedźwiedź szarpnął się konwulsyjnie, rzuciło go w bok, Molly omal nie spadła z jego grzbietu, ale nawet nie ryknął. Mknął ku przełęczy.

Wszystkie reflektory skupiały się teraz na nich, bezlitosne światło wyrwało uciekinierów ze zbawczej ciemności i już nie wypuściło. Pierwszy pocisk uderzył za nimi, gwizdnęły odłamki, zadrżała ziemia. W uszy uderzyło tak, że Molly ogłuchła. Niedźwiedź biegł z boku na bok, przypadał do śniegu, ruszał do przodu, choć wyczuwalnie kulał na tylną łapę.

Huk był straszny, ale głośniejszy od strzałów i wybuchów w głowie Molly rozlegało się wściekłe: „Wiedźma! Wiedźma!”. Widocznie załoga „Herkulesa” doniosła, komu trzeba.

Wołka skoczyła do tyłu, zawyła; śnieg za nimi nagle podniósł się ścianą, jakby niewidoczna ręka pociągnęła w górę białą zasłonę. Wiatr powiał im w twarz, dmuchał z nieludzką siłą i strumienie śniegu strzeliły prosto w górę, niczym gejzery.

Wołka wyła. Nie biegła już, siedziała teraz z odchyloną głową i wyła, straszliwie, rozdzierająco, nie zwracając uwagi na kule i pociski.

Nagle wycie ucichło. Śnieżna zasłona bezpiecznie osłaniała im plecy, Molly obejrzała się i spostrzegła, że Wołka już nie siedzi, że leży z nienaturalnie wykręconą głową.

– Wsiesław, Wsiesław! – Molly z rozpaczą pociągnęła za wodze.

Niedźwiedź ryknął, skoczył do tyłu. Śnieżne gejzery opadały, szczelna biała zasłona przerzedzała się. Wsiesław chwycił Wołkę paszczą za kark, machnął łbem i wilcze ciało poleciało w górę jak puszek, spadając prosto na ręce Molly.

Skierowany na nią wzrok niedźwiedzia mówił bardzo wyraźnie: „Trzymaj z całych sił! Jak upuścisz...” – dalszych słów Molly wołała nie odczytywać.

Wsiesław znowu biegł, a Molly trzymała się jedną ręką uprząży, drugą zaś ścisnęła futro Wołki. Bała się, że zobaczy krew, ale Wołka była albo ogłuszona, albo stało się z nią coś innego, bo dziewczynka nie widziała ran. Nadspodziewanie ciężka wilczyca cały czas niemal się zsuwała, palce Molly drętwiały, ale nie puszczały wilczej skóry. Dziewczynka była tak skupiona na tej jednej rzeczy: żeby

za żadne skarby nie rozluźnić palców, że nawet nie spostrzegła, kiedy ucichła strzelanina, zniknęły oślepiające promienie reflektorów i trójka uciekinierów znalazła się za załomem przełęczy.

\*\*\*

Już do nas nie strzelają, pomyślała tępo Molly, nadal wczepiona palcami w kark Wołki. I Wsiesław już nie biegnie, ledwo się wlecze, utykając na jedną łapę. I ciężko dyszy. A Wołka, Wołka również oddycha, ale ledwo-ledwo. Niedźwiedź faktycznie człapał resztką sił, opuszczając głowę aż do śniegu. Nie patrzył na Molly.

Ale teraz szli w dół. W dół, nie w górę. Królewska armia została z tyłu. A razem z nimi okrzyki: „Wiedźma!” i świst kul nad głową.

Jednak Molly nie umiała się z tego cieszyć. W ogóle nie umiałyby się teraz z niczego cieszyć. Mogła już tylko trzymać wodze jedną i nieprzytomną Wołkę drugą ręką, gdy niedźwiedź szedł coraz dalej przez noc.

Czemu nikt nie pilnuje przełęczy? – pomyślała z pretensją Molly. Gdzie są ci Rooskies, czemu nie chronią wejścia do swojej ojczyzny?

I w tej samej chwili z ciemności dobiegł gwizd, po czym odpowiedział mu drugi, nieco dalej. Wsiesław zatrzymał się, niemal padł w śnieg. Molly z Wołką zsunęły się z jego pleców na prawą stronę i dłoń Molly zrobiła się nagle lepka. Gwizd powtórzył się, odpowiedź również. Z księżycowego światła, lejącego się na biały śnieg, z szarych skał, znikąd wyłoniły się cienie w długich szatach.

Niedźwiedź uniósł głowę, ryknął słabo. Jego futro pokrywała krew, która w ciemności nocy była czarna. Silna dłoń spoczęła na ramieniu Molly, dziewczynka drgnęła. Niemłody brodacz patrzył jej prosto w oczy, uważnie i badawczo. W końcu pokręcił głową i machnął ręką do tyłu, gdzie czterech Rooskies trzymało szerokie nosze z kołdami. „Właz”.

Molly miała sztywne ręce i nogi, ale jakoś udało jej się wdrapać. Brodacz przykrył ją kołdrą, a potem podsunął jej pod nos odkorkowaną manierkę. Nad nią unosiła się para, widoczna nawet w słabym świetle księżyca. Zimno przeszywało ją do szpiku kości i żeby się ogrzać, Molly napiłaby się i whisky, i ginu, i okropnego, zdaniem mamy, grogu.

Płyn sparzył, ale nie dlatego, że był wrzący. Oprócz słodczy miodu i lekkiej domieszki ziół kryło się w nim coś jeszcze. Ciepło od razu rozpuściło się po żyłach, rozlało po ciele, tak że Molly z błogim uśmiechem padła na nosze,



zapominając podziękować brodaczowi.

Chwilę później już spała.



Molly często czytała w książkach przygodowych, jak to bohater zasnął w jednym miejscu i obudził się w zupełnie innym. Dzisiaj to ona była takim bohaterem. Zasnęła, padłszy na nosze, wśród zimowej nocy, na przełęczu za Kern Dredem, a obudziła się rankiem – a może w dzień? – na wysokim łóżku pod trzema zszywanymi z łątek kołdrami, podobnymi do tych, które widziała w domu Priedsławy Młodszej.

– Mrrr! – ucieszyła się drzemiąca obok kotka.

– Właśnie, mrr – odpowiedziała jej Molly sennym głosem i rozejrzała się.

Co, i tutaj na ścianach wiszą suszone zioła?! Takie to zwyczaje u tych Rooskies?

Dobrze nasmarowane drzwi nie skrzypnęły nawet, gdy obok łóżka Molly nagle zjawiła się kobieta – tak niespodziewanie i bezgłośnie, że dziewczynka aż podskoczyła, a Diana prychnęła. Kobieta była w podeszłym wieku, miała okrągłe rumiane policzki, oczy niebieskie jak niebo i siateczkę zmarszczek rozbiegającą się z ich kącików. Na głowie nosiła białą chustkę z czerwonym haftem na brzegach, związaną z tyłu, na sobie miała białą koszulę, a na niej jakby suknię na szerokich ramiączkach. Spód jasnoniebieski, wierzch ciemny i do tego szeroki skórzany pas z jakimiś sakiewkami, przypominającymi patrontasz.

Wygląda na znacznie starszą od mamy, pomyślała Molly. I włosy ma siwe, o, kosmyk się spod chustki wysunął...

Kobieta zdecydowanie podeszła do leżącej dziewczynki i spojrzała surowo na Dianę: „No, nie pryčaj bez potrzeby, po co!” – i kotka od razu umilkła. Sucha, lekko pomarszczona ciepła dłoń nakryła rękę Molly i w głowie dziewczynki od razu odezwał się niegłośny, miły głos.

„Witaj, gościu drogi. Witaj, Molly Blackwater”.

Podobnie jak w rozmowie z Priedsławą, cudze myśli rozbrzmiewały w języku

imperialnym. Ale czemu kobieta trzyma ją za rękę?

„Wybacz, ale rozmawiać z tobą mogę tylko w ten sposób. Priedsława, siostra moja młodsza, potrafi lepiej. Nasza starsza siostra – jeszcze lepiej. A ja tylko tak. Nieczęsto zdarza mi się to robić”.

„Dzień dobry, *ma'am*” – pomyślała wystraszona Molly.

Niebieskie oczy kobiety wydawały się spokojne i pogodne. To przerażało jeszcze bardziej niż surowe spojrzenie rannej Młodszej.

„Średnia, tak mnie nazywaj. Albo Wolchowna. Jestem średnią siostrą, jest nas trzy. Młodsza, Priedsławę już znasz. Walczy za przełęczą. Ja jestem tutaj uzdrowicielką”.

„Bardzo mi miło, proszę pani”. – Strach uparcie nie mijał.

„Boisz się mnie – i dobrze robisz – spokojnie odparła uzdrowicielka. – Ale ja ci powiem, że tak naprawdę to nie mnie i nie Priedsławy trzeba się bać, a naszej starszej siostry. Tam to jest strach, oj strach! – Pokręciła głową. – Ale ty nie musisz się tym przejmować. Priedsława przysłała mi wieści i wiem, że mam cię uczyć, jak już dojdiesz do siebie”.

„Czego uczyć, proszę pani?”

„Jak to – czego? Jak kierować swoją siłą, oczywiście! Priedsława nie ma do tego głowy i nie bardzo lubi się zadawać z waszymi ludźmi, ona rwie się do walki, do bitki, do niczego innego jej niespieszno. – Niezadowolona uzdrowicielka pokręciła głową. – Dlatego będziesz tu u mnie i kotka twoja też. Niech myszy łowi, bo opędzić się tu od nich nie idzie”.

„Proszę pani... a... a Wsiesław? A Wołka?”

„Martwisz się o nich? – Cienkie wargi uzdrowicielki uśmiechnęły się. – Z nimi wszystko w porządku, zwłaszcza z Wsiesławem. Co tam takiemu niedźwiedziowi jedna kula! Utknęła w ciele, nawet do kości nie doszła”.

„A Wołka? Z nią było źle...”

Uzdrowicielka zasznurowała wargi, zacisnęła palce na dłoni Molly.

„Poczułaś...? Tak, nie pomyliła się co do ciebie Młodsza, nie pomyliła. Źle było z Tańką, oj źle. No bo co ona zrobiła? Oddała swoją siłę, osłaniając was, żeby śnieg się podniósł. Osłonić osłoniła, ale sama za dużo oddała. Cena magii – mówiła ci o tym Młodsza?”

„M-mówiła...”

„Taka właśnie jest cena... Przeliczyła się nasza Tańka, i sobie krzywdę zrobiła,

i jeszcze gdzieś zamętu narobiła...”

Ostatnie słowa uzdrowicielki Molly puściła mimo uszu, teraz interesowali ją tylko Wołka i Wsiesław.

„Proszę pani, Priedsława Wolchowna mi mówiła, że jeśli odda się za dużo magii, to można... można...” – Molly zadrżała. Nie-nie-nie, niech z Wołką wszystko będzie dobrze, proszę, proszę!

„I słusznie Młodsza mówiła. Siłę oddać to jak krew z siebie puszczać. Jak za dużo wypłynie, żadni medycy nie pomogą. Wołka omal się z tym światem nie rozstała. Ale to nic, zdążyliśmy – w ostatniej chwili”.

Molly odetchnęła z ulgą, zamknęła oczy. Sama się zdziwiła, jak wielki ciężar spadł jej z ramion.

„Tańka leży, śpi. I niech sobie śpi. A ty niedługo wstaniesz, do pracy trzeba się wziąć”.

„Proszę pani... a Wsiesława... Wsiesława mogę zobaczyć?”

„No proszę. – Niebieskie oczy uśmiechnęły się leciutko. – Martwisz się, dziewczynko? Dobrze, jak już wstaniesz i zjesz, to cię zaprowadzę. Uczyć cię w tej chwili i tak nie będę, a żeby cię po mieście oprowadzać – to czasu nie mam, innych spraw za dużo, rannych wielu”.

Molly skuliła się pod kołdrą.

„Ja... bardzo... bardzo mi przykro, proszę pani”. – Nordjorskie wychowanie nie pozwalało Molly zwracać się do niemłodej już kobiety po prostu „Średnia”.

„O tym – odparła sucho uzdrowicielka – później porozmawiamy, a na razie wstawaj. Przygotowałam ci ubranie, leży na ławie. Twoje rzeczy były zupełnie brudne, takich nie włożysz, do dobrych ludzi nie wyjdiesz. Ale nie bój się, nic im się nie stanie”.

„Tańka groziła... że mnie zaprowadzi do jakiegoś domu mycia” – przypomniała sobie nagle Molly i uśmiechnęła się słabo.

„No, jak groziła, to musimy ją szybko na nogi postawić. Oj, ciężko ci tu będzie!” – pogroziła żartobliwie uzdrowicielka.

„Proszę pani, a nie ma tu takich... którzy znają mój język? Imperialny?”

Wolchowna Średnia westchnęła, pokręciła głową.

„Ci, który władają twoim językiem, wszyscy są tam, za przełęczą. Tu tylko ja potrafię. I jeszcze Starsza, ale do niej się w takich sprawach nie chodzi”.

„A... a w jakich się chodzi, proszę pani?”

„Jak będziesz za dużo wiedziała, to szybko się zestarzejesz – ucięła Wolchowna, ale jej oczy wcale się nie gniewały, patrzyły na Molly jakby z żalem. – Wstawaj, ubierz się i chodź jeść. Twoją kotkę jak wołać?”

„Di. Diana, proszę pani”.

„Och, kłuje mnie w uszy ta twoja »pani«, ale z wami, nordyjkami, te głupoty prędko nie przechodzą. Swoją Di puść do piwnicy, myszy tam skrobały, widziałam tam ich odchody”.

Uzdrowicielka puściła rękę Molly i głos w głowie od razu umilkł. Uśmiechnęła się, skinieniem głowy wskazała kupkę ubrań przy łóżku i wyszła, kłaniając się ościeżnicy i starannie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

– Wsiesław!

– Molly... – Chłopak podniósł się na łóżku. Był wychudzony, włosy miał potargane, policzki zapadnięte.

Molly zamarła na progu pokoiku. Okno było zasłonięte, panował przyjemny półmrok, na długich półkach na ścianach stały książki w skórzanych oprawach.

Chłopiec skrzywił się, siadając, ręką odruchowo sięgnął do biodra.

Molly przygryzła wargę. Tak chciała go zobaczyć, a teraz nie wiedziała, co robić...

Wolchowna Średnia wyjęła kulę z jego rany, jak sama powiedziała – zmusiła ją do wyjścia. Molly czuła, że tam, pod opatrunkami, coś bije, miarowo i rytmicznie, jak drugie serce. Biję i jakby się świeci, światłem niewidocznym dla innych.

– Ty zauważyć – odezwał się Wsiesław w imperialnym, znów skupiając się na bezokolicznikach. – Silna... *wołszebnica*.

Chyba chodziło mu o to, że Molly zauważyła wysiłki Średniej. Wydawał się zadowolony i spokojny, jak człowiek, który skończył wreszcie – i to z sukcesem – ciężką i niebezpieczną pracę.

– Wszystko w porządku? – Molly podeszła do niego. Przed jej oczami przeskakiwały obrazy: potężny niedźwiedź, niosący ją przez śnieg i noc, przez kule i odłamki.

Poczuła szczypanie w nosie, miała chęć się rozplakać. A jeszcze bardziej chciała tak po prostu objąć tego niedźwiedzia, który do końca ratował ją, czarodziejkę, aby dostarczyć ją do swoich.

– W porządku – potwierdził Wsiesław, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Twoje ubranie... ładnie. – Jego uśmiech zniknął, chłopiec niezadowolony pokręcił głową. – Ech, źle znać twój język...!

– Ja cię nauczę – powiedziała powoli Molly. – Jeśli zechcesz. A ty nauczysz mnie swojego.

Wsiesław mrużył oczy, słuchając, w końcu skinął głową.

– Zrozumiałem. Dobrze.

– Użyłeś prawidłowego czasu! – pocieszyła go Molly.

– Siadaj. – Wsiesław wskazał jej ławę naprzeciw łóżka.

Z początku jako tako, piąte przez dziesiąte, ale z czasem rozumieli się coraz lepiej. Zaczynali o jednej sprawie i przeskakiwali na inną, gdy rozumieli, że rozmówca gubi nić rozmowy, gdy słowa zaczynały być zbyt trudne.

Wsiesław jak prawdziwy dżentelmen pochwalił mój strój, pomyślała Molly. Jej też się podobał, był znacznie swobodniejszy i ładniejszy od formalnego nordjorskiego, choć nietypowy. Ciekawe, czy mają tutaj modę? Molly pytała o Wołkę, ale chłopiec posepniał, choć mówił, że Średnia nie traci nadziei. On z kolei pytał, jak jej się podoba miasto, na co Molly uczciwie odpowiedziała, że jeszcze nie wychodziła z domu.

Próbowała wypytać, co właściwie będzie musiała robić, ale Wsiesław tylko rozkładał ręce – o wszystkim powie jej Średnia. Pojawszy, że nic z niego nie wyciągnie, Molly skierowała rozmowę na ziemie leżące za Karn Dredem. Ale i tu niewiele rozumiała – Wsiesław powtarzał: *top'*, *bołoto*, *czaszcza*[26] – ostatnie słowo składało się wyłącznie z szelestów.

Ale i tak czuła się przy nim dobrze. Dobrze było rozmawiać tak, pół na pół z gestami, i śmiać się z własnych prób wypowiedzi. Jakby oboje, i Molly, i Wsiesław, w jednej chwili zapomnieli o wojnie, o spalonych wsiach, o cofnięciu się Rooskies do przełęczu.

Molly faktycznie próbowała wyrzucić wszystko z pamięci – ale nie mogła. Wystające nad gołą ziemią stare kominy, jakby siłą samego lasu chronione przed śniegiem, co i rusz stawały jej przed oczami.

Ale teraz ten chłopak, Rooskie, pomagał jej o tym zapomnieć i Molly była mu wdzięczna. Pomyślała, że w czasie swojej krótkiej niewoli w Nord Jorku Wsiesław zdążył się nauczyć mówić w imperialnym, i to całkiem nieźle. Ciekawe, jak jej by poszło, gdyby pobyła wśród Rooskies?

A potem w drzwiach stanęła uzdrowicielka i Wsiesław od razu umilkł. Średnia

łagodnie wzięła Molly za rękę.

„Chodź, dziecko. Opowiem ci, o co chodzi”.

Na progu Molly się odwróciła – chłopiec spoglądał na nią ze współczuciem.

\*\*\*

Dom uzdrowicielki przypominał siedzibę jej młodszej siostry. Obszerna chłodna sień, z której wychodziło troje drzwi: do dwóch przestronnych komnat i do dużej szopy. I jeszcze schody na piętro. Z komnat można było przejść do mniejszych pokojów – w jednym z nich leżał Wsiesław, w drugim Wołka, do której Wolchowna na razie nikogo nie puszczała.

Weszły do jednego z takich pokojów, ciepłego i przytulnego, z kwiatami na parapetach. Ale nie były to jakieś tam pelargonie czy fiołki – Molly nigdy nie widziała nic podobnego. Rośliny wyglądały drapieżnie, choć nie przypominały zwykłych rosiczek, których obrazki Molly pamiętała z podręcznika botaniki. Niektóre tkwiły w glinianych doniczkach z ziemią, inne w dzbanach z wodą, wielkie liście połyskiwały kropelkami na długich włoskach, na niektórych zastygły wielkie, czarnozielone muchy.

Uzdrowicielka wzięła Molly za rękę.

„Takie rosną teraz w niewielu miejscach, znaleźć je trudno. Hoduję, żeby robić wywary. – Uśmiechnęła się. – Widzę, że się dogadujesz z Wsiesławem. To dobrze, dziewczynko, on ci się jeszcze bardzo przyda, a ty jemu. Słuchaj mnie teraz pilnie, Molly Blackwater. Siostra moja młodsza już ci zapowiedziała, że tak po prostu cię od nas nie puścimy. Cena krwi. No? Czemu milczysz? Mówiła moja siostra czy nie?”

„Mówiła, proszę pani. Mówiła, że muszę coś zrobić, żeby... żeby wrócić do domu”.

„Żeby wrócić do domu, głuptasie, to przede wszystkim musisz coś zrobić ze sobą, bo inaczej nie dojdiesz w Nord Jorku do najbliższego rogu. Przede wszystkim musimy nauczyć cię kierować swoją siłą, bo inaczej będzie wielkie nieszczęście i dla ciebie, i dla nas wszystkich. I dla twoich, jeśli się nie nauczysz”.

„Wiem, proszę pani. Priedsława Młodsza mówiła”.

„To dobrze, że mówiła. Nie ma co prawdy ukrywać, ona się zawsze przebije. A potem, jak już poznasz swoją siłę, odsłużysz nam służbę”.

Molly milczała. Uzdrowicielka zmrużyła oczy.

„Nie, nie zrzucimy ognistego huraganu na twoje miasto. I nie będziemy wysyłać potworów morskich na wasze okręty, które walą z armat w nasz brzeg. To i dla ciebie byłoby za dużo, sama spłonęłabyś na próżno i jeszcze na naszych byś nieszczęście ściągnęła. My będziemy poskramiać ognistą górę, wulkan, jak wy mówicie”.

„Wulkan?” – wyjąkała Molly, przypominając sobie gigantyczną górę ze swoich snów.

„Wulkan. Pod wszystkimi naszymi ziemiemi przy Karn Dredzie puścił ogniste żyły. Mamy z tego wielki pożytek: wszędzie biją gorące źródła, wiele strumieni nie zamarza nawet w siarczyste mrozy. Ryby hodujemy, warzywa pod dachem ogrzewamy darmowym wrzątkiem. Ale żeby dalej tak mogło być, wulkan musi spać, a ogień rozpląwać się po jego żyłach, a nie zmierzać ku górze. Wiele lat od tamtych czasów minęło, ja i Starsza byłyśmy jeszcze dziewczynkami, a Młodszej w ogóle na świecie nie było, gdy ostatni raz poprawiałyśmy rzucone w pradawnych czasach zaklęcia, puszczając ogień tam, gdzie nam potrzebny. Ale magia to taka rzecz, że na wieki się jej nie postawi, poprawiać trzeba częściej niż przechylony płot. A czarodziei – uzdrowicielka westchnęła – mamy coraz mniej. Mam ci powiedzieć, czemu mniej, czy się domyślasz?”

„Wojna” – wykrztusiła Molly i poczerwieniała.

„Zgadza się, wojna – powiedziała surowo Średnia. – Pamiętasz, jak wasz pociąg armatni wysadzili w powietrze?”

Molly przypomniała sobie postać ogarniętą ogniem, przepalającą pancerz.

„Diweja. Jedna z naszych najsilniejszych i najstarszych magów. Życie poświęciła, żeby wysadzić waszego potwora. Ale nieszczęście polega na tym, że w Nord Jorku i innych miejscach Królestwa jest wiele manufaktur i zakładów, więc pojawiają się inne pociągi. A żeby maga jej siły wychować, potrzeba całego życia, w dodatku moc taką mają tylko nieliczni. Takie wybuchy nie mijają dla nas bez echa. Nie można tak wojować, a nie wojować się nie da. Nie zostawi nas Królestwo w spokoju, będzie przeciw, póki swego nie dopnie. – Głos Średniej był teraz surowy i oschły, choć brzmiał tylko w głowie Molly. – Miejsce Diwei jest teraz puste, a wulkan jednego maga nie posłucha, nawet najsilniejszego, potrzebny pierścień. W pierścieniu każdy swoją część robi, jedna siła drugą uzupełnia i wspiera. I ty, Molly, masz stanąć na pustym miejscu, zostawionym przez Diweję. Żeby zamknąć pierścień. A gdy zamkniemy, gdy wulkan uspokoiimy, ogień znowu popłynie tam, gdzie trzeba. Takie dzieło przed tobą, Molly Blackwater. Ej, czekaj no... Czemu płaczesz?”



Molly rzeczywiście wtuliła twarz w łokieć i rozplakała się, strasznie, rozpaczliwie. Skąd ona, dziewczynka z Nord Jorku miałaby umieć takie rzeczy?! A to znaczy, że już nigdy nie zobaczy rodziców, brata, Fanny...

„Nie ma co płakać – upomniała ją surowo uzdrowicielka. – Przecież Wsiesław i Tańka nie ratowałyby cię tak po prostu, nie przenosiłoby cię przez przełęcz. Pasujesz do naszego pierścienia jak klucz do zamka. Długo szukaliśmy, nie kryję. Najpierw wśród swoich, ale tylko czas na próżno straciliśmy. A potem przyszła wiadomość, że ty jesteś”.

„I nie pytaj, skąd o tobie wiemy... tak?”

„No proszę! Dziewczyna jak malowanie i niegłupia! – Uzdrowicielka się uśmiechnęła. – Tak, nie pytaj, bo i tak nie powiemy. To zresztą teraz nieważne. Teraz jesteś tutaj. Pomóż nam, a my pomożemy tobie i nauczymy cię kierować siłą”.

„Mogę odmówić?” – Molly przypomniała sobie zdanie wyczytane w licznych książkach przygodowych.

„Nie, nie możesz – ucięła Średnia. – Bo jeśli odmówisz, sama wiesz, co się stanie. Magia cię zabije i koniec”.

„A może nie zabije? Może to wszystko kłamstwa? – Molly zebrała w sobie całą złość. – Może i wy kłamiacie, i Departament Specjalny też kłamie?!”

„Departament Specjalny może i kłamie – odparła spokojnie Średnia. – Za nich ręczyć nie będę. Mogę mówić o swoich i o tobie. My dzieci nie porywamy, nie dręczymy. Po co mielibyśmy cię do nas ściągać, życiem Wsiesława i Wołki, młodych magów, ryzykować, po co ci teraz kłamać? Nie, moja droga – będziesz się uczyć magii, nie ma rady. A jak odmówisz... cóż, odmówić możesz. Tylko wtedy nie miej pretensji, że cię do Starszej wyślę”.

„Czemu nie do domu? – Molly nie odpuszczała. – Jaka to dla pani różnica, co się ze mną stanie? Nawet jeśli magia mnie zabije, co wam do tego?”

„Wiem, co krzyczeli do ciebie żołnierze Królestwa, gdy cię Wsiesław zabierał”.

„To nieważne! – Molly złościła się coraz bardziej. – Nie prosłam, żeby mnie ratować! Dajcie mi spokój, odeślijcie do domu! Mówi pani, że dzieci nie porywacie, a mnie ukradliście! Niech ja nawet sto razy umrę, ale sama, sama z siebie!”

„Nie wierzysz w śmierć – odparła spokojnie uzdrowicielka. – Nie wierzysz. I w swój dar nie wierzysz, boisz się go, zastraszyli cię tam...”

„To nieważne, w co wierzę! Nie będę się niczego uczyć! Puśćcie mnie do domu

i już!” – Molly wyrwała rękę.

Niemłoda uzdrowicielka nie rozgniewała się. Po prostu znów położyła rękę na dłoni Molly.

„Nie puścimy – powiedziała Wolchowna Średnia ze spokojem. – A raczej puścimy, jak już zrobisz to, co masz zrobić. Zrobisz, Molly Blackwater, czy tego chcesz, czy nie. Nie kłamiemy, nie mącimy ci w głowie, robimy to, co obiecaliśmy. Nasze słowo to słowo. Jak się uprzesz, nie będziemy namawiać. Wyślemy cię do Starszej, ona znajdzie dla ciebie zastosowanie. Tyle dobrego, że jak twoja siła zacznie cię już wypalać, nikt inny nie ucierpi, nawet w Nord Jorku. Z ludźmi, którzy chcą pokoju, nie walczymy”.

„A ze mną?” – rzuciła Molly.

„A czy ty chciałaś pokoju? – zdumiała się kobieta. – A kto służył na armatnim pociągu, kto strzelał? Nie ty?”

„Wsiesław sam mówił, żebym się zaciągnęła!”

„Wsiesław ratował cię, jak mógł, głuptasie. Musiałaś uciec z Nord Jorku za wszelką cenę. Ale kto cię prosił, żebyś strzelała do Wolchowny Młodszej? Skoro chwyciłaś za broń, to już pokojowa nie jesteś. Tak już mamy, że patrzymy na sedno sprawy”.

Molly przygryzła język. Tak, stanęła przy mitraliezie. Tak, strzelała. Nawet trafiła.

„Ale Priedsława Wolchowna mówiła, że nie ma do mnie żalu... i że tylko człowiek, który włada siłą, mógł ją trafić”.

„Nie płacz mi tu teraz – powiedziała twardo uzdrowicielka. – Skoro strzelałaś, to chciałaś i trafić, i zabić, a nie chwalić się swoją siłą. Wtedy jeszcze nie znałaś swojej prawdziwej siły, nie wiedziałaś o Priedsławie. Więc zamilknij teraz, Molly Blackwater. Trzeba odpowiadać za to, co się zrobiło. Zwłaszcza że proponujemy ci uczciwą wymianę. Nie chcemy, żebyś walczyła ze swoimi, ani byś zdradzała tajemnice wojskowe, ani byś szpiegiem była. Uciszenie wulkanu to całkiem inna rzecz, nie żołnierska. Pomożesz nam i możesz sobie iść na cztery wiatry, nawet do tego swojego Nord Jorku, jak będziesz chciała”.

Bezgłośnie słowa Wolchowny wbijały się w świadomość Molly jak sople. Mocno, nieuchronnie, ale bez okrucieństwa. Rooskies byli niczym swoje bezkresne lasy – odbijali napór, otaczali i okrywali to, co wtargnęło – nim zdążył się zorientować, zamiast torów, stacji, zwrotnic i semaforów pojawi się bezkresne morze świerków i sosen...

Molly spuściła głowę. Czekaj, myślała sobie, czy nie tego chciałaś przez cały ten czas? Czy nie po to uciekłaś z domu? A teraz kręcisz nosem, bo potraktowali cię nie tak, jak chciałaś?

Upór szalał i tłukł się, drapał jak kotka Di, dziewczynka miała ochotę wyć, skakać, tupać nogami, wymachiwać pięściami, nawet złapać jakąś doniczkę i z całej siły trzasnąć nią o podłogę, a jednak nic takiego nie zrobiła. Pociągnęła nosem i powiedziała w myślach do uzdrowicielki, trzymającej jej dłoń:

„Do-dobrze. Co trzeba zrobić?”

Wolchowna Średnia z zadowoleniem skinęła głową.

„Wiedziałam, że się zdecydujesz. Ty, Molly Blackwater, nie należysz do ludzi, którzy odwróciliby się od magii, licząc, że jakoś to będzie. Bo nie będzie, kochana moja, nie będzie. Siłę trzeba poskromić. Nie zdławić, nie wyrzec się, a poskromić. Jak narowistego konia. Powolutku, pomalutku. Czułością, nie twardością. No, jak się zdecydowałaś, nie traćmy czasu. Siadaj, zaczynamy”.

„Już teraz?” – wystraszyła się Molly.

„A teraz. Armia twojego Królestwa stoi na przełęczy, tylko patrzeć, jak zejdą z Karn Dredu. Wtedy magowie, ja też, pójdą tam, na pierwszą linię. A wulkan zaczekać zaczeka, ale nie wolno go tak zostawiać. A i siła twoja rośnie. Dwa razy jej użyłaś i za każdym razem z większym rozmachem. Za każdym razem to było tak, jakbyś niszczyła tamę i wodę uwalniała. Początkowo siła sączy się kroplami, potem płynie strużką, a u ciebie to już prawdziwa rzeka! Tylko patrzeć, jak z brzegów wystąpi, i to nie wodą, a ogniem. Spłoniesz, Molly Blackwater, i tyle z tego będzie. I nie tylko sama spłoniesz, a i wszystko wokół siebie podpalisz”.

Molly przełknęła kulę w gardle.

„To co robić, proszę pani?”

„Uczyć się – odparła krótko uzdrowicielka. – I to będzie trudniejsze niż wasze czytanie, pisanie i arytmetyka”.

„A... a czego się uczyć? Zapamiętywać regułki? Rozwiązywać zadania? Wypowiadać zaklęcia?”

„Zaklęcia! – prychnęła Wolchowna. – Zaklęcia, moje dziecko, to rzecz ostatnia, koniec wieńczący dzieło. Myślisz, że to jak w bajkach: dmuchnął, chuchnął i wszystko samo się zrobiło?”

„N-nie...”

„No właśnie. Magia w ogóle nie bardzo lubi budować – do burzenia się rwie.

Dlatego czarodziejów umiejących urządzić zamieć czy burzę z piorunami na jasnym niebie jest znacznie więcej niż tych, którzy zdołają skłonić podziemny ogień, żeby nie wypalał wszystkiego wokół, lecz przyniósł pożytek”.

Chwilę później siedziały we dwie w pokoiku na piętrze. Okno było zasłonięte, a przez kwiecistą zasłonkę przebijały promienie ostrego zimowego słońca. Tu, u tych Rooskies, wszystko było inne, nawet zima. Ze śniegiem, mrozem, pogodnym niebem i jasnym, rażącym słońcem. W odróżnieniu od zgniłej wilgoci Nord Jorku, błota i topniejącego śniegu, zmieszanego z sadzą i smarem.

Na wyszorowanym do białości stole stały dwa wysokie gliniane kubki, pomalowane w kolorowe, radosne ptaki, czerwone, złote, pomarańczowe. W kubkach parowała – nie, nie herbata, Wolchowna zaparzyła jakieś swoje zioła i po izdebce rozpląnął się aromat, od którego co prawda kręciło się w głowie, ale kręciło bardzo przyjemnie, odpędzając strach w najdalsze kąty.

Uzdrowicielka trzymała Molly za rękę. Mocno. Pewnie. I to też pomagało się nie bać.

„Proszę pani... Priedsławo Wolchowna...”

„Co tam, *jegoza*?”

„*Jegoza*? Co to, proszę pani?”.

„Wiercipięta. No, co tam chcesz?”

„Zanim zaczniemy, chciałam... chciałam zapytać. Jak wy się tu bronicie, bez karabinów, bez pociągów i dział?”

„O! Dobre pytanie, dziewczynko. O Katakлизmie pewnie słyszałaś? Co on z poprzednim światem zrobił, jak wszystko przemieszał, pokręcił? Że wtedy pojawiła się magia?”

„Słyszałam...”

„No widzisz. Tak więc Katakлизm nie tylko ziemię na swoją modłę przerobił. Nigdy nasze ziemie z Królestwem nie graniczyły, a tu proszę, granica i jeszcze jaka! A do tego wszystkiego on jeszcze czas przemieszał. Wasze Królestwo jest z jednego czasu, my z innego. Jak się tu znaleźliśmy, aż śmiech mówić, piszczały tylko mieliśmy i armaty, jakie u was w muzeach stoją. Z różnych epok nas razem połączyło i w jeden węzeł związało. Dlatego wy macie pociągi pancerne – a my magię. Do Karn Dredu doszliśmy i uznaliśmy, że tu koniec, z południa wasi nadciągają. W doliny nie schodziliśmy, wystarczyły nam górskie lasy. Ale okazało się, że w górach jest dużo cennych rzeczy, których pragnie wasze Królestwo. I tak poszło jedno za drugim – machnęła wolną ręką. – Ale uczymy się, nadrabiamy. I

strzelby zaczęliśmy robić, i proch lepszy niż wcześniej, i wiele innych rzeczy. Tylko pociągów z armatami jeszcze nie mamy. Są u nas tacy, co myślą, że trzeba trzymać się własnej drogi, nie zapożyczać od obcych, ale ten spór już twojego pytania nie dotyczy, Molly Blackwater”.

Kataklizm, plemiona i narody z różnych czasów... Poprzecinane ziemie... Molly zakręciło się w głowie.

Czym jest Kataklizm, co było jego przyczyną, jakie działały siły? Uczni Królestwa gubili się w domysłach. Kiedyś Molly słyszała o tym od taty, pojęła, że nikt tak naprawdę nic nie wie, i wróciła do rzeczy namacalnych, konkretnych: szkiców monitorów, niszczycieli i pociągów pancernych. Tu przynajmniej wszystko było proste i zrozumiałe.

„Zaczynamy” – powiedziała surowo Średnia.

„Oj, proszę pani! – przypomniała sobie nagle Molly. List! List do rodziców! Przecież chciała to wytargować od Wsiesława i Wołki jeszcze tam, za przełęczą! A potem zapomniała w całym tym zamieszaniu. – Proszę pani, a czy mogłabym jakoś... przekazać rodzicom list? Żeby wiedzieli, że żyję?”

Uzdrowicielka milczała długo, ale nie było to milczenie złe czy gniewne.

„Wieść wysłać można, miałabym nawet przez kogo przekazać. Ale boję się, żebyś nie zaszkodziła swoim bliskim. Departament Specjalny nie spuszcza z nich teraz oczu. A jeśli przechwycą list i uznają, że oni są z tobą – i z nami – w zмовie? Wtedy będzie źle, Molly Blackwater. Chyba żeby posłać twojej mamie sen...”

„A można by chociaż sen?” – powiedziała błagalnie Molly.

Średnia uśmiechnęła się lekko.

„Dobrze. Wyślę kogoś. Nie, nie Wsiesława i Tańkę, ich potrzebujemy tutaj. Kogo konkretnie, tego nie musisz wiedzieć. No, zadowolona jesteś?”

„Tak, proszę pani”.

„W takim razie bierzmy się do dzieła. Wyciągnij prawą rękę i zamknij oczy. Oprzyj łokieć na stole. Co czujesz?”

„N-nic...” – przyznała się Molly.

„Tak! No to siedź tutaj. Zawiążę ci jeszcze oczy, żeby nie przeszkadzały”.

Na czole Molly spoczęła miękka, ciemna opaska, pachnąca latem i malinami.

„Jeszcze raz. Łokieć na stole, dłoń otwarta wnętrzem do góry, jakbyś łapała krople. Siedź sobie spokojnie i słuchaj. Ciepło w opuszkach palców. Jest, nie ma?”

Molly siedziała osłupiała.

Ciepło w palcach? Niby skąd?

„Same koniuszki – wyjaśniła cierpliwie uzdrowicielka. – Powinno pojawić się w nich ciepło”.

Gdyby nie szczelna opaska, Molly wytrzeszczyłaby oczy.

„Ciepło w nich...”

Ciepło... Słowo pojawiało się, na języku i w świadomości, powoli tracąc sens. Zwijano się, zgniatało, niczym pusta torebka po słodyczach. Zgniotło się, przemieniło w kulkę i ta kulka nagle stała się zimowym słońcem na niebieskim niebie, zapłonęła jak płomień, z którego wypadł czerwono-złoto-pomarańczowy ptak, rozsypując za sobą wachlarz iskier. Przeleciał nad ręką Molly i nagle stał się wielki jak most Królewski w Nord Jorku. Deszcz ognistych iskier spadł na jej dłoń jak konfetti... I w koniuszkach palców faktycznie poczuła ciepło, mocne, ostre, jakby zanurzyła dłoń w misce z gorącą wodą.

„Jest ciepło! – Radość uzdrowicielki chlusnęła ogniem w żyły Molly. – Jest ciepło, czujesz?”

Molly czuła, Molly już o-mamo-jak-bardzo czuła – już nie tylko koniuszki, ale i całe palce płonęły, jakby wsadziła je do pieca. Oczy nadal zasłaniała opaska, ale Molly zdawało się, że widzi, jak nad prawą dłońią unosi się dym.

„Bardzo dobrze! A teraz odpuszczaj, osłabiaj, niech ciepło odchodzi!”

Odpuszczać? Jak odpuszczać? Co ma odpuszczać? Dłoń była coraz bardziej gorąca, parzy, parzy! I żar jakby przykleił się do skóry, nie sposób się go pozbyć... Dziewczynkę zalała fala paniki. Krzyknęła cicho, szarpnęła się, próbowała wstać – prawą rękę trawił żywy ogień, pożerając skórę i kości...!

„Siedź!” – chlusnął niesłyszalny głos uzdrowicielki. Kryła się w nim i siła, i złość, kobieta oparła się na prawej ręce Molly, przycisnęła ją do stołu i w mózg dziewczynki wbijały się, jedna po drugiej, lodowe igły. Na płonąca dłoń jakby spadały kostki lodu, spadały i topniały od razu, ale ból nie odchodził, wbijał się rozpalonymi kłami coraz głębiej i Molly wydawało się, że słyszy trzask zwęglonych kości.

Uzdrowicielka ze świstem wciągnęła powietrze przez zęby.

„Odpuszczaj!”

„Nie wiem jak!” – jęknęła Molly.

„Tak jak się ptaka wypuszcza! Rozłóż dłoń, wtedy ogień wyjdzie!”

Ale Molly sparaliżowało.

Huk, trzask, świst, swąd spalenizny! Molly wrzasnęła i zerwałaaby z oczu opaskę, gdyby Średnia nie złapała jej za obie ręce.

Syk ognia. Znowu huk, trzask i brzęk, jakby ktoś wybił okno. I znowu huk, ale w oddaleniu.

Od razu zrobiło się lżej. Lodowe kostki już nie topniały tak szybko, z opuszków palców popłynął w górę dłoni przyjemny chłód. Za plecami ktoś walił w drzwi, uzdrowicielka krzyknęła władczo, stuk ucichł.

„Yyy... iii...” – wykrztusiła Molly. Gryzł ją strach, gryzł lodowymi szczękami, nie, nie, za nic na to nie spojrz, z dłoni i palców zostały tylko kikuty!

„Uspokój się – rozległ się w jej głowie zmęczony głos uzdrowicielki. – Nic się nie stało, chroniałam cię. Mówiłam przecież: wypuść ogień, rozłóż dłoń, to czegoś trzymała? Tak tylko doświadczeni magowie trzymają, gdy siłę nagromadzą. Trzeba było wypuścić ptaka, pozwolić mu polecieć. A ty go zbierałaś, ścisłaś, dopóki sama ci palców nie rozłożyłam. Słyszałaś huk? Wybiłaś okno i drewno pod płotem podpaliłaś. Ludzie się wystraszyli, przybiegli. Nie bój się, zaraz ugaszą”.

„Przepraszam, proszę pani...” – wykrztusiła Molly, z trudem składając słowa.

„Przepraszając nie masz za co. Trzeba tylko robić to, co ci każą, nie opierać się. Siła w tobie jest, i to niemała, i ona rwie się na wolność. To, co poczułaś, że ci ręka płonie, to głupstwo w porównaniu z tym, co się stanie, jak nie nauczysz się nad sobą panować. Magia się w tobie zbudziła i już nic jej nie uśpi. Chyba, żebyś całą bez reszty oddała, ale wtedy... – Myśli uzdrowicielki urwały się nagle. – Jak na pierwszy raz – bardzo dobrze. A że ogień i dym, to nie problem, byłoby znacznie gorzej, gdyby dymu w ogóle nie było, gdy nie było jak tego dymu robić. Takie rzeczy też się zdarzają. Niby siły w człowieku nie brakuje, ale zrobić nic nie potrafi. Męczy się, poci i nic”.

„Proszę pani – myśli Molly były słabe, splątane, przemieszane ze strasznymi wizjami zwęglonej ręki, czarnych kości, sterczących jak straszliwy, okropny kikut. – Proszę pani, a co się z takimi dzieje? Z tymi, co mają siłę, a nie umieją nad nią zapanować? Muszą spłonąć?”

„Takich do Starszej wysyłamy – odpowiedziała niechętnie uzdrowicielka. – Z ciężkim sercem, ale... Inaczej taki nieszczęśnik musiałby się w morze ze skał rzucić”.

„A Starsza? Co ona z nimi robi?”

„Niektórych uczy – westchnęła Średnia. – Po swojemu, na starą modłę – batem. I różne rzeczy z nimi wyprawia, ale tobie, dziecko, opowiadać o nich nie będę.

Stara ta moja siostra... Ją samą uczyli, bijąc za każdą przewinę, to i ona tak uczy”.

„Bicie jeszcze można wytrzymać. – Molly zakręciła się na ławce. – Zwłaszcza jeśli innym wyjściem jest ogień”.

„Nie tylko biciem moja siostra się różni – znowu westchnęła uzdrowicielka. – Straszne rzeczy robi, że i mówić się nie chce. Ale ludzie żywi od niej wracają... prawie wszyscy”.

„Ktoś ginie, proszę pani?”

„Nie – padła odpowiedź. – Nikt nie ginie, i w tym właśnie jej siła, dlatego że ona i Starsza, nie tylko wiekiem. Ale zostawmy to teraz, Molly”.

Chyba po raz pierwszy Średnia nazwała dziewczynkę po imieniu, nie używając formalnego „Molly Blackwater”.

„Nikt nie ginie, ale i... nic dobrego z tymi, co przeżyją, się nie dzieje – dodała jeszcze uzdrowicielka. – Ale tobie coś takiego nie grozi. Nie grozi... – Zrobiła przerwę, jakby poczuła wątpliwości. – No nic, damy radę! – dokończyła z przesadnym entuzjazmem. – No, co się trzęsiesz? Połóż łokieć na stół! Dłoń rozłóż, ciepło w opuszkach palców... Czego ryczysz?”

„Boję się!”

„Molly Blackwater! Nie bałaś się pociągiem armatnim w nieznane uciekać, przedzierać się z Tańką i Wsiesławem przez zimowe lasy, pod pociskami leżałaś, kule nad głową słyszałaś. A tu się boisz?”

„Wtedy też się bałam – wyznała Molly. – Okropnie. I teraz też!”

„Tym bardziej musimy działać dalej, bo się zupełnie wystraszysz i nic już zrobić nie zdołasz. Łokieć na stół! Dłoń otwórz! Ciepło w palcach...”

Uzdrowicielka jakby nie zwracała uwagi na wybite okno i okiennice.

Molly chlipnęła i posłusznie wróciła do zadania. Znow próbowała wyobrazić sobie słowo „ciepło”, zwijające się w płonącą kulkę, ognistego ptaka, wlatującego nad nią, ale nie mogła. Palce otwartej dłoni drżały, zamiast ciepła rodził się w nich upiorny chłód. Taki chłód, że Molly przelotnie zatęskniła za żarem, który czuła niedawno. Krew w żyłach najpierw się zatrzymuje, potem zaczyna zamarzać. Palce przemieniają się w sople, gotowe pękać z krystalicznym brzękiem...

„Wypuszczaj! – krzyknęła znowu uzdrowicielka. – Ptaka wypuszczaj!”

Molly posłusznie próbowała sobie wyobrazić, jak rozkłada palce, ostrożnie zamknięte na pierzastym ciele ptaszka, jak ptak rozkłada skrzydła, jak wlatuje z jej dłoni, lekko drapiąc skórę pazurkami, i mróz jakby osłabił swój uścisk, lecz



nie do końca. Tym razem huku i swądu nie było, cały pokój wypełnił się chłodem, znów coś świsnęło i na podwórzu rozległo się ciężkie uderzenie, jakby stalowy grot wbił się w surowe drewno.

„Zuch dziewczyna – powiedziała uzdrowicielka, dysząc ciężko. – Poprzednio był ogień, najprostsza, najbardziej naturalna rzecz. Teraz stworzyłaś przeciwieństwo – lód, i to jaki! Nawet mnie nie od razu udało się go z ciebie zdjąć. Nienawykłe palce zeszywniały, ptaka nie wypuściłaś. Uff... Silna jest twoja magia, Molly Blackwater, daleko niesie się jej echo, wiele rzeczy wzburzyć może. Trzeba się spieszyć... Łokieć na stół! Dłoń otwórz! Ciepło w koniuszkach palców!”



I tak zaczęło się życie Molly Blackwater wśród „straszliwych północnych barbarzyńców”, jak nazywały Rooskie nordjorskie gazety. Wolchowna Średnia nie dawała dziewczynce chwili oddechu. Uzdrowiciele zapadły się policzki i oczy, wargi ściągnęły w cienką bladą linię, na rękach nabrzmiały niebieskie żyły. Jednocześnie uczyła Molly, zajmowała się domem, dbała o rannych i szykowała nowe zapasy ziół.

Molly miała krótkie przerwy na odpoczynek i jedyne, na co pozwalała jej Wolchowna, to rozmowy z Wsiesławem i wracającą do zdrowia Wołką. Na spotkanie z wilczycą Molly czekała bardzo niecierpliwie. Jedyne dziewczynka w tym domu oprócz niej i jedyna osoba, z którą można pogadać tak po prostu, słowami!

Ostrożnie zastukała w zamknięte drzwi. Ściany w domu Średniej też pokrywała zasłona suchych ziół, tylko tu bardziej gęstych i okazałych. Molly zauważała, że gdzieś tam pojawiają się puste miejsca, i wiedziała, skąd się brały: zapasy ziół schodziły znacznie szybciej niż zwykle. Armia Jej Wysokości już nie tylko stała na przełęczy, ale z uporem sunęła na zachód wzdłuż lesistych południowych zboczy Karn Dredu, ciągnąc tam tory od Nord Jorku i z południa, serca Królestwa. Liczba rannych zwiększała się. Pracy przybywało z każdym dniem.

Molly zastukała do drzwi, a Wołka odpowiedziała:

– *Nie zapierto!*

To Molly już rozumiała: nie jest zamknięte, znaczy – można wejść.

– Jak się czujesz, Wołka? – spytała, pchając drzwi.

W pokoju wisiał gęsty, mocny, drażniący zapach ziół. Wilczyca leżała na wąskim łóżku w ubraniu i krzywiąc się, ugiwała i prostowała ręce nad sobą, jakby odpychała od piersi niewidzialny ciężar.

– Molly! – ucieszyła się i podniosła.

Szary wilczy mech na jej głowie przykrywała lekka chusteczka; Wołka miała na sobie granatową koszulę, przepasaną w cienkiej talii, i portki.

– Przyszłam zapytać, jak się czujesz – powiedziała ostrożnie Molly. – Wybacz, jeśli ci przeszkodziłam.

– *Niczego!* Już mi lepiej, mam dość leżenia, ale Wolchowna nie pozwala wstać. I jeszcze ciebie do domu mycia nie zabrałam!

Molly się wzdrygnęła.

– O, wystarczy mi lekcji z Wolchowną – imię Średniej Molly wymawiała z twardym „l” w środku, nie mogła opanować tajemniczego znaku miękkiego.

– Właśnie, i jak lekcje? – zainteresowała się żywo Wołka. – Siadaj, *sadis’!*

Dziewczynka ostrożnie przysiadła na brzegu łóżka.

– Ciężko, Wołka, i niebezpiecznie. Średnia co chwila musi mnie ratować. Podpaliłam już drewno, przewróciłam płot, okiennice wywalam prawie co dzień. Wszystkie wrony już uciekły z podwórza; kiedyś pod oknami chodzili ludzie, teraz nikt się nie zbliża.

– To nic! – pocieszyła ją Wołka. – Ja, jak się uczyłam przemieniać, wydusiłam prawie pół kurnika, jak jakiś lis! Nie martw się, Molly! Wolchowna powiedziała ci, czego od ciebie chcą?

– Powiedziała – westchnęła Molly. – Mam uspokoić wulkan. Mówi, że pasuje jak klucz do kłódki.

– No! – Wołka skinęła głową. – Długo cię szukaliśmy, Molly. Ja sama daleko na południe chodziłam, aż za Nord Jork. Aż do Anviku dotarłam, do Warkworthu.

– Ponad sto mil! – Molly klasnęła w ręce.

– A co było robić, z młodych magów-przemieńców tylko ja znam wasz język. I jeszcze Jarina, ale ona... i szukaliśmy, szukaliśmy, aż znaleźliśmy ciebie.

– Aha. – Molly spuściła głowę.

– Nie martw się – pocieszała ją Wołka. – Dla człowieka z magią w Królestwie i tak nie ma życia, uwierz mi. Jeśli magia w człowieku jest silniejsza... to znaczy, zbyt silna, Departament wyśledzi go i zabierze. A jak nie wyśledzi, to sama wiesz – splotnie.

Molly się wzdrygnęła.

– A nie wiesz, co Departament Specjalny robi z tymi, w których jest magia?

Różne rzeczy słyszałam, a co twoje bystre wilcze oczy widziały?

– Co widziały... – zamyśliła się Wołka. – Widziałam, jak ich łapali. Widziałam, jak ich do parowych wozów wsadzali, widziałam, jak zabierali. Widziałam waszych... *znatnych*[27]... no, wyższych... ważnych... – zawahała się, szukając słowa.

– Parów? – domyśliła się Molly.

– Tak! Parów. Tak na nich mówili. Tam, gdzie Departament Specjalny, tam i oni. Ale ci parowie mi się nie spodobali, ich zapach nie dawał mi spokoju. Dziwny taki. Dziwny, a dlaczego – nie wiem. Ale kręcili się tam stale. I wzrok mieli taki dziwny... *durnoj*[28]... nieprzyjemny.

– Każdy wie, że oni są pyszałkowaci!

– Jacy? – nie zrozumiała Wołka.

Molly próbowała wyjaśnić, Tańka w końcu skinęła głową, bez przekonania.

– Nie, Molly... To znaczy, pyszałkowaci są bez dwóch zdań. Ale tam było jeszcze coś... ukrytego, pod spodem... Mój węch nie mógł się przebić, za głęboko.

– U wszystkich?

Wołka pokręciła głową.

– Nie wiem, Molly. Nie obserwowałam ich za specjalnie. Miałam znaleźć kogoś takiego jak ty. Kryłam się tylko przed Departamentem Specjalnym.

Molly chciała zapytać ją jeszcze o mnóstwo rzeczy. Czy trudno zmieniać się w wilka i jak się tego uczyła? Skąd na jej głowie wilczy mech, który nie znika nawet w jej ludzkiej postaci? Czy wielu jest takich, jak ona i Wsiesław? Czy urodziła się z tym darem i czy ona, Molly, mogłaby się tak przemieniać, na przykład w ptaka? Czy Wołka może się zmienić w inne zwierzę? I co to za echo, które od jej, Molly, czarów może rozlegać się hen, daleko i tam komuś zaszkodzić? Chciała zapytać o wiele rzeczy, ale w tym momencie na dole rozległ się hałas, niespokojne głosy i zdławiony krzyk, chyba uzdrowicielki.

Wołka spięła się, nasłuchując, i jej twarz poszarzała. Powoli wciągnęła w płuca powietrze, zamknęła oczy, palce zacisnęły się kurczowo na barwnej kołdrze.

– Co, Wołka? Co się stało? – wystraszyła się Molly.

Tańka nie odpowiedziała od razu. Odetchnęła, posiedziała chwilę z zamkniętymi oczami, jakby zbierała siły przed czymś trudnym.

W końcu powiedziała:

– Szturmują przełęcz.

W pokoju zapanowała ciężka, bolesna cisza, jak obręcz ściskająca skronie. Nietrudno było zrozumieć, kto i jaką przełęcz szturmuje. A raczej, pomyślała Molly, szturmują nie samą przełęcz, lecz zejście z niej. Na przełęczu stali już dawno.

Wołka nasłuchiwała. Ręce, ramiona, biodra, wszystko było napięte, jak w ciele wilka przed skokiem. Molly skuliła się i milczała. Najbardziej na świecie chciałaby się teraz schować pod kołdrą, nic nie widzieć i niczego nie słyszeć. I żeby jeszcze Di cichutko mruczała obok, jakby uspokajając, pocieszając swoją panią. Wołka odetchnęła, poruszyła się. Teraz biło od niej siłą, powstrzymywaną, z całej woli zaganianą z powrotem do kojca.

– Mówią... że uderzyli w nocy, dużo dział, ostrzelali wszystko. Wasi jegrzy wspięli się górkami ścieżkami, nasi cofnęli się i dalej się cofają. Dużo rannych... – Z każdym zdaniem wilczyca pochmurniała coraz bardziej.

Molly siedziała, czując, jak płoną jej policzki i uszy. Co powiedzieć, co zrobić? Zanim zdążyła coś wymyślić, głosy na dole ucichły, a chwilę później na progu stanęła sama uzdrowicielka. Gestem wstrzymała Wołkę, która do niej skoczyła, i szybko podeszła do Molly, wzięła za rękę.

„Królestwo idzie za przełęcz. – Molly wzdrygnęła się, gdy Średnia bardzo mocno, do bólu ścisnęła jej dłoń. – Słuchaj mnie teraz uważnie. Mam cię uczyć, a nie ma kiedy. Potrzebna jestem tam, gdzie walczą, żeby rannych ratować. Mówią mi, że bym cię do Starszej wysłała... – Molly przygryzła wargę, spojrzała na uzdrowicielkę z przerażeniem. – Co, strach? I ja się o ciebie boję. Nikomu takiej siły, jak u Starszej, nie życzę, nawet najgorszemu wrogowi. Nie chcę cię tam wysyłać, Molly Blackwater. Dlatego cię pytam: chcesz ze mną pójść, tam, gdzie strzelają, gdzie wasi atakują, czy wolisz wyruszyć w drogę i uczyć się u mojej siostry?”

Dopiero w tej chwili Molly zrozumiała, że jednocześnie Wolchowna mówi to samo na głos, w swoim języku – dla Wołki. I usłyszała, jak Wołka krzyknęła, słysząc imię Starszej. Krzyknęła, szczerze przerażona. Widocznie sława trzeciej siostry w pełni odpowiadała prawdzie.

„Pójdę z wami, proszę pani – wypaliła pośpiesznie Molly. – Pomogę...”

„Pewnie, że pomożesz – rzuciła sucho uzdrowicielka. – Będiesz przy mnie, w trudnych przypadkach podzielisz się siłą, masz jej aż nadto. Niejedno życie uratujesz. A uczyć cię będę w nocy. Spakuj swoje rzeczy, Molly Blackwater. Wołka też pójdzie z nami. Jest jeszcze słaba, walczyć nie może, będzie dla mnie podporą. Zbieraj się, dziewczyno, i o kotce swojej nie zapomnij, choć pewnie ona

sama będzie się ciebie pilnować”.

Uzdrowicielka nagle puściła rękę Molly, skinęła głową i zniknęła za drzwiami.

– Wszystko rozumiesz? – Wołka spojrzała na nią. – Mamy się zbierać. Ja idę z wami, nie chce mnie puścić od siebie Wolchowna, ma mnie leczyć.

– A... a Wsiesław?

– A co się może stać niedźwiedziowi? Tylko kulkę oberwał, nie stracił magii. Pewnie razem z nami wyruszy, w końcu ktoś musi nieść zapasy! – Wołka się uśmiechnęła.

Molly nie miała zbyt wielu rzeczy do pakowania. Swoje stare ubranie, uprane i wysuszone, oraz nowe, które dostała od Średniej, porządne, cieplejsze od nordjorskiego. W każdym razie przed zimowym chłodem słynna *touloupe* chroniła lepiej niż stara kurtka Molly. Zimowe buty, które Wołka nazywała *walonki*, rękawice z jednym palcem i takie z pięcioma, futrzana czapka z nausznikami, bardzo ciepła, i pas z nożem. Nóż był prawdziwy, długi, wykuty z fioletowej stali, z ciemną gładką rączką z pięknego brązowego drewna, z której jakby płynęło ciepło. Nóż wręczyła jej Średnia po trzeciej lekcji.

„Bierz – powiedziała wtedy. – Człowiek bez broni to nie człowiek, a ty nie jesteś jeńcem, lecz moją uczennicą. Weź nóż. Nie umiesz nim walczyć? Nic się nie martw, Wsiesław cię nauczy, jak już ostateczne się wykuruje”.

Wierzyli jej. Dali broń – prawdziwy nóż! – dużo ostrzejszy od brzytwy taty.

Uzdrowicielka też nie zbierała się długo. Chyba wszystko miała przygotowane, jakby cały czas czekała na tę wiadomość. Gdy Molly i Wołka wyszły z domu, Średnia czekała już na nich w saniach, zaprzężonych w niewysokiego, kosmatego konia.

Molly nie zdążyła pochodzić sobie po miasteczku Rooskies. Wiecznie miała zajęcia z Wolchowną Średnią. Wołka, która mogłaby jej towarzyszyć, leżała, i Molly udało się dotrzeć tylko do miejskiego rynku z niewymawialną nazwą *torzyszcze*[29]. Tam pochodziła sobie między kramami, poprzyglądała się, posłuchała, ale niedługo.

Dlatego teraz chciwie rozglądała się na boki. Chłonęła wszystko: czyste mroźne powietrze, niskie słońce na przejrzystym, błękitnym niebie, drewniane domy po obu stronach ulicy, ustawione przestronnie, z rozmachem.

Miasteczko nie mogłoby się równać z Nord Jorkiem, to było jasne. Nie ma wysokich domów ani kominów, plujących dymem, nie miało parowozów i lokomobili, nie miało wielkich fabryk, ani nawet eleganckich kawiarni

i cukiernek. Za to nie było też ostrego podziału na biedne i bogate dzielnice. Nie można powiedzieć, by panowała tu powszechna szczęśliwość, dobrostan i zadowolenie – stały ubogie domki i małe, dwuokienne izdebki. Niektórzy Rooskies nosili bogatsze ubrania, z drogim futrem, wyszywane perłami, ze wzorzystą, brokatową taśmą, ale żebraków i nędzarzy nie było wcale. I większość domów w miasteczku nie różniła się tak bardzo od siebie, jeśli nie liczyć pięknych drewnianych koronek naliczników[30] o niepowtarzalnych wzorach.

Teraz z tych domów wychodzili ludzie. Mężczyźni w kozuchach, walonkach i futrzanych czapach, z długimi strzelbami na plecach i nieodłącznym nożem na wzorzystym pasie. Ujadały psy. Za mężczyznami wybiegały kobiety w długich sukniach, w narzuconych na głowę chustkach. Przytulali się w ciszy, przypadały do nich dzieci, ale nikt nie płakał. Żegnali się w przejmującym milczeniu. W milczeniu, od którego Molly przeszywał chłód – i nie chodziło o panującą wokół zimę.

Patrzyła na brodate twarze i kuliała się, spoglądała w głębokie oczy i drżała. Mężczyźni szli spokojnie, zwyczajnie, i nikt nie powiedział nawet jednego słowa. Szczeakały tylko psy, żegnając swoich panów.

Jak zrozumiała Molly, uzdrowicielka kazała Wołce wsiadać do sań, Wsiesław szedł obok i chwilami dziewczynka natrafiała na jego wzrok. Bardzo dziwny wzrok.

Wszyscy szli ku przełęczy. Ku górcom, zamykającym dół południowej części nieba. Gdzie do intensywnie niebieskiej kopuły wspinały się słupy dymu. Molly bardzo chciała porozmawiać z Wołką, ale wilczyca siedziała ze spuszczonej ramionami, przygarbiona, ze wzrokiem utkwionym między kolanami. Molly odwróciła się do Wsiesława, ale ten położył palec na ustach.

Miasteczko zostało z tyłu. Niezbyt gęsty strumień ludzi, może kilkaset osób, płynął w górę, szerokim, ubitym traktem. Diana leżała na sianie obok Molly, bardzo z siebie zadowolona i wcale nie przejęta. Przez chwilę dziewczynka pozazdrościła jej beztroski. A ją samą ciągnęli ku żołnierzom Królestwa, którzy... którzy krzyczeli za nią: „Wiedźma, wiedźma! Zabijcie wiedźmę!”.

Tak, Wsiesław i Wołka uratowali ją. Kto wie, co by się stało, gdyby wpadła w ręce górskich jegrów. Nawet nazwisko taty by nie pomogło. Ale jak to tak – iść przeciw swoim? Przecież ci górcy strzelcy, ci jegrzy to jej naród! Trzeba tylko... W miejscu myśli Molly zostały przerwane – na dłoni dziewczynki spoczęła ręka uzdrowicielki.

„Schodzą z przełęczy. Nasi się cofają. Ja będę leczyć, a ty pomożesz. Wołka jest

jeszcze słaba, musi dostawać lekarstwa, których nie cierpi. Powierzam to zadanie tobie, Molly Blackwater. Wykonasz?”

„Oczywiście, proszę pani!”

„Bierz flakoniki”.

Wołka, na chwilę wyrwana z odrętwienia, spojrzała spode łba, słysząc brzęk buteleczek i flakoników, ale chyba nie zrozumiała, w czym rzecz.

„Dasz jej to, jak się ściemni. I pilnuj, żeby nie pobiegła za naszym niedźwiedziem!”

Wokół miasteczka rozciągały się pola, widać było cieplarnie z zimowymi warzywami, nad nimi unosił się dym z kominów. Molly widziała sanie, końskie zaprzęgi, ciągnące jakieś ładunki z przełęczy. Do ich traktu dołączyła droga, nią również jechały sanie, szli brodaci wojowie z długimi strzelbami, ale ani dział, ani mitraliez, ani kartaczy Molly nie widziała. No i rzecz jasna, nie było też żadnych pociągów. Jak oni chcą zatrzymać tę lawinę, która schodzi z przełęczy, tej przełęczy, którą zimą uważano za zamkniętą i nie do przejścia?

A jednak wojska Królestwa właśnie na nią weszły. A w dół zawsze idzie się łatwiej niż pod górę, myślała Molly.

Wydawało się, że miasteczko, którego nazwy nie zdążyła poznać, leżało na przedgórzu, a jednak zimowy dzień doczłapał się do zmroku, ten przeszedł w wieczór, a droga, choć powoli stawała się coraz bardziej stroma, nadal nie dotarła do gór.

W pewnym miejscu ludzie zaczęli rozkładać się na nocleg, chyba było to zwyczajowe miejsce postoju karawan. Stały tu wielkie wiaty, nawet ceglane piece, wzniesione wprost na poboczu. Otwory szybko zasłaniano skórą, w piecach trzaskały drwa, konie rozsiodływano i wyprzęgano.

– Wołka... – Pamiętając polecenie uzdrowicielki, Molly podeszła do wilczycy z pierwszą buteleczką. Wolchowna Średnia już poszła działać, Wołka mówiła, że z przełęczy znoszono pierwszych rannych.

– O! A więc to ty masz wlewać we mnie to świństwo? – skrzywiła się Wołka. – Ech, wiedziała Wolchowna, że ja... że z tobą... Dobrze, daj mi to. Nie chcę, żeby ci się przeze mnie oberwało.

– Oberwało? A co, mogłoby? – zdumiała się Molly.

– Mogło. – Wołka wlała w siebie lekarstwo, wstrząsnęła się. – Choć to Starsza słyńnie z tego, że wiecznie tłucze swoich uczniów, robotników i w ogóle wszystkich, których jej przysyłają. Ale Średnia też potrafi, jak wpadnie w złość...



Ale teraz będzie dobrze, dałaś mi lekarstwo... a ja no... tego... zasypiaam...

Wołka ziewnęła słodko i położyła się tam, gdzie stała, na siano zwalone na saniach.

Molly bez namysłu ułożyła się obok niej, przykrywając siebie, Wołkę i kotkę wielkim futrzanym pledem. Ona też chętnie by się przespalała, choć nie jadła dzisiaj obiadu ani kolacji.

Myśl o tym, że będzie musiała załatwiać swoje potrzeby tutaj, w zimowym lesie, w otoczeniu tych wszystkich brodaczy, budziła w niej rozpacz. Niby robiła to już wcześniej, ale przedtem obok była tylko Wołka i niedźwiedź, a teraz całe wojsko! Wołka sapała słodko, ogrzana kotka mruczała, a Molly niedługo potem ktoś obudził, trzęsąc za ramię.

Wsiesław! Zniknął w chwili, gdy zatrzymali się na nocleg, a teraz przyszedł...

– Idź. Wolchowna. Czekać.

Och jej. No tak, przecież mówiła, że mają się uczyć w nocy.

Uzdrowicielkę Molly znalazła w małej komórcy, gdzie za ściany służyły opuszczone futrzane pledy. Tu też napalono w piecu, było ciepło, nawet przytulnie. Średnia zdjęła z ognia szklanice, w której warzyły się jakieś zioła, i wypijała jednym haustem. Stęknęła, potarła ręce, nieco speszona spojrzała na Molly i ujęła jej dłoń.

„Zaczynamy, Molly Blackwater. Jestem zmęczona, rannych było dużo, ale ciebie i tak trzeba uczyć. Chyba dzisiaj nie uda nam się pospać”.

„Tak, proszę pani” – odparła Molly posłusznie, choć ze znużeniem. I sama oparła łokieć o niewielki taboret, służący uzdrowicielce za stół, i powiedziała do siebie: „Łokieć na stół, otworzyć dłoń! Ciepło w palcach!”

„Zuch” – usłyszała.

„Ale, proszę pani... przecież wokół są ludzie. A ja... a mnie...”

„O – myśli starej uzdrowicielki stały się łagodniejsze, bardziej serdeczne. – Zaczęłaś o nas, Rooskies, barbarzyńcach, myśleć jak o ludziach? To miło, Molly Blackwater, miło. Ale moja droga, przyzwyczajaj się, że będziesz musiała używać magii wtedy, kiedy wokół są ludzie. Ucz się odpowiedzialności, ucz się od razu. Nie mamy czasu uczyć się krok za krokiem, powoli i stopniowo. Mamy wojnę i nic nie poradzimy. No, dawaj, ciepło w palcach, płomień na dłoni! Zobacz to!”

Molly wyobraziła sobie, jak skoncentrowane w koniuszkach palców ciepło kropelkami spływa do wnętrza dłoni, jak do płaskiego spodeczka. Skrapla się tam, zwija, niczym szorstka jaszczurka, i wyrywa na wolność. Z prawej ręki Molly aż

pod dach wiaty strzelił strumień czarnorudego płomienia, jak z nowomodnych miotaczy ognia, o których mówił tata.

– *Hej! Oho! Uch ty!* – rozległo się dookoła. Ktoś zerwał się na równe nogi, ktoś złapał wiadro z wodą, a dwaj mężczyźni wzięli długie bosaki, żeby ugasić nieunikniony, jak się zdawało, pożar.

A Średnia spokojnie przykryła płomień na dłoni Molly własną dłonią, suchą i pomarszczoną. Ogień strzelił niechętnie i zgasł, i tylko po liniach papilarnych Molly sunęły ogniste żmijki.

„Brawo – powiedziała z zadowoleniem uzdrowicielka. – Szybko robisz postępy i dajesz bardzo dużo. Nie boisz się, Molly Blackwater. Może dlatego, że od bardzo dawna mocno chciałaś to zrobić. Bardzo dobrze. Twoje echo osłonię, to nic, o to się nie martw. Teraz lód. Ciepło, zimno, mróz, bardzo zimno, dawaj!”

„Echo? A co z nim można zrobić, proszę pani?”

„Nauczysz się je gasić, rozwiewać, rozpraszać na różne strony. To jak ze strugą wody, Molly. Można chlusnąć z wiadra wodę na kwiaty, łamiąc łodygi i obsypując płatki, a można jak z konewki, delikatnie, ostrożnie, niczego nie uszkadzając. Ale tego, jak sobie z echem radzić, później się nauczysz. Nie zrozumiesz, dopóki pewnego dnia samego echa nie stworzysz”.

„Echa? A co to takiego, tak naprawdę? I pani o tym tyle razy mówiła, i Wołka coś wspominała... A ja w sumie nie zrozumiałam”.

„Hm... – Stara uzdrowicielka się zastanowiła. – I łatwo to wyjaśnić, i trudno. Łatwo, bo echo – to jak echo. Odzywa się, jak zawołasz w lesie, i głos wraca do ciebie. Trudno, bo echo magii nie roznosi się tak po prostu. Wypuściłaś siłę i inne, siłą obdarzone, odpowiedziało. Odbiło się twoje wołanie – zakłęcie – inne je przyjęło. A ponieważ to siła, to może w innych miejscach zadziałać, zwłaszcza tam, gdzie jej trakty i drogi, i tajne ścieżki, zbyt mocno są poplątane. Tam silne echo od silnych czarów może szkody narobić, jeśli nie wiesz, jak sobie z nim radzić. Rozumiesz teraz, Molly Blackwater? Nie bój się, wszystkiego się nauczysz. Bez silnej magii nie ma silnego echa, bez silnego echa nie nauczysz się, jak je w użdzie trzymać...! No, dosyć, starczy tego gadania! Dawaj, działaj!”

„Ale ja przecież...” – Molly próbowała powiedzieć, że na jej dłoni nadal zostały resztki płomienia, ale tu Średnia jej przerwała: „Nie myśl o tym, co już zrobiłaś. Ciepło! Zimno, na dłoni! Wyobraź sobie!”.

Molly posłuchała. To już było znacznie trudniejsze. Ciepło wydostało się na zewnątrz i chciało się złączyć z tym, co już dostało wolność. Wszelkie próby

zmuszenia ognia, by stał się swym przeciwieństwem, spełzały na niczym: cienki, nieważki lód mieszał się z płomieniem, kryjącym się w załamaniach dłoni, i wszystko razem przemieniało się w wodę. Ale Średnia nie była rozczarowana.

„Masz dużo, ale oddać wszystkiego jeszcze nie umiesz. Nie potrafisz tego zobaczyć. Gdzieś się nie boisz, a gdzieś nie wierzysz w siebie. To nic, będziemy dalej próbować”.

„Pani Wolchowna...”

„Co tam, *jegoza*? O co chcesz znowu pytać?”

„Jak mieszkałam w domu, czytałam bajki. No, takie stare... o czarodziejach. Oni wypowiadali zaklęcia, machali czarodziejскими różdżkami czy kosturami...”

„A! Do takiej magii, moja miła, jeszcze daleko, bardzo daleko. Kiedyś opowiem ci i o czarach, i o zaklęciach, i o różdżkach. A może Starsza opowie, jak będzie w dobrym humorze, a my do niej w gości zajedziemy. To zdarza się bardzo rzadko, ale jednak zdarza. A jak się nie zdarzy, sama ci powiem. Na razie, Molly Blackwater, wystarczy ci twoja wyobraźnia. Trzeba to sobie wszystko dobrze wyobrazić, i z odpowiednią siłą, i utrzymać długo, z wiarą i przekonaniem. I to jest trudne. Sama widzisz, gdyby nie ja, już byś pół miasta spaliła, wymroziła, zalała wodą i kamieniami zasypała. Albo jeszcze co gorszego zrobiła, sama o tym nie wiedząc. Na razie naucz się radzić sobie z prostymi rzeczami, a potem ruszymy dalej. I tak idziemy bardzo, bardzo szybko”.

Molly skinęła głową. Stara uzdrowicielka miała rację: gdyby nie ona, z samej Molly po tych ćwiczeniach z magią zostałaby tylko popiół. Albo lodowa bryła.

„Idziemy dalej – poganiała ją bezlitośnie Średnia. – Jeszcze raz: ciepło w palcach, wir wiatru na dłoni! Zobacz to!”

Tu już Molly poniosła kompletne fiasko. Najlepiej udawało się z ogniem, trochę gorzej z zimnem i lodem. Z kamieniami nie za bardzo, a powietrze i wiatr nie chciały słuchać zupełnie. Jednak Średnia nie wydawała się stropiona.

„Już teraz możesz zrobić coś pożytecznego. A takich, którzy u nas kamienie umieją przesuwac, mamy aż nadto”.

Molly zastanowiła się przelotnie, czemu właśnie ogień jest teraz najbardziej potrzebny? Poczula się nieswojo. A jeśli zechcą wysłać ją na pociąg, tak jak Diweję? Uzdrowicielka, nawet jeśli przeczytała jej myśli, to nie skomentowała. Zerknęła tylko surowo i powtórzyła sakramentalne:

„Łokieć na stół, dłoni w garść, ciepło w palcach!”

I dopiero wtedy, gdy Molly była już tak zmęczona, że nie zauważyła ognistych

zmijek, wpełzających z jej dłoni na mankiety, które już zaczęły się dymić, Średnia zlitowała się i wysłała ją spać. Najpierw trzeba było jednak obudzić Wołkę i wlać w nią kolejną porcję lekarstwa. Potem Molly padła na siano, nie czując zimna, nie zauważając, że ktoś narzucił na nią jeszcze jedną *touloupe*. Kotka Di zwinęła się obok, przy sercu, i chwilę później obie spały.

\*\*\*

Ranek, mroźny i jasny, wyrwał Molly ze snu w najbardziej bezlitosny sposób: sypiąc śniegiem w twarz. Dziewczynka krzyknęła, zaczęła parskać i trząść głową, a gdy już przetarła oczy, zobaczyła przed sobą uśmiechniętego Wsiesława. Niedźwiedź był teraz w ludzkiej postaci, ale w jego oczach nie gasło to coś zwierzęcego. Chyba nie spał przez całą noc, chociaż sam jeszcze nie wyzdrowiał do końca.

Co robił w nocy, Molly wołała nie dociekać.

– Wstawać. Iść jeść.

– Wstań i idź jeść – poprawiła go Molly.

– Aha. Idź jeść – powtórzył starannie chłopiec. – Wolchowna na ciebie czekać... czeka...

– Tak lepiej – pochwaliła go Molly. – Czekaaj, podam Wołce lekarstwo – powiedziała i powtórzyła to samo na migi.

Budzona śniegiem Wołka zakłęła w swoim języku i próbowała uderzyć Molly piętą w nos, ale Wsiesław nie miał litości. A potem, mamrocząc jakieś słowa, po których niedźwiedź patrzył speszony w bok, wypięła podsunięte lekarstwo.

Mimo zmęczenia i sposobu pobudki Molly czuła się znacznie lepiej niż wczoraj. Może to dzięki słońcu i niebieskiemu niebu, może cichutkiemu mruczeniu grzejącej się na jej piersi kotki, a może dzięki wesołemu i złemu spojrzeniu Wsiesława. Nie, nie złościł się na nią, a wesołość... Molly nie zazdrościła nikomu, kto wzbudził w nim tę wesołość.

Średnia już się krzątała przy rannych. Molly z pewną obawą odsunęła ciężką zasłonę, w środku było ciepło, paliło się jednocześnie w dwóch piecach, w powietrzu wisiała duchota. Na pryczach leżeli ludzie. Zakrwawieni, poparzeni, pokryci sadzą. Molly widziała zwęglone kikuty, ręce spalone po łokieć i nogi kończące się na kolanie.

Zrobiło jej się niedobrze. Ból, cierpienie i śmierć – czuła, jakby to wszystko wisiało w gęstym powietrzu. Zaczynało się jej kręcić w głowie, krew dudniła

w skroniach.

Średnia rzuciła jej szybkie spojrzenie. Była bardzo, bardzo zajęta, szybko przestawiała szklane naczynia, podawała to jedno, to drugie kobietom w bieli, a one ostrożnie aplikowały lekarstwa rannym, delikatnie podnosząc im głowy. Uzdrowicielka miała pracy powyżej uszu, ale ujrawszy Molly, podeszła szybko, skinęła krótko głową i wzięła dziewczynkę za rękę.

„Pomóż, Molly Blackwater. Widzisz, jak się na ogniu w naczyniach gotuje? Trzeba je ochłodzić, szybko, twoim lodem. Nie wystarczy wstawić je w śnieg, to wiadomo od dawna. Tylko szybki lód i to najzimniejszy, jaki potrafisz sobie wyobrazić. To, czegoś się w nocy uczyła, teraz zrób – szybko! Na klepsydrę patrz, jak czas upłynie – zdejmij całą ramę z flakonikami z ognia i wtedy rzuć na nie lód, od razu, ze wszystkich stron! Jeszcze mam zapas leków, ale topnieje w oczach. Wasi celnie strzelają”.

Ostatnie słowa powiedziała bez wrogości czy złości – stwierdzając fakt. Wasi strzelają. Celnie. Czyli trafiają tak często, że rannych jest bardzo wielu. Działaj, Molly Blackwater. Odpracuj życie, które dostałaś na kredyt. Molly nie mogła się nie zgodzić. Zwłaszcza że obok stał Wsiesław i jego wzrok był... bardzo wymowny.

„Dobrze – powiedziała posłusznie Molly. – Postaram się, proszę pani”.

Klepsydra stała obok pieca, piasku w górnej części prawie nie było.

Molly szybko zrzuciła kożuszek, zdjęła rękawice. Na ogniu stało coś w rodzaju kwadratowej żelaznej ramy z ciemnymi, nadpalonymi drewnianymi rączkami. Żelazny kwadrat, który skrzyżowane stalowe pręty dzieliły na dwadzieścia pięć jednakowych gniazd; w każdym stała jedna butelka z grubą ścianką. W środku wściekle bulgotała żółtawa masa, a w szyjki zamiast korków wetknięto szklane zatyczki misternej roboty. Krople żółtawej wilgoci kondensowały się w nich, jedna po drugiej spływając w dół. Płyn wrzał.

Coś takiego Molly widziała już w szkole, w pracowni chemicznej.

– Przygotuj się – powiedział Wsiesław prosto do jej ucha.

Molly oprzytomniała; no tak, piasek prawie się już przesypał. Łokieć, dłoń! Ciepło w palcach! Ciepło, które staje się chłodem! Ręce jej się pocą... Molly nerwowo wytarła dłonie o spodnie. Żeby tylko nie zawieść, nie dać plamy... Za plecami ktoś nagle jęknął, jakiś ranny, rozległ się dziwny syk, potem świst i głos Średniej, łagodny, uspokajający, jakby usypiała dziecko.

– *Pora!* – krzyknął Wsiesław – *Dawaj!*

Molly zrozumiała. Spadały ostatnie ziarenka piasku. Dziewczynka zacisnęła zęby, wciągnęła powietrze. W brzuchu miała bryłę najprawdziwszego lodu. Koniec, ostatnie ziarenko. Wsiesław zręcznie podniósł ramę za obie rączki i zdjął z ognia.

Ciepło! Zimno! Lodowe krople spadają z palców, lód rośnie, rośnie, rośnie, ludzie krzyczą i jęczą, nie, nie dlatego, że Molly coś nie wyszło, po prostu bardzo ich boli, są dzielni i silni, ale ciało często jest znacznie słabsze od ducha, boli, trzeba im pomóc, oni walczą o swój dom, a ona jest wiedźmą, nie ma dla niej miejsca w Nord Jorku, ona pomoże, pomoże, pomoże!!!

Czas stanął posłusznie, Molly uniosła obie ręce, jakby czerpiąc wodę ze źródła. W dłoniach, widoczne dla niej i dla wszystkich, pojawiło się błękitne światło. Chłód wiecznych śniegów na szczytach Kard Dredu. Zimno wiecznego lodu, tam, na dalekich północnych wodach Nord Gveylingu. Ciepło zostaje w koniuszkach palców i spływa z nich, parząc lodowatymi kroplami. Żywe ciało nie wytrzymałoby czegoś takiego, ale magia nie krzywdzi swojej pani.

– Leć... – szepnęła Molly i dmuchnęła na to światło, które zgromadziło się w jej dłoni.

Wsiesław ledwo utrzymał lodową bryłę, która nagle pojawiła się wokół flakoników z żółtym płynem. Spod lodu wystawały tylko drewniane rączki.

I nie był to zwykły lód. Z wierzchu błyskawicznie pokrywał go kożuch szronu, bryła zamrażała wszystko wokół siebie, wilgoć powietrza, stykającego się z nią, zamarzała natychmiast. Ktoś krzyknął za jej plecami, ale nie ze strachu czy gniewu, a przeciwnie, z zachwytu. Czerwony z wysiłku Wsiesław ostrożnie opuścił lodową bryłę na ziemię, uzdrowicielka skończyła robić opatrunek, oderwała się od ranego i szybko złapała Molly za rękę.

„Zuch, zuch dziewczyna! A teraz skrusz lód, szybko, póki wszystkiego nam nie wymroził! Krusz, lekarstwo nie może zamarznąć. Ma się ochłodzić, nie zastygnąć! No, łokieć, dłoń, ciepło – rozbijaj!”

Molly nie zdążyła ucieszyć się swoim sukcesem. Łokieć, dłoń, ciepło w palcach i znów krople spływają w dół, zaciskają się w coś twardego – kamień? Nie, coś ostrego, zaostrozony sworzeń...

„Wypuszczaj!” – poleciła uzdrowicielka i Molly gwałtownie, jakby faktycznie rozbijała coś nieustępliwego, uderzyła w lodowy monolit. I zawyła z bólu, w oczach jej pociemniało. Całą prawą rękę aż do ramienia przeszyło ostre, nieznośne ukłucie, jakby po wąskich ścieżkach pod skórą ruszyły miriady żądliwych owadów. Molly ślepo runęła do przodu i straciła przytomność.

Ocknęła się w tym samym miejscu, obok pieca, na pryczy, przykryta własnym kożuszkim. Nad nią pochyłali się Wsiesław, Średnia i jeszcze dwie kobiety; coś mówili do siebie, ale Molly nie rozumiała słów.

Średnia zobaczyła, że dziewczynka podnosi powieki, i złapała ją za rękę. Złapała tak, jakby ta tonęła w morskich falach i to była ostatnia szansa wydrzeć lodowatym toniom Nord Gveylingu ich upragnioną zdobycz.

„Trzymaj się, Molly, proszę!”

Prawa ręka nie rusza się, leży jak obca. Molly zupełnie jej nie czuje.

„Uderzyłaś za wcześnie, magia nie zdążyła się ukształtować i odłączyć od ciebie. To tak, jakbyś sama wbiła sobie nóż w brzuch. Napij się, pomoże”.

Parzące lekarstwo wycisnęło Molly łzy z oczu. Zaczęła kasłać, ale imadło bólu rozsunięło się trochę. Chociaż ręka nadal nie chciała słuchać. Jedna z kobiet szybkimi, wprawnymi ruchami smarowała jej rękę jakąś maścią, ostro pachnącą i parzącą. Molly czuła, jak po jej skórze biegają mrówki.

„Zaraz dojdiesz do siebie – pocieszyła ją Średnia. – Nie ma co się wylegiwać, Molly, rannych jest dużo, lekarstwa jeszcze będą potrzebne, będziesz pomagać. Wasi napierają, idą w dół z przełęczy. I twoje echo... daleko się rozchodzi... – Sposepniała, przerwała własne myśli. – Napij się jeszcze. I natrę ci rękę czymś innym”.

Lekarstwa starej uzdrowicielki działały, co prawda paliły i kęsały bez litości, tak że człowiek zalewał się łzami i siedział zapłakany. Ale ręka odzyskała czucie, z nóg odpłynęło zdradzieckie drzenie i Molly Blackwater w pewnej chwili sama ujęła dłoń starej uzdrowicielki.

„Jestem gotowa. Co trzeba robić?”

Kobieta się uśmiechnęła.

„Nic na razie nie trzeba, dziewczyno. Leż. Mamy zapas. Rannych... utrzymaliśmy”.

To chyba miało znaczyć, że ich stan się nie pogarsza, zrozumiała Molly.

„Uczyć będziemy się trochę później”.

Średnia była bardzo blada, na skraju wyczerpania. Szara twarz, czerwone oczy, pod nimi ciemne kręgi; nabrzmiałe żyły na rękach, blade wargi i zapadnięte policzki, jakby głodowała od tygodni.

„Magia jest nie wtedy, kiedy bierzesz. Magia jest wtedy, gdy oddajesz. – Średnia zauważyła wzrok dziewczynki. – Zwłaszcza kiedy leczysz. I wtedy, moja

kochana, potrzebne są zaklęcia. Formułki. I jeszcze należy wiedzieć, co i jak człowiek ma w środku – bez tego nie będziesz wiedziała, gdzie masz się przyłożyć”.

Molly skinęła głową.

„Proszę pani, chciałabym pomóc...”

Wybuch. Wybuch. Wybuch. Cisza poranka pękła, rozbita na tysiące kryształowych odłamków.

Kanonada rozlega się bardzo blisko. Ludzie wokół Molly zastygli, ale tylko na chwilę.

Szybkie rozkazy i postacie w białych chałatach i z długimi strzelbami za plecami jedna po drugiej znikają za ciężkimi zasłonami. Zapominając o bólu i słabości, jakby pochwycona porywem wiatru, Molly rzuciła się do wyjścia: ci, którzy ochraniali szpital, kilkudziesięciu ludzi na nartach, jeden za drugim pędzili tam, dokąd biegła droga, ściśnięta z dwóch stron ścianami zaśnieżonego lasu. Huk dobiegał właśnie stamtąd. A nad lasem wzbił się czarny słup dymu.

„Atakują! – Uzdrowicielka chwyciła Molly za rękę. – Rannych trzeba wynosić!”

Znowu wybuch nad lasem, a potem trzy albo cztery z rzędu. Ciężkie haubice, pomyślała odruchowo Molly. Ciężkie haubice, wciągnięte przez lokomobile na przełęcz. Ich pociski przemielały tu wszystko, przebijały drogę górskim jegrom, tak, Średnia ma rację, trzeba uciekać, szybko!

„Wiedzma, wiedzma! Zabijcie wiedźmę!” – rozbrzmiewało w jej głowie.

Ranni próbowali wstać, kto mógł, sięgał po broń, a uzdrowicielka, blada, ale spokojna, szybko pakowała do drewnianych skrzyń, wstawiała w gniazda, wymoszczone sianem, swoje flakoniki wszelkich typów i rozmiarów. Na zewnątrz rżały konie i ciężko wzdrygała się ziemia od coraz bliższych wybuchów. Średnia ścisnęła wargi, bardzo mocno. W białą linię.

Nie wiadomo skąd wpadła Tańka, kompletnie ubrana, i nie patrząc na Molly, rzuciła coś uzdrowicielce. Ta pokręciła głową. Tańka prychnęła niezadowolona, powtórzyła swoje.

– *Niet!* – wykrzyknęła Wolchowna i aż tupnęła nogą. – *Nazad*[31]!

To Molly zrozumiała. I rzuciła się, żeby pomóc uzdrowicielce, zbierając niespakowane jeszcze naczynia. Obok nich zjawił się nagle Wsiesław, na jego twarzy nadal widniał wściekły niedźwiedzi grymas. Chyba gdzieś wychodził, a Molly nawet tego nie zauważyła. Teraz dłonie i twarz miał wymazane czymś czerwonym. Molly usiłowała nie myśleć, dlaczego niedźwiedź może mieć



czerwone wargi, część policzka i podbródek.

– *Uchodi!* – ryknął prosto w twarz Średniej. – *Uchodi, niemiedla*[32]!

Wolchowna tylko wzruszyła ramionami i ruchem głowy wskazała chłopcu Molly. Niedźwiedź ryknął teraz naprawdę, po zwierzęcemu. Strzelanina rozlegała się bardzo blisko, huk dział zamilkł. Widocznie zbliżali się strzelcy i jegrzy. Molly nie wiedziała dlaczego, nie rozumiała, co tam się dzieje, gorączkowo biegała za Średnią, łapiąc to jedną rzecz, to drugą, to trzecią. Nieliczni mężczyźni, którzy zostali przy obozie, i kobiety nosili nosze z rannymi, umieszczali na saniach, ale Molly, wsłuchując się w strzelaninę, nagle bardzo wyraźnie zrozumiała: nie zdążą.

Wsiesław biegał ze wszystkimi, krzywiąc się z bólu w biodrze, które nie zagoiło się jeszcze do końca, pomagając to tu, to tam, gdzie tylko potrzebna była niedźwiedzia siła, nieopuszczająca go w jego ludzkiej postaci. Molly szukała wzrokiem Wołki, ale wilczyca, aż do teraz pomagająca pozostałym, jakby zapadła się pod ziemię. Molly musiała złapać niedźwiedzia.

– Panią *Sredniuju* – jak umiała, wymówiła imię uzdrowicielki Molly – *Wynoś stąd! Łap i zabieraj! Nie słuchaj jej! Ratuj!*

Wsiesław szarpnął się jak od uderzenia, w jego oczach był teraz ból.

– *Ratuj ją!* – Molly złapała za kurtkę i przyciągnęła do siebie stropionego chłopaka. – *Ratuj!* – krzyknęła mu prosto w twarz.

Średnia jest silna, bardzo silna. Uratuje życie wielu, wielu rannym, chorym, okaleczonym. Trzeba ją stąd wyciągnąć za wszelką cenę. Wsiesław pokręcił głową.

– *Tylko razem z tobą* – powiedział z wysiłkiem. – *Ty... wulkan...*

Już jeźdźcy smagali konie batami, ruszyły pierwsze sanie. Gdzieś zza rogu wyłonił się wielki wilk i ryknął na Wsiesława. Pysk Wołki również był cały w krwi.

– *Są tutaj!* – Wsiesław zrzucił kozuch, ściągnął koszulę przez głowę.

Niektórzy Rooskies już przyklękali na jedno kolano, podnosząc długie strzelby. Molly widziała, jak strzelcy starannie, troskliwie wkładają nabój, ich broń była jednostrzałowa. Odjeżdżały kolejne sanie, ale teraz Molly wiedziała, że czasu zostało bardzo niewiele. Kanonada strzałów rozlegała się po lewej i prawej stronie drogi, tam znów coś wybuchło, podniósł się dym, rozlegały się jakieś świsty, jakby pracowały wielkie parowe maszyny.

A drogą sunęły powoli te same gąsienicowe parowozy, które Molly widziała na przełęczy. Szerokie stalowe taśmy, obsadzone kolcami, obejmowały romboidalny korpus. Z wysokiego komina walił dym, a dwa cienkolufowe działa, chyba dwa

i ćwierć cala, jak zarejestrowała odruchowo Molly, obracały się w różne strony.

Parowozy były trzy, właśnie wytoczyły się z leśnej gęstwiny na wolną przestrzeń. Sunęły nie szybciej od idącego człowieka... Nie, jednak trochę szybciej. A za nimi podążał gęsty łańcuch strzelców. Jęgrzy, jak zrozumiała Molly, przeszli na flanki, do lasu, gdzie rozlegała się właśnie strzelanina. Do tego z trzaskiem waliły się tam drzewa, jakby zabawiał się jakiś olbrzym, przewracając je jedno po drugim.

Przed parowe pełzacze i szeregi strzelców podbiegali, co chwila odwracając się i strzelając z kolana, Rooskies w brudnobiałych strojach. Niektórzy z nich padali, jedni wstawali, zaciskając ranę, innych podnosili towarzysze, ale większość zostawała tutaj na zawsze.

Parowozy zaczęły strzelać, lekkie pociski wybuchały kilkaset metrów od obozu. Wkrótce zaterkotały mitraliezy, pancerne pełzacze o tępych mordach miały cały pęk obrotowych luf. Teraz padało znacznie więcej wycofujących się; Molly nagle poczuła, że serce krwawi jej bólem.

Musiała coś zrobić!

Ona, Molly Blackwater, poddana Jej Wysokości, z ojcem lekarzem kolejowym, którego też mogli zabić ci Rooskies. Tak, są barbarzyńcami, Królestwo prowadzi z nimi wojnę, a ona, Molly, jest stamtąd, z Nord Jorku. Wszystko się zgadza. Ale działa i mitraliezy przeciwko jednostrzałowym strzelbom, pociągi pancerne przeciwko wiatom z rannymi... To niesłuszne, niesłuszne, niesłuszne!

Tuż obok niej ryknął niedźwiedź; Wsiesław przemienił się, a ona nawet tego nie spostrzegła.

Do sań załadowano już wszystkie drewniane skrzynie Średniej i teraz ją samą bezceremonialnie sadzało na sianie trzech mężczyzn, z tych lżej rannych i będących na chodzie. Średnia tłukła ich po głowie zakrzywioną laską i klęła na czym świat stoi; tak przynajmniej wywnioskowała Molly – mimo atakujących imperialnych, pełzaczy i mitraliez Rooskies kręcili głowami i z rozbawieniem zerkali na rozjuszoną uzdrowicielkę. Wreszcie wrzucili ją na sanie, dwóch usiadło na górze, trzeci chwycił strzelbę i ukląkł, wyjmując nabój z ładownicy.

Opuścił zagięty zamek pod kolbą, załadował szybko i zręcznie, a potem przymierzył, wycelował i nacisnął spust... Huk wystrzału i z szeregu górskich strzelców ktoś padł na śnieg.

Molly się stropiła. Poczuła pustkę w środku. Napastnikami byli ci, którzy do niej strzelali, którzy krzyczeli: „Wiedźma, zabijcie wiedźmę!”, i ci, którzy ratowali ją

pod ostrzałem, wśród których gdzieś tam została panna Barbara i jej rozpaczliwy okrzyk: „Córeńko!”.

Obok niej ciężko sapał niedźwiedź, Wołka warczała głucho z drugiej strony. Cofający się Rooskies ze swoich długich strzelb strzelali zdumiewająco celnie, górscy jegrzy chowali się za plującymi dymem parowymi pełzaczami. Pomknęły w niebo dwie czerwone rakiety, zaraz potem odezwała się artyleria. Pełzacze i piechociarze Królestwa stanęli.

Dziewczynkę natrętnie trącał w ramię kosmaty niedźwiedzi pysk. Wołka złapała Molly zębami za połę kozuska i ciągnęła. W oczach obu przemieńców płonął rozkaz: „Uciekaj!”.

Nie. Nie wolno. Dlatego że ewakuowany na saniach lazaret jest zbyt powolny, nie ucieknie nawet przed niespiesznymi pełzaczami, a już na pewno nie przed pociskami z haubicy.

Po prawej i lewej stronie od drogi potężniał głuchy ryk i trzask walących się drzew. Jakby grasowało tam kilka wrednych potworów, powoli, lecz nieuchronnie torujących sobie drogę przez knieje.

Udało się załadować na sanie najwyżej dwie trzecie rannych. Brakowało sań, brakło koni. Rzadki łańcuch obrońców przywarł do ziemi, wybuchy rozbryzgiwały śnieg i tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi nie oberwał jeszcze sam lazaret. Tuż obok Molly cicho, bezgłośnie czekali na swój los ranni. Niektórzy z tych, którzy ucierpieli mniej, próbowali wstać, jedną ręką radzili sobie ze strzelbami. Inni ze złością syczeli przez zęby, jeśli zostało im na to sił.

Artyleria waliła raz po raz, wkrótce przyłączyły się do nich pełzacze, otwierając ogień z własnych dział. Teraz jechały już znacznie szybciej.

Wołka ciągnęła Molly z całych sił, ale dziewczynka odepchnęła wilczycę i skoczyła do przodu, tam gdzie przywarta do ziemi, zajadłe broniła się piechota Rooskies, z celnością doświadczonych myśliwych mierząc w tych, którzy mieli nieszczęście wysunąć się zza pełzaczy. Ale ogień Rooskies słabł, artyleria wybiła wielu i między napierającą armią Królestwa a lazaretem nie było już prawie nikogo.

Tańka i Wsiesław zostali z tyłu. Molly sama nie rozumiała, jak znalazła się wśród leżących strzelców Rooskies, jak stanęła tam wyprostowana, nie uchylając się przed kulami. Nie wierzyła, że mogliby ją trafić. Nie, jeszcze inaczej! Wiedziała, że jej nie trafią. Tak jak nie mogli trafić w Młodsza, dopóki za mitralieżą nie stanęła ona, Molly.

Cena krwi, mówili. Cena krwi. Trzy pełzacze, plując dymem i parą, jeszcze przyspieszyły. Coś świsnęło tuż obok Molly, nie wiedziała co, zresztą, to nieważne. Nie przejdą. Coś niesamowitego, wrzącego, palącego rozwijało się wewnątrz niej, w duszy, w sercu; rosło, rozszerzało się, rwało na zewnątrz. Nie. Nie przejdą!

Wokół toczyła się walka, wiatr chłostał twarz, gwizdała wokół ołowiana śmierć, ale Molly tego nie widziała. W tej chwili była nieśmiertelna. Nieśmiertelna i nietykalna. Nie odlano jeszcze kuli na jej serce, nie wykuto pocisku na jej duszę. Nogi jakby oderwały się od ziemi, topniały i gasły dźwięki świata, żar płonął już nie tylko w końcach palców, rozlewał się w całych rękach aż do ramion.

Nie! Nie przejdą!!! Zastygły w niebie punkty czarnych bomb, wyplutych przez gardziele haubic. Pociski przesunęły się w lufie, przyspieszając w gwincie, wzleciały w niebo drapieżnym stadem i zaraz spadną w dół, co do jednego – na nią, na nią, na nią! A ona przyzywała je, wabiła, ściągała je na siebie, jak niewyobrażalny, potworny ciężar.

Do mnie, do mnie, do mnie...

Pole walki rozpostarło się przed nią jak świąteczny obrus i ona, Molly, była teraz naprawdę wszechwładna. Parzący płomień otaczał jej ręce, wznosił się nad ramionami, rozwiewając na wietrze jak piękny ognisty płaszcz. Krew przemieniała się w płomień, płomień mknął przez żyły, ogień przenikał do szpiku kości. Jeszcze chwila... jeszcze tylko chwileczka...

„Spłoniesz! – krzyknął głos w środku jej świadomości. Brzmiał jak głos Średniej, ale znacznie silniejszy, bardziej pradawny. – Spłoniesz, głupia! I wszystko wokół siebie podpalisz!”

Spłonę? Nieważne...

„Puszczaj! Puszczaj, słyszysz?!”

Jak dobrze było w tym ogniu! Jest taki delikatny, miękki, taki promienny i ciepły! Obejmuje niczym ręka przyjaciela, ogrzewa jak kołderka w łóżku. Nie, nie chcę go wypuszczać, jeszcze chwila, jeszcze odrobinka...

„Puszczaj!!!” – krzyknął z wysiłkiem starczy głos prosto w ucho Molly.

I ona puściła.

Gigantyczny ognisty młot spadł z nieba prosto na środkowy parowóz. Kulisty płomień wyskoczył z ręki Molly i spadł prosto na podstawę komina. Przebił pancerne płyty i runął dalej, głębiej, niszcząc rury i parociągi, ścianki kotła i rury odprowadzające ogień, ruszt, sam piec i wszystko, co napotkał na drodze.

Molly na chwilę sama znalazła się wewnątrz gąsienicowej maszyny, w jej

ciemności, pachnącej smarem, olejem, węglowym pyłem i prochem, mignęły, niczym widma, zmarznięte figury ludzi, brudne i blade.

Mignęły równe rzędy żółtych pocisków. Ogień objął je i ryknął w straszliwym triumfie. Wypełnił sobą wszystko, głuchy na wycia ludzi, wychlusnął z włazów i szczeliny, z ambrazur i okienek strzelniczych, rozprostował potężne ramiona niczym jeniec, który w końcu zgromadził siły, by zerwać pęta i zespane szwy pancernych płyt rozeszły się posłusznie.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą sunął mechaniczny potwór, sapiąc i wypluwając pociski i kule, teraz rozrastał się i mknął w górę, ku chmurom, wesoły, ognisty, złocistopomarańczowy obłok.

Ognia było jeszcze dużo, bardzo dużo. Szalał, domagał się ujścia, więc Molly, wciąż w tym samym dzikim zapale, nie czując, czy jest na ziemi, nad ziemią, czy w ogóle pod chmurami, bo pole walki widziała z lotu ptaka, uderzyła znowu – w drugi parowóz. Uderzyła w jego przód, w tępan pancerną mordę, w ujadające wściekle mitraliezy. Ogień zerwał blok luf z umocowania i wbił go w ciasną przestrzeń pełzacza, jak taran, przebił ściankę kotła i wcisnął aż do końca, jak myśliwy, który lancą przebija potwora aż do kiszki i żołądka. Dopiero wtedy, słysząc dziki krzyk ludzi poparzonych parą, ogień miłosiernie położył kres ich męczarniom.

Boczne ścianki i działa runęły w stopiony śnieg. Dach, rozwalony na części, wyrzuciło na trzydzieści stóp, a może i dalej, a ogień, nie zatrzymując się, jak stado kolorowych żmij z sykiem rzucił się ku trzeciej i ostatniej maszynie.

Molly potrząsnęła rękami, bo ogień, choć jej własny, palił niemiłosiernie. Potrząsnęła i cały wachlarz płomiennych bryzg pomknął do zamarłego pełzacza.

Włazy otworzyły się i figurki w czarnych mundurach jedna za drugą wyskakiwały na śnieg. Molly nie patrzyła na nie, były nieważne, miała zatrzymać pancernego potwora i zatrzymała go, wbijając ostatni kłęb ognia prosto w komin. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak strzeliły na wszystkie strony strugi płomienia, jak zapalił się pancierz i jak z ostatniej maszyny została tylko sterta stopionych resztek.

Ach, oto i ono, jej echo! Płynie od niej we wszystkie strony, wzdrygają się sosny, och, jedna wzleciała, jakby wyrwana z korzeniami gigantyczną ręką, spadł w dół przemielony na szczapy pień, a fala już mknie dalej! O rany, co to za ogniste strumyczki pod ziemią, czemu wszystko zaczyna się nagle burzyć, o mamusiu, co to jest, co to jest?

A potem przyszedł ból, który wściekle walnął ją w splot słoneczny, wwiercił się w skronie, złapał za włosy i zaczął ciągnąć, z metodycznym okrucieństwem. Molly

zdążyła jeszcze wrzasnąć, nim litościwie pochłonęło ją zapomnienie.



I znowu się budziła, z trudem dochodząc do siebie, powoli wynurzając się z odmętów bólu i strasznych wizji. Głowa pękała z bólu, bolało tak strasznie, że chciała, niczym Zeus, poprosić kogoś, żeby rozbił jej głowę toporem. Obraz przed oczami rozpląwał się i dwoił. Nie mogła podnieść się, nie mogła ruszyć nogą. Och, och, zupełnie jak stara babcia...

Ale niebo nad głową nadal było w kolorze głębokiego błękitu, a płozy wciąż skrzypiały na śniegu.

– Molly? Ocknęłaś się? Zaraz zawołam Wolchownę! – Aha, Tańka. Potargana i zmęczona, z sinymi kręgami pod oczami.

– Wołka... – wyszeptała ledwo słyszalnie Molly. – Czy my ich... czy my ich zatrzymaliśmy?

My. Ich. Zatrzymaliśmy. U nieustraszonej Wołki drgnęły wargi i ona jakoś zbyt szybko się odwróciła.

– Zaraz... Wolchownę... – I zeskoczyła z sani. Zeskoczyła jakoś tak niezręcznie, krzywo, sycząc z bólu.

Molly zamknęła oczy, w skronie waliły miarowo tysiące parowych młotów. Chłodne suche palce wzięły jej dłoń, pogładziły delikatnie. Średnia.

„Głowa boli, tak? Zaraz ci ulży. Och, dziewczynko, gdyby nie ty, nikt z nas nie uszedłby z życiem. Trzy potwory spaliłaś, wszystkie trzy! Dopiero potem upadłaś. Och, gdybyś widziała, jak oni uciekali przed nami w góry! Osłupieli, zupełnie osłupieli, gęby pootwierali – i w nogi! Szkoda, że wtedy niewielu naszych zostało, trzeba było pogonić ich, jak należy... Ile sił wtedy oddałaś... Myśleliśmy, że koniec, że już cię nie wyciągniemy. Płonęłaś cała, magowie tak się palą, gdy z nimi koniec, gdy postanowili umrzeć. Diweja tak właśnie spłonęła, gdy wysadzała tamten pociąg pancerny. Dobrze, dziewczynko, że zdołałaś ten ogień z siebie rzucić, że cała na nich spożytkowałaś – tylko dlatego przeżyłaś. No i tak

właśnie... – Suche, mocne palce ścisnęły rękę Molly jeszcze mocniej. – Teraz, widzisz, cofamy się. Siła wali z przełęczy, Molly, czegoś takiego nigdyśmy nie widzieli. Odchodzimy, wszyscy. Co za nami, nie wiemy, same pożary... Co, lepiej ci teraz, kochana?”

I Molly zrozumiała, że upiorny ból, który wbijał się w jej czaszkę, wyraźnie osłabł. Na tyle, że mogła wreszcie otworzyć zaciśnięte dotąd powieki. Skrzywienie sań. Niebo i śnieg. Błękit i biel.

„Ale... – w bezdźwięcznym głosie Średniej pojawił się przeproszający ton. – Nijak nam się nie uda dokończyć tego, co zaczęłyśmy. Dotknęłaś magii zakazanej, dziewczyno, talent masz, ale umiejętności – żadnych. Czasu... czasu nie mamy. Twoje echo potoczyło się dalej i wulkan... coś z nim nie tak. Co – nie umiem powiedzieć, rannym pomagałam i ciebie podtrzymywałam, nie wiem... Krótko mówiąc, żeby nie mataczyć, powiem tak: wiozę cię do Wolchowny Starszej, największej naszej siostry”.

Molly zaschło w gardle. Ale po tym wszystkim, co się stało, nie miała nawet siły się wystraszyć. No, Starsza, to Starsza – i co takiego...

„Wybacz mi, dziecko. Nie mogę z tobą zostać i uczyć cię dłużej też nie mogę. Powiem szczerze: nie poradzę ja sobie z twoją magią. Może gdyby nie wojna, siedziałybyśmy sobie w izdebce i pomalutku, powolutku, w końcu dałybyśmy radę, ale teraz jest już za późno. Ogień zrzuciłaś, a ja siłę życia w tobie odnowiłam, jak mogłam. Ale magia to nie tylko ogień, to znacznie więcej, i teraz biegnie w głąb – tego już nie zatrzymam. Spowolnić spowolniłam, ale zatrzymać się nie udało. W Starszej cała nadzieja”.

Głos Średniej był teraz pełen winy i jakby strachu.

„To nic – pomyślała Molly i powtórzyła w języku Rooskies: – *Niczego...* Proszę pani, ja... ja się wcale nie boję...”

„Nie boisz się, dziewczynko, i niesłusznie – westchnęła uzdrowicielka. – Siostra moja starsza... jest bardzo zła. Silna, nie przeczę, ale stara i zła. Taka już jest i chociaż nieraz już próbowaliśmy, przy swoim się upiera, i już. Ciężko ci tam będzie, oj ciężko, co tu kryć...”

„Proszę pani, ja... ja i tak się nie boję”. – I Molly spróbowała przywołać w pamięci tamtą walkę, trzy parowe pełzacze na śniegu, i swój zachwyty, swój lot, swoją nietykalność, nieśmiertelność...

„Stój, stój! – wystraszyła się Średnia. – Ani mi się waź! Wszystkie łąty, jakie nałożyłam, w jednej chwili rozerwiesz! Sama nie wiesz, jaką masz siłę, Molly



Blackwater! Starsza sobie z tym pewnie poradzi, a ja nie! Leż spokojnie! Zaraz Wołkę do ciebie przyślę, ona się z twoją kotką skumała, wiecznie po okolicy biegają...”

„Di też jest tutaj?” – ucieszyła się Molly.

„A gdzie ona się bez ciebie ruszy! Pilnuje cię lepiej niż strażnik”.

Skrzypiał śnieg. Rozwijała się przed nimi droga. W górze widać było tylko niebo i zaśnieżone wierzchołki świerków. A z tyłu, w mroku, dymie i mgłę był Nord Jork. I Molly sama już nie wiedziała, czy w ogóle tam kiedyś mieszkała. Słowa „rodzice” i „brat” pozostały, lecz za słowami stał tylko dym. Jakby to nie była prawdziwa pamięć, lecz kolorowe obrazki z książki.

A przecież to niedobrze...

„Nie martw się, dziecko. – Średnia pospieszyła jej z pomocą, widać wychwyciła myśli dziewczynki. – Niełatwo po takiej magii przypomnieć sobie siebie poprzednią, z wcześniejszego życia. Nawet to, co najdroższe, nawet ojca i matkę rodzonych. Wszystko wróci, jeśli... – westchnęła. – Jeśli ze Starszą sobie poradzisz. Jeśli ona cię utrzyma na krawędzi. Widzisz, że ci nie kłamię, gorzkiego lekarstwa miodem nie smaruję. Straszna jest ta moja starsza siostra, ale bez niej los jeszcze gorszy cię czeka. Co ci mogę powiedzieć, dziewczynko! Trzymaj się...!”

„Będę się trzymać” – obiecała Molly, walcząc z napływającą sennością.

Karawana, jeśli sędzić po słońcu, jechała niemal prosto na zachód. Dziwne, wedle wyobrażeń Molly ta przerażająca Starsza, której bali się wszyscy, nawet jej własna siostra, mieszkała gdzieś daleko na północy, w głębi ziem Rooskies. A jednak jechali równolegle do gór Karn Dred, coraz bardziej oddalając się od wojny.

Średnia pożegnała się z nimi; uzdrowicielka wracała tam, gdzie trwały walki. Nie dzieliła się wiadomościami z Molly, ale sądząc z ponurych min Wołki i Wsiesława, nic radosnego by w tych wieściach nie było. Zostali sami, do Starszej miały dostarczyć Molly przemienicy. Wszyscy zawracali, wszyscy szli na front, jak się tutaj mówiło.

Teraz Tańka często siedziała przy Molly i tak jak Średnia trzymała ją za rękę, chociaż nie po to, by z nią mówić – imperialnym Wołka posługiwała się świetnie.

– Tylko się nie bój, jak już zobaczysz Starszą. Nie bój się. Ona strasznie nie lubi tchórzy.

Molly się skuliła.

– Łatwo powiedzieć: nie bój się... Tyle się już o tej waszej Starszej nasłuchałam, że ho-ho!

– A ty i tak się nie bój – powtórzyła z naciskiem Wołka. Jak się denerwowała, jej akcent stawał się silniejszy. – Przecież tam z maszynami się nie bałaś.

– Bałam – wyznała Molly. – Strasznie się bałam.

– Jak ktoś się strasznie boi, to sika w spodnie – prychnęła Wołka – a nie rozwija magię i wysadza trzy pełzacze z rzędu. Już ty na siebie nie gadaj.

– Nie, ja się naprawdę bałam – powtórzyła Molly. Chociaż gdy spróbowała przypomnieć sobie tamte chwile, zrozumiała, że strachu tam nie było. Tylko wściekłość.

– Nie każdy by tak potrafił – mówiła tymczasem Wołka – ale ty w końcu jesteś z Nord Jorku...

– Prawda, jestem stamtąd – wzdrygnęła się Molly. – Pewnie powinno mi być ciężko, bo przecież ja... ja zdradziłam. A zdrajców nigdzie nie lubią.

Wołka sposepniała.

– U nas też nie lubią. Od swoich odszedł, to i od nas odejdzie, myślą. Choć to niesłuszne.

– Słuszne – odparła Molly, nie patrząc na wilczycę. – Nie powinno się odchodzić od swoich...

– Jakbyś nie odeszła, to już byś pewnie nie żyła – ucięła Tańka. – Wsiesław cię popchnął do działania, a tak byś może czekała, aż po ciebie przyjdą...

Molly milczała. Wołka miała rację. Zdradziła swoich. Ale co, jeśli soi postępują niesłusznie? To zrób tak, żeby postępowali słusznie. Żeby przestali robić to, co uważasz za złe. Będę musiała wrócić, pojęła nagle. Koniecznie będę musiała wrócić.

Wołka nachyliła się do niej nagle, zajrzała w oczy, jakby próbowała zrozumieć, o czym Molly myśli.

– Chcesz odejść – stwierdziła wilczyca i w jej głosie nie było wątpliwości. – Ale przecież słyszałaś, co obie mówiły, i Młodsza, i Średnia. Jak już swoje zrobisz, to... no, będziesz wolna. Chociaż ja... ja myślałam... – Odwróciła się nagle.

– Że zostanę?

– Tak – westchnęła Wołka. – Ty i ja jesteśmy, jak się u nas mówi, *dwa sapoga para*... no... dwa buty parą... para butów... No, że byśmy się przyjaźniły. – I poczerwieniała lekko.

– Na pewno byśmy się zaprzyjaźniły. – Molly ścisnęła dłoń Wołki. Dobrze jej się rozmawiało z wilczycą, chociaż ta była starsza. Tak, mogłyby zostać

przyjaciółkami, prawdziwymi przyjaciółkami w magii, walczyć ramię w ramię, pomagać sobie, żartować sobie z Wsiesława... Ale Molly zdradziła swój naród. I Rooskies takich nie szanują...

– Gardzą mną, tak? – spytała cicho, spuszczać wzrok.

– Coś ty, nawet tak nie myśl! – Wołka pokręciła gwałtownie głową. – Nie mówiłam o tobie! Przecież nie uciekłaś do nas, bo chciałaś się wzbogacić! Nord Jork sam cię wygonił, tak jak wygania wszystkich, którzy mają zdolności magiczne!

– Oni... to moi rodacy...

– To prawda – powiedziała poważnie Wołka, patrząc Molly w oczy. – Dlatego nikt nie będzie trzymał cię tu na siłę. Jeśli zechcesz, wrócisz. Chociaż ja cię będę namawiać, żebyś została, bo tam cię przecież zabiją. I tyle. A ja... a ty... a ty jesteś moją przyjaciółką. Chociaż znamy się bardzo krótko.

Molly westchnęła.

– I ty jesteś moją przyjaciółką, Wołka, i tak się cieszę...

– Widzisz? – roześmiała się nagle Wołka. – A Starszej już się nie boisz, co?

– Aha, więc mówiłaś to tylko po to, żebym myślała o czym innym? – oburzyła się żartem Molly.

– A jak! Do Starszej jeszcze droga daleka, jak teraz się zaczniesz trząść, to w ogóle nie dasz rady...

Zimowy las wokół nich stawał się coraz wyższy i bardziej gęsty, droga skończyła się i wjechali na zamrzniętą rzekę. Wołka wyjaśniła, że zimą podróżuje się takimi właśnie trasami, wiatry zdmuchują śnieg i koniom łatwiej się jedzie.

– Teraz jedziemy w górę rzeki, do dworu Starszej.

– Chyba do domu?

– Ona mówi „dwór”, a za nią wszyscy tak samo.

Zamrznięta rzeka stawała się coraz węższa, drzewa wyższe. Dziwne drzewa, nie sosny i nie świerki, coś jakby dęby, rozłożyste, splatające ponad rzeką gałęzie o długich ciemnozielonych igłach zamiast liści. Robiło się coraz ciemniej, choć zimowe słońce stało jeszcze wysoko.

Koń się spłoszył. Wsiesław długo go uspokajał, częstował czymś z dłoni. W końcu ruszyli dalej. Wołka także umilkła, niepewnie zerkała na boki.

– Co się dzieje? – spytała Molly.

– A nic – odparła nerwowo Tańka. – Ze Starszą nigdy nie wiadomo, czy postawi pierogi na stół, czy uzna, że narobiłaś nieszczęścia, i każe się na ławkę kłaść i kijem po tyłku nakładzie...

– A... uciec? – wyrwało się Molly.

Wilczyca prychnęła.

– Przed Starszą nie uciekniesz, na swojej ziemi ona każdego pokona i złamie. Ale – Tańka zmrużyła chytrze oczy – jak już się na ciebie rozgniewa i będzie chciała sprawić ci lanie, to grunt, żeby krzyczeć na całe gardło: „Babciu, przebac mi głupiej! Ojjoj, więcej nie będę!”. Wtedy Starsza zmięknie, ciśnie różgę w kąt, nakarmi pierogami i jeszcze coś nowego pokaże.

– Nowego?

– Nowego! Nowe czary, które sama splotła. Albo nauczy, jak magię spleść i wyrócić, no, jak ty z pełzaczami. Dla czegoś takiego warto różgi wytrzymać.

– A bez różgi się nie da? – spytała kwaśno Molly.

– Nie da. – Tańka pokręciła głową. – Starsza uważa, że na każdą wiedzę trzeba sobie zasłużyć.

– Na przykład wytrzymując lanie?

– Na przykład.

Molly się skrzywiła. Nie, nie bała się aż tak bardzo bólu, ale... ale to, że Starszej bali się tacy dzielni ludzie jak Wsiesław czy Tańka, mówiło samo za siebie. Co ona mogła takiego robić? Wychłostać różgą? Wsiesław dostał kulę w biodro i jeszcze ją, Molly, niósł pod wybuchami i odłamkami. Tańka, osłaniając ją, oddała za dużo siły i omal nie umarła. We trójkę z Priedsławą Młodsza szli w pierwszej linii na „Herkulesa”, nie zwracając uwagi na nawałę ogniową, co Molly widziała przecież na własne oczy. To czego mieli by się bać teraz?

– Tańka... – I znów wyszło jej *Tanka*, nijak nie mogła sobie poradzić z tą miękką zgłoską. – A co to za drzewa?

Nie myśleć o Starszej, nie myśleć o Starszej, nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć...

– Te tutaj? Jodłowe dęby. Albo dębowe jodły, zwij, jak chcesz. My je nazywamy *kiedr*[\[33\]](#).

– *Kedr*? – próbowała powtórzyć Molly.

Wołka machnęła ręką.

– Niech będzie *kedr*. Im dalej od morza, tym ich więcej, a lasy są bardziej

mroczne i nieprzebyte. A Starsza jeszcze stworzyła sobie taką twierdzę... Zresztą, niedługo dojedziemy.

I rzeczywiście, droga skręciła z rzeki i była teraz tak wąska, że sanie ledwo się na niej mieściły.

– Starsza oczyszcza drogę – wyjaśniła Wołka, odpowiadając na nieme pytanie Molly. – Nie pytaj jak, nie wiem, nie widziałam i nikt nie widział. A jednak droga zawsze jest przejezdna, mimo najgorszych śnieżyc.

Teraz jechali w górę, pomiędzy ściosanymi skałami. Góry przysunęły się, tutaj były znacznie bardziej surowe i skaliste niż na wschodzie, na wybrzeżu. Molly zauważyła, że pod drzewami śniegu było znacznie mniej, powietrze wyraźnie się ociepliło.

– Tu wszędzie biją gorące źródła. – Tańka zdjęła kaptur. – Dwór Starszej stoi właśnie na nich.

– To czemu rzeka pod lodem?

– Bo Starsza całą gorącą wodę dokądś zabiera. Ale nie pytaj dokąd, nie wiem.

Droga okrążyła ostatnie wzgórze; wysokie cedry rozstały się, a skaliste zbocza przeciwnie, nasunęły, rzucając długie cienie. I w tej cedrowej gęstwinie, pod baldachimem gałęzi tak grubych, że wyglądały jak objedzone pytony na obrazkach w *Życiu niesamowitych węży*, stał dwór. Dwór Starszej.

Koń zachrapał, zarył kopytami w ziemię.

– Dalej nie pójdzie – westchnęła Tańka. – Starsza nie zdjęła zakazów i przeszkód, może poddaje nas próbie. Czasem wpuszcza do siebie konnych, ale nie wiem, skąd wie, którzy to. No, skoro tak, to koń nie będzie tu ani jeść, ani pić. Musimy wrócić nad rzekę, tam go i napoimy, i owsa damy.

– Molly... – Wsiesław stanął obok dziewczynki, speszony. – Molly... trzymać się. Nie – trzymaj się. Ty się trzymaj. Będziemy o tobie myśleć.

I zaczerwienił się jeszcze bardziej, a Tańka uśmiechnęła się domyślnie – tak domyślnie, że Molly miała ochotę ją palnąć za te aluzje – i klepnęła brata w ramię. A sama objęła Molly, mocno, gwałtownie.

– Trzymaj się... *Sistery sis*.

Zwrot, którego nie znajdziesz w podręczniku – mógłby znaczyć „siostrzana siostra”.

– Idź! – Tańka się wyprostowała. – Ja i Wsiesław też dalej nie pójdziemy.

– Boisz się, że oberwiesz?

– Boję – przyznała Wołka. – Kul waszych się nie boję ani bomb, nawet waszych patrzących się nie boję, ale Starszej się boję. Jak sobie przypomnę swoją naukę... To aż mnie tyłek świerzbi. Och, ile ja się u niej... brzozowej kaszy najadłam! Na całe życie starczy!

– To z brzóz też umiecie gotować kaszę? – zdumiała się Molly. – Z kory czy z liści?

– Umiemy nawet z gwoździa – odezwał się Wsiesław, wpędzając Molly w zupełne osłupienie. I patrzył jakoś tak... nie tak.

– Nie! – zaśmiała się Tańka. – Nie umiemy. Jeść brzozową kaszę to znaczy często obrywać.

– A to z gwoździem?

– Kiedyś ci powiem. Chociaż Starsza pewnie i tego cię nauczy. Jak człowiek głodny, nie z takich rzeczy zrobi supę. Ze Starszą jak tylko coś nie tak, od razu zostawia bez jedzenia, i w ogóle każe pościć. „Z sytym brzuchem człek na naukę głuchy”.

– Już czas – przypomniał Wsiesław. Znowu spojrzał na Molly i znów się zaczerwienił.

– Czas... Czekaj! Wołka, a kim są ci „patrzący?”. Nigdy wcześniej o nich nie mówiłaś...

– Patrzący... – Wilczyca podrapała się po karku. – Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym ci, Molly, słowo honoru. Bywa, że się przemykasz przez las obok żołnierzy Królestwa, tak cicho, że sama siebie nie widzisz, i nagle raz: spojrzenie pada na ciebie! Zimne takie, ale nie jak nasza zima czy mróz, co rumieni policzki i krew od niego szybciej krąży, a takie... – wzdrygnęła się Wołka – że wszystko od niego niemieje, a krew w żyłach zastyga. Nie chronią przed tym wzrokiem ani ciemność, ani zarośla, a tylko umiejętności, a i wtedy trzeba się bardzo postarać, żeby go z siebie zrzucić. My ich między sobą nazywamy „patrzący”, choć nie wiemy, ani kim są, ani jak wyglądają... Jedno ci tylko powiem: niewielu ich jest i chwała za to Ojcu Lasowi.

– Chwała! – podjął Wsiesław, prawą ręką robiąc złożony gest na piersi.

– Idź! – Wołka lekko pchnęła dziewczynkę. – Bo do wieczora tu będziemy gadać. Mnie i bratu też ciężko cię tu zostawiać.

– Idę – westchnęła Molly. Objęła Wołkę, usłyszała jej szept: „Trzymaj się, siostrzyczko”, a potem podeszła do Wsiesława...

I poczuła, że teraz ona się czerwieni.

– Oho! – prychnęła Wołka. – No, obejmij ją, bracie. Bo zaraz od jej policzków będzie można w piecu napalić. *Obinimi, nie stoj!*

I Wsiesław objął. Molly wtuliła twarz w kołnierz kożucha, czując, że Tańka ma rację, twarz jej płonęła, wydawało się, że wystarczy jej dotknąć, żeby się sparzyć. Odepchnęła się dłońmi od jego twardej, szerokiej piersi i poszła szybko, prawie pobiegła przed siebie, do dworu Starszej, nie oglądając się, patrząc prosto przed siebie, bo i też było na co popatrzeć.

Dwór otaczał częstokół z wbitych pionowo, grubych, zaostzonych na górze pali. I na każdym palu sterczała... sterczała... o mamusiu...

Głowa. Ludzka głowa. Z oczami, wargami, nosami, zębami, uszami i całą resztą. I wcale nie były to zwykłe głowy. W hełmie maszynisty, w okularach ochronnych, z wąsami sterczącymi na boki jak dwie szpady, na jednym z pali tkwiła głowa oficera-mechanika. I nie tylko tkwiła, a odwracała się powoli i zerkąła na Molly, jakby... jakby...

Usta otworzyły się, błysnęły nienaturalnie białe zęby.

Molly krzyknęła. I rzuciła się biegiem, nieprzytomna ze strachu, żeby już prędzej, prędzej przebiec obok tego przerażającego częstokołu!

Zacisnęła powieki z całych sił – czemu Wołka jej nie uprzedziła?! – ale obraz został pod powiekami: ze dwa tuziny głów, jedne w hełmach maszynistów, inne w wysokich kaskach, a jeszcze inne w połowych kepi. Jedne z wąsami, inne w okularach, jeszcze inne z monoklem... I odwracają się. Nawet patrzą na Molly, usta się otwierają, chyba coś do niej mówią...

Molly nie słyszała, z piskiem biegła do przodu, póki z rozpędu nie wpadła na coś twardego, uderzając głową tak mocno, że z oczu strzeliły skry. Brama. Wysoka brama w częstokole.

– Dziewczynko! Hej, dziewczynko! – słyszała z góry cały chór.

Głowy, głowy ją wołają! Aaaa! Ojoj, przecież Wołka mówiła, że ma się nie bać... To przecież Starsza, to jej dwór, jej magia...

Molly w panice wymacała kutą kłamkę, pociągnęła ciężką furtę na siebie, wpadła do środka i oparła się o nią bezsilnie. Chór nabitych na pal głów umilkł, jak nożem uciął. Dopiero wtedy Molly ostrożnie się rozejrzała. Rozległe podwórze, które teraz zalewał wczesny zmrok. Śniegu prawie nie ma, ziemia czarna, ciepło. Jakby zima wcale tu nie nadeszła. Nad ziemią unosi się para.

Przy zewnętrznym częstokole ciągną się długie i niskie szopy. Dachy, jak zauważyła Molly, czyste, śniegu nigdzie nie widać. Jeden budynek ma

przezroczyście ściany, nad drugim kilka kominów różnej wielkości, wysokie i niskie, wąskie i szerokie, i ze wszystkich naraz wali dym, różnobarwny. A po prawej stronie stoi dom. Niski, jak wszystko tutaj, piętrowy, za to rozciągający się we wszystkie strony występami pokoi, niczym pradawny pień, trzymający się ziemi korzeniami. Nie, nie wyglądał przerażająco. Dom jak dom, drewniany, z ciosowym dachem, niewielkimi oknami...

Di, która przez cały czas kręciła się obok, miauknęła zdecydowanie i otarła się o nogi dziewczynki, jakby dodając jej otuchy.

– O, tak cię przepraszam! – zawołała Molly. – Na śmierć o tobie zapomniałam, aż wstyd! Ale ty jesteś zuch, chodzisz własnymi drogami, nie gubisz się... Pewnie nawet głów się nie wystraszyłaś?

– Miau! – potwierdziła Di. I zaraz potem zasyczała jak woda, spadająca na rozpalone kamienie.

Zza rogu wyszedł pies, w kłębie sięgający Molly prawie do ramienia. Podpalany, z wiszącymi uszami i mądrymi brązowymi oczami. Szedł niespiesznie, z godnością, nie okazując złości. Molly zamarła. Pies, jeśli nawet był mniejszy od Wołki w jej zwierzęcej postaci, to niewiele. Czyżby również przemieniec?

A za psem od ganku już truchtało kocisko, czarne jak noc, bez jednego białego włoska. Pies i kot popatrzyli na siebie znacząco. Pies podszedł do Molly i zaczął ją obwąchiwać, niespiesznie, ze znajomością rzeczy. Obwąchał całą, wsunął swój zimny nos w jej ucho. Szczeknął cicho, jakby zwracając się do towarzysza.

Kot tymczasem poświęcał całą uwagę Di. Napuszył ogon, dumnie przeszedł się tam i z powrotem... Di przestała syczeć, demonstracyjnie usiadła u stóp swojej pani, odwróciła się i zaczęła myć. Pies szczeknął, teraz nagłaco. Kot niechętnie podszedł do dziewczynki i też zaczął ją obwąchiwać. Nawet stanął na tylnych łapkach, przednie opierając na biodrze Molly. Miauknął krótko, twierdząco.

Chwilę później drzwi do domu otworzyły się i z ciemności wyłoniła się postać z płomieniem w rękach. Postać garbiła się, mrok skrywał jej rysy, Molly nic nie mogła wypatrzyć. Na palach odezwały się głowy. Teraz było je bardzo dobrze słychać.

Molly, drżąc całą, mogła tylko dygnąć. To wyszło jakby samo z siebie, szkolne niepisane prawa nagle odżyły: dygnąć na widok dyrektorki. Nawet jeśli ona na ciebie nie patrzy i w ogóle idzie w drugą stronę. Postać na ganku powiedziała coś niezrozumiałego. Molly wprawdzie osłuchiwała się już trochę z językiem Rooskies, ale teraz nie wychwyciła żadnego słowa.



Pies i kot skoczyły na boki, a Starsza, utykając na jedną nogę, zeszła powoli z niewysokiego ganku. Molly przyjrzała się i wyraźnie spostrzegła, że kobieta nie trzyma w rękach pochodni, lampy, świecy ani latarni. Żółty płomyk po prostu podążał przed nią, trzymając się nieco z boku. Serce Molly zatłukło, dziewczynka wstrzymała oddech. Nie wiedząc, co ma robić, dygnęła jeszcze raz. Postać zatrzymała się kilka kroków od niej. Słabo poruszyła się poła płaszcza i żółtawy płomień posłusznie wzleciał w górę, gwałtownie nabierając blasku. Molly wydała z siebie cichy krzyk.

Przed nią stała starucha, ale nie była to zwyczajnie stara kobieta. Nie, ona tchnęła pradawnością, prawdziwą, przedwieczną. Spod brązowego kaptura wysuwały się siwe pasma, wystawał kościsty ostry nos, podobny do dzioba. Białe brwi zwisały nad osadzonymi głęboko oczami w kolorze lodu, niespodziewanie dużymi i jasnymi. Zapadnięte policzki pokrywała gęsta siateczka zmarszczek, na kości policzkowej widniała brodawka wielkości winogrona, wyrastał z niej pęczek włosów, czarnych, zaplecionych w warkoczyk. To były chyba jej jedyne włosy, które zachowały kolor.

Wargi, cienkie i blade, wykrzywiły się w zjadliwym uśmiechu, odsłaniając krzywe żółtobrazowe zęby. Bardzo duże i bardzo ostre, nawet z wyglądu.

Kobieta miała na sobie luźny brązowy płaszcz czy może pelerynę. Z jego rozcięć wystawały dłonie, pomarszczone tak bardzo, że ciężko było stwierdzić, czy pokrywa je ludzka skóra, czy kora drzewa. Starucha była niewiele wyższa od samej Molly, za to znacznie szersza w ramionach, przez co wydawała się kwadratowa.

Pies i kot, jak dobrze wyszkoleni słudzy, usiedli przy niej – pies z prawej, a kot z lewej strony.

Di, wyraźnie chcąc pokazać, że ją nie tak łatwo zastraszyć, stanęła przed Molly na naprężonych łapach i z postawionym ogonem.

„Najpierw będziecie mieli do czynienia ze mną” – mówiła jej postawa.

– *Z... Zdrawstwujcie*<sup>[34]</sup> – wygłosiła Molly w swojej najlepszej wersji języka Rooskies.

– Witaj, witaj, knypku – odpowiedziała starucha w czystym imperialnym. Mówiła z akcentem, ale delikatnym. – No, co stoisz i się gapisz? Wchodź do środka, tam pogadamy.

– A... a moja kotka?

– Kotka idzie z tobą, to oczywiste. Mojemu Wasilijowi będzie weselej – dorzuciła starucha.

W tym pierwszym kontakcie wcale nie wydała się Molly taka zła czy straszna. Wygląda trochę przerażająco, ale... w końcu to tylko bardzo, bardzo stara kobieta. Czego aż tak się bać?

Jednak Di nie bardzo się tu podobało. Ogon nadal trzymała wyprostowaną, sierść miała zjeżoną i syczała jak żmija. Mimo to szła za Molly krok w krok...

W domu Starszej panował półmrok, pachniało czymś niezwykłym, świeżym, leśnym i niepokojącym, co nie pozwalało rozluźnić się i rozpląnąć w ciepłe. Podobnie jak w domach Młodszej i Średniej, tutaj też ściany obwieszono pękami ziół, cebulek i korzeni, było też mnóstwo innych rzeczy, na których widok Molly mogła tylko jęknąć. Wisiały wysuszone, pomarszczone łapy – zwierzęce i ptasie, a między nimi ludzkie dłonie, równo przycięte, jakby skalpelem, który miał tata. W wielkich słojach z mętną zieloną cieczą pływały oczy wszelkiej maści, a w stojących obok dwóch naczyniach oczy zataczały kręgi, miały ogonki i płetwy, jak kijanki. W trzecim słoju pełzały po dnie jak żabki i wszystkie naraz spojrzały na wstrząśniętą Molly.

– Nie gap się na nie, nie gap się – rzuciła niezadowolona starucha. – Chodź za mną.

Jak zwykle niskie drzwi i odrzwia, którym dorośli ludzie muszą się kłaniać. Duża, niska izba. Wielki biały piec, typowe stoły i ławy, z niezwykłych rzeczy stała tu długa kuchnia z pokrętłami wszelkich rozmiarów. Na niej palił się ogień i coś miarowo bulgotało w wielkich okrągłych rondlach (a może saganach czy garnkach – kto wie, jaka nazwa była prawidłowa?) – jakaś mętna ciecz w różnych kolorach, od żółtego do brązowego, wydzielając ostry zapach ziół.

Stał tutaj wielki stół z kamiennym blatem i nieprzyjemnie wyglądającymi żelaznymi uchwytami na rogach; na ich widok człowiek zaczynał sobie wyobrażać, jak przywiązują mu do nich ręce i nogi. Był też wygładzony drewniany pień z wbitymi w niego nożami różnej długości. Półki z glinianymi dzbankami, filiżankami, miseczkami, garnuszkami, wyraźnie niesłużącymi do jedzenia – już sam ich widok budził dreszcz. Ze ściany wychodziły też dwie miedziane rury z pozieleniałymi kranami, a pod nimi – szeroka umywalnia, coś, czego Molly nie widziała ani u Priedsławy Młodszej, ani u jej średniej siostry.

– Siadaj – rzuciła starucha spokojnie, lecz bez sympatii, i pierwsza siadła w wysokim, skórzanym fotelu, wyraźnie zdobytym gdzieś w Królestwie. – Jak nakazuje zwyczaj – uśmiechnęła się krzywo, ukazując okropne zęby – powinnam cię zapytać, czy *dięła pytajesz ili ot dięła litajesz*<sup>[35]</sup>, a ty powinnaś mi odpowiedzieć, że zanim się zada pytania, trzeba gościa nakarmić, napoić i w łaźni

wyparzyć. Aleś tyś nie nasza, więc po prostu siadaj i jedz. U mnie prosta zasada, co w piecu, to na stole. Delikatesów tutaj nie mamy, ale kaszę z omastą i owszem.

– Brzozową? – wyrwało się Molly i aż krzyknęła cicho, zasłaniając usta dłonią. Stara uśmiechnęła się szerzej.

– Widzę, że już ci Tańka naplotła, nagadała... U mnie, dziecko, każda wina jest winna; jak nie nauczysz się trzymać w ryzach, sama przepadniesz i innych zgubisz. A więc pewnie kaszy brzozowej nieraz spróbujesz. Nie stój jak słup, nie lubię tego! Jak mówię: siadaj przy stole, to znaczy – siadaj!

W izbie był również drugi stół, mniejszy, drewniany, niemalowany. I na nim nie wiedzieć skąd zjawił się garnek z kaszą i drewnianą łyżką. Kotka, tuląca się do nóg Molly, miauknęła cicho.

– A tak. Dla ciebie też będzie. – Starucha skinęła głową. – Wasilij! Pokaż gościowi, co tu u nas i jak.

Czarny kot, wyłaniając się jakby z powietrza, podszedł do czujnej Di, miauknął krótko. I potruchtał spokojnie w głąb domu. Kotka pobiegła za nim.

– Wasilij jej nie skrzywdzi. – Gospodyni się uśmiechnęła. – Ciepło tu u mnie, to i wszelka żywina się płodzi. Jak ich nie truję – Wasilij i pobawi się, i pożywi. Tam i dla twojej kotki wystarczy, i jeszcze zostanie. Jedz, do kogo mówię! – krzyknęła gniewnie i Molly w jednej chwili siadła przy stole. – U mnie tak: jedz na zdrowie, jeśli robota w głowie – rzuciła surowo starucha. – Ale z pełnym brzuchem można tylko spać, a żeby się uczyć, głowa musi być jasna! Dlatego dzisiaj jeszcze jedz, ile chcesz, a od jutra koniec, na chlebie i wodzie zostaniesz.

Molly pisnęła cicho.

Gospodyni uśmiechała się bez złości, i nic z tego, czego Molly się spodziewała, jeszcze się nie zdarzyło: że zacznie od progu wrzeszczeć, że jest tępa i głupia, wzywać na jej głowę gromy niebieskie i skarżyć się na los, iż zesłał jej na uczennicę taką tępą dziewczuchę. Ale czasem w oczach staruchy migąło coś takiego, że Molly przesywał dreszcz. Słowa, co tam słowa! Słowa mogą urazić, ale tylko jeśli w środku się z nimi zgadzasz – tak mówił tata, gdy zdarzało się, że Molly drażnili w szkole i przybiegała do domu cała we łzach. Kasza była dobra. Typowa dla Rooskies gryczana, do której Molly zdążyła się już przyzwyczaić, chociaż w Nord Jorku kaszy gryczanej nikt nie znał. Kasza ze słoniną, tłusta, mmm, palce lizać! Molly nawet nie zauważyła, że wylizała miskę prawie do czysta.

– Dziękuję, pani gospodyni...

– Nie ma za co. Posłuchaj teraz, Molly Blackwater. Siostrzyczki moje i inni,

widzę, też, już ci o mnie naopowiadali. Jestem Starsza i tak mnie nazywaj. Mój kot to Wasilij, pies Połkan, jest gospodarzem na podwórzu. Wiesz, czemu się u mnie znalazłaś?

– Wiem, proszę pani.

– Dobrze. Tak, słabowite są moje młodsze siostrzyczki i takiego daru jak twój nie udźwigną – oznajmiła z pewnym zadowoleniem Starsza i uśmiechnęła się. Molly spuściła wzrok, żeby tylko nie patrzeć na straszne żółte kły. – A i o ognistej górze nie wolno nam zapomnieć. Mój dwór stoi na gorących źródłach, woda w rurze, o tej, też jest stamtąd. A więc ja wiem, co będziemy robić. Ale czy ty wiesz?

Molly się spieszyła.

– Przepraszam, proszę pani, ale... ale skąd mam wiedzieć?

– Żle! – huknęła na nią gospodyni, mrużąc oczy. – Głowę masz nie od tego, żeby warkoczyki nosić!

– Eee...

– Nie cierpię *niemoguznajek*[36]! To znaczy tych, co nie wiedzą! I nie ekaj mi tu! – Starsza mocno uderzyła dłonią w stół. – Odpowiadaj szybko i prosto, a nie umiesz, ucz się! Staraj!

Molly poczuła, że ścisnął się jej żołądek; perspektywa brzozonej kaszy wydała się nieprzyjemnie realistyczna.

– Mam się nauczyć, jak powstrzymywać i naprowadzać swoją siłę... Mam się nauczyć, jak zrobić, żeby wulkan nikomu nie zrobił krzywdy... tak mówiła Średnia. Niech się pani na mnie nie gniewa, bardzo proszę!

– A kto ci powiedział, że się na ciebie gniewam? – prychnęła wiedźma. – Uczę cię, jak mnie samą stara Wierieja uczyła i jakoś nauczyła. Słuchaj, dziewczyno. Średnia dlatego właśnie Średnią została, że dalej poza swoje uzdrowicielstwo nie widzi i widzieć nie chce. – Starsza się skrzywiła. – Nauczyć się swoją siłą kierować to mało. Zaklęcia pojąć, czarów się nauczyć, znaki pamiętać, ziele warzyć, to wszystko mało. – Pochyliła się do przodu i jej sucha, pomarszczona ptasia ręką chwyciła nadgarstek Molly. – Trzeba jeszcze przepuścić to przez siebie. Zapamiętać, że nie ma granic i że ród twój, twoja ziemia nakazują ci to robić! O innych trzeba myśleć, nie o sobie. My, wiedźmy, jesteśmy tylko narzędziem. Ziemia poprzez nas siebie leczy, równowagę trzyma. I to masz sobie przyswoić, uczennico. I możesz być pewna, że ja ci wbiję do głowy to, co trzeba. Dlatego, że moja ziemia i mój ród od tego zależą.

Lodowe oczy staruchy zapłonęły, siwe kosmyki nastroszyły się, jakby rozwał je nagły poryw wiatru. Coś zahukało, zachichotało w głębi domu, zaskrzypiały drzwi i podłogi.

– A to, że ty sama jesteś z innego rodu, z innego plemienia, to nieważne. Zeszli twoi ze słusznej drogi, głupich rad posłuchali, głupich doradców sobie wzięli. I dlatego siedzą ich głowy na moich palach, siedzą i się skarżą. A ty, Molly Blackwater, pamiętaj: jeśli mnie rozczarujesz, jeśli zrozumiem, żeś faktycznie głupia czy leniwa, że magia niesłusznie do ciebie przyszła, że niegodna jesteś swojego wielkiego daru, że nie pomożesz mojemu rodowi i przyniesiesz tylko szkody i straty, twoją głowę też zatknę na palu. Będzie się na boki rozglądać, mój dwór ochraniać i z takimi jak ty sobie gadać, jak jej pozwolę, rzecz jasna. No, wszystko rozumiałaś, nordjorska ślicznotko?

Molly siedziała nieprzytomna, sparaliżowana ze strachu.

– Bój się, bój. – Starucha z zadowoleniem skinęła głową. – Strach to w nauce zły doradca, ale żeby twoją skorupę rozbić, żebyś naga, nagusieńka z niej wyszła, wszystko, co stare zapomniała, nic lepszego od niego nie ma. A jak zaczniesz wątpić, spójrz na mnie: czego tylko starucha Wierieja ze mną nie robiła! Kiedyś nawet w nocy w lesie mnie rozebrała, przywiązała do drzewa, i to na mrowisku! I zostawiła. I nic, jakoś wytrzymałam, przeżyłam. Ziemi swojej przynoszę pożytek, rodowi swojemu daję ochronę. Zrozumiałaś?

– Z-zrozumiałam...

– Jak rozumiałaś, to kładź się spać. Ranek od wieczora mądrzejszy, tak u nas mówią. Chodź, pokażę ci, gdzie co jest.

– Przepraszam, proszę pani... a... a pytać mogę?

– Dzisiaj możesz. Jutro już nie wolno, dopiero gdy zapytam, czy masz pytania. I mówić będziesz dopiero, gdy cię spytam. Zapamiętaj sobie, że gadulstwo to w naszej pracy zguba. Najpierw swoją głową myśl, swoimi rękami próbuj i za wynik ponoś odpowiedzialność. – Starsza roześmiała się nagle i mocno klepnęła Molly poniżej pleców. – Nie bój się! Wytrwaj! Dla wiedzy wytrzymać ból to tak jak oddychać. Na własnej krwi, na własnej męce wiele czarów jest postawionych. Tak było, tak jest i tak będzie. No, o co chciałaś zapytać, *jegoza*?

– A te głowy na palach... One żyją?

– Głowy? Pewnie, że żyją!

– Ale jak to? Tak bez ciała, bez krwi, bez płuc i bez serca? Jak mogą mówić?

– Dobrze myślisz – pochwaliła dziewczynkę Starsza. – Może nie trzeba będzie

cię tak często karać. Magią, Molly, z martwych podnieść nie możesz. A przynajmniej my, Rooskies, takich rzeczy nie umiemy. Za Królestwo ręczyć nie będę, różne plotki tu krążą, różne języki plotą. Ale jeśli człowieka jeszcze żywego, nawet umierającego... no, rozłożysz na części, głowę od tułowia oddzielisz, czary rzucisz, w siedmiu wywarach utrzymasz i siedem razy po siedem namaścisz... A potem magię swoją na niego nakierujesz, żeby przez niego szła, jak nam powietrze idzie przez gardło, wtedy będą siedzieć na twoich palach głowy twoich wrogów, będą jęczeć, gorzko płakać i na los się żalić.

Molly przełknęła ślinę.

– Wiele rzeczy magia może zrobić z rannym i chorym – mówiła tymczasem Starsza, patrząc dziewczynce prosto w oczy – a śmierć i tak do wszystkich w końcu przychodzi. I głowy moje żywe będą dopóty, dopóki ja będę żyła. I następnej wiedźmie, która się po mnie zjawi, sama będę częstokół ozdabiać.

– A te głowy?

– Jak mnie zabraknie, to i moja magia zniknie – wyjaśniła spokojnie wiedźma. – I wszystkie głowy umrą. A potem trzeba będzie je warzyć, czaszki oczyścić i...

Molly omal nie zwróciła kolacji.

– Trzymaj się! – Znowu klaps. – Dla pieczuszek, laleczek nie ma tu miejsca! A jako że innego miejsca teraz dla ciebie nie ma, będziesz musiała o swoich starych nawykach zapomnieć.

Dom Starszej był ogromny, znacznie większy, niż można się było spodziewać, patrząc z zewnątrz. To tu, to tam prowadziły jakieś przejścia i drzwi, w górę i w dół biegły schody, gdzieś coś wzdychało, skrzypiało, upadało, jęczało. W domu była bieżąca woda, stał przecież na gorących źródłach. Podłogi czysto zamiecione i wymyte, pod ścianami ciężkie kute skrzynie, na niekończących się półkach książki i słoje z utrwalonymi w spirytusie potworami (tak pewnie powiedziałyby ich stary nauczyciel przyrodoznawstwa), kosze z ziołami, korzeniami, ziarnami i liśćmi, kości, szpony i czaszki, i nie wiadomo co jeszcze.

– Spać będziesz tutaj. – Starsza przyprowadziła Molly do małego, ciasnego pokoiku z niziutkim oknem, podobnego do tego, który dziewczynka zajmowała w domu Średniej. Tutaj też leżał wypchany siennik, pozszywana z kolorowych skrawków kołdra, stała krótka ława i wielka skrzynia z płaskim wiekiem. W ścianę wbito kołki na ubrania. No i, rzecz jasna, ani śladu łazienki.

– Zimna woda jest w studni, twoim zadaniem będzie z rana nanosić jak najwięcej. Gorąca sama płynie. Chodzić możesz wszędzie, drzwi się tu nie zamyka.

Oprócz... – zmrużyła chytrze oczy – oprócz jednej jedynej izby. Tam ci nie wolno zajrzeć, jak cię przyłapię, to tak zleję, że zapomnisz, jak się nazywasz.

– Tak jest, proszę pani. – Molly uznała, że najlepiej będzie znów dygnąć, jak wiadomo, dygnięć nigdy nie za wiele.

– Strawy warzyć też pewnie cię nie uczyli, laleczko? – Starucha popatrzyła czujnie na Molly.

– Nie, proszę pani. Przepraszam. – Molly spuściła wzrok.

– Panienczka, prawdziwa panienczka – prychnęła gospodyni. – Tego też trzeba cię będzie uczyć...

Molly skuliła się. Gotowanie, uważane za obowiązkową umiejętność każdej prawdziwej damy (żeby jej służba nie oszukiwała), było dla Molly najstraszliwszą męczarnią i istnym piekłem.

– No nic, nauczysz się. – Starsza machnęła ręką. – Czyli kucharzyć też będziesz. I sprzątać. Podłogi trzeba myć... To chociaż umiesz?!

Molly nigdy w życiu nie miała jeszcze okazji myć podłóg. Tym zajmowała się Fanny, to nie było zajęcie dla młodej damy...

– Jak żyję, nie wiedziałam takiej laleczki – pokręciła głową Starsza. – No, ale skoro tak, to będziesz musiała w naukę magii dużo wysiłku włożyć i dużo sukcesów zdobyć, żeby się wikt i opierunek zwrócił!

– Ale przecież ja... przecież my... wulkan...

– Ha! Widzę, że drogo się cenisz, *jegoza jegozowna!* Uznałaś, że skoro ty nasz pierścień zamykać będziesz, to ja będę przed tobą na dwóch łapkach skakać? – Starsza znalazła się nagle tuż przy Molly i mocno, naprawdę mocno chwyciła ją za ucho.

Lodowe oczy starej wiedźmy znalazły się bardzo blisko oczu dziewczynki. Błysnęły krzywe żółte zęby.

– Zapamiętaj, dziewczyno – bardzo cicho, bardzo spokojnie i bardzo przerażająco powiedziała Starsza. – Wszyscy jesteśmy tutaj warci ćwierci pensa w dzień targowy, mówiąc po twojemu. Magia wszystkich pochłonie, i ciebie, i mnie, i wszystkich. Jak zaczniesz swoją dumę pokazywać, jak zaczniesz siebie wyżej niż swoją pracę cenić, jak zaczniesz swoje kaprysy hołubić – to żebym wszystkie różgi na tobie połamała, i tak pożytku z tego nie będzie. Uczennica swojej nauczycielce nie tylko ufa, ona jej wierzy – od i aż do samej nieskończoności!

Molly nie bała się pani dyrektor, nie bała się nauczycieli, jedyne, czego się bała w tamtym życiu, to Departament Specjalny. Ale teraz dusza uciekła jej w pięty.

– Przepraszam, proszę pani. Więcej nie będę – wyrwało się jej po dziecinnemu.

– Nie będziesz, nie będziesz – skinęła głową wiedźma. – A żebyś lepiej zapamiętała, już ja ci dodam rozumu przez tylną bramę...

– Iii!

– Nie wrzeszcz – powiedziała rzeczowo Starsza, podwijając szerokie rękawy. – Nic ci nie będzie. Ja się już nieraz przekonałam, że jak tylko po tyłku uczennicy nakładę, to wszystkie lekcje od razu lepiej jej się w głowie układają.

– Iii!

– Nie piszcz. Jeszcze się za ciebie nie wzięłam, jak należy. ...Dziesięć! – odliczyła ostatni klaps Starsza. – Wszystko zrozumiałaś, Molly Blackwater?

– Tak. – Molly pociągnęła nosem. Bardziej niż obolała, dziewczynka czuła się upokorzona.

– Łam się, łam – rzuciła przenikliwie Starsza. – Powiedziałam ci już, kim my wszystkie jesteśmy: sługami ziemi. A magia to nasze narzędzie, którym i my jesteśmy. Jeśli tego nie zrozumiesz, jeśli swoje mniejsze i większe urazy będziesz hołubić, to nic z ciebie nie będzie, Molly. Zapamiętaj, to twoja pierwsza prawdziwa lekcja: czy zaczniesz żywić do mnie urazę, czy nie? A gdybym teraz nie nakładła ci po tyłku, i tak znalazłabyś coś, żeby się na mnie obrazić. Nauka to trudna rzecz, a czasu mało, i jeszcze wasi, bez urazy, prą z przełęczu na północ, tylko patrzeć, jak nasi po mnie poślą. Wiedzą, że nie wolno, bo mam inne sprawy, ale jak już zupełnie będzie źle, to przyślą. Teraz decyduj, Molly Blackwater, co zrobisz: czy dumę swoją będziesz piastować, czy pracować. Nos wytrzymaj, ślicznotko.

Chlip-chlip.

– Chodźmy dalej – jakby nigdy nic powiedziała Starsza. – Jeszcze nie pokazałam ci całego domu. Najciekawsze trzymam w piwnicach...

Część podziemi faktycznie pełniła rolę piwnic: ciasnych, suchych, czystych, nudnych i uporządkowanych. Ze skrzyniami, półkami, z rozciągniętymi od ściany do ściany sznurami, na których wisiały jakieś skórki na przemian z kośćmi, czaszkami i pękami pachnących ziół.

Niczym bezgłośnie cienie w ciemności przemknęły koty – Wasilij i Di – które chyba już się polubiły i były z tego bardzo zadowolone. Starsza pchnęła drzwiczki, tak niskie, że nawet Molly musiała zgiąć się wpół. Suche pstryknięcie starych palców i w kątach zapłonęły lampy olejowe. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie



wyglądało niczym zwykła wiedzma pracownia: na stołach pod ścianami stały flakoniki, butelki i inne pojemniki, wiły się rury i węzownice, stały przygotowane palniki.

– Co się tu kryje? – spytała szybko wiedźma. – Nie patrz oczami, knypku! Nie oczami tu trzeba patrzeć! Zaciśnij powieki, jak najmocniej, i myśli wypuszczaj, wypuszczaj, ciasno im tam u ciebie, wiecznie na uwięzi...!

Molly posłusznie zamknęła oczy. Wypuść myśli! Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Silne zagięte palce mocno ujęły Molly za ramiona.

– Wypuszczaj! – padło polecenie. – Skuliłaś się jak jeż. Uwolnij je, lżej ci będzie. Uwolnij i słuchaj!

Uwolnij i słuchaj... Czego tu słuchać – jak krew szumi w uszach? Jak się myszy krzątają? Nie, było coś jeszcze... Na samej granicy słyszalności, ciche, ledwo wyczuwalne, ale z całą pewnością obecne. Coś żywego kryło się tu, w łagodnym mroku. Żywego, ale jakby uspionego. Ale gdzie? Piwnica wydawała się pusta... Starucha cierpliwie czekała, nie zdejmując twardych palców z ramion Molly. To coś poruszyło się. Gdzieś blisko... i daleko zarazem.

„Ktoś ty?” – pochwyciła pytanie Molly. Zadane nie słowami, inaczej niż rozmawiała z nią Młodsza czy Średnia. Pojawiło się samo z siebie, w całości, tak jak pojawia się zrozumienie.

„Molly – próbowała odpowiedzieć w myślach, ale nie wysyłając słów, lecz całą siebie. – Jestem Molly Blackwater, dziewczynka z Nord Jorku, która uciekła...”

„Rozumiem – przyszła odpowiedź. – Straszny twój dar, Molly Blackwater. Nieszczęścia podążają za tobą... Ale poradysz sobie – a my pomożemy. A teraz idź, słuchaj Starszej, ona tobą zarządzi”.

I to coś żywego, tajemniczego, jakby odwróciło się do niej plecami, zniknęło w nieznanej głębi.

– Zuch! – usłyszała Molly.

Stara wiedźma uśmiechała się do niej wszystkimi trzydziestoma dwoma – czy ile jej tam zostało – zębami.

– Zuch – powtórzyła. – Usłyszałaś, rozpoznałaś i dociągnęłaś.

– Proszę pani... a... a co to było? Kto to był? Z kim rozmawiałam?

Wiedźma się uśmiechnęła.

– Wielu żyje w naszych lasach, dziewczyno. Wielu pod górami. Wszyscy są naszymi wiernymi przyjaciółmi i musisz umieć ich słuchać. Teraz zdołałaś. Zuch.

– A... a gdyby mi się nie udało? – wyjąkała Molly, zamierając.

– Stłukłabym cię, jak *sidorowu kozu!*

– Ja-jaką kozę?

– Kozę niejakiego Sidora!

– A co, on ją jakoś szczególnie źle traktował?

– Nieważne! – Wiedźma machnęła ręką. – Usłyszałaś i to najważniejsze. Idziemy na górę.

– A tam bym ich nie usłyszała?

– Oj, lubisz zadawać pytania, knypku! Nie, raczej byś nie usłyszała. Tu jest specjalne pomieszczenie, otwarte na taki zew. Chodźmy dalej...

Stara wiedźma na razie nie gniewała się o pytania, co Molly ośmieliło.

– Proszę pani! A mogę jeszcze o coś zapytać? Mogę, mogę, mogę?

– Możesz, wiercipięto. Czego chcesz?

– Ten pokój, do którego nie wolno wchodzić...

– O nim nie będziemy rozmawiać – ucięła szybko starucha. – Mniej cię będzie kusiło. No, idziemy, pokażę ci teraz, gdzie ja mieszkam.

– A... tam można wchodzić?

– Jak zapukasz! – Starsza się uśmiechnęła. – Powiedziałam ci już, wchodzić możesz wszędzie, z wyjątkiem jednego pokoju. Przecież powinnaś wiedzieć, gdzie co jest, może za gospodynię będziesz tu musiała zostać?

Pokoje Starszej niczym nie różniły się od reszty domu. Te same wszechobecne pęki ziół (starucha chyba postawiła sobie za cel obwiesić nimi całą wolną przestrzeń), ciężkie kufry z kłódkami, i tak dalej, i tak dalej...

– Milady! To z pani strony okrutne i nieludzkie nie przedstawić mi tej młodej panienki! – oznajmił z niezadowoleniem głęboki męski głos, przemawiając w nienagannym imperialnym z prawdziwym stołecznym akcentem.

Molly osłupiała, a starucha uśmiechnęła się i wyjechała zza skrzyń czymś w rodzaju stoliczka na kółkach, gdzie na srebrnej tacy spoczywała... głowa. Głowa imponującego mężczyzny w średnim wieku, ze wspaniałymi, starannie uczesаныmi wąsami, z monoklem w oku i zebranyymi w elegancki ogon szlachetnie siwymi włosami. Szyję otaczał granatowy kołnierz galowego munduru oficerskiego, widać było purpurowe naszywki ze złotymi dębowymi liśćmi. Szlachetny nos z lekkim garbkiem, krzaczaste brwi, cienka biała blizna, biegnąca przez lewy policzek...

Starucha uśmiechała się, zadowolona z wrażenia.

– Panno Blackwater, proszę pozwolić, że przedstawię lorda Williama Hastingsa Bassa, siedemnastego barona hastynskiego, generała majora, dowodzącego Korpusem Górskim Jej Wysokości.

– Milordzie... – wykrztusiła Molly, a jej nogi same dygnęły.

– Na miły Bóg, milady! Co robi tu moja rodaczka? – Lord William I-tak-dalej uniósł brwi. Monokl wypadł mu z oka i zawisł na jedwabnym sznureczku – Starsza od razu go złapała, delikatnie umieszczając na swoim miejscu. – Dziękuję, milady. Czy mógłbym poznać twoje imię, dziecko? I zwracaj się do mnie po prostu „lordzie Williamie”.

– Molly, lordzie Williamie. Jestem Molly Blackwater, z Nord Jorku.

– Blackwater...? Chwileczkę, czy czasem nie córka czcigodnego dżentelmena, doktora Johna Caspera Blackwatera? Służył pod moim dowództwem...

– Tak, milordzie. Mam zaszczyt być jego córką. – Wbite w podświadomość, wyuczone zdania same wypływały z pamięci.

– Niepojęte, niepojęte. – Głowa zrobiła skomplikowany ruch brwiami, który miał zapewne oznaczać niebywałe zdumienie. – Ale na wszystkie świętości, skąd się pani tu wzięła?!

– To długa historia, mój drogi. – Starsza niemalże zagruchała. – Nie wątpię, że Molly sama ci ją opowie. Obecnie znajduje się pod moją opieką.

– Och, milady! Mogę tylko żywić nadzieję, że nie znalazła się tu po to, żeby dotrzymać mi towarzystwa na drugiej tacy... – rzekł z wyrzutem baron.

– Na litość boską, mój drogi, o czym my mówimy! Jakby zapomniał pan, jak sam się tu znalazł! – Starsza ściągnęła brwi, ale Molly mogłaby przysiąc, że była to tylko gra.

– Jak mógłbym zapomnieć – westchnął czcigodny lord. – Widzi pani, panienko, w pewnym sensie... rozerwało mnie na kawałki... defekt pocisku, tak, tak, panienko, defekt pocisku...

– Tak było w rzeczy samej – przerwała mu Starsza. – To, co zrobiłam, było jedynym wyjściem.

– Zgadza się – potwierdził ze smutkiem lord William. – Ale, milady, choć jestem pani niezmiennie wdzięczny za uratowanie mnie, to nie przestanę mieć pretensji za wszystkich moich towarzyszy broni, tak niemiłosiernie nabitych na częstokół!

– Ach, mój drogi, dajmy już temu spokój. – Starsza machnęła ręką. – Gdyby nie zjawili się w naszych górach, zostaliby przy życiu...

– Być może miłosierniej byłoby pozwolić im umrzeć, z godnością odejść do Pana...

– Być może, być może, gołąbeczku – powiedziała niemal czule Starsza, biorąc z tacy drewniany grzebień i bez potrzeby przesuwając nim po włosach dzielnego generała majora. – Powiem tak: niech sobie jeszcze posiedzą, porozmyślają o swoich sprawkach... Przecież byle kogo na pal nie nabijam!

– Wiem, droga pani, wiem, a jednak nadal nie mogę uwierzyć, że tak czcigodna lady oddaje się tak straszliwym, tak okrutnym zajęciom!

– Już ty mnie, drogi Williamie, nie pouczaj!

– Ależ, milady, jeśli wszyscy drżą przed pani okrutną sztuką, któż, jeśli nie ja, ośmieli się powiedzieć słowa prawdy? A przecież wiem, że pani serce nie jest wcale tak czarne, jak próbuje je pani przedstawić! A widzę, że nawet to biedne dziecko zostało już przez panią zastraszone!

– To „dziecko” samo zastraszy niejednego. – Wiedźma uśmiechnęła się kwaśno. – Ona...

– Nie-nie-nie-nie! – przerwał jej szybko lord William – Nawet nie chcę tego słuchać, nie będę słuchać! Na pewno porwano ją z rodzinnego miasta, podstępem i kłamstwem zwabiono w nieprzebyte knieje, gdzie zjawily się straszliwe, posłuszne pani potwory, które dostarczyły ją tu, do pani domu, pełnego takich strachów, które wysłałyby na tamten świat nawet dorosłego mężczyznę!

Molly przygryzła wargę, próbując się nie roześmiać. „Zasłanianie ust ręką świadczy o bardzo złych manierach! – powtarzano w szkole. – Dopuszczalne jest wyłącznie wtedy, gdy dłoń jest w białej rękawiczce, a społeczeństwo w ważki sposób przyczyniło się do speszenia skromnej młodej damy”.

– O, widzę, że znalazłaś jeszcze jednego obrońcę. – Starsza uśmiechnęła się, pokazując żółte zęby, ale teraz nie wydawało się to ani brzydkie, ani przerażające. – Teraz, mój drogi lordzie, będzie pan miał z kim pogawędzić. A ty, *jegoza*, będziesz lordowi Williamowi rozczesywać włosy.

– I wąsy, milady, proszę nie zapomnieć o wąsach!

– I wąsy, oczywiście. Już ty byś nie dał zapomnieć!

– Rad jestem, że mogłem poznać córkę tak czcigodnego dżentelmena – wygłosił pompatycznie lord William, próbując poruszyć brwiami, policzkami i nawet uszami w czymś na kształt uprzejmego ukłonu.

Molly znowu dygnęła.

– To dla mnie zaszczyt, lordzie Williamie.

– Patrz, *jegoza jegozowna*, tu leżą grzebyki, tu jest szczotka do wąsów, tu nożyczki, pęsetka, pomada...

– A ja, panienko, czekam na pani opowieść! – przypomniał lord. – Musiała pani przeżyć niesamowite przygody...!

Molly spuściła głowę. Tak, przygody. Rozmowa z Sammym na starej latarni, Rooskies w niewoli, Wsiesław, Diana, ucieczka. Pociąg pancerny „Herkules”, panna Barbara, potem przemienicy, Wołka, Wolchowna Młodsza, droga na przełęcz, Średnia, front, starcie, ognisty młot, który zmiażdżył parowe pełzacze Królestwa...

Nie, nie będzie opowiadać o tym wszystkim uprzejmemu lordowi... Chyba że z pominięciem znacznych części.

– Oczywiście, milordzie. Ale wyłącznie wtedy, gdy nasza gospodyni zezwoli i mnie puści!

– Jaka doskonale wychowana panienka! – rozczulił się lord. – Naturalnie, milady należy słuchać, wszyscy jesteśmy tu w jej władzy, poza granice której aż boję się zaglądać!

Pożegnawszy się z gadatliwym lordem, Molly posłusznie podreptała za Starszą, która pokazywała jej coraz to nowe pokoje. Wszędzie było mniej więcej to samo: zioła, korzenie, słoiki, flakoniki, kufry, dywaniki ręcznej roboty i kolorowe kołdry. W pewnej chwili zjawili się kot Wasilij i Diana, którzy wyglądali już na przyjaciół do grobowej deski.

Starucha zatrzymała się przed niepozornymi niskimi drzwiami. W odróżnieniu od innych, te obite były pasami z oksydowanej stali.

– O, tutaj. – Wiedźma pokazała palcem. – Tu wchodzić ci w żadnym razie nie wolno. Jak cię przyłapię, skórę złoję! I to tak, że śledczy z Departamentu Specjalnego wydadzą ci się skromnymi i delikatnymi mniszkami. Rozumiesz, wiercipięto?

– Tak, proszę pani. – Molly spuściła wzrok.

– I bardzo dobrze – mruknęła wiedźma, rzucając uczennicy przenikliwe spojrzenie. – Klucza od tych drzwi nie szukaj, mam go zawsze przy sobie. Cała reszta wisi w pęku na gwoździu, tam, w pierwszej świetlicy. Chodź sobie, gdzie tylko chcesz – powtórzyła, podnosząc krzywy palec.

– Dobrze, proszę pani.



A potem już leżała pod kołdrą w swoim pokoju, obok sennie mruzczała najedzona i zadowolona Di, a wokół usypiał dom Starszej.

I słychać go było inaczej niż domy jej młodszych sióstr. Tutaj wszystko skrzypiało, chrzęściło, jęczało, czasem wyło, ktoś truchtał, chodził tam i z powrotem nad jej głową, wydawało się, że tuż obok rozmawiają cienkie i piskliwe głosy, ale nie dało się ani zrozumieć słów, ani pojąć, skąd dobiegają. Z domu jakby wychodziło coś wielkiego i bezkształtnego, szło w dal, a jego miejsce zajmowało coś równie wielkiego i bezkształtnego, tylko ciemnego, wielookiego, uważnego. Nocnego.

Noc patrzyła na Molly ze wszystkich stron, jakby oceniała: da radę? Nie da?

W kącie zaszeleściła jakaś kosmata postać, sięgająca Molly najwyżej do kolana. Starczy głos powiedział coś gniewnie w języku Rooskies, rozległo się szuranie miotły po deskach podłogi. Molly naciągnęła kołdrę na głowę. Niczego się nie bój, niczego się nie bój, niczego się nie bój. To tylko próba, to tylko słudzy Starszej... Nie bój się, magia w tobie jest silna, silna jest i tutaj... „Śpij, uciekinierko, śpij, Molly Blackwater...” Ostatnie słowa najwyraźniej ktoś skierował do niej.

\*\*\*

I tak zaczęło się życie Molly w domu Starszej. Nie wiedziała, co dzieje się tam, daleko, co stało się na przełęczu, co spotkało tamto miasteczko, w którym uzdrowicielką była Średnia. Starsza nic o tym nie mówiła.

– Nie nasza to rzecz – ucięła, gdy następnego dnia przy skąnym śniadaniu (kromka razowego chleba i kubek zimnej wody) Molly zapytała o wojnę. – Jak już stanie się nasza, wtedy będziemy myśleć; tymczasem mam cię uczyć. Dlatego że gdy podziemny ogień się rozjuszy, narobi więcej szkód niż cały Korpus Górski! O tym powinnaś myśleć, a o całą resztę Wołka i Wsiesław się zatroszczą. I młodsza

moja siostrzyczka na pewno już gdzieś tam jest. Zrozumiałaś? – I Starsza, żeby Molly sobie lepiej zapamiętała, potrząsnęła przed jej twarzą chudą pięścią. – Czyli co z tobą Wolchowna Średnia robiła? Co, co...? Rękę na łokieć i dłoń wystawić?! Tfu, głupia! Dobra ta moja Średnia siostra, nie można powiedzieć, nad ludzkim nieszczęściem się ulituje, ostatnią koszulę odda, ale z magią... – Starsza zirytowana kręciła głową. – Jak robiła w dzieciństwie, tak i do tej pory. Klęłam ją, wyzywałam, jak tylko mogłam, a pożytku z tego... Rękę na łokieć! – przedrzeźniała siostrę. – Tu nie ręki potrzeba...

Wstała gwałtownie, pokuśtykała do okna i otworzyła je z impetem. Zimny wiatr wdarł się do środka, Di, drzemiąca dotąd w najlepsze na dywaniku, poderwała się i zasyczała.

– Stań tutaj, tutaj, pod oknem. Nie mruż oczu! – Klaps. – Nie kul się! Wyprostuj!

Łatwo powiedzieć: wyprostuj, gdy po policzkach chłostają lodowate porywy. Twarde jak sęki palce Starszej wbiły się w ramiona Molly, zmuszając do rozluźnienia napięte mięśnie.

– Wietrze-wietrze – powiedziała śpiewnie stara wiedźma. – *Wietier-wietriło!* Pij go, Molly, w siebie bierz! Otwórz się przed nim! Nie drzyj!

I twarde palce przebiegły od ramion Molly aż do łokci i dłoni, uciszając drzenie. Molly z całych sił starała się nie trząść. Lodowaty wichur smagał jej twarz, ale dłonie Starszej były jak rozpalone.

– Ty nie dłoń masz wystawić, ty sama jesteś dłonią – mruzczała gniewnie wiedźma. – Wiatr w siebie bierz! Otwórz się! Przepuszczaj go przez siebie! Żadnego zimna nie ma, jest tylko siła!

I żadnego „ciepła w palcach”...

– Sama jesteś ciepłem! – powiedziała starucha, jakby słyszała jej myśli.

Wichur z rozpędu uderzył ją w pierś, ostre porywy darły policzki, ale zimno rzeczywiście zniknęło. Gdzieś pod sercem Molly rodziło się teraz ciepło, podobne do tego, którego uczyła Średnia, ale o wiele, wiele potężniejsze. Było częścią niej. Żył w jej krwi, płynęło w żyłach. A wiatr pomagał mu się wyrwać na wolność.

Sama z siebie, jak zahipnotyzowana, Molly wyciągnęła rękę. Od ramienia w dół płynął płomienny żar, płonęły łokieć, nadgarstek, cała dłoń przemieniła się w jedno wielkie oparzenie i to bolało, ale bólu, o dziwo, Molly już się nie bała. Przeciwnie, ból obiecywał potęgę. Możliwość działania, czynienia, rażenia i bronienia.

„Wypuść ptaka!” – tak mówiła Średnia. Wtedy Molly ledwo sobie radziła, nie



umiała puścić na wolność zebranej siły, a teraz w jej objęciach rodziło się coś znacznie, znacznie większego, choć równie pięknego i skrzydlatego...

– *Żar-Ptica*[37] – usłyszała nagle Szept starszej. – *Firebird*...

I w tej samej chwili Molly zobaczyła się jakby z boku – oto stoi przy otwartym oknie, a na jej rękach, niczym Di, rozłożył się piękny baśniowy stwór i ogniste pióra, mieniające się złotem, oranżem i rubinem, nagle drgnęły, gdy rozpostarł przepiękne skrzydła. „Jestem gotowy” – usłyszała Molly. Odwróciła się zwieńczona wysokim czubkiem kształna główka i na Molly spojrzało ciemne, agatowe oko. „Leć, ognisty ptaku! Leć! Z całą moją siłą!” Molly wydało się, że za chwilę poszybuje sama, w ślad za swoim dziełem.

– Co robisz?! – wrzasnęła Starsza i Molly omal nie upadła od mocnego klapsa poniżej pleców. – Żar-Ptak z twoją pomocą zaraz spali cały las!

Ognisty ptak, gotów rozłożyć skrzydła, nagle skulił się, przygasł, wyblakł. Molly zamrugła.

– Zupełnie rozum straciłaś, żeby całą swoją siłę oddawać! – wściekała się Starsza. Molly poczuła krótkie, bolesne pchnięcia, Żar-Ptaka jakby ostrożnie, delikatnie owijało płótno szarej mgły.

– Wybacz, Ognisty... – westchnęła cicho Molly.

– Teraz dopiero wypuszczaj! – poleciła Starsza.

„Wypuszczaj...” – wyszeptał Żar-Ptak. I Molly go wypuściła. Istota utkana z jej żaru i płomienia łagodnie wystartowała z jej rąk, poszybowała nad dachami, przeleciała nad częstokołem, gdzie nabite na pal głowy krzyknęły chórem – i zniknęła. Nie na długo.

Chwilę później nagie wzgórze, najeżone szarymi kolcami pradawnych skał, przemieniło się w prawdziwą pochodnię. Fontanny płomienia strzeliły ku niebu, złote, czerwone, purpurowe, cytrynowe, nawet srebrzyste! Pod nogami Molly wyraźnie drgnęła podłoga.

– Uff... – odetchnęła Starsza.

Molly chciała się do niej odwrócić, ale w głowie jej zawirowało i opadła na nią okropna słabość. Stara wiedźma szybko złapała ją pod rękę, druga dłoń Starszej spoczęła na czole dziewczynki. Ciepła, sucha i bardzo, bardzo silna.

– O, żeby Żar-Ptaka stworzyć... Silna jesteś, o, silna, Molly Blackwater. Ale pamiętaj: ogień to zawsze ogień. Palić chce, niszczyć, unicestwiać, w popiół przemieniać. Piękny jest Żar-Ptak, ognisty i wolny, ale jak się nie powstrzymasz, i wszystko wokół spalisz, i sama spłoniesz, i echo twoje może kogoś wzburzyć.

Tym razem cię nie ostrzegłam – mówiła dalej wiedźma – dlatego brzożową kaszą za to, co zrobiłaś, częstować cię nie będę. Dzisiaj! – Podniosła palec. – Ale następnym razem jak coś takiego uczynisz, pamiętaj, skórę złoję ci bez litości.

– Proszę pani... A *Żar-Ptica*... – Molly bardzo starannie wymówiła nieznane słowa. – To kto? Albo co? Ten, który teraz poleciał, którego wypuściłam... Co się z nim stało, zginął? Nie ma go już?

– Dziecko! – prychnęła pogardliwie Starsza. – *Żar-Ptak* należy do Przedwiecznych, to jeden z tych, który ochrania nasze ziemie, lasy, pola, pastwiska. To, co widziałaś, to tylko jego odbicie. *Żar-Ptak* pozwolił ci na siebie popatrzeć, nudno mu bez zajęcia, chce mu się latać, siłę pokazywać, ogień na wolność wypuścić. Nic mu się nie stało! Twoja siła znalazła ujście, przeistoczyła się w płomień... Tak, dobrze wychodzą ci ogniste czary, Molly Blackwater, a *Żar-Ptak* jest cały i zdrowy. No, możesz ustać na nogach?

Molly skinęła głową.

– No, to dalej! – zakomenderowała Starsza. – Wiatr w siebie bierz, w ciepłą chmurę obracaj...!

Tu jednak Molly spotkało rozczarowanie. Tak łatwo i naturalnie wychodziły jej zaklęcia ognia, ale magia wody i powietrza, powolna i rozciągliwa, zdaniem Molly była zwyczajnie nudna. Nie była w stanie zmusić powietrza, żeby zgęstniało, ani nasycić go wilgocią. Ciepło spływało z dłoni, na palcach nadal pląsały jęczyczki płomienia. Starsza obserwowała to z zaciśniętymi ustami, w końcu powiedziała:

– Nie spiesz się, *toropyga*, nie wyrywaj się, *pospieszajka*! Ogień jest szybki, zwinny, łapczywy, woda płynie powoli w źródłach i strumieniach, dopiero potem nabiera siły i spada wodospadami.

– Nie wychodzi mi, proszę pani, wszystko spływa ogniem...

– Bo się spieszysz, bo chciałybyś szybko, bo cierpliwości ci brak. – Starsza skrzyżowała ręce na piersi. – Jeszcze raz! Jak zapomnisz, co mówiłam, skórę złoję!

– Jak sidorowej kozie? – palnęła bezmyślnie Molly i ugryzła się w język.

– Ha! – uśmiechnęła się krzywo Starsza. – Podpuszczasz mnie? To cię będzie kosztować dodatkowych pięć różg. No, coś tak zamarła? Dawaj!

Ogień w dłoniach zasyczał, gasnąc, szary kłębuszek zaczął gęstnieć między rękami Molly i nagle przygasł, pozostawiając słaby błękitny płomyk. I wtedy ku ramionom dziewczynki pomknęła fala ostrego bólu, jakby ktoś wbił igłę w chory ząb. Molly szarpnęła się, jęknęła.

– Co ci mówiłam? – nachmurzyła się Starsza – Pospieszyłaś się, za szybko, za

szybko! Nie skupiasz się, dlatego płonie! Boli, tak?

Molly skinęła głową, przygryzła wargę, w oczach miała łzy. Bolało, ból był zimny, nieprzyjemny...

– Jeszcze raz! – warknęła wiedźma. – Najważniejsza rzecz to zobaczyć chmurę i sama się nią stać. Dlaczego Żar-Ptak sam ci w ręce wszedł? A dlatego, że ty sama się ogniem czujesz! Teraz to samo, tylko z wodą, z chmurą!

Ale Molly znów się pospieszyła i tym razem na dłoniach nie pojawił się nawet cień chmury.

– Nie starasz się! – huknęła Starsza. – Chodź no mi tutaj, czas na kaszę brzozową!

Molly przygryzła wargę – Starsza trzymała w rękach szeroki pas o przerażającym wyglądzie.

– I dodatkowe pięć razy – dodała wiedźma z zimną krwią, wskazując Molly ławkę. – Liczyć będziesz na głos, a jak się pomylisz, zaczynamy od nowa! No...!

\*\*\*

– Dziękuję ci, moje dziecko, piękna fryzura! A wąsy! Z panienki to prawdziwa mistrzyni. Jakie koniuszki, jak za dawnych dobrych czasów... Był u nas w pułku, panno Molly, golarz Jangar Singh, o, ten umiał moje wąsy i rozczesać, i podgolić, i podwinąć!

– Dziękuję, lordzie Williamie. – Molly układała w pudełku wszystkie akcesoria fryzjersko-golarskie czcigodnego barona.

– No, no, no, i otóż ty, moje dziecko, w niczym mu nie ustępujesz!

– Dziękuję, milordzie, bardzo pan miły. – Molly dygnęła.

– Nie, nie, nie, moje dziecko, to ty jesteś bardzo miła! Ale słyszałem, że wczoraj cię milady, ee, ukarała?

Molly poczerwieniała. Dzisiaj cały dzień nie mogła usiąść.

– Starsza była bardzo niezadowolona z moich starań.

– To nic! – oznajmiła pocieszająco głowa pana generała majora. – Milady tylko udaje taką groźną, a tak naprawdę to przemiła kobieta! Przemiła! A jakie *pielmieni*[38] robi, mmm, pycha!

– Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale... jak to...?

– Ach, moje dziecko, milady jest naprawdę bardzo potężna, przyznaję, i tak

wszystko urządziła, żebym mógł jeść! To jedna z niewielu dostępnych mi radości życia, za to jaka! – dokończył z entuzjazmem lord. – Jaka szkoda, że u nas w Królestwie mamy taki stosunek do magii... O, na przykład ty, moje dziecko, na pewno znalazłaś się tu już po tym, jak przyszli po ciebie ludzie z Departamentu...

Molly skinęła głową, rozsądnie nie wdając się w szczegóły.

– No właśnie! – Z braku rąk lord William uniósł w górę brwi. – Oni boją się magii, nie rozumieją jej. Chociaż przypadki samozapłonów i ciężkich konsekwencji miały miejsce, przyznają... Ale naprawdę, naprawdę przesadzili!

Lord miał wielką ochotę pogawędzić. Molly, jak poleciła jej Starsza, podsunęła stolik z głową do okna. Ostre zimowe słońce, lśniący śnieg, biegnące w dal rzędy potężnych drzew... Generał poruszył mięśniami twarzy, zręcznie poprawiając monokl, zapatrzył się.

– Dziękuję ci, moje dziecko. Pięknie tu, prawda? Ale, ale, panienko Molly, czemu nie opowie mi pani swojej historii? Doprawdy, mam tu tak niewiele rozrywek! Milady nie dostaje stołecznych gazet, a przecież książki w jej domu są w innym języku niż imperialny!

– Przecież wszystko pan wie, milordzie. – Molly pamiętała surowe wskazówki Starszej. Taak, pas bardzo wspomaga pamięć... – Przyszli po mnie z Departamentu Specjalnego. Uciekłam i biegłam, gdzie oczy poniosą. Natknęłam się na Rooskies i znalazłam tutaj, u milady. Oto i cała historia.

– No, no, no, młoda damo, cóż to za lapidarność? Łaknę szczegółów!

Molly westchnęła w duchu. Starsza była bardzo, ale to bardzo konkretna w swoich poleceniach. I dziewczynka zaczęła opowiadać, nie tyle kłamiąc, co przemilczając spore fragmenty swojej historii. Mówiła, jak uciekła z Nord Jorku, jak opuściła miasto w jednym z pociągów, jak jechała przed siebie, oby najdalej od miasta i ludzi z Departamentu. Jak potem upadła w śnieg na dalekiej stacji kolejowej, której nazwy nie zapamiętała. I jak odnalazł ją patrol Rooskies, który ją dostarczył za przełęcz...

– Za przełęcz... – powiedział w zadumie lord. – A co się tam teraz dzieje, moje dziecko?

Molly znów musiała sobie przypomnieć instrukcje Starszej. Nieważne, jak bardzo Molly martwiła się o Młodszą i Średnią, oraz, rzecz jasna, o Wsiesława i Wołkę, i tak nie wolno jej było wspominać słowem o wojnie.

– Nic wielkiego, lordzie Williamie. Górscy strzelcy stoją na podejściu.

– Czekają na wiosnę – warknął generał z niespodziewaną irytacją. – Wiosną

dopiero zaczną...

Mylił się, ale z jakiegoś powodu Starsza nie chciała wyprowadzać go z błędu.

– Co zaczną, lordzie Williamie?

– Atakować – burknął z niezadowoleniem. – Pójdą za przełęcz w dół, głupcy! I tylu ludzi zginie, i dzielnych oficerów, i odważnych żołnierzy...

I tych, którzy mieszkają w lasach, dodała w duchu Molly, ale czcigodny lord był chyba organicznie niezdolny do takiego myślenia.

– Myśli pan, że Rooskies są tacy silni...?

– Myślę?! Młoda damo, ja nawet nie jestem pewien, ja to wiem! Proszę się rozejrzeć: głowy walecznych sług korony nabite na pał, proszę spojrzeć na mnie! Nasza gospodyni, sama jedna, warta jest całego Korpusu Górskiego, może nawet więcej! A u nas, w Departamencie Wojny, w Admiralicji, zadufanie i pewność siebie! Co oni tam potrafią, ci barbarzyńcy, wystarczy jedna dywizja, żeby dojść do kręgu lodowego! Jaka dywizja, nie starczy nawet trzech takich korpusów, jak mój, Górski!

Wąsy lorda najeżyły się groźnie, oczy błysnęły.

– Ale proszę mi wybaczyć, panienko Molly, te materie na pewno panią nie interesują...

– Skądże, lordzie Williamie, jest dokładnie na odwrót...!

– Jest pani bardzo miła, moje dziecko. Czym jeszcze może się rozerwać generał, który utracił ciało, jak nie rozmową o polityce czy wojnie? Proszę mi wybaczyć, młoda damo, jeśli moje wywody panią nużą...

I lord rzeczywiście zaczął rozwódzić się o górskich jegrach i mobilnych haubicach, mitralieżach i szybkostrzelnych działach, o przewadze monitorów przy ogniowym wsparciu wojsk, i tak dalej, i temu podobne. O dziwo, Molly ani nie zasnęła, ani się nie znudziła, ponieważ pan generał mówił żywo, z nerwem, jakby stał na katedrze Królewskiego Uniwersytetu Wojskowego.

– Widziałam, jak wracał „Kanonier” – wtrąciła nagle Molly, gdy lord urwał na chwilę. – Siedziałam z przyjacielem na starej latarni morskiej...

– Oo, moje dziecko, zna pani „Kanoniera”?

– I nie tylko, znam wszystkie jego siostrzane statki! „Firework”, on też stoi w Nord Jorku, „Gunner” i „Bombardier”, one są na zachodzie, w Webbing, ciężki monitor obrony brzegowej, wyporność... maszyny parowe... moc... prędkość... opancerzenie... artyleria... – Molly odruchowo zaczęła zasypywać rozmówcę

cyframi: tysiące ton, tysiące koni mechanicznych, węzły, cale, kalibry i cała reszta.

Brwi barona uniosły się wysoko.

– Pierwszy raz widzę dziewczynkę, która wiedziałaby takie rzeczy!

– Kocham statki – wyznała Molly. – I pociągi pancerne. I maszyny parowe. I...

– I oni wypędzili panią z Nord Jorku! – westchnął baron. – Biedne, nieszczęsne nasze Królestwo...! Wiecznie oszukują Jej Wysokość, a przecież Rooskies utrzymują się tylko i wyłącznie dlatego, że władają magią! A nasi boją się magii, nienawidzą jej! Nie potrafię zrozumieć czemu. Tylu parów z Izby Lordów zostało zarażonych niezrozumiałą nienawiścią do niej... Domagają się odnajdywania i izolacji wszystkich nosicieli, nazywają to „anormalnością”...

– Lordzie Williamie – ośmieliła się spytać Molly – co się dzieje z tymi, których... których przenosi się, gdy w rodzinie znajdzie się ktoś... zarażony...?

Baron prychnął.

– Kolejna głupota Departamentu Specjalnego! Wyłapują całe rodziny, wysyłają je na południe... Będę z panią szczerą, młoda damo. Widzę, że jest pani dzielna i odporna, w końcu znalazła się pani tu, u milady. Otóż nic dobrego ich na południu nie czeka. Dorosłych osiedla się u farmerów, gdzie mają pracować za darmo, a dzieci umieszcza w przytułkach. Co dzieje się z tymi, którzy posiadają dar magii, tego nie wiem. Nikną w otchłaniach Departamentu Specjalnego.

– A czemu dzieci do przytułków, milordzie? To znaczy, że zabiera się je od rodziców?

– Tak jest. – Baron William ze smutkiem opuścił wzrok. – Słyszałem od tych z Departamentu, że to zmniejsza szanse pojawienia się magicznych zdolności, w przypadku występowania ich u któregoś z rodziców... Potworne, moje dziecko, potworne! Powinniśmy uczyć się od Rooskies, przecież, jak widzimy na przykładzie milady, oni umieją podporządkować sobie magię. Zresztą, oni wszystko sobie podporządkowują.

– Lordzie Williamie... – zaczęła nieśmiało Molly, ale stary generał nie słyszał, najwyraźniej dosiadł właśnie ulubionego konika.

– Co myśleli parowie, którzy przekonali Jej Wysokość o konieczności stworzenia Departamentu Specjalnego?! Po co te okrucieństwo, te obostrzenia? No dobrze, założmy, że w pierwszej chwili nie wiedzieli, nie rozumieli, czym jest magia, ale potem, gdy zetknęli się z Rooskies, gdy stało się jasne, że oni opierają się właśnie na magii, na czarodziejstwie? Nawet strzelb nie mieli, kiedy natknęliśmy się na nich na południe od Karn Dredu! Teraz tak, teraz już mają... Co

nie zmienia faktu! Dlaczego nie mielibyśmy się od nich uczyć? A dopiero potem przejść przez przełęcz, w pełnym rynsztunku!

Molly miała wielką ochotę powiadomić lorda, że Królestwo przeszło już przez przełęcz. Że już maszerują w dół. I że ona, Molly, choć jest poddaną Jej Wysokości, w starciu bez wahania stanęła po stronie Rooskies i – choć może to dziwne – zupełnie tego nie żałuje. To było zaskoczeniem nawet dla niej. Wtedy dokonywała wyboru w ferworze walki, nie myśląc, tylko czując, że postępuje słusznie, w zgodzie z najszlachetniejszą, głęboką prawdą. W zgodzie z sumieniem. Wtedy po prostu nie mogła postąpić inaczej. Ale gdy już było po walce – nie żałowała. Nie żałowała swojego dramatycznego wyboru, tego, że stanęła przeciwko swoim.

Tak, aż ją rozpieszczała chęć dzielenia się nowinami z czcigodnym lordem. Na szczęście za każdym razem w porę przypominała sobie o Starszej.

A milorda poniosło, mówił o magokomandach, że powinni wybadać drogi, o oddziałach uderzeniowych, które przedarłyby się na głębokie tyły Rooskies, i to wszystko bez żadnych pociągów pancernych, bez ciężkiej artylerii, bez pełzaczy!

Molly zapragnęła nagle chwycić ciężki pogrzebacz, podczepić czcigodnego lorda za uszy, jak Starsza pełny garnek z pieca, i ze dwa razy namoczyć w kadzi z jakimś żrącym roztworem, będącym dziełem gospodyni.

– Ooch! – westchnął w końcu stary generał. – Wybacz mi, moje dziecko, zupełnie cię zagadałem. Ale powiedz mi proszę, przecież uczysz się u milady...?

– Tak, milordzie. Uczę się.

– A więc... – Policzki generała lekko poróżowiły, magia Starszej naprawdę czyniła cuda. – Jak to jest władać magią? Muszę ci się przyznać, moje dziecko, że zawsze mnie to, mmm, szalenie intrygowało. Co pani czuje? Co przeżywa?

– Nic nie czuję, lordzie Williamie, jestem zwykłą dziewczynką. Tylko czasem mogę...

– Co? – zapytał chciwie lord, oblizał językiem wargi.

– Nic takiego, lordzie Williamie, dopiero niedawno zaczęłam...

– No, ale ta cała magia co to takiego? Gdzie ona jest, skąd się bierze? Jak pani ją czuje, moje dziecko?

– Ciepło w palcach, milordzie. Wystawiam rękę na to, co niewidzialne, i palce robią się ciepłe. Potem mogę to puścić, jak ptaka z klatki.

– Ależ to szalenie interesujące! – Lord poruszył uszami. – Magia się oddziela,

zyskuje wolność... A skąd ona się w pani bierze, panno Molly?

Dziewczynka rozłożyła ręce.

– Ona po prostu jest, milordzie.

– Ech... – powiedział rozczarowany generał. – A ja tak liczyłem, że właśnie pani, panienko Molly, córka oświeconego Królestwa, rozwieje moją niewiedzę...

– Z radością, milordzie, ale to jest jak oddychanie. Jak to wyjaśnić? Mój tata jest doktorem i on by mógł, ale ja...

– Ech, nic to, nic to! – Właśnie ten wieczny optymizm sprawiał, że lord William nie był tak do końca nieznośny. – Jestem pewien, młoda damo, że świetnie pani sobie poradzi. Królestwo ma wobec pani wielki dług, lecz jestem przekonany, że gdy już pani wróci i gdy moi znajomi – generał zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – pewni moi znajomi w Nord Jorku i w Stolicy usłyszą pani opowieść, wszystko się zmieni. Wróci pani do domu nie jako panna Blackwater, lecz jak bohaterka Królestwa...!

– O czym się tak rozwodzisz, mój drogi? – Starsza pojawiła się zniecka i zacisnęła twarde palce na ramieniu Molly. Jednak wiedźma zupełnie się nie gniewała, wręcz przeciwnie, zawadiacko, wesoło mrugnęła do uczennicy tak, żeby nie widział tego czcigodny lord. – O czym mowa?

– O, milady! – speszył się generał. – Właśnie pytałem młodą pannę Blackwater, czym jest magia... Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, milady, ale uważam, że zgodzi się pani ze mną, że dla każdego wykształconego człowieka byłoby niewybaczalne przegapić taką okazję przeniknięcia najstarszej tajemnicy naszego świata, i ja...

– Nie ma tu żadnej tajemnicy – prychnęła Starsza, i skinieniem głowy wskazała Molly drzwi. – Zabieram twoją młodą towarzyszkę. Zagniatamy ciasto, będziemy lepić *pielmieni*.

– O, *pielmieni*! – Baron w zachwycie przymknął oczy. – Rozumiem, że z trzech rodzajów mięsa?

– Jakże inaczej. – Starsza się uśmiechnęła. – *Warieniki*<sup>[39]</sup> również zrobimy. Urządzamy ucztę!

– Z jakiego powodu ta uczta, jeśli mi wolno spytać?

– Z powodu sukcesów mojej uczennicy. Wystarczyło złoić jej skórę i od razu poszło jak z płatka!

– Milady, jest pani piękną i wspaniałą kobietą, zawsze to powtarzałem, lecz nie



pojmuję, jak może być pani tak okrutna wobec tej młodej, czarującej osobki?! Nie powiem, kary cielesne, zastosowane sprawiedliwie i w umiarkowanej ilości, mogą być z korzyścią dla dorastającego pokolenia, ale...

– Zapomniałam cię spytać, mój drogi – zagruchała wiedźma. – *Warieniki* zrobić z wiśniami? Czy z zamorskimi brzoskwiniami?

– Mmm, z jednym i z drugim! – wypalił szybko lord William. – Ale skąd brzoskwinie...?

– A z waszych ziem – rzuciła niedbale Starsza. – Jak mówią u nas na froncie – *machnuli nie gladia*[\[40\]](#).

– Co, co? Proszę mi wybaczyć, milady, ale niezbyt to grzeczne z pani strony umieszczać zwroty w języku nieznanym rozmówcy! – rzekł lord z wyrzutem.

– „Wymienili się, nie patrząc” – przetłumaczyła gospodyni z uśmiechem. – Taki zwyczaj, gra. Często gęsto robi się taką wymianę z człowiekiem, którego widzi się po raz pierwszy. Nóż na nóż, powiedzmy. Albo pas. Albo...

– Wymienia się tylko jednakowe rzeczy? – zainteresował się od razu lord. – Dajmy na to, rewolwer na rewolwer? Papierośnica na papierośnicę?

– Nie. – Wiedźma pokręciła głową. – W tym rzecz! Nie ma żadnych zasad. Wszyscy się starają, żeby ich podarunek był nie mniej, a nawet bardziej cenny niż ten, który mogą dostać.

– Ale przecież to nonsens! – Lord zmarszczył arystokratyczny nos. – Kto z własnej woli umniejszałby swój stan posiadania, oddając rzeczy bardziej cenne za mniej cenne?

Starsza westchnęła.

– Chyba nie zdołam ci tego wyjaśnić, mój drogi. Chodźmy, Molly, pomożesz mi przy cieście. Chcę jeszcze na pierogi nastawić.

Molly posłusznie poszła za wiedźmą, po drodze próbując zrozumieć, jakież to ciasto będą nastawiać – i na co?

\*\*\*

– Z Żar-Ptakiem bardzo ładnie ci poszło, nie przeczę. Z chmurami i mgłami gorzej, ale ujdzie... A już z ziemią zupełnie ci nie wychodzi! Co się dzieje, Molly?

Starsza stała, podpierając się rękami pod boki.

– Nie starasz się? – spytała groźnie.

Molly skuliła się, rękami odruchowo zasłoniła miejsce poniżej pleców. Słynnej „brzozowej kaszy” Starsza nie nadużywała, ale też nie stosowała żadnej taryfy ulgowej. Najbardziej karała za nieuwagę i za lenistwo, tu już nie było przebaczenia. Ale co ciekawe, Molly zupełnie się na starą wiedźmę nie gniewała.

– O wojnie z tobą rozmawiać nie będę – mówiła surowo starucha – choć posuwa się Królestwo do przodu, powoli, ale posuwa. Siostry moje robią, co mogą, ale... – skrzywiła się niezadowolona. – Ale! No właśnie – ale! Nie mogą beze mnie, *kasatiki*[41]...

– Proszę pani, a co z Wołką? I... – dziewczynka poczerwieniała rozpaczliwie – z niedźwiedziem?

Wiedźma się uśmiechnęła.

– Wszystko dobrze z twoim przyjacielem. O, jak to się spłoniła, jak maczek! Za wcześnie ci o chłopcach myśleć, nawet takich dobrych jak Wsiesław! Biją się tam, biją się srogo, tak jak ci mówiłam. Jak chcesz im pomóc, to ucz się szybciej, ognista góra nie poczeka...! No, nie czerwień się już... Wszystkie cztery żywioły musisz oswoić, a jeszcze Lasy, Góry i Morza ci zostaną, o zwierzętach nie wspomnę! Ty będziesz zamykać podziemny ogień, nie ja, nie Młodsza, nie Średnia, ale ty! Ty jesteś kluczem do ostatniej kłódki, taka się urodziłaś, Molly Blackwater! I jeśli po drodze do tego będę musiała obedrzeć cię ze skóry, możesz być pewna, że obedrę!

Molly westchnęła. W zdecydowanie Starszej nie wątpiła, co nie zmienia faktu, że zaklęcia Ziemi zupełnie jej nie wychodziły. Myliła się, traciła koncentrację, zupełnie jakby znalazła się w głębokiej jaskini, a ogromne masy gruntu naciskały na skronie – ciepło w koniuszkach palców rozpływało się, gasło jak ogień zasypywany piaskiem.

Starsza kręciła głową.

– Ubierz się. Pójdziemy się przejść.

Głowy na częstokole znów rozmawiały.

– A ja panu mówię, kapralu, że nie trzeba było się tam pchać! Gdyby wasz batalion...

– Jak miałem się nie pchać, sir, skoro Rooskies uciekali? Stracić taką okazję...

– Ależ z was pierdoła, Johnston! Daliście się nabrać na najstarszy chwyt świata, fałszywy odwrót! A potem uderzyli was z zasadzki, we flankę i w tył. I teraz, proszę, siedzcie sobie na palu u leśnej wiedźmy!

– Cicho! – warknęła Starsza, przechodząc. Głowy zamilkły wystraszone.

– Piękna pogoda, milady – odezwała się przymilnie jedna z nich, w hełmie maszynisty. – Idzie pani na spacer? Jaka szkoda, że żaden z nas nie może pani towarzyszyć...

– I tak by wam się nie spodobało – ucięła Starsza z krzywym uśmiechem. – Znaleźli się stratedzy – burknęła do Molly.

Zimowy las był cichy i piękny. Słońce świeciło, śnieg lśnił tak, że w odsłoniętych miejscach raził w oczy. Starsza podała Molly ciemne okulary ochronne.

Zostawiwszy za sobą dwór i częstokół, stara czarodziejka i dziewczynka wspięły się na niewysokie wzgórze i zeszły do jaru gęsto porośniętego lasem. Tu, głęboko pod śniegiem, szemrał strumień, nad ciemnymi miejscami unosiła się para.

Starsza pewnie szła przez nietknięty śnieg; zmierzały w górę rzeki.

– Proszę pani... A czemu się nie zapadamy?

– Hmm. – Stara ściągnęła brwi i odwróciła się do Molly. – Nie poczułaś zaklęcia?

– Och, przepraszam – wystraszyła się Molly.

No tak, zaklęcie faktycznie było, zrozumiała to chwilę później, mocno zaciskając powieki i przyciskając palce do skroni. Lekkie, tymczasowe, znikające i pojawiające się przy każdym następnym kroku.

– Potem o tym pomyślisz – powiedziała surowo Starsza. – Widzisz jaskinię przed nami?

Wąski jar dotarł do stromego, niemal pionowego zbocza. Gdzieś pośród śniegu i świerków wystawały szare kły skał, a na wprost widniało czarne wejście wysokości człowieka, skąd wypływał strumień, niemal od razu znikając w śnieżnym tunelu.

– Tam pójdziemy – pokazała Starsza. – Co czujesz?

Molly się zawahała. To nie była zwykła jaskinia, to było jasne, ktoś na nich czekał, tam, w dole, bardzo głęboko... Tak głęboko, że aż trudno to sobie wyobrazić... Otchłań, ciemność, purpurowy ogień. Cofnęła się odruchowo, szybko zamykając oczy. Ostre światło i czysty śnieg zastąpiła ciemność podziemia, gdzie w środku żyło i oddychało coś budzącego w Molly paniczny, lodowaty strach. I nie miało to nic wspólnego z parowozami, pociągami, monitorami i artylerią wielkokalibrową. Z racjonalizmem i rozsądkiem Królestwa. Jakby ktoś wziął dwa krańcowo różne światy i topornie zszył na okrętkę.

– Idziemy. – Starsza pierwsza podeszła do ciemnego otworu. – Zajrzysz w oczy Ziemi.

Molly wolała nie pytać, jak właściwie będzie to wyglądać. Ciemna jaskinia niemal od razu zaczęła schodzić w dół. Źródło gorącego strumienia zostało z tyłu, wąskie podziemne przejście wchodziło w skałę i Molly domyśliła się, że nie wypłukała go rwąca woda.

– Zgadza się – rzuciła Starsza, nie odwracając się. – My je przebijaliśmy, nie żałując rąk. Nie było wtedy takiej magii, żeby tunele drążyć...

Robiło się coraz cieplej i Molly nawet rozpięła swoją *touloupe*, czy raczej *touloupczik*. Szła i myślała sobie, próbując zagłuszyć strach, jak dziwny jest język Rooskies. Weźmy takie słowo jak „siostra”. W Królestwie to po prostu *sister*, czasem *sis*, a tutaj...

*Siestra. Siestrica. Siestrucha. Siestriena. Siestrienka. Siestriczka. Siestrula. Siestrunia.* I weź się, człowieku, zorientuj, kiedy którego użyć! Molly tak się pograżała w rozmyślanii o trudnym języku Rooskies, który oni sami nie bez podstaw nazywali „wielkim i potężnym”, że ocknęła się dopiero wtedy, gdy niemal wpadła na plecy Starszej, która się zatrzymała.

– Nie śpij! – syknęła czarownica.

Wąski korytarz skończył się, znalazły się na niezbyt szerokim kamiennym gzymsie, oświetlonym purpurowymi błyskami. Molly nie mogła uwierzyć, jak to możliwe – w dole pod nimi płonęły purpurowe kałuże, przypominające lawę, a powietrze było nie tylko ciepłe, ale niemal gorące.

Uczyła się przecież o górach i wulkanach... Jak długo schodziły ze Starszą? Pół godziny? Czterdzieści minut? To przecież niemożliwe, to nie mogło być aż tak głęboko!

– *Głaza razuj*[42]! – rzuciła ze złością Starsza. – No...

A tak, tak. „Zdejmij buty z oczu”. Och, te idiomy – Molly przypomniało się mądre słowo.

Tam, w dole, w purpurowym mroku, czaiło się coś wielkiego i żywego. Molly widziała gigantyczne cielsko, rozlane między kałuzami lawy. Ciemne, kosmate i bezkształtne. To mógł być niedźwiedź, to mógł być każdy zwierz, ale naprawdę olbrzymich rozmiarów. Jak on tu żyje? Czym się żywi? Co pije?

– On tutaj śpi. Tutaj jest taki, jak widzisz. A jeść i pić wychodzi na zewnątrz. Góry wyciągnęły do niego ogniste strumienie, niczym ręce. Ciepło mu.

– Kto to jest? – wyjąkała Molly. Jej świetna książka *Życie zwierząt* o takiej

istocie nie wspominała.

– Zwierz Ziemi – szepnęła uroczyście Starsza. – On jest panem i opiekunem ziemskich dróg.

– Wszystkich? Wszystkich wszystkich?

– Nie, skąd. W granice Królestwa wejścia nie ma. Z naszymi ziemiami go tu przyniosło, ale jak mówiła mi mądra Wierieja, gdy jeszcze sama byłem u niej uczennicą, do nas wrzuciło go z jakichś nieznanych krain, gdy przyszedł Kataklyzm. Krótko mówiąc, teraz jest tutaj. To od niego płynie magia Ziemi! Jemu się pokłoń, jego proś o pomoc! Bo czuję, że tu nawet moja brzozowa kasza nie pomoże... On nam tutaj drogę otworzył – gdyby nie zechciał, wiecznie byśmy błądziły po tych korytarzach! I dobrze jeszcze, jakbyśmy żywe wyszły! Pokłoń mu się, durnoto!

I pchnęła Molly do przodu.

Zwierz westchnął, odwrócił się, a ona nadal nie mogła rozróżnić żadnych szczegółów. Raz jej się wydawało, że widzi głowę niedźwiedzia z niewielkimi uszami, innym razem, że długi wilczy pysk, potem znów, że rysie oczy... Ale gdy zdołała się przyjrzeć, gdy wzrok wreszcie przyzwyczaił się do ciemności, spostrzegła wśród dyszących ogniem jezior lawy sterty zniszczonych, dobrze znanych elementów... Koła wielkości człowieka, długie cylindry kotłów, rury i wentyle... Maszyny. Maszyny Królestwa.

– Jak one się tu znalazły? – wyjąkała Molly, bez ceregieli łapiąc Starszą za rękaw.

– Na powierzchnię prowadzi wiele wyjść – szepnęła szybko Starsza. – On zabiera ze sobą, co zechce. Jaskinie otwierają się i zamykają... Ziemia jest mu posłuszna.

Zwierz znów się poruszył. Molly miała wrażenie, że utkwiał w niej baczny wzrok.

– Jego proś o pomoc. – Starsza szturchnęła Molly łokciem w bok. – Nie bój się, on zrozumie. On wszystkich rozumie.

– Przepraszam. – Molly z całych sił walczyła z głębokim pragnieniem dygnięcia. – Ja... mnie... nie wychodzą mi... zaklęcia Ziemi... Może wy...

Zwierz milczał. Patrzył na Molly bez słowa, a potem na dnie jaskini purpurowy płomień wyciągnął z mroku stertę pokierszowanego metalu. Wagon pancerny. No tak, wagon, czy raczej to, co z niego zostało. Burty rozprute jak konserwa. Lufy dział zgięte jak hak. Wachlarze rur. Skoro jest tak potężny, pomyślała przerażona

Molly, czemu nie obroni tej ziemi? Tych, którzy tu mieszkają?

– W Bogu pokładaj nadzieję, ale i sam się staraj. On tym pomaga, którzy sami sobie pomagają. Słabi i nikczemni ani ziemi, ani rodowi nie są potrzebni – szepnęła wiedźma przez zaciśnięte zęby.

To dla mnie za trudne, pomyślała w panice Molly.

– Wielki... Zwierzu. Proszę, pomóż mi. Naprowadź mnie na właściwą drogę...!

„Drogi ziemskie leżą przed tobą – odezwał się głęboki głos w jej głowie. – Zdobądź się na odwagę, by na nie wkroczyć”. Już słyszała ten głos! Wtedy, w piwnicy Starszej, gdy mówił: „Straszny jest twój dar, Molly Blackwater...”.

– Wkroczyć? – stropiła się Molly.

A Starsza już trąciła ją w plecy. Gzyms przed nią oddzielił się od ściany, tworząc wąski, szerokości dłoni most nad przepaścią. Dno zalewała lawa. Kamienne boki również zniknęły, jak to się stało, że tego nie zauważyła? Nie zauważyła i nie poczuła, że użyto magii?!

– Idź! – warknęła Starsza. – Tam idź! Na drugi brzeg!

Pod nogami ognista przepaść, lawa tchnie żarem, rozgrzana podziemnym ogniem. I ona, Molly Blackwater, dziewczynka z Nord Jorku, która lubiła rysować niszczyciele i monitory...

Drogi ziemskie leżą przed tobą. Miej odwagę, by na nie wkroczyć. Łatwizna.

Przełknęła ślinę. Lepki strach rozmiękczał trzęsące się kolana, unosił wyżej, gotów zalać wszystko czarnym, oślepiającym przerażeniem. A gdy ten strach zwycięży, to będzie koniec, pojęła nagle. Zwierz nie był okrutny, ale nie znał litości. Zima zabija zbłąkanego wędrowca. Przepaść przyjmuje ofiarę. Albo przejdzie przez most, albo nie wyjdzie stąd wcale. To byłoby tak bardzo w stylu Starszej.

Ciekawe, czy ona też tak stała na skraju przepaści? Zamierając, z walącym szaleńczo sercem, przyciskając ręce do piersi, a za nią stała, zaciskając cienkie blade usta, stara czarodziejka Wierieja? Pewnie tak. I pewnie Starsza, tak jak Molly, rzuciła swój *touloupczyk*, i tak jak Molly, ostrożnie, małymi kroczkami, podeszła do mostu. Innej drogi nie ma. A raczej jest, ale zaczyna się po drugiej stronie. Jeśli chce jeszcze zobaczyć mamę, tatę, brata, Fanny i koleżanki, jeśli chce odnaleźć Sammy’ego, to musi przejść. Molly odetchnęła i weszła na most. Oderwała od poręczy spocone dłonie. Z dołu płynął suchy żar, jakby czyjaś ręka pogładziła policzki. W dole...

– Nie patrz! – warknęła Starsza.

Ale Molly jednak spojrziała. Czarny kamień i czerwony ogień lawy. I pustka. Przyzywająca bezgłośnym szeptem. Molly zastygła. Zachwiała się. Szeroko rozłożyła ręce i szeroko otwartymi oczami patrzyła w dół. Cisza. Stara czarownica za jej plecami wstrzymała oddech. Nie utrzyma się. Ziemskie drogi nie dla niej.

„Molly! Mollynaird Evergreen Blackwater! Co ty sobie myślisz, moja panno?!”

Molly usłyszała surowy głos mamy. I zew otchłani zaczął słabnąć... Idź. Krok za krokiem. Ziemia cię nie zdradzi, trzeba jej tylko zaufać. Trzeba wierzyć. Ręce szerzej! Wdech, wydech. Musisz przejść. Dla Wołki. Dla Młodszej i Średniej. I dla Starszej. I... i dla niego. Nawet jeśli on się nigdy o tym nie dowie.

Zacęła iść i Zwierz poruszył się, jakby z aprobatą. Krok. Och, co się dzieje, kołysze nią to w prawo, to w lewo; rękami, pracuj rękami, złap równowagę, Molly! Na czarnych drogach ziemi mocno stój, mocno kroc! Wierz krokom, wierz kamieniowi, uwierz skale. Zaufaj ciemności.

To wcale nie jest straszne, naprawdę. Przeciwnie, to coś mocnego, pewnego, odwiecznego. Ziemia nie zdradzi. Jaskinie nie są strasznymi otchłaniami, lecz przytulnym schronieniem, gdzie odpoczywa zwierz i człek, gdzie można skryć się przed deszczem i wrogiem. Warstwa kamieni ponad głową to pewna ochrona przed ciężkimi pociskami Królestwa. Ochrona, a nie ciężar, gotów runąć na nią w każdej chwili. Molly szła. Szła nad ognistą przepaścią i z każdym krokiem w jej sercu rósł wolny, zrywający się do lotu zachwyty – potrafię! Przejdę! Dam radę!

„Pewnie, że dasz” – powiedział Zwierz.

Pod koniec Molly już prawie biegła. Czerwone oczy lawy spoglądały z dołu z aprobatą.

– Stój! – usłyszała krzyk Starszej.

I zamarła. W pół kroku od krawędzi. Co się dzieje? Nie ma ani mostu, ani przepaści. Przed nią i za nią ciągnie się kamienny gzyms, ogrodzony barierą, z lewej strony oddzielając ją od przepaści. To przecież...

– Zuch. – Starsza szła do niej uśmiechnięta szeroko, co wyglądało raczej przerażająco.

Molly cofnęła się, cała drżąc. Co to jest? Co to było? Oszustwo? Złudzenie?

– Przeszłaś ziemską drogą. – Starsza zatrzymała się w pół kroku. – Tak było trzeba. Rozejrzyj się wokół siebie, przyjrzyj się dobrze.

Molly zobaczyła, że czerwone odblaski zniknęły, ciemność nasunęła się ze wszystkich stron, i tylko w pomarszczonych dłoniach starej wiedźmy płonął

małeńki żółty płomyk.

– Tak było trzeba – powtórzyła starucha z uśmiechem. – Nie złość się, Molly Blackwater. Poprosiłaś o pomoc Zwierza Ziemi i otrzymałaś ją. No, rozejrzyj się wreszcie! Przyjrzyj porządnie!

Molly posłuchała, choć w oczach miała łzy. Ciemność przytuliła się niczym kotka. Miękka, puszysta i zupełnie niestraszna. Kamienne sklepienie ponad głową było teraz bezpiecznym dachem, który przetrzyma każdą burzę, ochroni przed każdym nieszczęściem. Drogi ziemskie, drogi podziemne. Wszędzie są drogi, trzeba je tylko zobaczyć i nie bać się na nie wejść.

Ech, monitory, drednoty, pociągi, niszczyciele... Łatwo się was rysuje, proste lub krzywe linie, takie znane, takie wyliczone. A jak narysować Zwierza? Jak go nakreślić, policzyć? Jak w ogóle działać z magią? Tu nie pomogą arytmometry, ani ręczne, ani parowe. Molly stała w ciemności i wiedziała, że gdzieś tam, w dole, w niewiadomej głębinie leży pokieroszowany wagon, naiwna próba Królestwa, by pokonać stałą i parą potęgę starożytnych gór.

Wiedziała też, że ta ziemia nie jest jej wroga. Trzeba tylko mniej myśleć, jak wszystko jest urządzone, trzeba wyciągnąć rękę – ciepło w dłoni! Ciepło, płynące w koniuszki palców! I wtedy...

– Swiet[43]! – odezwała się Molly w języku Rooskies.

Wszystkie pięć palców posłusznie zwieńczyły złociste korony płomyczków, jakby Molly trzymała pięć zapalonych świec.

– *Smotritie, gospoża Starszaja*[44]...

Dźwięki obcego języka nie wydawały się już obce.

– *Mołodiec*[45]! – powiedziała szybko Starsza, łapiąc Molly za lewą rękę. – A teraz chodźmy stąd, nie ma co niepokoić Zwierza bez potrzeby.

A gdy wyszły na zewnątrz, powitało je nocne niebo, wielka i straszna otchłań, w odróżnieniu od ziemskiej – naprawdę bezdenna.

– Teraz już się nie boisz? – Sucha ręka starej wiedźmy objęła ramiona Molly.

Dziewczynka pokręciła głową.

– *Utro wieczera mudrienieje*[46]! Teraz kładź się spać, a rano...

– Proszę pani! A mogę o coś zapytać?

– No, co tam znowu, *jegoza*?

– A czemu rano jest mądrzejszy niż wieczór? Ja zawsze rano jestem tak okropnie śpiąca, w ogóle nie mogę myśleć!



– Ja też. – Starsza się uśmiechnęła. – Nasz, wiedźmowski, czas to noc, to z dawien dawna ustalone. Ale ludzie przywykli tak właśnie mówić, a ja powtarzam.

Szły w stronę dworu Starszej. Głowy na częstokole z szacunkiem zamilkły, tylko jedna z nich próbowała się po cichu przymilać.



Po wizycie u podziemnego Zwierza relacja między Molly i Ziemią uległa znacznej poprawie. Nie można powiedzieć, by wszystkie potknięcia, błędy i tak dalej zniknęły jak za sprawą magii, ale zaklęcia nie traciły kształtu, a Starsza przestała ściągać brwi i zerkać znacząco na wiadro z pękiem różg.

I czemu tak mnie wszyscy straszili? – zastanawiała się Molly. I Tańka, i Średnia... Co tu niby takiego straszego? Nawet jak przetrzepie tyłek różgami, to bez mściwości i za przewinienie! Sama bym się ukarała za to, co robię. Czego tu się bać...?

Dwa dni później do ich bramy ktoś załomotał. To był dobrze ubrany, wysoki mężczyzna w nowej *touloupe*, z wyszywanym kołnierzem, dołem i połami, z rumianymi policzkami, wielkimi wąsami i dużym brzuchem. Szedł piechotą, prowadząc za sobą parę objuczonych kosmatych koni. Minę miał stropioną i wystraszoną, coś, czego w kraju Rooskies Molly prawie nie widywała.

Starsza wysunęła się z okna, nie bacząc na mróz, i zawołała:

– *Hej, dobryj mołodiec! Czego pożałował? Diela pytajesz' ili ot diela litajesz'[47]?*

Molly zrozumiała piąte przez dziesiąte, że Starsza pyta, z czym przybywa nieproszony gość. Ale już jego odpowiedzi nie rozumiała zupełnie, chociaż sądząc z tego, jak wiedźma nagle sposepniała, jego słowa nie niosły w sobie nic dobrego.

– Taak – wycodziła przez zęby Starsza. – Zdaje się, że będziesz musiała coś zobaczyć, panno Mollynaird. Coś takiego, co nawet ja nie od razu chciałam pokazać. Do czegoś takiego Wierieja mnie dopiero po dwóch latach nauki dopuściła, a przedtem, zanim uznała, że jestem gotowa, złamała o mnie mnóstwo pęków różg. Ale cóż począć, skoro się wzięłaś za robotę, to nie mów, że koszula bliższa ciąu.

Molly zrobiło się nieswojo.

– Idź, zapal ogień w piwnicy.

Molly posłuchała, choć zrobiło jej się zupełnie niedobrze. Wzrok Starszej, ostry, bezlitosny, zupełnie się Molly nie spodobał. Ogień w palenisku już płonął, gdy Starsza zeszła do piwnicy, prowadząc gościa. Gęste wąsy przybyłego obwisły, grdyka poruszała się nerwowo. On się bał, strasznie bał i strasznie pocił. Krople spływały mu po skroniach i policzkach, spadały z mięsistego nosa.

Była w nim siła, to Molly zrozumiała od razu, pewnie tak jak mama wiedziała, czy Molly jest chora, czy nie, nawet nie dotykając jej czoła i nie mając za sobą medycznych studiów taty. W tym człowieku była siła i on się nią męczył. Tak jak od wzdęcia, albo nawet od skrętu kiszek.

– Nie może nakierować, nie umie zapanować – rzuciła półgłosem wiedźma, jednocześnie wypytując gościa w języku Rooskies. – Niestety blisko, Molly. Pomożesz mi. Jakbyś chciała zemdleć czy wymiotować, to się teraz przygotuj, materac sobie przynieś i wiaderko, żeby mi tu nie brudzić.

Molly skinęła nerwowo głową. Mężczyzna zerknął na dziewczynę i zdjął przepoconą koszulę, został w krótkich lnianych portkach do kolan. Ubrania miał porządne, białe i czyste, wyraźnie świeżo założone, ale już zdążyły przesiąknąć potem na wskroś. Próbował złapać Starszą za rękę, pytał o coś, pytał cieniem, błagalnym głosem. Stara czarodziejka tylko marszczyła brwi, odpowiadając krótko:

– *Da. Niet. Uwidim...*[48]

A potem mężczyzna znalazł się na szerokim stole, a na jego kostkach i nadgarstkach zapięto szerokie rzemienie. Na nogach zaciągała je Molly i ręce jej się trzęsły.

– Siła. Ogromna. Wkrótce spłonie – mówiła półgłosem Starsza. – Patrz w niego sama, Molly, patrz! Patrz, jak cię Średnia uczyła, co tam, dzisiaj można, jeśli tak ci wygodniej... No, dawaj, łokieć, dłoń, ciepło w palcach...

Molly posłusznie robiła wszystko, czego od niej żądano.

– A teraz, jak ci powiem, wrzucisz zioła do kadzielniczki – zarządziła Starsza.

W piwnicy zapachniało czymś słodkim. Starsza szeptała coś mężczyźnie i jego kurczowo napięte mięśnie rozluźniły się. Położyła mu obie dłonie na pierś, nacisnęła, Molly pomyślała, że takimi ruchami garncarz ugniata glinę.

– Lancet – powiedziała spokojnym głosem Starsza i Molly, zamierając ze strachu, włożyła w jej wyciągniętą rękę ostre stalowe ostrze.

Starucha uniosła skalpel nad piersią nieprzytomnego mężczyzny i pewnym,

mocnym ruchem zrobiła pierwsze cięcie.

\*\*\*

Molly zwymiotowała w sumie trzy razy. Zemdlała raz. Ocknęła się, gdy Di wskoczyła jej na twarz i polizała policzek. Starsza skończyła. Stała z nieprzeniknioną twarzą nad stołem zalany krwią. Pod nogami starej czarodziejki stały dwa drewniane wiadra pełne gorącej wody.

– Pomóż – rzuciła sucho wiedźma.

Molly zachwiała się, w głowie jej się kręciło, przed oczami wirowały czerwone kręgi.

– Da się tak i tylko tak. – Starsza nie patrzyła na uczennicę. – Teraz będzie żył, pożytek ziemi i rodowi przynosił. Ludzi chronił i stworzy różne będzie odganiał.

Molly mogła jedynie skinąć głową. Dar mowy straciła już jakiś czas temu.

– Dlatego właśnie, moja miła – Starsza wzięła do ręki ścierkę – Wolchowna Średnia nigdy nie zdołała mnie zastąpić. Starala się – i nie zdołała. Siebie w czystości trzyma, o swoje sumienie się troszczy... Przyszedł tutaj ten biedak po ratunek i myśmy go uratowały. A że jego poprzednie życie się dla niego skończyło, to już inna sprawa. Najważniejsze, że jeśli teraz kogoś zgubi, to wyłącznie z pożytkiem dla sprawy. Rozumiesz, o czym mówię, Molly Blackwater?

Nie uratowały człowieka, nie oddały go z powrotem rodzinie i dzieciom. Kroiły ciało, piłowały kości, łączyły je na nowo klamrami z nieznanego metalu, zszywały mięśnie, mocowały czarami ścięgna. Starsza zręcznie i pewnie używała do tego siły nieszczęśnika. Stara wiedźma i jej młoda uczennica stworzyły potwora.

Do świtu dziewczyna trzy razy budziła się ze strasznym krzykiem, wreszcie za czwartym przyszła do niej Starsza, usiadła obok, objęła za ramiona i dała do wypicia ciepły, pachnący miętą napar, który rozwiął senne koszmary jak wiatr poranną mgłę.

Ale tę noc Molly zapamiętała na zawsze.

\*\*\*

Nastał ranek i Starsza przyszła do niej jak gdyby nigdy nic. Zmrużyła oczy, popatrzyła na zmęczoną Molly, pokręciła głową i pocmokała językiem.

– Wiesz ty co, moja droga? Poleż ty sobie dzisiaj w łóżku.

Di wysunęła wąsy spod kołdry, miauknęła z aprobatą i znowu zwinęła się

w kłębek.

– J-jak to, proszę pani? A... nauka? A wulkan? A cała reszta?

Czarodziejka skrzywiła się z irytacją.

– Są chwile – powiedziała niechętnie, jakby wstydząc się własnych słów – gdy żadne różgi nie pomogą, choćbym nawet połamała wszystkie na twoim grzbiecie. I dzisiaj jest taki dzień. Leż, niech cię twoja kotka grzeje, niech ci mruczy. Zrozumiałaś? – Starsza spojrzała kotce prosto w oczy i Molly mogłaby przysiąc, że Di poruszyła uchem, jakby na znak zgody.

– Poleż sobie, pogadaj z naszym lordem, a ja pójdę do lasu. Nie czekaj na mnie, wróć przed wieczorem. Jak już wstaniesz i będziesz chciała się przejść, wiesz gdzie są klucze. Pospacerować możesz, dopilnować, żeby wszędzie porządek był, na podwórze wyrzeć i Połkana pogłaskać, on cię lubi. A jak ci się nie będzie chciało, to sobie leż. Dzisiaj można. – Starsza zaśmiała się, zawadiacko mrugnęła do Molly, obróciła się na pięcie i tyle ją widzieli.

Cały ranek Molly faktycznie spędziła w łóżku. Na coś takiego nie pozwalano jej nawet w domu, nawet w weekendy. W niedzielę nabożeństwo, a w soboty, choć mogłoby się wydawać, że nie ma nic do zrobienia, mama i tak zrywała ją bladym świtem, albowiem „to z pożytkiem dla młodej damy, która w przyszłości zostanie panią domu”. Sobotnie poranki, gdy Fanny wracała z targu, przeznaczono na lekcje gotowania, o czym Molly do dziś nie mogła myśleć bez wstrętu.

A teraz... Ciepły dom Starszej wcale nie był cichy. Ktoś zawsze się w nim poruszał, szurał, trzaskał, rozmawiał. Niespiesznie maszerował gdzieś w swoich kocich sprawach czarny jak noc Wasilij, dumnie pusząc ogon. Di podniosła łepkę, zerknęła na przyjaciela i położyła się, jakby mówiąc: „Nie, nigdzie nie idę, tu mi tak dooobrze...”. Molly podciągnęła kóldrę aż pod nos i zamknęła oczy. Straszne sceny poprzedniej nocy na szczęście nie powracały, być może pomógł napar Starszej. Tak czy inaczej, Molly udało się o nich nie myśleć. W końcu znudziło jej się wylegiwanie i Molly poszła pochodzić sobie po domu. A nawet nie tyle pochodzić, co „doglądać”.

Gdzieś za ścianami krzątał się *domowej*, czyli *brownie*[49]. Skąd się wziął i kim był tak naprawdę, Molly nie wiedziała, a Starsza opędzała się od pytań. Taka sama magiczna istota jak Zwierzę Ziemi, Żar-Ptak i inne. Przyjdzie czas, to się dowiesz. Kręciły się też inne stwory, może ta „żywina”, na którą polowali w piwnicach Wasilij i Diana. Molly chodziła od pokoju do pokoju i myślała, jak bardzo myliła się Tańka i Średnia, opisując koszmary tego miejsca. Nie no, straszne rzeczy czasem się tutaj działy, to na pewno (Molly wzdrygnęła się na myśl o ostatniej

nocy), ale strachu nie było. Molly przestała się bać nawet słynnej „brzozowej kaszy”.

Przywykła. Przywykła do głów na palach częstokołu, do wyszukanych manier lorda Williama, przywykła rozczesywać mu włosy, czesać włosy. Przywykła do burczącego *brownie*, pokazującego się wczesnym rankiem albo późnym wieczorem, gdy oczy kleją się już i ciężko zrozumieć, czy naprawdę go widzisz, czy ci się zdaje. Przywykła do zagadkowych dźwięków, dobiegających z piwnicy albo ze strychu. Przywykła, że mieszka w domu prawdziwej wiedźmy, w którym nie ma ani jednej maszyny parowej. Więcej nawet, zupełnie przestała o nich myśleć!

A teraz chodziła po domu, starannie doglądając porządku. Podnosiła leżące na ziemi pęki ziół, porządnie wieszała je na swoim miejscu, poprawiała słoiczki i flakoniki, rzuciła szczyptę karmy pływającym w przezroczystym cylindrze oczom z płetewkami – szybko pomknęły ku powierzchni, choć nie wiadomo było, czym one właściwie jedzą, skoro nie mają ust... I tak, powoli, tu przesuwając dywanik, tam prostując narzutę, Molly dotarła do drzwi, przez które nie wolno jej było wejść.

Trzeba przyznać, że przez cały pobyt u Starszej Molly całkiem nieźle radziła sobie z tą pokusą. Nie wolno, czyli nie wolno. Jeszcze w szkole zdążyła się nauczyć, że są zasady, które można, a nawet trzeba łamać, a są takie, których łamać w żadnym wypadku nie wolno. Bo co innego ryzykować, a co innego samemu ściąć sobie głowę. Złamać zakaz Starszej oznaczałoby właśnie to ostatnie. Jednak tym razem drzwi były uchylone.

Molly zamarła. Co się stało? Dlaczego? To przypadek? W sumie...?

Starsza, zupełnie inaczej niż zazwyczaj, wyszła dziś z domu w nietypowym dla siebie pośpiechu. Nic też dziwnego, że Molly musiała tyle rzeczy ustawić na swoim miejscu. Czyżby zapomniała je zamknąć...? No dobrze, wchodzić do środka nie wolno. Ale skoro nie ma kłódki, a teraz ona tu jest za Starszą... A jeśli za tymi drzwiami jest jakiś nieporządek? Molly zastygła na progu, serce tłukło się jej w piersi.

Rzecz jasna, świetnie pamiętała wszystkie bajki o zakazanych pokojach. Szczególnie tę najstraszniejszą, o Czerwonobrodym. „I choć bardzo spieszyli się bracia niemądrej księżniczki, to przybyli za późno. Gdy przyjechali do zamku, brama była zamknięta, a ich siostra leżała martwa na zimnej podłodze tajemnego pokoju” – czytała mama pouczającym tonem, gdy Molly była jeszcze mała. Młoda dama powinna zapamiętać – są miejsca, do których wchodzić nie wolno w żadnym wypadku, bo wtedy żaden bracia-rycerze nie pomogą. Molly zawsze płakała nad

piękną księżniczką Koriną i nie cierpiała tej bajki, ale mama z upodobaniem czytała właśnie ją.

Pewnego dnia, gdy była już w trzeciej klasie i mama nie czytała jej już bajek, a nawet sama Molly bardziej interesowała się pociągami i monitorami (choć czasami, zwłaszcza gdy rodziców nie było w domu, wyjmowała z szafki ukochane lalki), wzięła książkę z bajkami, zdecydowanym ruchem otworzyła na zakończeniu historii o księżniczce Korinie i złym rycerzu Czerwonobrodym, zanurzyła pióro w kałamarzu i starannie zamazała zakończenie. Zamazała i gorączkowo zaczęła pisać swoje, już wiedząc, że oberwie za zniszczenie książki i to oberwie porządnie, bo książka była droga i z obrazkami.

„Ale w ostatniej chwili, gdy brama miasta już miała się zamknąć, a most zwodzony podnosił się na skrzypiących łańcuchach, przegalopowało po nim pięciu braci księżniczki Koriny. W ich rękach lśniły ostre miecze i przerażony Czerwonobrody puścił księżniczkę, nad którą uniósł już zakrzywiony nóż, i zaczął błagać o wybaczenie. Ale bracia Koriny nie słuchali go i posiekali na kawałki swoimi mieczami za jego wszystkie krwawe uczynki, za wszystkie księżniczki i znamienite panny, które zabił! A księżniczka Korina wróciła do domu, została królową, miała dużo dzieci i żyła długo i szczęśliwie! Koniec!”

Za to naprawdę jej się dostało: cały tydzień spędziła o chlebie i wodzie z podwójnymi lekcjami haftowania i szycia. Ale kara była tego warta! Nie mówiąc już o tym, że bajki ludowe, jak tłumaczono im w szkole, nie miały autora i każdy opowiadał je tak, jak uważał za słuszne. A to znaczy, że ona miała prawo napisać własne zakończenie, i jej zakończenie będzie słuszne! Potem z radością usłyszała, jak guwernantka braciszka, Jessica, czytając mu bajkę o Czerwonobrodym, zająknęła się, dochodząc do końca, a potem jak gdyby nigdy nic przeczytała nowe zakończenie – to, które napisała Molly!

Braciszkowski bardzo się spodobało i zawsze prosił, żeby mu czytać tę właśnie historię. I oto teraz ona stoi przy uchylonych drzwiach. Ten łajdak Czerwonobrody, gdy księżniczka Korina nie weszła do zakazanego pokoju, również zostawił drzwi uchylone. Kto wie, może Starsza też czytała tę bajkę? Ze szczeliny powiało ciepłem. I dziwnym zapachem, który jednak nie był nieprzyjemny. I jeszcze była tam magia. Molly zapamiętała to uczucie, które po raz pierwszy poczuła, stojąc przy otwartym oknie i wchłaniając w siebie zimowy wiatr. Tam w dole mieszkała magia. Która władczo przyzywała Molly do siebie.

Nie myśląc już o Starszej, o karach i konsekwencjach, dziewczynka pchnęła ciężkie drzwi i te otworzyły się bezszelestnie na dobrze nasmarowanych zawiasach.

Na dół prowadziły wąskie stopnie, schody wciśnięto w przestrzeń między ścianami z bierwion. Krok, drugi, trzeci... Zakręt i ciemność. Nie widać zupełnie nic.

Co zrobiłaby zwykła, normalna dziewczynka, co zrobiłaby sama Molly Blackwater jeszcze kilka miesięcy temu? Wróciłaby po latarkę czy chociaż świeczkę. Dzisiejsza Molly Blackwater schodziła dalej bez żadnego wahania.

A w dole czekało na nią niebywałe bogactwo. Bogactwo magii, wiedzy, tajemnicy, trzeba tylko tam dotrzeć i uwolnić, wypuścić, jak wypuściła cudownego Żar-Ptaka... Molly schodziła po schodach, jak zaczarowana. Zresztą, dlaczego „jak”? Przecież właśnie była zaczarowana. Zaczarowana płynącą z dołu siłą, wiatrem magii, parzącym, ale dającym nieopisaną lekkość.

I czemu tak się dręczyła? Magia, oto ona, nawet nie w opuszkach palców, a zwyczajnie, po prostu, wokół niej! Nic nie trzeba robić, wystarczy wydać rozkaz i niesamowity stwór wydostanie się z ciasnej piwnicy, rozłoży skrzydła w kolorze nocy, wzleci w jasne niebo, rozleje się od horyzontu po horyzont, pochłaniając dzień, zaćmi słońce... Molly zanurzała się w ciemność. W głowie jej się kręciło, ale szła pewnie, jakby dokładnie wiedziała, dokąd ma dojść i co zrobić, i to było piękne.

„Stop, nie! Co ja robię? – z samego dna świadomości przebił się słaby głos rozsądku. – Co tutaj jest? Znow jakiś zwierz? Siło ziemskie, dopomóż mi!”

Pod Molly drżały kolana, w głowie jej się kręciło, uczennica Starszej musiała oprzeć się o chropowatą ścianę. Nie, nie, nie, coś jest nie tak, coś jest zupełnie nie tak!

„Walcz, Molly Blackwater”.

„Zwierzu, czy to ty?”

Milczenie. „Walcz, Molly Blackwater! Jak walczyłaś przez te wszystkie tygodnie i miesiące. Nie pozwól, żeby magia wysała twoją świadomość!”

Gdzieś na samej granicy widoczności migotały dziwne obrazy: fioletowe otchłanie, daleko-daleko, srebrzyste światło księżycy na powierzchni i poruszające się powoli ciała, rozmyte, niewyraźne... Płynęło od nich zło – uporczywe, pradawne. Zło, dla którego ludzie są jedynie irytującą przeszkodą w odwiecznym dziele. I ono... chciało czegoś od Molly. Studnia. Podejść do studni, jeszcze bliżej. Jeszcze bliżej i nachylić się... No tak, oczywiście. Gdzieś z przodu w tej ciemności kryje się studnia. I wystarczy zrobić jeden krok...

„Nie!” – krzyknęła głośno we własnych myślach i od razu: „Diana! Di! Do mnie!”.



Walczyła. Obiema rękami zaparła się o ścianę wąskiego korytarzyka, kolana jej się trzęsły. Nie mogła ruszyć się z miejsca, ani do przodu, ani do tyłu.

– Mrrr... miauu!

Kotka skoczyła jak puszysta błyskawica, w jednej chwili znalazła się na ramieniu Molly, przejechała jej pazurami po policzku. Dziewczynka krzyknęła na głos, ale hipnoza została przerwana. Molly zastygła, wbijając wzrok w atramentową czerń. Di syczała wściekle, owijając się wokół szyi Molly jak żywy kołnierz. Z góry płynęło słabe światło. A potem nagle zniknęło. W uchylonych drzwiach stała Starsza. Molly zacisnęła powieki. I nic więcej. Nie ma mnie tu, nie ma mnie tu, nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie... Schodki zaskrzypiały. Di zasyczała jeszcze wścieklej, zsuwając się z ramion Molly.

– Widzicie ją, jaka dzielna – rozległ się drwiący głos staruchy. – Pani swojej bronisz, tak? Zuch, bardzo jesteś dzielna.

Sucha, silna ręka spoczęła na karku Molly.

– Wystarczy już, dziewczynko. Zuch jesteś, żeś i tę próbę wytrzymała. Za to, że zakaz złamałaś, różgi dostaniesz, ale żeś się oparła, nie poddała, za to chwałę. No, no, ocknij się, spokojnie. Napij się, to ci pomoże.

Molly posłusznie napiła się i zakrztusiła, zaczęła kaszleć. Lekarstwo Starszej paliło bardziej niż najbardziej palący pieprz. Za to zawroty głowy ustąpiły od razu, kolana przestały się trząść, po całym ciele rozlało się ciepło. Wracały siły. Stara wiedźma pomogła wstać swojej młodej uczennicy. Molly otworzyła oczy. Starucha patrzyła na nią z uśmiechem, żółte kły lśniły w słabym świetle.

– No, moja miła, skoro zdołałaś zejść aż tutaj, skoro oparłaś się i nie poszłaś na zew, to chodźmy dalej, pokażę ci, co i jak. Widocznie przyszła pora, żebyś i to poznała, tak jak wcześniej ziemskiego Zwierza. No, chodźmy. Nie trzęśże się! Pasem dostaniesz, ale to potem, i już tylko tak, dla porządku. – Niespodziewanie mrugnęła do Molly. – Weź mnie za rękę i pójdziemy. Nie bój się.

Kroki, kroki, kroki. Światło za plecami zgasło, wokół panowała zupełna ciemność, było bardzo ciepło i szemrała woda, jakby strumień sączył się po kamieniach...

– Latarni zapalić się tutaj nie da, one nie lubią latarni – burknęła stara. – No, dawaj...

W rogach zapaliło się kilka czerwonych lamp i światło, głębokie, purpurowe, zalało niską rozległą piwnicę. Pośrodku widniało niezbyt wysokie ogrodzenie z dziwnego kamienia, za nim bulgotała woda, w okrągłym basenie pojawiały się

pęcherzyki, unosiła para.

– Tylko ręki tam nie pchaj – uprzedziła wiedźma, nadal szeptem. – Chyba że chcesz stracić palce. Bliżej stań, bliżej!

W purpurowym świetle powierzchnia wody wydawała się czarna. Zdawało się, że nie ma tam i nie może być dna, a czarna studnia dociera do nieznanych otchłani, gdzie płyną ogniste rzeki, te same, którymi trzeba będzie pokierować... Starsza zakradła się bezgłośnie. Nie podeszła, nie zbliżyła, ale właśnie jak zwierzę zakradła się do krawędzi basenu. Wsunęła rękę do pudła na podłodze i wrzuciła do wody coś suchego.

– Nie można im tego często dawać, to jak przysmak. Żeby wypłynęły, popatrzyły na ciebie... O, teraz, patrz! – rzuciła ostro Starsza, chociaż Molly i tak wytrzeszczała oczy.

Ciemna woda pozostała przez jakiś czas nieruchoma, jeśli nie liczyć pękających na powierzchni pęcherzy, a potem nagle Molly ostro, gwałtownie poczuła, że w głębi ktoś się poruszył, albo raczej że poruszyło się całe mnóstwo czegoś. Poruszyło i pomknęło ku powierzchni.

Woda zabulgotała jak wrzątek w kotle, po czym coś gładkiego, miękkiego, połyskliwego rozsunęło powierzchnię i na Molly popatrzyło duże – wielkości spodka – fioletowe nieruchome oko, otoczone zmarszczkami delikatnego różowego ciała. Molly szarpnęła się, ale palce Starszej boleśnie ścisnęły jej ramię.

– Nie ruszaj się! – wysyczała.

Istota przypominała wielkiego kalmara. Z wody powoli wyłoniła się para macek, usianych ssawkami, które ostrożnie wyciągnęły się ku twarzy Molly. Tylko dłoń Starszej, która naciskała ramię dziewczynki, zmusiła Molly do pozostania na miejscu. Miała ochotę piszczuć, bo fioletowe oko patrzyło na nią badawczo i w świadomości dziewczynki pojawiały się obrazy surowego, szalejącego morza, unoszących się fal i sunących w oddali statków, widzianych z powierzchni wody. Macka dotknęła policzka Molly.

Była zaskakująco ciepła i zupełnie nie śliska. Jej koniuszek ostrożnie dotknął nosa, czoła i ust dziewczynki, sięgnął do płatka ucha, a potem, jakby usatysfakcjonowana, macka wróciła do wody. Obok pierwszej istoty pojawiły się trzy inne, rytuał się powtórzył. Molly drżała, w jej oczach stanęły łzy. Te istoty były całkowicie, absolutnie obce. Chociaż mieszkały w domu Starszej, w żaden sposób nie dałoby się ich porównać z krowami, świniami czy kurami, nie mówiąc już o kotach czy psach.

Purpurowe światło gęstniało, istoty patrzyły na Molly, a ona czuła, jak zło wpełza z ciemnych kątów i rozlewa się w powietrzu: głód, gniew, żądza władzy i chęć pożerania wszystkich, którzy znajdą się na go drodze. Istoty z basenu-studni żyły dla wojny. Pozostać może tylko jeden, który dostanie wszystko. Ci, którzy staną na drodze, nieważne, kim oni będą, muszą zginąć. To proste.

Napór siły i zła, jak gorący wiatr, przelatujący nad wydmami. Okrągłe fioletowe oczy gapiły się na Molly i z każdego z nich wprost do jej świadomości płynęły obrazy: ciemne jaskinie w nieznanach otchłaniach, ogrzewane podziemnym ogniem, ciepłe wody w płytkich tarłach, purpurowe światło lejące się z góry i śliskie ciała, niemal zapełniające sobą całą przestrzeń. Pierwsze walki, pierwsze zwycięstwa i okrutna radość, gdy rozrywa się ciało wroga. Jest ich coraz mniej, ciągle rosną, a pojedynki, choć teraz rzadsze, stają się cięższe i bardziej zaciekle, a każde zwycięstwo okupione jest wysoką ceną. Zarastają blizny na ciałach. A potem słyszą wezwanie Pani i płyną do niej, i dostają od niej smaczne jedzenie, i ona uczy ich o nieznanach morzach, po których pływają złe stalowe okręty...

Molly krzyknęła i otrząsnęła się.

– A teraz wyciągnij do nich rękę – poleciała twardo Starsza.

– R-rękę...?

– Gdybyś miała im podać nogę, tak bym powiedziała! Rękę, mówię! To młode krakeny, nie lubią czekać!

Cztery młode krakeny z pluskiem dopłynęły do brzegu basenu. Starsza zmusiła Molly do zanurzenia palców w ciepłej wodzie – od razu dotknęło jej coś żywego, wijącego się i miękkiego, a potem przeciwnie, coś twardego i ostrego jak ptasi dziób. Ścisnęło lekko. Potem mocniej, jeszcze mocniej, aż Molly z trudem to wytrzymała.

– Nie ruszaj się – syczała stara wiedźma. – Jak się wystraszysz, poruszysz, zostaniesz bez ręki! Krakeny muszą cię uznać, rozumiesz?!

– Rozumiem...

– Trwaj! Wytrzymaj! I myśl, jakie są piękne i silne, one to bardzo lubią!

Molly trwała. A jej ręki, koniuszków palców dotykały nieznanne zoologom Królestwa stwory. Dotykały mackami i dziobami, na przemian muskając delikatnie albo ściskając z taką siłą, że rękę Molly aż do ramienia przeszywał ostry ból.

– Wytrzymaj!

Di ocierała się o nogi dziewczynki, pragnąc pomóc. I powoli, bardzo powoli zło zaczęło ustępować. Coraz więcej było teraz czego innego: sympatii,

zainteresowania, chęci zabawy...

– Dość – zarządziła w końcu starucha. – Czyste masz serce, Molly Blackwater, czyste i dobre. Tak z nimi teraz nie wolno. One mają walczyć, a nie się bawić...

– A czy one... czy właśnie tego chcą – walczyć? – Molly podniosła wzrok na swoją nauczycielkę.

I zamarła, ujrawszy jej grymas.

– Nikogo nie obchodzi, czego one chcą – wysyczała Starsza. – Mój ród, moja ziemia żądają, żeby walczyły – i będą walczyć! I ty, Molly Blackwater, w tym nie przeszkodzisz!

Starucha przysunęła się nagle, szczerząc zęby, oczy miała nalane krwią. Molly się cofnęła. Widziała już Starszą w różnych nastrojach: wesołą i smutną, zadowoloną i zagniewaną – ale w takim stanie nie widziała jej jeszcze nigdy. Molly poczuła na szyi gęsią skórę.

– Jak będzie trzeba, to ciebie wrzucę do studni albo w kotle uwarzę! – rzuciła na koniec Starsza, ze złością ciągnąc Molly za rękę. – Idziemy! Jeszcze ci się należy za nieposłuszeństwo!

\*\*\*

Molly faktycznie dostała pasem, ale szczerze mówiąc, prawie tego nie zauważyła. Wykrzywiona straszliwie twarz staruchy zastygła przed nią, jak utrwalona światłografem. Teraz już rozumiała, czego tak bardzo się bała nieulekła Wołka.

A Starsza zrobiła się bardzo miła. Przyniosła jakąś gęstą, ostro pachnącą maź, kazała Molly leżeć na brzuchu i się nie ruszać i sama zaczęła wcierać maść w te części ciała, które ucierpiały podczas lania. I kary, tak jak i śladów, jakby nigdy nie było. Molly spojrzała na nią ukradkiem; Starsza pochyliła się, jakby zawstydzona, brzękała flakonikami, nie patrząc w stronę uczennicy.

– No, jak tam, lepiej? – spytała w końcu.

Molly skinęła głową.

– No i tak to właśnie jest, dziewczynko... – westchnęła Starsza, kładąc Molly rękę na ramieniu. – Takie to sprawy, rozumiesz...

– Rozumiem – powiedziała po cichu Molly i nagle mocno objęła starą czarodziejkę.



– Słyszałem, że nasza panienka robi znaczne postępy...? Panno Mollynaird, bardzo proszę, druga z lewej, tak, tak, właśnie ta... No nie, to nie idzie, milady! Biję pani damę atutową szóstką!

– I skąd on je wyciąga, przecież nie ma rękawów! – Starsza przewróciła oczami.

Ona, Molly i lord William grali w karty. Gra zupełnie nie przypominała brydża, który wchodził w spis obowiązkowych umiejętności dziewczynek z dobrych domów. Tutaj chodziło o zebranie kombinacji wartości i kolorów, przy czym należało zwabić rywala w pułapkę i przejąć jego karty. Był też kolor atu. Z boku wyglądało to dość komicznie. Lord nie miał przecież nie tylko rękawów, ale nawet rąk. Molly, mianowana asystentką generała, pokazywała mu wskazane przez niego karty, starannie odwracając wzrok. Trzeba przyznać, że lord William miał doskonałą pamięć, świetnie wiedział, jakie karty ma „w ręku”.

– Co my tu mamy...? Oo, milady, pani dama jest teraz w szeregach moich atakujących! Jak się to pani podoba?

Lord William wyraźnie odbijał sobie przy kartach klęskę na polu bitwy i stratę ciała. Starsza zacisnęła usta.

– No, panno Mollynaird, naprawdę nie pomożesz starej kobiecie?

– Milady! – Oburzony lord uniósł brwi. – Zasady gry stanowczo zabraniają zawierania aliansów! Sama mnie pani tego uczyła!

– Ja coś takiego mówiłam? – zdumiała się obłudnie Starsza. – Nie pamiętam... No, Molly, dawaj, masz tam przecież atutowego waleta!

– Milady! Wykorzystanie swoich, hm, wyższych umiejętności, żeby...

– Ach, niechże pan da spokój, mój drogi. Co innego pozostaje samotnej, starej, schorowanej kobiecie, gdy tak pięknie odpiera pan wszystkie moje ataki?

– Z godnością przyjąć przegraną! – odpowiedziała dumnie głowa dzielnego

generała. – Zbadać przyczyny, wyciągnąć wnioski, zastanowić się nad taktyką i strategią...

– No, ale po naszymu, po wiedźmowemu... – Starsza się uśmiechnęła. – Molly! Twój ruch.

Molly zerknęła to na starą czarownicę, to na czcigodnego lorda i przyłapywała się na myśli, jak bardzo do nich przywykła, choć spędziła tu w sumie niewiele czasu. Że już dawno nie dziwi ją żywa głowa, oddzielona od ciała, a „brzozowa kasza”, zawsze zasłużona, nie jest już niczym strasznym. Nawet niedawne spotkanie z krakenami i wybuch starej nauczycielki też ułożyły się jej w świadomości.

I ciepłe światło świec, i Di zwinięta na kolanach, i kot Starszej, Wasilij, który bardzo Molly polubił za głaskanie i drapanie pod brodą i za uszami – to wszystko razem nagle sprawiło, że wspomnienia o nordjorskim domu wróciły z taką siłą, że Molly musiała zacisnąć zęby. To ciągle powracało. I jej ukochana lalka Maggie, leżąca na dnie komody, którą Molly czasem wyjmowała potajemnie, chociaż „w twoim wieku, moja panno, czas zająć się poważniejszymi sprawami!”. I braciszek, i jego rozrzucone zabawki, guwernantka Jessica, Fanny, tata, mama... Wszyscy razem przy stole, bożonarodzeniowy obiad z pieczoną gęsią, ziemniaczkami i nieodzownym rodzynkowym puddingiem na deser. Mmm...! Pudding! Tak bardzo za nim tęskniła! Tu, u Rooskies, jedzenie jest całkiem dobre, nie ma co mówić, ale puddingu nie mają...

Wrócę, postanowiła. Na pewno wrócę. Tutaj, za Karn Dredem, są wielkie tajemnice i straszliwe sekrety, ale tam został mój dom. Z rodzicami. Wszystko im wyjaśnię, wszystko wyjaśnię, a oni zrozumieją, muszą zrozumieć... Di nagle gwałtownie uniosła głowę, nastawiła uszu. Wasilij od razu przyjął postawę bojową, Starsza zamarła, karty zadrżały lekko w jej pomarszczonych palcach.

– Wieści przyszły – powiedziała nagle starucha spokojnym głosem. – Wybacz, mój drogi lodzie, musimy zrobić przerwę. Tę partię wygrałeś, nie ma co, i zrobię pierożki, jak obiecałam. – Wiedźma próbowała się uśmiechnąć, ale Molly po raz pierwszy zobaczyła, że wargi potężnej czarodziejki drżą tak samo jak palce.

– Wieści? – spłoszył się lord William. – Jakie wieści?

– Zaraz wrócę. – Wiedźma wstała gwałtownie. – Molly, posprzątaj tutaj tymczasem.

– Co się stało, panienko? – Gdy za starą czarownicą zamknęły się drzwi, lord zasypał dziewczynę pytaniami. – Milady to niezwykła, ale bardzo, bardzo zagadkowa dama!

– Nie wiem, lordzie Williamie. Odkąd tu jestem, nigdy nie zdarzyło się coś takiego.

– Mmm, czy to nie będzie zbyt natrętne i nieuprzejme z mojej strony, jeśli poproszę panienkę, żeby podzieliła się ze mną wiadomościami, jeśli czegoś się dowie?

– Absolutnie nie, lordzie Wiliamie. – Molly krzątała się po pokoju, chowając pudełeczka z kartami, kredą, odstawiając tabliczkę, odsuwając krzesła i odjeżdżając pod ścianę ze stolikiem lorda.

Słyszała, choć nie uszami, dziwne dźwięki na zewnątrz. Trzepot ogromnych skrzydeł, zgrzyt pazurów obejmujących poręcz, niewyraźny głos Starszej... A potem znowu szum, jakby gigantyczny ptak wystartował z ganku, gwałtownie nabierając wysokości.

– Co tam, co tam? Co pani słyszy, panno Molly? – Lord płonął z niecierpliwości.

– Molly! – Drzwi otworzyły się, Starsza stanęła w progu, jej oczy były drapieźnie zmrużone. – Chodź do mnie, natychmiast.

– Milady...

– Zaczekaj chwilę, Willie. – I Starsza szczelnie zamknęła drzwi za Molly.

– Wieści przysły – powiedziała szeptem wiedźma, łapiąc Molly za ramię zakrzywionymi palcami. – Nie ma czasu. Królestwo atakuje, napiera wielkimi siłami. Mają parowe pełzacze, maszyny kroczące i jeszcze inne nieznanne mi maszyny. Idą za przełęcz, a podziemny ogień burzy się coraz bardziej.

W środku Molly coś się oberwało. Królestwo idzie na północ... Podziemny ogień...

– Wyjeżdżamy, natychmiast. Czego zdołałam, tego cię nauczyłam. Tam, przy ognistych żyłach, bez nas nie dadzą rady. I z Królestwem też sobie nie poradzą.

– Ale proszę pani... Młodsza i Średnia, pani siostry, są przecież tak potężne...

Starsza się skrzywiła.

– One się boją prawdziwego czarodziejstwa, moje dziecko, nawet Młodsza. Niby walczy, bije się, ryzykuje, przemienia w niedźwiedzicę, cały Korpus Górski przed nią drży i straszne bajki opowiada, ale żeby zejść głębiej, na to jej nie wystarcza śmiałości... ani wiedzy.

– Dlaczego? Ja... ja pamiętam, tam gdzie były pełzacze... przecież je spaliłam! Dlaczego Młodsza albo Średnia tak nie mogą? Ja wiem, mówiły mi, że każdy ma

swoją granicę... i o echu mówiły, chociaż nie zrozumiałam wtedy, o co chodzi.

Starsza przez kilka chwil patrzyła Molly prosto w oczy, głębokim nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Nie zdążyłyśmy jeszcze tego przerobić, moja kochana – powiedziała starucha z nagłą tkliwością. – Nie zdążyłyśmy... na razie tylko po kostki do wody weszłaś, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Magia ma swoją cenę. Zwłaszcza gdy tak jak ty... od razu, wielu...

Starsza spuściła głowę, westchnęła ciężko.

– Wszystko na tym świecie ma swoją cenę, nawet para i stalowe potwory Królestwa: zniszczona ziemia, wycięte lasy, coraz płytsze rzeki, wysychające jeziora. Zatrute powietrze, którym ciężko oddychać, nieznanne wcześniej choroby. Magia również ma swoją cenę. Wielkiej sztuki potrzeba, żeby ją nakierować, a nie wyczerpać. Ale teraz o tym nie myśl, teraz trzeba wulkan uspokoić, za bardzo się nam rozhulał.

Molly stała oszołomiona. Słowa starej cięły uszy jak fabryczne gwizdki Nord Jorku. Tak, mówiły o tym i Młodsza, i Średnia, mówiły o cenie magii, o echu... A więc to wszystko nie jest takie proste? A więc Departament Specjalny miał rację?

Wulkan...

Czarodziejka podeszła do niej, ujęła za podbródek, żeby dziewczynka spojrzała jej w oczy.

– Za wcześnie dla ciebie, moja miła, żeby o wszystkim wiedzieć – powiedziała cicho. – Ale nie bój się, to wszystko, cośmy tutaj robiły, cała twoja nauka, to właśnie nakierowanie. To tak, jakby strumień wody puścić innym korytem, ale nie zabagnić, wydrenować do sucha. I poniżej progu, o którym ci Młodsza opowiadała, jeśli go nie przestąpisz, twoja magia nikogo nie spali, nikomu krzywdy nie robi. Tego nie musisz się bać, Molly.

– To czego się bać, proszę pani?

– Że skończysz jak tamten wąsacz – rzuciła ze złością wiedźma. – Że nie opanujesz sił, że twoja magia wyrwie się i rozniesie wszystko dookoła. Moje siostry nie na próżno wspominały o echu. Wspominały, wspominały, a w czym rzecz, w końcu nie wyjaśniły. A przecież, jak nie umiesz rozwiać echa, to z twoich czarów może być więcej szkody niż pożytku.

– Proszę pani! A wtedy, tamte pełzacze...

Wiedźma sarknęła z irytacją.



– Aleś się uwzięła, dziewczyno... Narobiło nieszczęścia twoje echo, co prawda, to prawda, kłamać ci nie chcę i nie będę. Zbyt potężna była twoja magia, zbyt dzika i nieokiełznana. Krzyczałam do ciebie wtedy, pamiętasz? Próbowałam pomóc... Ale tamtego dnia nie można było inaczej i chwała niebu wysokiemu, żeś tam wtedy była... Nie porwałaby się Średnia na coś takiego, nawet gdyby wiedziała jak. Co tam Średnia, nawet moja młodsza siostra by się nie porwała. Gdyby było inaczej, to myślisz, że na południe od Karn Dredu jeździłyby pociągi pancerne? Dlaczego to nie my jesteśmy w Nord Jorku, tylko Królestwo tutaj, wdarło się do nas i prze coraz dalej i dalej? Dlaczego Młodsza biega jako niedźwiedzica? – Głos Starszej ciął jak nóż. – Ech... – Urwała nagle, złagodniała – krótko mówiąc, panno Blackwater, sprawy źle się mają. Ledwoś liznęła nauki, a już trzeba cię rzucić w piekło. Ale jeśli teraz nie uspokoimy wulkanu, to wszyscy tutaj zginiemy bez pomocy Królestwa.

– Ale... ale... – Molly próbowała wciągnąć jak najwięcej powietrza, jakby wynurzając się z dużej głębokości. – Ale czy ja dam radę...?

W oczach ją zaszczypało. Kolana drżały.

– Dasz, dziewczyno. – Starsza uśmiechnęła się i objęła Molly, mocno przyciskając do siebie. – Dasz. Ja też miałam tyle lat, co ty, gdy musiałam... ten sam wulkan uciszać.

Molly otworzyła usta. No tak, przecież Średnia o tym mówiła! To było jeszcze przed urodzeniem się ich młodszej siostry...

– I stara Wierieja też tak ze mną stała, jak ja z tobą stoję – mówiła cicho czarodziejka. – Stała i obejmowała, i dobre słowa mówiła, że dam radę, wytrzymam, nie zawiodę... Nie myślałam nigdy, że dostanie mi się uczennica z Królestwa... Ale to nic, przynajmniej nie na darmo uczyłam się waszego języka, teraz mam jak znalazł! – Uśmiechnęła się. – Przydał się nie tylko do pogawędek z naszym lordem Williamem. Pakuj się, dziecko. A kotkę swoją...

– Mrr... miau! – Diana wyrosła spod nóg Molly: ogon naprężony, uszy na sztorc, oczy płonące zielenią.

– ...możesz wziąć ze sobą – dokończyła Starsza, wyraźnie inaczej, niż zamierzała.

– A co z lordem Williamem?

Starsza się uśmiechnęła.

– Nic mu nie będzie, najwyżej trochę się ponudzi. Wasilij dotrzyma mu towarzystwa. Jest jeszcze *domowej*, po waszemu *brownie*. Dla lorda Williama to

nie pierwszozna. Zbieraj się! Nie trać czasu, jeszcze przed nocą ruszamy. Umiesz jeździć konno?

\*\*\*

Wyruszyły na dwóch kucach, które truchtały sennie po ledwo widocznej ścieżce. Molly mogłaby przysiąc, że ścieżka za ich plecami natychmiast zwija się, niczym nitka, nie zostawiając za sobą śladu.

Kotka siedziała u Molly za pazuchą, wystawiając tylko wąsaty pyszczek.

Noc przykryła ich czarnym płaszczem, w górze jaśniały ostre, kłujące gwiazdy, przed Starszą płonął błękitny płomyk, oświetlając drogę. Kucyk Molly prawie nie potrzebował prowadzenia, jechał sobie spokojnie za starą czarownicą.

Było cicho, bezwietrznie. Obok nich mroczna ściana pradawnego lasu, którego drzewa wydawały się wieczne, chociaż Molly wiedziała, że nawet tysiącletnie giganty nie oprą się napędzanym parą stalowym potworom Królestwa. Zatrzyma je. Zatrzyma. Ona, Mollynaird Evergreen Blackwater, dobrze wychowana panienska z porządnej rodziny. Molly z Nord Jorku. Poddana Jej Wysokości.

Będzie walczyć przeciwko Królestwu, przeciwko swoim. Przeciwno ojcom jej przyjaciół, takich samych chłopaków jak Sam czy Billy. I wielu innych dzieci, które czekają na powrót swoich ojców i mogą się nie doczekać...

Czemu do Molly dotarło to właśnie teraz? Przecież nie wahała się, gdy niszczyła maszyny Królestwa tam, przed szpitalem Średniej. Wiedziała, że inaczej się nie da, że albo te stalowe potwory, prowadzone przez żołnierzy Jej Wysokości, albo... albo ona, Molly. „Wiedźma! Zabić wiedźmę!” Nie zapomniła.

Wojna musi się skończyć, pomyślała ze złością. Nikt nie powinien do nikogo strzelać! Królestwu powinno wystarczyć to, co ma. Rooskie polegna, ale nie przepuszczą Korpusu Górskiego na północ, co do tego Molly nie miała wątpliwości. I Korpus Górski polegnie również. I co stanie się potem? W opustoszałym, bezludnym Nord Jorku wylądują ponure oddziały barbarzyńców? Nie, nie, nie, tę wojnę trzeba zakończyć! Bardzo dobra myśl, tylko jak?

Tak czy inaczej, nie wolno jej ani pograżać się w tęsknocie za domem, ani martwić tym, że stanęła „przeciwko swoim”. Jeśli pomoże zakończyć wojnę, uratuje wielu ludzi, co do tego nie było wątpliwości. Rooskie nie rozerwą pociski Królestwa, a żołnierzy Jej Wysokości nie rozszarpia kły i pazury Młodszej. I Wołki. I... jego. Molly poczuła, że się czerwieni. No nie, tak być nie może! Czy dobrze wychowana panienska może się tak czerwienić na samą myśl o chłopcu? I

panna Mollynaird Evergreen Blackwater szybko ukryła twarz w ciepłym szalu, podciągając go pod same oczy.

\*\*\*

Starsza prowadziła na północny wschód, zostawiając z tyłu góry Karn Dredu. Oddalały się od przełęczy, przez którą szły na północ oddziały Królestwa. Molly nie mogła teraz myśleć ani o domu, ani o przyjaciółach, ani nawet o rodzinie. Myślała o czarnej otchłani Ziemi, gdzie leżał Zwierz, czekając na jej pomoc. Boli go, kosmate boki pali rozbuchany podziemny płomień, którego nie sposób ugasić wodą.

Ze starszą spędziły w drodze całą noc, nad ranem, gdy Molly ledwo trzymała się w siodle, wyjechały z lasów na szeroką drogę. Tworzyło ją koryto zamrożonej ziemi, gładkiej, równej, przysypanej śniegiem. Po niej ludzie jeździli teraz saniami. Starszą wszyscy tu znali, zdejmowali przed nią czapki, kłaniali się. Na Molly zerkali głównie chłopcy i dziewczynki – jak się jej wydawało, z palącą zazdrością.

Saniami jechały głównie dzieci. I Molly zrozumiała dlaczego.

– Odciągają je od wojny – rzuciła półgłosem Starsza. – Żle się tam dzieje, moja miła. Nie damy rady, nie powstrzymamy wroga, supostata[50]... Nie będzie wkrótce dokąd uciekać, nie będzie. I nie będzie po co. *Pod jarmom*, w niewoli, żyć nie umiemy. Widzisz, że tu same maluchy? Twój rówieśnicy już walczą, Molly.

– Jak walczą? – spytała bezmyślnie Molly. Chociaż czemu się tutaj dziwić? Billy też walczył, Sam również.

– Jak mogą. Wody podać wojownikowi to też pomoc. – Starsza nie patrzyła na Molly. Przed nimi, tam, dokąd jechały, władczo rozsuwając chmury, wznosiła się wielka czarna góra. Samotnie wznosiła się nad tajgą, dziwnie nie pasując do otoczenia, wydając się kaprysem nieznanymi sił. Nawet stąd czarny gigant budził irracjonalny strach.

Wreszcie, gdy Molly już niemal spadła z siodła, Starsza zatrzymała się na pierwszy postój. Zatrzymały się również sanie, zaprzęgnięte w dwa takie same koniki jak ten Molly. Niemłoda kobieta w chustce i nieodłącznej *touloupe* uśmiechnęła się niewesoło do Molly. W saniach na tobołkach siedziały dwie dziewczynki, cztero-, może pięcioletnie. One też się uśmiechnęły i ochoczo zrobiły miejsce. Molly położyła głowę na czymś miękkim, poczuła, że narzucono na nią coś futrzanego i od razu zapadła w sen. Starsza została w siodle.

\*\*\*

Po dniu nastąpiła noc, po niej dzień. Czarna góra zbliżała się, rosła, zasłaniając teraz pół nieba. Nad szczytem wisiał dym, wiatr porywał jego kłęby, zabierał precz, jakby nie chcąc straszyć ludzi niepotrzebnie.

Rzeka rozszerzała się, przyjmując w siebie dopływy, na jej brzegach pozostawały wsie i niewielkie miasta, ale Starsza nigdzie się nie zatrzymywała, tylko zmieniała konie. Molly w ogóle nie rozumiała, kiedy jej nauczycielka śpi i czy w ogóle śpi?

Jadły w pośpiechu zimny prowiant, zapominając o ciepłej strawie. Molly spała, nie rozbierając się, pod gołym niebem, przykryta ciężkim futrem, jednak ani nie zmarzła, ani sobie nic nie odmroziła, nawet się nie przeziębila. Zima i mróz były tutaj inne niż w Nord Jorku.

A potem droga skończyła się – gdy czarna góra zasłoniła już niemal całe niebo.

– Koniec – westchnęła Starsza. Trzymała Molly za rękę i obie zastygły, zadartszy głowy, patrzyły na szczyt plujący dymem.

Góra była zupełnie czarna i naga. Na zboczach nie rosło nic, lasy nie wspinały się w górę, zupełnie jakby ucięto je u podnóża szczytu. Wokół wulkanu rozłożyło się wiele osad, Rooskies mieli tutaj kopalnie, ale, jak wyjaśniła Starsza, na znacznie mniejszą skalę niż wokół Nord Jorku.

Już na nie czekano. Zebrali się starcy i staruchy, pomarszczeni, ponurzy, milczący. Starszą powitali, ale nikt się nie kłaniał. Nikt też nie odważył się zastąpić jej drogi. Na Molly starano się nie patrzeć. Zresztą, ona też na nich nie patrzyła. Starsza nie odstępowała Molly ani na krok i mówiła tylko o tym, co je tu czeka – nie o tym, co się dzieje na froncie, nie o tym, czy Tańka i Wsiesław jeszcze żyją, ale o tym, co będzie musiała zrobić sama Molly. I uparcie unikała wszelkich pytań panny Blackwater o cenę magii.

– Rób swoje, moja miła. Klucz i kłódka, pamiętasz?

– Pamiętam, proszę pani. Ale co z...

– Wezmę na siebie twoją cenę – warknęła stara wiedźma. – Ty tylko wykonaj swoją pracę!

Molly nie zostawała sama nawet na chwilę. I zdaje się, że Starsza robiła coś jeszcze, bo dziewczynka prawie nie widziała, co dzieje się wokół niej. Pokoik w jakimś domku, drewniane ściany, tkane ręcznie dywaniki, szczelnie zamknięte okiennice. I Starsza, tuż przed nią. Trzyma ją za ręce i patrzy prosto w oczy.

– Ciepło na dłoni! – komenderuje. – W koniuszkach palców! Dopiero by się

Średnia ucieszyła, jej ścieżkami idziemy...

Siła słucha jej teraz znacznie chętniej. To tak jak z nauką jazdy konnej, niby nic nie robisz, a w siodle trzymasz się coraz lepiej. Albo jak z rysunkiem czy haftem. Co się zmieniło? Jak zmuszasz palce, żeby się poruszały?

– Ogień! Do mnie! – mówi Starsza, a płomień posłusznie przecieka z palców Molly w palce wiedźmy.

Przez kilka chwil Molly czuje dziwną pustkę, która wkrótce zapełnia się, jakby wlewał się w nią niewidzialny, ale potężny, grzmiący strumień. Po rękach, ramionach, szyi rozpływa się przyjemne ciepło... Molly ma wrażenie, że ściana za plecami Starszej znika i tam, w szarym mroku, wyrasta długi łańcuch ludzi – to ci czarownicy i wiedźmy, którzy zebrali się tu, żeby uśmierzyć podziemny ogień.

Co prawda, Molly nie widziała jeszcze, jak ten ogień może być niebezpieczny – w okolicy nie ma śladów pożaru, nie ma dymiących się zapadlin. Ale wystarczy, by jej wzrok zsunął się trochę głębiej, przez rozsuwające się płyty ziemi, żeby zobaczyła podziemne kawerny, wypełnione szalejącym płomieniem. To, co powinno płynąć ognistymi żyłami do podgórszych źródeł, grzać wodę, dawać ludziom darmowe ciepło, wzburzyło się. Płomień pcha się do góry, niezłomne sklepienia jaskiń jeszcze się trzymają, ale po kamieniach biegną już zdradzieckie szczeliny.

Parują, dymią, kopcą pęknięcia w zboczach czarnej góry. Och, ileż by tu można było zasilić ogromnych maszyn! Ileż pary się tu marnuje!

Ależ bym się tu rozwinęła, pomyślała przelotnie Molly. Generatory na naturalnym ciepłe, parociągi, a potem – rób, co chcesz! Zmuszasz parę do pracy, do orania ziemi, przecież w Królestwie już pracowano nad parowymi traktorami bezkołowymi, do których dostarczano parę rurami, i dlatego były lekkie i zwrotne; Molly czytała o tym w „Mechanice Popularnej”. Rzecz jasna, wymaga to specjalnych pól i wielkiej lokomobili z potężnym generatorem pary, ale to już kwestia trzeciorzędna. Jak będzie para, tłok się znajdzie!

Potem Starsza zaprowadziła ją do samej góry i jeszcze dalej, do gorących jaskiń u jej podnóża. Inni czarodzieje szli za nimi jak milcząca świta, nic nie mówili, tylko nieprzyjaźnie zerkali na Molly.

– Nie zwracaj na nich uwagi – syczała stara czarownica. – Zazdroszczą ci. To nie ich wnuki i wnuczki, siostrzeńcy czy siostrzenice staną w łańcuchu, i to nie tylko staną, ale i go zamkną. Nie mogą się z tym pogodzić, że jesteś z Królestwa, że rozmawiam z tobą w niezrozumiałym dla nich języku. Ale ty nie myśl zupełnie. Jesteś ze mną, a oni, jeśli się czegoś boją, to mnie. Wiedzą, że jakby co, mogę

każdego z nich, do siebie, na stół... I tyle go będą widzieli!

– Każdego, proszę pani? – Molly odprowadziła wzrokiem starca z krzaczastymi brwiami, który pogardliwie zacisnął usta.

– Każdego! – oznajmiła z fantazją. – Za cienką mają kiszkę, żeby przeciwko mnie stawać[51]!

– Ee, za cienką kiszkę? – osłupiała Molly.

– No, są za ciency w uszach! No, że cieniasy! – rzuciła Starsza ze śmiechem i tak spojrzała na starca z brwiami, że ten od razu się speszył, zakasłał i odwrócił, udając żywe zainteresowanie unoszącymi się nad górą kłębamii dymu.

– No więc właśnie – mruknęła Starsza z wyraźnym zadowoleniem.

Ale te zabawne przerywniki gasły i bladły przy tym, co Molly miała zrobić.

Góra była chora; Molly nie na darmo była córką doktora medycyny, nie na darmo kręciła się przy jego gabinecie, gdy przyjmował chorych. Szybko nauczyła się słuchać, przykładając szklankę do ściany. Nie żeby aż tak zajmowała ją medycyna, co to, to nie, po prostu strasznie ciekawiło ją, o czym tam rozmawiają dorośli!

Ogniovi było za ciasno w wąskich kamiennych żyłach. Rwał się na wolność, bo z dołu, z głębin, napierał na niego płomień jeszcze bardziej gorący, bardziej żarłoczny. Kipią i wyparowują podziemne strumienie i jeziora, para szuka drogi na górę. Otwierają się, nie wytrzymując nacisku, szczeliny i pęknięcia, ale nie dość szybko i jest ich zbyt mało. Ktoś przed wiekami umocnił je tak, że wytrzymają jeszcze bardzo, bardzo dużo. Teraz to nawet gorzej, bo gdy w końcu nie wytrzymają, wybuch będzie taki, że faktycznie nie będzie o co walczyć na północ od Karn Dredu.

Starsza prowadziła Molly wzdłuż ognistych żył i arterii. Siadały naprzeciw siebie i pod powiekami Molly powoli rozwijały się obrazy rodem z atlasu anatomicznego, który ona, wstrzymując oddech, przeglądała potajemnie w gabinecie taty. Siatka ognistych naczyń rozciągająca się w promieniu wielu lig. Zbiorniki, w których szalał podziemny ogień. Błękitne koryta podziemnych rzek. Miejsce, gdzie woda spotykała się z podgórskim żarem. I wąska, niemal zawałona kamieniami gardziel wulkanu, czarny wylot – właśnie, czemu po prostu go nie oczyścili? Przecież wtedy wybuchu nie będzie, po prostu wyleje się lava – jeśli wszystko dobrze pamięta z lekcji przyrody i książki *Co jest w środku wulkanu?*

Starsza wysłuchiwała jej i pokręciła głową.

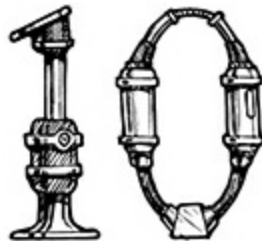
– Katastrofa albo Kataklyzm nie były czymś zwyczajnym. Co to było, tego do tej

pory żaden nasz mag ani wasz uczony nie potrafi wyjaśnić. Mądrych słów użyli aż za dużo, a pożytek z nich żaden. To nie jest zwykły wulkan, nie da się zrobić w nim dziury. To, co daje siłę, to, od czego my, wiedźmy, żyjemy, jest zaciągnięte na supeł, a sama wiesz, co się dzieje, jak się sznurki zaplącze, jak się żyły rzemieniem ściągnie – wtedy ręka albo noga umiera. A u nas nie tyle umrze, co wybuchnie! Twoje zadanie, dziecko, to zamknąć łańcuch. I tym łańcuchem my, pozostałe wiedźmy i inni czarodzieje, zator rozpuścimy, żeby ogień znów płynął tak, jak powinien, jak ustalili to ci, którzy pierwsze pęta na niego nakładali. Jak ja sama ustalałam, tak samo jak ty, stojąc w łańcuchu, kłódką go zamykając. I tak samo się trzęsłam, a Wierieja, stara cholera, jeszcze mnie za to sprąła pod wieczór. Wiedźmy, mówiła, nie trzęsą się jak osikowy liść! A wiadomo, że nie ma lepszego sposobu na młodą wiedźmę niż dobre lanie. A teraz ja – Starsza uśmiechnęła się pod nosem – sama jestem starą cholera, jedną nogą w grobie, i ciebie uczę. I muszę ci powiedzieć, że mam bardzo, bardzo wielką ochotę pójść za przykładem starej Wieriei!

Głos wiedźmy zrobił się niby groźny, ale oczy „starej cholery” patrzyły z uśmiechem i Molly nieśmiało uśmiechnęła się do niej.

– Wszystko będzie dobrze. – Starsza pogładziła dziewczynkę po włosach. – Wszystko sobie rozpisać, wszystko przewidzieć, wszystko mieć, tak się nie da. Zresztą, nie trzeba. Jak zaczniesz gorączkowo w pamięci szukać, próbować sobie przypomnieć, to tylko siebie z tropu zbijesz i jeszcze czas stracisz. Magia sama nieść cię powinna i ty sama powinnaś widzieć, gdzie połączenie jest za słabe, gdzie je wzmocnić trzeba. A teraz kładź się spać, bo...

– *Utro wieczera mudrienieje* – podpowiedziała usłudźnie Molly.



Była mroźna zimowa noc i wiatr wył nad zagubionymi wśród bezkresnych lasów dachami. Molly leżała z nosem w poduszce i odrzuconą kołdrą. Była mokra jak mysz. I trzęsa się ze strachu. Dzisiaj, Molly Blackwater. Dzisiaj. Staniesz w łańcuchu i zamkniesz go. Albo nie. No cóż, wtedy koniec będzie bardzo szybki. Tylko strasznie bolesny. Di również nie spała, lecz nie miauczała, leżała w ciszy, tylko czasem, jak pies, lizała palce Molly szorstkim języczkiem.

Noc była głucha, ale nie milcząca. Zaczną obrządek, gdy gwiazdy zajmą odpowiednie pozycje – jakie konkretnie, tego Molly nie pamiętała. To nie jej sprawa, ona ma tylko zamknąć łańcuch. Ona, nowoczesna dziewczyna, która czytała od deski do deski każdy numer „Mechaniki Popularnej”, która kreśliła niszcyciele i monitory, teraz będzie sterować zagadkową magią, śmiertelnie niebezpieczną, a w dodatku zupełnie niezrozumiałą!

Magią, której nie sposób nanieść na szkice, rozłożyć na czynniki pierwsze jak trójmian kwadratowy (pod warunkiem, rzecz jasna, że jego wyróżnik jest większy od zera lub mu równy). Magia, która mówi: „Łokieć na stół! Dłoń otworzyć! Ciepło w palcach...!”.

– Już czas, moja miła.

Starsza pochyliła się nad łóżkiem. Nie-nie-nie, ja nie mogę, boję się, nie zdołam, nie, nie... Niewidoczne ręce uniosły ją nad materacem. Starsza zastygła w proggu.

– Co, nogi cię nie chcą słuchać? – spytała ze współczuciem. – Mnie też nie chciały. Wtedy Wierieja wylała na mnie wiadro zimnej wody. Co z niej była za ścierwo... a do tego zła jak głodny wilk. A wieczorem mnie jeszcze sprąła. No, ale o tym ci już mówiłam... No, wstawaj, córeczko, wstawaj! Nastal nasz czas, czas wiedźm. – Uśmiechnęła się nagle, pokazując żółte zęby. – Chodźmy. Góra czeka.

Molly nie pamiętała, jak się ubrała, jak doszła do gardzieli znajomej już jaskini. Zimowa noc była pusta i pozbawiona życia. Ani jednego światła, tylko wycie



wichru i twardy śnieg, chłostający twarz. Gdzie inni czarodzieje?

– Wszyscy są już w środku, moja miła. Oni robią swoją robotę, a my swoją. Nie myśl o nich, o mnie też nie. Ty masz zrobić tylko jedną rzecz: zamknąć i utrzymać łańcuch, a cała reszta to już nie twój problem. Nawet gdyby rozdarło mnie na pół, gdyby sam Zwierz Ziemi po mnie przyszedł, ty rób swoją robotę, swoją i nic więcej!

Starsza stanęła, położyła pomarszczone dłonie na ramionach dziewczynki. Zajrzała jej w oczy.

– Dobra jesteś, Mollynaird Evergreen Blackwater z Nord Jorku. Wspaniała wiedźma by z ciebie wyszła i niemało głów by na twoim częstokole siedziało. Nawet marzyć nie mogłabym o takiej uczennicy, jak ty. Obejmijmy się teraz. I siądźmy – *na dorożku*[52]. Dalej już pójdziesz sama, ja zostanę tutaj.

– Dlaczego mamy usiąść? I co, na ścieżce?

Starsza się uśmiechnęła.

– Potem wyjaśnię. Żegnaj, Molly *Czarna Woda*[53], nie wspominaj mnie źle, gdyby coś...

– Proszę pani...

– Idź! – Wiedźma ostro trąciła Molly w ramię. – Jeszcze by tego brakowało, żebyśmy się spóźniły przez jakieś tam rozstania i korowody! Idź! I nie odwracaj się, pod żadnym pozorem!

I Molly poszła. Za jej plecami rozległ się głośny syk, potem szelest, jakby setki tysięcy żmij w jednej chwili zaczęły sunąć po piasku. Nie odwracaj się, Molly Blackwater, nie odwracaj się... Jaskinię oświetlał słabo purpurowy podziemny płomień, płynący z głębin. Molly już tutaj przychodziła, szła tym przejściem, pochyło zmierzającym w stronę wnętrza wulkanu. Szło się niedługo. Aż do przecięcia ognistych strumieni, do kamiennego mostku, na którym będzie musiała stanąć... i już się z niego nie ruszać.

Oto i on. Wejście do jaskini zniknęło za zakrętem, została tam Starsza, nie pozwalając na siebie spojrzeć. Gdzieś z przodu byli inni czarodzieje i czarodziejki. Ona, Molly jest sama. Sama jedna na groźny, ogromny wulkan. Już. Jest na miejscu.

Korytarz przed nią rozwidla się. Miejsce było zupełnie niepozorne, czarny kamień ścian, lekko wibrująca podłoga... Molly westchnęła. I zaczęła zdejmować buty. Między nią a kamieniem, który spoczął nad ognistymi strugami, nie powinno być absolutnie nic. Ej, gorąco! Przynajmniej w pierwszej chwili, generalnie można

wytrzymać.

Molly wyjęła z kieszeni czarną jedwabną wstęgę i zawiązała nią sobie oczy. Tylko by przeszkadzały, musi patrzeć inaczej. Już, zawiązane. Co dalej? Rozpuścić włosy... i nie może na niej być nic z kutego żelaza, tylko długa koszula z twardej, szorstkiej tkaniny. Molly stoi bosą, z przewiazanymi oczami, przestępuje z nogi na nogę. Och, jakże drwiłaby z niej ta podła Kate Middleton! Nie, nie, nie, zapomnij o niej, zapomnij o tamtym życiu!

*Czarna Woda*, powiedziała Starsza. Tak, tak można by przetłumaczyć jej nazwisko. Czarna woda, bezdenna, która wszystko przyjmuje i wszystko przykrywa. Czarna woda, w której głębiach pływają tajemnicze krakeny. Woda, przesycona magią, siłą, „polem”, jak powiedziałby pewnie ich nauczyciel przyrodoznawstwa, pan Predding. Polem, lasem, łąką czy morską głębią.

Molly oddychała głęboko i spokojnie. Stopy przestały czuć ciepło kamienia; to dobrze, wszystko idzie tak, jak powinno. Ręka na łokieć, otworzyć dłoń. Ciepło w koniuszkach palców. Czujesz siłę? Wypuść ją na wolność, Molly! Wszyscy ci starzy czarodzieje czekają tylko na ciebie. Powoli rozłożyła zaciśnięte kurczowo palce i Żar-Ptak wesóło machnął skrzydłami tuż przed nią. Tu był w swoim żywiole, tu nie wyrządzi nikomu krzywdy.

I posłuży, prócz całej reszty, za sygnał pozostałego łańcucha.

Dokładnie tak: pod powiekami Molly pospiesznie rozwijał się przekrój czarnej góry. Głęboko pod nią biegną wąskie przejścia, tam zastygli czarodzieje i czarodziejki Rooskie, gotowi pochwycić jej posłanie. Rozkładając piękne, złotoogniste skrzydła, Żar-Ptak leciał przez korytarze, ciągnąc za sobą długi welon pomarańczowych iskier.

Molly nie widziała twarzy tych, których miała połączyć w jeden łańcuch – ich twarze, osobowości, charaktery, usposobienia i cała reszta były teraz nieważne. Ważna była tylko siła, którą ma ze sobą połączyć w jedną całość. Leć, mój ptaku! Oto pierwszy czarodziej na jego drodze, niewyraźna postać w długiej szacie do ziemi, nie wiadomo, kobieta czy mężczyzna. Żar-Ptak przecina jego cień płomienną pomarańczową nicią.

Molly widzi ciemne pasma, unoszące się nad postacią, i pamiętając pouczenia Starszej, wyciąga do nich niewidzialne ręce, chce je pochwycić, nie pozwolić, by końce rozleciały się na różne strony, chce je złapać razem, zawiązać w węzeł... Oto i pierwsze ogniwo łańcucha.

Coś gorącego zaczyna przypiekać jej piętę, Molly nie patrzy w dół. Dalej, ptaku, dalej! Na razie ma wrażenie, że to wszystko jest proste, niewidzialna siła poddaje

się chętnie i z przyjemnością. „Ręka-dłoń-koniuszki palców” – formułka Średniej działa, działa mimo przytyków starszej siostry. Naprzód, poprzez labirynt korytarzy, oświetlonych purpurą, do następnego ogniwa!

Oto i ona, kolejna postać, jeszcze bardziej rozmyta i niejasna, ledwo widać zarysy głowy... I tutaj wzlatają ciemne pętle, ale tym razem bardzo szeroko rozrzucone. Molly chwyta je spieszenie, przypominając sobie, jak ze Starszą tak samo łapały śnieżynki, niesione przez wściekłą zamieć. Znaleźć, pochwycić, utrzymać, wszystko w jednej chwili!

Udało się! Łokieć-dłoń-palce, wchłoń w siebie podziemny wicher, rozwijaj, niech nie pozwoli zbyt daleko rozbiec się pętlom cudzej magii! Nawleczone drugie ogniwo i znów to wrażenie, jakby po podszwach jej stóp ktoś przesunął gorącym wałkiem.

W głębiach jeszcze zacieklej szaleje ogień, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo, jakby wiedząc, że za chwilę go zamkną i zaprzęgą do pracy. Myśli Molly zaczynają się plątać, w twarz bucha podziemny żar, nic magii opala policzki, miota się na boki, grożąc, że zerwie się o ostre występy skał. Szybciej, Molly, łokieć-dłoń-palce, niech krawędzie kamienia stępią się, niech ściany się rozsuna, dając drogę jej Żar-Ptakowi!

Trzecia postać to wyblakła szara sylwetka, można by łatwo pomylić ją z kamieniem. Widać tylko magię. W twarz Molly bucha żar, w odpowiedzi podnosi się złość. Łziesz, nie weźmiesz![54] Ile razy słyszała to i od Wołki, i od Młodszej, i od Średniej, i nawet od Starszej. Słyszała w języku Rooskies, słyszała w imperialnym. Nauczyła się. I nie tylko się nauczyła.

Łziesz, nie weźmiesz!

Zakłęcia powietrza. Pomagają rozrzucić na boki złe wiatry, nawlec na nic kolejne ogniwo, pójść dalej. Ale stać już prawie się nie da, rany, jak piecze w pięty! A przecież to dopiero trzy ogniwa, a przed nią jeszcze dziewięć! Dwunastu czarodziejów i czarodziejek. Trzynasta Starsza. I czternasta ona, Molly.

Wytrzymaj, wytrzymaj, wytrzymaj! Daj wszystko, co tylko wiesz, użyj wszystkiego! Woda pod nogi, ochłodzić przypiekane stopy. Teraz wiatr, żeby oczyścił drogę Żar-Ptakowi, i ziemia, niech umacnia, niech umacnia sklepienia, zamykajcie się, szczeliny! Nie przejdiesz, ogniu! Płomieniu, krwi mojego Ptaka, wlewaj się w niego, nie pozwól się złożyć pięknym skrzydłom! Wszystko naraz. Wszystko razem. Wszystkie rodzaje magii.

Łokieć-dłoń-palce! Czwarte ogniwo, piąte, szóste, nawlekaj, Molly, nawlekaj! Bo w głębi góry już pęcznieje olbrzymi garb płynnej lawy, nie tylko lawy,

zmieszanej z niezwykłym ogniem, w którym za dużo jest własnej magii.

Katastrofa – skąd ona go przyniosła, z jakich głębin innego świata?

Woda pod nogami wyparowuje, kałuża robi się gorąca, Molly musi coraz to dolewać zimnej wody, bo nie ustałaby w miejscu. „Wytrzymaj, Molly Blackwater”. Dziękuję ci, Zwierzku Ziemi. Wytrzymam. Wiem, że muszę to zrobić. Wytrzymaj i ty jeszcze trochę, ciebie też boli. Nie myśl, że tego nie wiem. Siedem, osiem, dziewięć...

Zostały trzy ogniwa! Radość w piersi. Dasz radę, Molly! „Uważaj! Patrz uważnie!” Wściekły syk Starszej, co za okropny głos! Patrzyć? Na co ma patrzyć, przecież wszystko przebiega prawidłowo, wszystko idzie dobrze! Cień? I to nie jeden...

Ludzkie sylwetki w długich płaszczach ciemności. Wyłaniają się jakby z samych skał, Molly pamięta mapę, nie ma tam żadnych przejść!

Trzy cienie... cztery... pięć; tak, pięć! Suną, nie dotykając kamienia. Świdrują otoczenie pustymi oczami. Czy one w ogóle żyją?

„Trzymaj się! – to znowu Starsza. – Zaraz ci pomogę! Łańcuch trzymaj, łańcuch!”

Molly czuje, że Starsza mówi te słowa z wielkim wysiłkiem, przebijają się do Molly jak przez ryk huraganu.

Cień wyrasta na drodze Żar-Ptaka, ten z klekotem rzuca się do ataku – Molly się rzuca – dziób celuje prosto w oczodół, ale tam nie ma nic, tylko zimno i pustka, i nie jest to chłód zimy, czystej, mroźnej, gdy śnieg skrzypi pod walonkami – to chłód kamiennych krypt, gdzie jest wilgoć i pleśń, i rdza starego żelaza, które już odsłużyło swoje. Skrzydła Żar-Ptaka chłoszczą ciemnego stwora po głowie, po ramionach, dziób wściekle uderza tam, gdzie powinna być twarz, i Molly z przerażeniem rozumie, że łańcuch wysuwa się z jej niewidzialnych, wyciągniętych daleko rąk.

„Utrzymaj łańcuch!”

Wokół Molly unosi się lodowaty wicher; pomyślała nawet, że bardzo dobrze, że trochę ostudzi twarz, ale policzki w jednej chwili tracą czucie i lodowaty ziąb sunie dalej, i łańcuch wyslizguje się rąk...

„Trzymaj!!!”

Łzesz, nie weźmiesz! Łokieć, dłoń, palce – trzymam! Wiatr podchwytuje wyslizgujący się koniec łańcucha, ziemia usłużnie podstawia kamień. Woda chłodzi rozpalone pięty, nie pozwala roztopić się kamieniowi. Powietrze niesie

coraz dalej Żar-Ptaka z rozpostartymi skrzydłami i czarny cień kurczy się, odsuwa, szerokie, płaskie i blade dłonie gorączkowo okładają czarny kaptur, gasząc ogień.

A więc nie jesteś tylko cieniem! Pod ciemnym płaszczem kryje się jakaś postać, w każdym razie ma ręce! Chociaż jakieś takie przejrzyste, widmowe... Aha! Zrozumiałeś! Nie oprzesz się mojemu Żar-Ptakowi! Za odepchniętym cieniem suną jednak nowe, jedną podążają za ptakiem, inne płyną prosto do niej, do Molly... Łańcuch wyrywa się i wibruje, ledwo można utrzymać go w ręku!

Starsza milczy, milczy też Zwierz Ziemi – widać muszą być bardzo zajęci. Jesteś sama, Molly, musisz sobie poradzić! Nikt ci nie pomoże, nikt nie wesprze ramieniem, umrzyj, jak nie dasz rady! Umrzyj w tej cudzej wojnie, za jakichś barbarzyńców, pod obcą górą, nie wiadomo za co. Powiedzieli ci – wulkan! A ty uwierzyłaś...

Blżej, czarne cienie są coraz bliżej, suną przez korytarze, nikogo nie zauważając, na nic nie tracąc czasu, do niej, do niej, do niej!

„Jesteś nasza, miss Mollynaird Evergreen Blackwater. Byłaś, jesteś i będziesz”.

„*Who are you? What are you?* Kim jesteście? Czym jesteście?”

„Jesteśmy tym, czym jesteśmy. Jesteś nasza i twoje miejsce jest z nami!”

Drgnęła. Zawahała się. Głos w jej głowie, silny, twardy, męski, mówił z prawdziwym stołecznym akcentem, jakiego nie spotyka się ani u nowobogackich z Kornwalii, ani u przemysłowych magnatów Minsteru, ani nawet u starych landlordów Highlandu.

Łańcuch! Łańcuch się wyslizguje...! A cienie są coraz bliżej. I z coraz większym trudem wymachuje poblakłymi skrzydłami Żar-Ptak. Cienie są obok niej.

– Arrrrgh!

Straszliwy, nieludzki ryk i na drodze czarnych postaci zjawia się Starsza. A raczej – zjawia się potwór, ożywiony krzak z gałęziami, usianymi długimi kolcami. Na niektórych bieleją stare czaszki, spoglądają pustymi oczodołami, w którym płonie ogień. Starsza zagradza cieniom drogę i Molly od razu czuje, czym jest to słynne „echo”.

Ślepa fala wyzwolonej siły pędzi przez korytarze, przesywając kamienne sklepienia i jeziora płonącej lawy, sprawiając, że roztopiony kamień wrze i pluje ognistymi kroplami. Upadają ostatnie przegrody, rozwierają się klamry, pękają mosty, wał się podstawy ścian, drżą słupy, wibrują podłogi i sufity... Ale na drodze cieni wyrosła Starsza, rozkładając swoje ręce gałęzie.

I zaśmiała się. Straszliwym, pozagrobowym śmiechem. I przywołała je do siebie. Pierwszy cień jakby nie zdążył wyhamować, z rozpędu wleciał prosto w wyczekujące sploty głodnych gałęzi. Wrzask, cienki, zachłystujący się, urywany. Cień zadygotał, przebity w kilkunastu miejscach kolcami. Żywy bicz owinął się wokół tego miejsca, gdzie cień powinien mieć szyję, szarpnął, przewracając go i wciągając pod korzenie. Coś trzeszczało, chlupotało, pękało. I krzyczało, zachłystując się strachem i bólem. Ale niedługo. Naprawdę niedługo.

„A więc jednak nie są widmami?” – pomyślała osłupiała Molly.

Ale cienie nie drgnęły. Nie zawróciły, nawet się nie zatrzymały. Błysnęły mętne, jakby utkane z mgły pałasze i pierwszy cień, wijąc się jak wąż, zręcznie ciął po gałęzi, wysuniętej do przodu. Molly krzyknęła z ostrego, rozdzierającego bólu, jakby wrogie ostrze chlasnęło ją samą.

„Łańcuch! Łańcuch trzymaj! Ja sobie radzę!”

Molly oprzytomniała. Łańcuch, no tak, przecież łańcuch i jej Ptak! Ojej, już go prawie dogнали! W górze są ciemne sieci, szybciej, łokieć, dłoń, palce, ciepło w nich, nie, żar, ogień, płomień, najgorętsze, jakie tylko można wytrzymać! Leć, mój piękny, leć wolno, pal, nie ma już przeszkód dla ciebie, nie ma barier! Nikt już cię nie zatrzyma! Ciemność ucieka przed światłem, chłód cofa się przed płomieniem! Zamarł, ścichł obcy głos ze stołecznym akcentem.

„Nie jestem wasza! Nie jestem wasza, słyszycie?! Ja...”

I słowo urodziło się samo.

„...jestem tutejsza!”

Po raz pierwszy wyszło to z niej tak swobodnie, tak naturalnie, jak strumień wody, jak westchnienie.

Jestem tutejsza.

„Jesteś nasza – potwierdził Zwierz Ziemi. – Od nas pochodzi twoja siła, u nas się rozwinęła. U nas stałaś się sobą, Molly, Dziewczyno Czarnej Wody”.

Zachwył walki, bojowy szal! Wściekła, bezgraniczna wolność! To już było, gdy Molly miażdżyła ognistym młotem gąsienicowe parowozy Królestwa. I tak jest teraz. Wysoko, aż pod sklepienie wleciał Żar-Ptak, przekręcił się przez skrzydło i jak jastrząb, spadający na zdobycz, runął na cienie w dole.

– Paaal!

To chyba sama Molly wrzasnęła, nie mogąc się powstrzymać. Niczym płomienna kosa nad trawami, szeroko, szeroko rozkładając wydłużające się

skrzydła, Żar-Ptak przeleciał przez skupisko cieni i one rozsypały się, trysnęły na wszystkie strony chmurą czarnych kropli. Szaleje, rwie się na wolność podziemny ogień, ale Molly ciągnie, wlecze za sobą łańcuch i ostatnie ogniwa zamykają się razem, tworząc całość.

Echo, jej własne echo toczy się przez podziemia, ale Molly już się nie boi; wszystkie dwanaście ogniw złączone w całość, proszę pani, wszystko zrobiłam! Proszę pani? Proszę...

Krzak z nanizanymi na gałęzie czaszkami zastygł nieruchomo. Po czarnych cieniach nie zostało śladu, czemu krzak się nie rusza?!

„Proszę pani! Proszę pani!”

Dwa echa zlały się w jedno, suną jak fala, zmiatając wszystko na swojej drodze. Łańcuch szczelnie objął ogniste serce wulkanu, ale to za mało, za mało! Trzeba dalej, a Starsza... nie rusza się. Nie oddycha. No dlaczego, dlaczego nikt nie stanął, nikt jej nie zastąpił?

„Wezmę na siebie twoją cenę...”

\*\*\*

Tak powiedziała stara czarodziejka i słowa dotrzymała. Dopiero teraz Molly zrozumiała, że Starsza nie tylko przemieniła się w krzak, korzeniami wchodząc w uparty kamień, w jednej chwili wykonując tę pracę, na którą natura potrzebuje lata i dziesięciolecia. Ona ciągnęła do siebie dwie zlewające się fale, niszczyła sklepienia jaskiń, kierując dziką potęgę tam, gdzie nikomu nie mogłaby zaszkodzić, a łańcuch już oplątywał gorące serce góry, nie pozwalając ogniowi wyrwać się na wolność. A teraz pozostawało już tylko dokończyć dzieło. Starsza zamarła, nieruchoma, gałęzie krzaka opuściły się, jedna z czaszek spadła z opuszczonego kolca, ogień w oczodołach przygasł.

Żar-Ptak rozgonił czarne cienie, dociągnął łańcuch z powrotem do Molly i zniknął, wykonawszy swoje zadanie.

– Dzięki za wolność – szepnął na pożegnanie.

Gdzie pozostali czarodzieje, gdzie są wiedźmy? Czemu nikt nie pomaga Starszej?! Szarpie się w rękach Molly koniec łańcucha. Ogniwa są mocno połączone kłódką – nią, Molly. Ale co dalej? Echo magii wzięła na siebie Starsza, rozpraszając je, jak tylko mogła, chociaż i tak nie do końca. I teraz nie ma komu dokończyć dzieła z ognistą górą, która szaleje coraz bardziej, ściśnięty magicznym łańcuchem płomień rozpaczliwie szuka wyjścia.

Nie ma komu dokończyć dzieła – tylko ty możesz to zrobić Mollynaird Blackwater, Dziewczyno Czarnej Wody. Niech pieką stopy, niech przestaną działać wodne zaklęcia, ona dokończy dzieło! Tak, jak uważa, że powinno to być zrobione. Ale dlaczego, dlaczego nikt nie zastąpił Starszej?!

„Zastąpiłyśmy! – Usłyszała zdławiony napięciem głos Średniej. – Ale burza zbyt... silna... jestem tam... sama...”

Molly gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, co należało zrobić, gdy już zamknie się łańcuch. Ogień ma płynąć podziemnymi korytami. Siła rozproszyć się, rozprzestrzenić, grzać wodę w ciepłych źródłach. Góra ma dymić nieszkodliwie, spokojnie, nikomu nie zagrażając.

Molly pociągnęła za łańcuch, tak jakby ściągała górę worka, mieszczącego w sobie podziemny ogień. Zaboląło, jakby miała wyjmować sobie zgnity ząb. Ale wiedziała, że Starszej nie ma już obok i że echo swojej własnej magii musi rozproszyć sama. Molly uniosła lewą rękę, wyciągając mocno ściśnięte palce, zbierając wszystkie odgłosy swojej magii i kierując je w górę, w kamienne sklepienia.

Wybaczcie mi, jaskinie. Wiem, że tak samo was teraz boli jak mnie, ale wytrzymajcie. Proszę was, pomyślała błagalnie.

„Ja ci pomogę...” – szepnął Zwierz.

Sklepienia wytrzymały. Popękały, tu i ówdzie sypały się odłamki kamieni, lecz wytrzymały. A Molly, jęcząc z wysiłku, ciągnęła, ciągnęła niewidzialny łańcuch, póki starczyło sił. Lecz w pewnej chwili łańcuch napiął się i pociągnął sam, w drugą stronę, gdzie czekała mściwie ognista paszcza głodnej otchłani. Nie udało mi się wyrwać na wolność, mówiła, ale i ty mnie nie pokonasz!

Wielka niedźwiedzica wyskoczyła z czerwonej mgły, ryknęła wściekle, kłapiąc zębami, i złapała widzialny teraz koniec płonącego łańcucha. Pociągnęła, zaparła się łapami, a chwilę później podbiegła do niej tak dobrze znana Molly wilczyca i chwyciła łańcuch zębami. A za nią spieszył jeszcze jeden niedźwiedź, choć nie tak wielki, jak jego siwa towarzyszka.

I ciągnęli teraz we czwórkę.

Molly poczuła, jak zamknięty w wielkim kamiennym worku ogień odchodził przez specjalnie zostawione przez innych czarodziejów otwory, choć tak naprawdę żadnych otworów nie było. Odchodził i rozpływał się, tak jak powinien, cienkimi żyłkami, prowadzącymi do gorących źródeł, do podziemnych jezior, w których pływają ryby, do ciepłych źródeł, przy których nawet zimną zielenią się grządki. Na



tej drodze, płomieniu, nie ma dla ciebie przeszkód.

Molly obejrzała się, patrzyli na nią teraz i Młodsza, i Wołka, i... i chłopiec niedźwiedź. No tak, bez ciebie by się tu nie obeszło.

Molly nie myślała już więcej o czarnych cieniach, ona po prostu ciągnęła, ciągnęła łańcuch, który szybko stawał się coraz cięższy. Ostatnia przeszkoda, pomyślała Molly, zaciskając zęby. Pokonam ją i biegnę do Starszej. Czy naprawdę razem nie damy rady jej pomóc?

Wszyscy wspólnym wysiłkiem ściągnęli łańcuch, na amen pieczętując wyobrażoną gardziel ognistego worka. Kolana ugięły się pod Molly, jakby czuły, że ich misja jest skończona. I od razu zawrzał ogień pod nogami, wrywając się ze szczelin, które wzięły się tutaj nie wiadomo skąd. Jakby dzika siła chciała się mścić za to, że umknęła jej główna zdobycz, że znowu ją okiełznano i wysłano na służbę dwunogom – to przynajmniej dopadnie tę ich garstkę!

Młodsza ryknęła głucho, machnęła głową. Niedźwiedź Wsiesław w jednej chwili znalazł się przy upadającej Molly i wyćwiczonym ruchem wrzucił ją sobie na grzbiet, i to tak, że uczennica Starszej załała się czerwienią po same uszy.

Niedźwiedzica znowu machnęła głową, wyraźnie wskazując Wsiesławowi i Tańce na wyjście z jaskini, gdzie już zupełnie popękał sufit, biorąc na siebie o wiele więcej, niż mógł wytrzymać. Wsiesław zerwał się z miejsca, Wołka zawyla, zakręciła się i po chwili wahania pomknęła w drugą stronę, tam gdzie schowała się Młodsza. A niedźwiedź pędził, nisko schylając głowę, i ryczał, głucho i wściekle, był w szale, ale – jak zrozumiała Molly – nie śmiał nie posłuchać jawnego rozkazu. I jeszcze, głęboko w nim, mocno ukryte... – Molly widziała to tylko dlatego, że ją samą wypełniała siła łańcucha, oddana przez dwunastu innych czarodziejów – że chciał uratować ją.

Nie, nie Starszą. Ją. O mamusiu, pomyślała przerażona, odruchowo przywierając policzkiem do ciepłej niedźwiedziej skóry.

Wsiesław wyniósł ją na mroźne powietrze, w piękny zimowy dzień, a chwilę później z rozwartej paszczy jaskini wyrwał się ryczący strumień płomienia. Który teraz nie mógł wyrządzić szkody nikomu – prócz tych, którzy nie zdążyli...

Nie zdążyli?! Starsza! I jej siostra! I Wołka! Wsiesław omal nie zrzucił jej z grzbietu, Molly poturlała się, wpadając prosto w objęcia Średniej, zerwała się i silne ręce od razu wcisnęły ją w śnieg.

„Poradzą sobie bez ciebie” – jak zawsze bezgłośnie, ale bardzo twardo rzuciła uzdrowicielka.

Molly miotła się niczym ptak, który wpadł w sidła. Resztki siły, które wrzały w jej piersi, wyrwały się na zewnątrz. Musiała coś dla nich zrobić, cokolwiek! Z gardzieli jaskini wypływał teraz dym, szary jak pogrzebowy całun. I nikt nie wychodził. Molly złapała kurczowo rękę Średniej.

„Co z nimi, co z nimi, co-z-nimi-co-z-nimi-co-z-nimi...?!”

„Milcz! – odparła ostro medyczka. – Milcz, proszę...”

Molly spojrzała na nią: twarz Średniej pokrywał pot, wielkie krople spływały po policzkach, spadały z brody; kobieta przygryzła wargę, jakby ciągnęła, tak jak niedawno Molly, jakiś niewidzialny, ale ogromny ciężar.

– *Wsio!* – Usłyszała Molly głos uzdrowicielki.

Znała to słowo. *Koniec*. Oczy zamknęły się same, spod powiek popłynęły łzy. Niedźwiedź biegał przed dymiącym wejściem, ryczał, ale do środka nie sposób było wejść, dym walił bez chwili przerwy. Ostry swąd spalenizny. Wyłoniło się coś ciężkiego, wielkie zwierzę z osmaloną, dymiącą sierścią. Resztką sił Młodsza przeszła obok Molly – na jej grzbiecie leżała bezkształtna sterta jakichś spalonych szmat, obok niedźwiedzicy człapała Wołka, kulejąc na przednią łapę.

Molly chciała do nich podbiec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

\*\*\*

Było dużo zamieszania i krzątaniny. Wszyscy czarodzieje i czarodziejki, jacy tylko tam byli, tłoczyli się wokół Starszej. Najmłodsza siostra wyciągnęła jednak starą wiedźmę przez drugie wyjście, ale z nauczycielką Molly było źle, bardzo źle. Dziewczynka na kolanach podczołgała się do Starszej, leżącej teraz na noszach. Przy niej krzątała się Średnia, trzy inne uzdrowicielki zajęły się Młodszą.

Ubranie starej wiedźmy zwęgliło się, teraz pokryła je gruba warstwa jakiejś maści. Ta sama maść znalazła się na jej rękach; szczególnie mocno oberwały palce. Na wargach Starszej błąkał się jej charakterystyczny, zjadliwy uśmiech.

– Starsza...

– Nie rycz – wyszeptała ledwo słyszalnie wiedźma. – Wiedźmy nie płaczą.

– Dlaczego? – chlipnęła Molly.

– Po... potem. Jesteś... zuch. Dałaś radę, dziewczynko...

– Nie! – Molly rozpaczliwie pokręciła głową. – Ja... upuściłam...

– Ci... cicho... – wykrzywiła się Starsza. – Wulkan... zamknięty...

– A te cienie? Czym one były?

Starsza jęknęła głucho, wyraźnie z bólu. Odchyliła głowę i Średnia szybko odepchnęła Molly, mocno przyciskając dłonie do piersi starszej siostry. Podeszła Wołka.

– Nie przeszkadzaj jej, Wołka. Już się przemieniłaś! – huknęła Średnia.

– Och, ale ci się oberwało! – wyrwało się Molly.

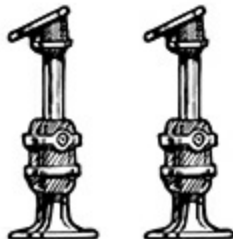
– Na siebie... na siebie popatrz. – Wołka próbowała się uśmiechnąć. – Cała jesteś czarna... w sadzy...

– Co tam sadza! Co ze Starszą?! Czy ona... czy ona z tego wyjdzie?

– No pewnie – odparła Wołka bez cienia wątpliwości. – Ona jest tak stuletni dąb, nic jej nie będzie...!

Z noszy dobiegł jęk cierpienia, zadając kłam słowom Wołki. Wilczyca ugryzła się w język.

Di jak zawsze pojawiła się znikąd. Nawet nie miauknęła, po prostu podbiegła do Molly, niewiarygodnym susem znalazła się na jej ramieniu i położyła tam, owijając się wokół szyi jak żywy kołnierz. Ocierała się o policzek Molly, przymykając oczy, ale nie wydała ani jednego dźwięku, jakby rozumiejąc powagę sytuacji.



A jednak zdołała przeżyć, ta stara wiedźma o prostym przezwisku „Starsza”. Przeżyła i to było najważniejsze. Molly odsunięto od niej, Średnia głosem sierżanta wydawała polecenia co najmniej ośmiu medykom i uzdrowicielkom, krzątającym się wokół Starszej z flakonikami, lancetami i przerażającymi strzykawkami, zdobytymi zapewne w szpitalach Korpusu Górskiego.

Molly leżała również, powoli pijąc palący napój z dużego glinianego kubka, który wsunęła jej w ręce Średnia. Obok usiadła Wołka, od stóp do głów wysmarowana maściami leczniczymi. Wsiesława nie było, pewnie gdzieś pobiegł. Molly przyłapała się na tym, że szuka go wzrokiem. Bystra Wołka zauważyła to, ale nie uśmiechała się i nie drażniła – prawdziwa przyjaciółka!

A na Molly jakby nikt nie zwracał uwagi. Nikt nie biegł do niej z kwiatami i okrzykami, nie wymachiwał na jej cześć chorągiewkami. Nikt, oprócz Wołki, nawet po ramieniu jej nie poklepał. I nagle zrobiło jej się jakoś tak... przykro. Przecież uspokoiłam wulkan! Prawie sama...! Średnia spojrzała na nią nagle, odeszła od noszy starszej siostry, wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Molly.

„Zrobiłaś wielką rzecz, dziecko. – Od ciepła w myślach dawnej nauczycielki Molly zebrało się na płacz. – I ziemia nasza, i my sami jesteśmy wdzięczni, i jeszcze ci dziękujemy. Wybacz, że nie od razu, ale siostrę moją trzeba ratować. I o Priedsławę Młodszą się zatroszczyć”.

„Dziękuję” – tylko tyle zdołała wykrztusić Molly. Chociaż porozumiewały się w myślach, mówienie i tak przychodziło jej z trudem.

I wtedy inni Rooskie, pojedynczo i dwójkami, zaczęli podchodzić do Molly. I zrobili dokładnie to, na co czekała: kłaniali jej się z wielką powagą, wszyscy, nawet dostojni siwobrodzi czarodzieje. Podszedł też tamten starzec z gęstymi brwiami, który przed rozpoczęciem obrzędu wrogo zerkał na Molly. Podszedł, powiedział coś stanowczo do Wołki, która zaczęła wstawać, a nawet przytrzymał ją za ramię.

Westchnął, skłonił głowę przed Molly i zaczął mówić, niegłęboko i z szacunkiem:

– Wiedun Demian kłania ci się i prosi o wybaczenie, że do końca w ciebie nie wierzył – przetłumaczyła Wołka, zamierając z szacunku. – Mówi: wielka jest twoja siła, Molly Czarnowodowa, wielka miara została ci odmierzona! I jeszcze mówi, że gdyby w Nord Jorku był chociaż jeden na dziesięciu taki jak ty, do żadnej wojny nigdy by nie doszło, podzielilibyśmy się wszystkim pokojowo...

Nie, pomyślała nagle Molly. Wstała i mimo drżących kolan, z szacunkiem, jak mawiali Rooskies – w pojas[55] skłoniła się wiedunowi. Gdyby co dziesiąty w Nord Jorku był taki jak ja, nic by z was nie zostało. I nie tylko pęczacze parowe by tutaj szły, ale i magowie... To były bardzo dorosłe i bardzo poważne myśli.

Po Demianie podchodzili inni, Wołka tłumaczyła. Molly chwalono z umiarem, bez krasomówstwa, ale prosto i ze szczerego z serca. Nie zauważyła nawet, że niedźwiedź wrócił i ciężko siadł obok nich, już w swojej ludzkiej postaci. Molly tylko na niego spojrzała i od razu się spłoniła. Wołka zachichotała – a to zaraza!

– Dziękuję ci. – Wsiesław nadal mówił w imperialnym ze swoim ciężkim akcentem. Język Królestwa wyraźnie stawiał mu opór. – Ty jest mogłaś...

Wołka z żalem pokręciła głową.

– No nie umie – powiedziała wilczyca. – Przecież nawet w Nord Jorku był, a nie nauczył się języka.

Molly sposepniała nagle. Wsiesław, Tańka i ci wszyscy Rooskies wokół niej... Coś z nimi było nie tak. Bardzo nie tak. Nie cieszyli się. Nie, inaczej, cieszyli się oczywiście, ale jakoś tak powściągliwie, jakby na siłę. Jakby coś nad nimi wisiało, coś ciężkiego, złego, ponurego. Zrobili jedną ważną rzecz, ale czekało ich jeszcze coś ważniejszego. I straszniejszego.

– Co się stało, Wołka?

Wilczyca westchnęła, zacisnęła usta w cienką, prawie białą linię.

– Królestwo. Korpus Górski. Atakują, Molly. Dalgrad wzięli, to tam, gdzie cie Wolchowna Średnia uczyła. A wszyscy nasi magowie są tutaj, pod czarną górą.

– Przecież było ich tam tylko dwunastu? – powiedziała bezradnie Molly.

Wołka się skrzywiła.

– Pod ziemię zeszło dwunastu, zgadza się. Ale co najmniej setki do pomocy było trzeba, żeby tych dwunastu mogło cokolwiek zrobić. Ściągnęli wszystkich, kogo się tylko dało, uzdrowicieli, medyków, nawet tych, którzy leczą bydło... – Machnęła ręką. – Co robić, wulkan to wulkan. A skoro magów nie ma, to

Królestwo... Nasi się cofali, chronili ludzi. Domy można odbudować, pożary – normalna sprawa. Ale ludzie... – Spuściła głowę. – Ja i brat tam wracamy. I Priedsława Młodsza. I wszyscy magowie, którzy tylko zdołają, reszta zostaje, z wulkanem będzie tu jeszcze dużo pracy.

Molly uniosła brwi.

– Bo to tak, jakby wyrwę załatać – wyjaśniła Tańka. – Woda nie chlusta, ale maszyna zalana, piece wygasły, kotły... No, ty się na tym znasz lepiej ode mnie, ja tylko tak, powierzchownie. Wolchowna Średnia zawiezie Starszą do jej domu, najlepsi uzdrowiciele pojedą z nimi, a cała reszta wraca na front.

Na front. Te słowa Molly rozumiała już bardzo dobrze, tak jak i wszystko, co się za nimi kryło.

– Ale teraz już chyba nie ma się czego bać? No, wulkan przygasiliśmy, prawda? Priedsława może sama...

Wołka znowu się wykrzywiła, spojrzała niepewnie, z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Nie rozumiesz. Wulkan uciszyliśmy, ale mówiłam ci, to jakby wyrwę plastrem zakleić. A jeśli echo wszystkich magów zacznie falami płynąć, czary nie wytrzymają. Nawet te, które ty rzuciłaś.

– No to jak to? – wyszeptała bezradnie Molly. – To wszystko było na próżno?

Ręka Średniej niespodziewanie spoczęła na jej ramieniu, palce dotknęły policzka.

„Nic nie było na próżno, dziecko. Ziemię uratowałaś. Pożar ugasiłaś. Ale echo, o którym mówi Wołka, znów może go rozniecić”.

– To znaczy, że nie poradzicie sobie z Królestwem? Nie dacie rady? – Molly poczuła, że zaszczypało ją w oczach.

– Poradzimy – rzuciła ostro Wołka. – Dla nas to nie pierwszozna.

„Ty swoje zadanie wykonałaś, Molly Blackwater, a my dotrzymujemy słowa. Jesteś wolna. Możesz... wracać do domu. Wszystkie twoje rzeczy ci zwrócimy, i zapasy damy, i przewodników. Wszystko będzie tak, jak powiesz. Pomogłaś nam przy wulkanie i my swojej obietnicy dotrzymamy”.

„Taak...” – przytaknęła w myślach stropiona Molly. Wołka czekała cierpliwie, nie wtrącając się w tę bezgłośną rozmowę Średniej z Molly.

„Wszystko już jest przygotowane, moja starsza siostra się o to zatroszczyła. Zaraz ci wszystko przyniosą, a Wsiesław odprowadzi cię do Nord Jorku. Tajnymi ścieżkami, nie przez przełęcz. Droga jest długa, zajmie wam niejedną godzinę,

a więc...”

„Wsiesław pójdzie ze mną?”

„Oczywiście – odparła uzdrowicielka z pewnym chłodem – przecież raz ci już pomógł, pomoże i drugi. Starsza i my wszyscy bogate dary ci przygotowaliśmy, żebyś wiedziała, Molly Blackwater, że my swoje długi spłacamy...”

„Nie potrzeba długów. – W piersi Molly coś się boleśnie ścisnęło. – Nie trzeba darów... Ja... do domu...”

„Kiedy tylko zechcesz – z surowym spokojem odparła Średnia. – I ja wszystko rozumiem, ale tak zwyczajnie, po ludzku proszę – nie zwlekaj długo z wyruszeniem. W innym czasie sama bym sobie po twarzy dała za takie słowa – kto to słyszał, żeby gościa drogiego, czcigodnego, wobec którego cała nasza ziemia ma dług wdzięczności, wyganiać, i to takimi słowami! Ale inaczej się nie da. Wszyscy, w których jest moc, którzy umieją nią kierować, są na froncie potrzebni. Wsiesław również...”

„I niech zostanie na froncie – ucięła ostro Molly. – Nie będzie nigdzie ze mną łąził – bo ja też idę na front. Z Wołką. I niedźwiedź niech idzie z nami, będzie dźwigał nasz bagaż, zawsze jakiś pożytek”.

Niemłoda uzdrowicielka odsunęła się, w niemym osłupieniu. Ale mimo śmiertelnego zmęczenia oczy jej promieniały.

„Poważnie mówisz, Molly Blackwater?”

„Najpoważniej na świecie! A proszę mi powiedzieć, czy Starsza...”

„Długo będzie teraz leżała – westchnęła uzdrowicielka. – Oj, długo... Nadal jest nieprzytomna, takie sprawy...”

„To komu mam opowiedzieć o tym, co widziałam tam, w środku góry?”

„Myśmy wszyscy widzieli to samo, moja miła. Wszyscy czarodzieje, jak jeden mąż”.

„Czarne cienie też widzieliście? I jak Starsza przemieniła się w kłujący krzak, z gałęziami jak włócznie? I jak ona te cienie prze...”

„Czekaj, o czym ty mówisz? – spłoszyła się nagle Średnia. – Starsza nie zmieniała się w żaden krzak, nikt z nas niczego takiego nie widział! I żadnych cieni tam nie było!”

Molly osłupiała.

„No ale jak to... Starsza walczyła z nimi, walczyła na śmierć i życie! I ja też, razem z moim Żar-Ptakiem...”

„Przywidziało ci się, kochana moja, przywidziało... Nie było i nie mogło tam być żadnych cieni. U nas powiadają: strach ma wielkie oczy. Nie, nie, nie ciskaj się, nie złość! Każdy z nas czuje strach, nawet najwięksi śmiałkowie! Tym większa twoja chwała, żeś go poko...”

„Nic mi się nie zwidziało! Spytajcie Starszą, przyszła mi z pomocą!”

„Może i przyszła – zgodziła się zniecka uzdrowicielka. – Może i pomogła ci szczególnie trudnym zaklęciem, a tobie się przywidziało...”

„No właśnie nie! Skoro rozmawia pani ze mną myślami, to proszę zajrzeć do mojej pamięci! Zobacz pani, że nie kłamię!”

„Oczywiście, że nie kłamiesz, Molly, oczywiście, że mówisz samą prawdę! Tak jak ci się zwidziało, tak opowiadasz...”

Molly odsunęła się gwałtownie, zerwała kontakt. Nie wierzy mi. Myśli, że mi się przywidziało. A ja to naprawdę widziałam! I Starsza... Uzdrowicielka, nadal stojąc przy Molly, kręciła głową i wzdychała.

– Zbieramy się – rzuciła Molly wilczycy ostro, ze złością. – Przekaż niedźwiedziowi.

– Dokąd? O czym ty mówisz...?

– Na front – ucięła Molly.

\*\*\*

Nie chciała słuchać żadnych protestów. Rooskie rzeczywiście przechowali wszystko, co przy niej było, gdy ratowali ją Wołka, Wsiesław i Młodsza. W skórzanych workach, skrętnie spakowane, leżało jeszcze coś, dość ciężkiego, ale Molly nie chciała nawet na to patrzeć.

Wołka z wrażenia zaniemówiła, gapiła się na Molly, z otwartymi ustami. Patrzyła i o nic nie pytała. Za to Wsiesław nie zdziwił się zupełnie. Tylko ryknął aprobująco i przysunął się, jakby mówił: „No, co tak stoisz? Właż na mój grzbiet, nie śpij!”.

Razem z nimi na południowy wschód wracało wielu czarodziejów, ale zostali w tyle jeszcze pierwszej nocy – ani wilczyca, ani niedźwiedź nie spali i nie zatrzymywali się. Molly zdołała jakimś cudem nie spaść z niedźwiedziego grzbietu, mocno trzymała wodze.

Rano spadł śnieg, miękki i puszysty; dzień był zupełnie bezwietrzny i zimowa bajka rozpościerała się szeroko wokół nich. Gdzieś za tym lasem pracują pewnie



elfy Świętego Mikołaja, zawczasu zbierając drewno na świąteczne prezenty, choć było jeszcze sporo czasu. Nie ma żadnego frontu i w ogóle nie ma nic, prócz zaśnieżonych kniei, oplecionych lodowymi żyłami zamarzniętych rzek.

Dziewczynka, wilczyca i niedźwiedź przegryzali coś na szybko z podróżnych zapasów, a potem ruszali dalej. Pod koniec drugiego dnia drogi, gdy Molly poczuła, że nie utrzyma się na niedźwiedzim grzbiecie ani minuty dłużej, zobaczyli łunę nad leśnym horyzontem. W jej stronę biegła lodowa droga zamarzniętej rzeki. Ściany sosen i świerków rozstępowały się, otwierając widok, przez kilka lig rzeka płynęła niemal zupełnie prosto.

Tam, za lasami, coś się paliło; daleko, ale niskie chmury odbijały tańczące płomienie. Patrząc na to, Molly poczuła, jak w jej piersi poruszył się ogień. Łokieć, dłoń, palce... Nie, nie, jeszcze za wcześnie...!

Do linii frontu doszli przed południem czwartego dnia.

Ostatnie godziny na zawsze wbiły się w świadomość Molly – przed wojną uciekali na saniach ostatni mieszkańcy małych wiosek i niewielkich miasteczek. Tu, na północy, jak wyjaśniła Wołka, ciągnął się „język” zamieszkanym ziem – w szerokiej, płodnej rzecznej równinie, obfitującej w ciepłe źródła.

Uciekinierów nikt nie nękał. Królestwo atakowało rozsądnie, nie pchając się w pułapki wąskich ścieżek. Nie, sunęło szerokimi polami, zamarzniętymi rzekami, starannie unikając każdego miejsca, w którym barbarzyńcy mogliby zaatakować z tyłu lub z boku.

– Sprytnie – powiedziała ponuro Wołka na ostatnim postoju.

Wsiesław nie przemieniał się, pozostawał niedźwiedziem. Molly podejrzewała dlaczego i za każdym razem czerwieniła się od tych myśli, ale przytulała się do ciepłego, kosmatego boku z przyjemnością.

– Sprytnie, nie ma co. Kiedyś umieliśmy zwabić ich w zasadzkę, uderzyć i się wycofać. A teraz nie, już się nie dają, napierają wielkimi siłami... – Wilczyca nagle urwała.

Di wysunęła pyszczek zza pazuchy Molly: „No, co się dzieje, czemu taka cisza?”.

– Molly – odezwała się Wołka – chciałam o coś zapytać. Nie gniewaj się na mnie, jeśli... Wielu u nas nadal ci nie wierzy, mimo tych pełzaczy przy szpitalu.

Molly się spięła. Wiedziała już, o czym będzie mowa.

– Jak to jest: iść przeciw swoim? – wykrztusiła w końcu Wołka, czerwieniąc się rozpaczliwie. – U nas się mówi, że swoi to zawsze swoi, co by się nie działo.

Swoich nie wolno porzucić, nigdy, w żadnym wypadku. Dlatego daliśmy ci słowo, że cię puścimy, bo wiedzieliśmy, że nie można cię rzucać przeciwko swoim...

Molly mogłaby powiedzieć jej wiele rzeczy. Choćby: „Nie wierzysz mi? Czy nie dałam dowodów...?”. Albo: „Już się zdecydowałam. Żołnierze Królestwa są moimi wrogami”. Lub jeszcze inaczej: „Tam, na południu, jest zło, a tu jest dobro. Jestem po stronie dobra”.

Ale nic takiego Molly Blackwater nie powiedziała. Wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę do Wołki.

– Strasznie. Naprawdę strasznie... Przecież oni naprawdę myślą, że tu są barbarzyńcy, że oni niosą tu... tata zawsze mówił... o, kaganek cywilizacji i wartości postępu...

Niedźwiedź za jej plecami poruszył się, mruknął ze złością.

– Nie przeklinaj przy dziewczynach! – zawstydziła go od razu Tańka. Niedźwiedź prychnął wzgardliwie i przestał mruzczyć.

– I myślę, że trzeba ich zatrzymać – ciągnęła Molly. – Żeby nie ginęli. Trzeba jakoś tak zrobić, żeby wszyscy cofnęli się za przełęcz i nigdy tu nie wracali. W przeciwnym razie będą tu leżać i ginąć, a to przecież ojcowie moich przyjaciół, przyjaciółek... I w ogóle nikt nikogo nie powinien zabijać, każdy powinien żyć u siebie!

– My mieszkaliśmy u siebie – rzuciła Wołka. – Dopóki do nas nie przyszli...

Molly milczała. Co mogła na to powiedzieć? „Ja ich tu nie przysyłałam?” „Ja za to nie odpowiadam?”

Bo czuła, czuła całą sobą, że owszem, odpowiada. Nie wiadomo jak, ale odpowiada. Za wszystkich swoich przyjaciół w Nord Jorku, za chłopców ze złych dzielnic tam, za Gearshift, i nawet za ich ojców. Oni się mylą. Oni się bardzo mylą. W wielu z nich nie ma złości, nie są złymi ludźmi, ale oszukano ich, nauczono bać się i nienawidzić. Tak samo, jak ją, Molly. Bo przecież ona też strzelała do Rooskies. Cena krwi. Którą już zapłaciła.

Dlatego to, co chce zrobić – nie jest jej obowiązkiem wobec Wołki, Wsiesława czy ich rodaków. To jej obowiązek wobec samej siebie i wobec wszystkich dzieci Nord Jorku.

– Nie bój się – odezwała się Molly, zupełnie tak, jak mówiła czasem jej mama, chłodno i z godnością – co ja sobie pomyślę. Tym się nie musisz przejmować, Tańka. Bądź cały czas obok mnie i, jeśli się zawaham, możesz przegryźć mi gardło.

Wilczyca drgnęła, mimo całego swojego opanowania, jej ręce odruchowo

spoczęły na jej szyi. Drgnął i niedźwiedź, odwrócił głowę; nawet Di wysunęła się ze swojego gniazdku u Molly za pazuchą.

– Albo ty – Molly bez ceregieli kuksnęła zwierza w kudłaty bok – możesz mi głowę urwać. Obiecuję, że nie będę się bronić.

Niedźwiedź zaryczał gniewnie, wściekle i przekręcił się jednym ruchem, szybko jak żywe srebro. Jego czarny nos znalazł się tuż przy nosie dziewczynki.

– *Ticho!* – rzuciła Tańka bratu. – Molly, *siestriczka...* nie mów tak.

– Dlaczego? – Molly chciała obojętnie wzruszyć ramionami, ale głos jej drgnął.

– Nie powinnaś tam jechać – powiedziała Tańka z nietypową dla siebie proszącą intonacją. – Nie trzeba. Poradzimy sobie, słowo honoru, poradzimy! Wszyscy czarownicy i więdźmy wrócą spod wulkanu i Królestwo nie przejdzie dalej! A my odwieziemy cię do Nord Jorku...

– Jestem wolna? – przerwała jej Molly. – Tańka, odpowiedz, skoro nazywasz mnie siostrą: jestem wolna?

– Jesteś wolna. – Wołka powoli skinęła głową. – Możesz iść, dokąd chcesz, i robić, co chcesz. Nie złamiemy danego słowa.

– To skoro jestem wolna, będę robić to, co uważam za słuszne – ucięła Molly. – Wszystko już powiedziałam, *siestriena*. Dalej decydujcie już sami.

– Dobrze – powiedziała półgłosem wilczyca, patrząc dziewczynce prosto w oczy. – Zdecydujemy sami.

\*\*\*

Zatrzymał ich *patrol*, gdy dymy pożarów zasłaniały prawie całe niebo. Czterej brodacze, dzięki białym szatom i maskom niemal niewidzialni w zimowym lesie. Wołka, która spodziewała się czegoś takiego, ostatnią ligę przebyła w ludzkiej postaci, bez ceregieli ładując się na grzbiet niedźwiedzia za Molly.

– No, braciak, dawaj! Jazda! – wygłupiała się, lekko uderzając piętami w jego boki.

Wsiesław mrucał coś po niedźwiedziemu, lecz dobrodusznie.

Brodacze Rooskie z długimi strzelbami najwyraźniej znali Tańkę. W każdym razie wilczyca rozmawiała z nimi co prawda z szacunkiem, jako młodsza wiekiem, ale pytania zadawała sama, jak starsza rangą. Wojownicy z ciekawością zerkali na Molly, lecz jej nie zaczepiali. Wreszcie, gdy cała trójka ruszyła dalej, wilczyca wyjaśniła:

– Tak jak mówiłam: Królestwo wali do przodu, przez pola i zamrznięte rzeki. Do wąwozów i ciasnych miejsc się nie pchają, wiedzą, jak umiemy tam walczyć. Odśnieżają drogi, budują fortece, wszędzie są te ich parowe potwory. Jest artyleria. Na morzu mają monitory, ale one nie bardzo pomagają, raczej snują się tam i z powrotem...

Krakeny, pomyślała Molly. Krakeny Starszej...

– O, tutaj, na wprost przed nami jest miasteczko Mścislaw. – Tańka machnęła ręką. – A przed nim – Korpus Górski. Rozbili duży obóz, do którego z przełęczy prowadzi droga, i chronią ją tak, że ja dziękuję. Nasi próbowali tam wyjść, ale nie wszyscy wrócili i nic nie zdołali zrobić. Nasi są w mieście i tuż pod nim, starców i małe dzieci już wywieźli, pozostali nie chcą odchodzić...

– Niech odejdą – odezwała się nagle Molly. – Niech wszyscy stamtąd odejdą, a my we trójkę wszystko zrobimy. Musimy się tylko tam dostać.

Wilczyca i niedźwiedź popatrzyli na siebie.

– Tej nocy – dodała twardo Molly.

Tańka uniosła brwi.

– We trójkę? Przeciwno całej awangardzie? Nie rozśmieszaj mnie, Molly. Jesteś dzielna jak dziewięć wilków, moja mała siostrzyczko, ale nie poradzimy sobie z nimi. Nawet gdyby była z nami Priedsława Młodsza...

– Nie jestem nią! – Molly dumnie zadarła nos. – Ona nie wie, gdzie uderzyć, a ja wiem!

Niedźwiedź i Wołka milczeli.

– Posłuchajcie, pomóżcie mi się tylko tam dostać! – powiedziała Molly niemal błagalnie. – A potem już ja sama...

– I znowu obudzisz wulkan? – spytała Tańka wprost.

– Powiedzieli ci? – Molly drgnęła.

– Powiedziała mi Wolchowna Średnia. Szpital uratowałeś, ale wulkan rozjuszyłeś. Dopiero co go uspokoiłś! To znaczy, ty go uspokoiłaś!

– Ale teraz wiem, co trzeba zrobić – upierała się Molly. – Trzeba rozwiać echo, nie można pozwolić, żeby szło jedną falą, jednym strumieniem...

– Trzeba poczekać. – Wołka była nieugięta. – Jak wrócą nasi magowie, uderzymy wszyscy razem, skoro już tak się przy tym upierasz, żeby walczyć.

Molly zasnurowała wargi niezadowolona, tak samo jak robiła zawsze mama, gdy szykowała Fanny reprimendę.

– Poczekaj, nie spiesz się tak, siostrzyczko! – powiedziała błagalnie wilczyca.

I Molly ustąpiła. Prawie.

Drewniane miasteczko Mścisław powitało ich surową ciszą. Odeszli starcy i dzieci, dorośli i nastolatki zostali. Nie ruszyły się stąd też psy i koty, oprócz tych, które zabrały ze sobą młodsze dzieci. Tańkę i Wsiesława tu znali, machali do nich rękami, wołali, witali z uśmiechem. Część z tego dostawało się Molly.

Wyłożone drewnianymi klockami ulice, czyste i zamiecione mimo wojny, prowadziły na rynek. Wszystkie domy były piętrowe, niektóre całkiem drewniane, niektóre z kamiennym parterem. Molly zachwycała się pięknymi nalicznikami, które wyglądały jak drewniane koronki. I nie było tu absolutnie nic parowego!

Miasteczko wyglądało na nietknięte, nie ostrzeliwano go – przynajmniej na razie. Armia Królestwa dotarła na przedpola i stanęła, budując ogromny obóz. Molly pomyślała odruchowo, że gdyby Rooskies mieli artylerię, nie zostawiliby z niego kamienia na kamieniu. Ale dział, takich, jak te Królestwa, armat i haubic, do tej pory u Rooskies nie widziała.

Bliżej południowej granicy porozbierano domy, szopy i magazyny i w poprzek ulicy ustawiono barykady, wykopano głębokie rowy. To mogłoby zatrzymać piechotę Królestwa, ale przeciw parowym pełzaczom albo ciężkim pociskom nie miało szans. Jeśli Rooskies nie podciągną tu artylerii, Korpus Górski przemieni drewniane miasto w morze ognia i ruszy dalej.

Nie mogą czekać.

Dziewczynkę, dziewczynę i niedźwiedzia bez żadnych pytań wpuszczono na pierwszą linię, tuż za ostatnią ulicą. Tutaj ciągnęły się łamane linie transzei, gdzieś tam ciemniały przyprószone świeżym śniegiem leje. Królestwo jeszcze nie wzięło się za Mścisław na poważnie. Spojrzenie Molly odruchowo sunęło przez puste białe pole, aż tam, gdzie nad obozem Korpusu unosiły się liczne dymy.

Otoczony rogakami z drutem kolczastym, obwarowany zagrodzeniami, ułożonymi z polan gniazdami mitraliez potwór, który doczołgał się do Mścisława, wypluwał w niebo obłoki szarego dymu z wielu kominów. Przed obozem zamarło stado parowych pełzaczy, identycznych jak tamte trzy, które zniszczyła Molly. Czarne duże romby, objęte pętlą gąsienic. Wystające lufy dział. I wszystkie są już gotowe do walki, nad wystającymi z pancerza kominami wznosi się dym. Molly zamknęła oczy: tam, pod pancerzami, na pewno dają z siebie wszystko palacze, wentylatory z wyciem ładują powietrze do pieców, węgiel leci łopata za łopata.

Są gotowi, pomyślała nagle Molly. Są gotowi od nocy, czekają tylko na znak.

Przypomniała sobie, jak kreśliła stanowisko haubicy „Herkulesa”. Wojskowa haubica polowa kaliber siedem i pół cala, waga pocisku sto trzydzieści funtów, zasięg strzału pięć tysięcy pięćset jardów...

Przemiełła tu wszystko na szczapy, pomyślała jeszcze, czując, jak w jej żołądku poruszyła się panika. Ale, jak mówił zabijaka Billy: „Jeśli już masz się bić, wal jako pierwszy!”. Łokieć, dłoń, palce. Gdyby teraz była tu Starsza, na pewno zrzędziłaby za tę przestarzałą technikę z arsenału Średniej, wiernej starym metodom.

Łokieć i dłoń, ciepło poruszyło się, posłusznie, naturalnie. Molly przemieniła je w wiatr i ten zerwał się z jej ręki jak niegdyś Żar-Ptak, rozłożył skrzydła i poszybował do obozu Królestwa. Pomknął i wrócił, niosąc zapachy rozgrzanego żelaza, smaru, skóry. Przyniósł echo ostrych komend i buchanie parowych potworów, mlaskanie starannie nasmarowanych mechanizmów, wprawianych w ruch, zapach dymu papierosowego, kaszy ze słoniną, aromat herbaty z podróżnych czajników...

– Za chwilę zaczną – wyszeptała Molly, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – A pocisków już zbić nie zdołam...

Są za daleko, zrozumiała nagle, ptak ze skrzydłami wiatru, który rozwiął się przy jej ramieniu, powrócił resztką sił. Moc też się rozwiewa, przypomniała sobie nauki Starszej. Gdyby tak nie było, jakiś mag „za górami, za lasami” mógłby zrobić wszystko, co by chciał. Blżej. Musi być bliżej.

A przed nimi puste pole, pokryte śniegiem. A ona – co za głupota! – nigdy nie poprosiła o białą szatę dla siebie, jaką mieli Rooskies... Ledwo zdążyła odwrócić się do leżącego na brzuchu niedźwiedzia, gdy za lasem huknęło i chwilę później na obrzeżach Mścislawa strzeliły w niebo wielkie kłęby czarnego dymu, przemieszanego z ziemią. Królestwo zaczęło atak.

– Kładź się! – zawyła Tańka, a ponieważ Molly nie słuchała, chwyciła ją za ubranie i wciągnęła do transzei.

Kilka następnych pocisków wybuchło za ich plecami, mieląc na szczapy mścislawskie domy z rzeźbionymi nalicznikami.

Przecież ja to widziałam, pomyślała wstrząśnięta Molly. Tam, obok tej strasznej spalonej wsi Rooskies... dawno temu. Na obrzeżach. Gdy Wsiesław próbował mi pokazać, dlaczego ona spłonęła. I wiem, jak się to wszystko skończy.

Ryk artylerii narastał, ziemia drżała, od huku można było ogłuchnąć, ale czarne pełzacze nie ruszały się z miejsca i Molly, choć nie skończyła Królewskiego

Instytutu Wojskowego, rozumiała dlaczego. Najpierw haubice zmielą tu wszystko i wszystkich, którzy mogliby stawić opór. I dopiero potem ruszy sam Korpus.

Coś krzyczała Tańka, wściekle ryczał tuż obok niedźwiedź. Wsiesław nie przemieniał się, pewnie czekał na atak, a Molly, leżąc na dnie transzei, podrzucana wstrząsami ziemi i raz po raz nią przysypywana, gorączkowo myślała.

Pełzacze mogą nie ruszyć, mogą zostać na miejscu, aż z miasteczka i jego obrońców nic nie zostanie. Może Rooskies nie mają tutaj armat, a może chodzi jeszcze o coś innego, w każdym razie w żaden sposób nie odpowiadali napastnikom. Jest tylko jedna opcja – naprzód, Molly Blackwater!

– Wołka! Szatę! Przynies mi białą szatę, szybko!

– Coś ty znów wymyśliła?! Zaraz tamte ruszą!

– Nigdzie nie ruszą, będą bombardować! A ja stąd nic nie mogę zrobić! Muszę być bliżej Wołka, zrozum!

Wilczyca przygryzła wargę.

– Co chcesz zrobić?

– Podejść jak najbliżej. W przeciwnym razie wszystko tu przemiela, ludzi zabijają!

– Nie zabijają – powiedziała z przekonaniem Tańka. – Domy zniszczą, ale wszystkich nie zabijają. Więc...

– Przynies mi szatę! – krzyknęła Molly, tracąc cierpliwość. – W tej chwili!

Tańka pokręciła głową, ale wtedy niedźwiedź ryknął na siostrę tak, że ta od razu umilkła i biegiem poleciała gdzieś przez transzeję, nisko pochylona. Niedźwiedź parsknął, odwrócił okrągłą głowę i spojrzał Molly w oczy, wesoło, zawadiacko. I mrugnął, czego nigdy nie zdołałby zrobić zwykły niedźwiedź.

Zanim Tańka zdążyła wrócić, czarna linia królewskich pełzaczy ryknęła, wypluła kłęby dymu i pary i powoli ruszyła przed siebie. Nadal waliły niewidoczne stąd baterie, wybuchy wstrząsały ziemią, ale Molly mogła jedynie z całych sił zaciskać uszy rękami. Obok niej zwinęła się w ciasny kłębek kotka; pani nie zdążyła zostawić jej w bezpiecznym miejscu...

Pełzacze podejną bliżej, Królestwo przestanie strzelać i one zmiążdżą tu wszystko... A na razie ona i niedźwiedź nie mogli nawet wychylić się z transzei, a powietrze wokół wypełnił drobny, gryzący pył, poderwany wybuchami z zamrażniętej ziemi. Molly wtuliła nos w rękaw własnej *touloupe*, z lodowatym przerażeniem czekając, aż następny pocisk trafi w nią.

Pełzacze zbliżały się, plując dymem. Sunęły przez śnieżne pole, a po prawej i lewej stronie zaczęły iść zupełnie nowe potwory, powoli przestawiając słoniowe nogi. Poruszały się jeszcze wolniej niż pełzacze, miały obrotowe wieże, korpusy oplątane parociągami, z połączeń wylewały się strugi pary, a każda noga wydłużała się, póki nie dotknęła ziemi. Z boku wyglądało to tak, jakby stalowy gigant ostrożnie wymacał grunt, krocząc przez grząskie bagno...

Gdy Molly szkicowała swoje lądowe drednoty niepotrzebujące torów, które miały zastąpić pociągi pancerne, Królestwo też nie traciło czasu.

Ze strachu Molly zupełnie zapomniała o magii. Zapomniała nawet, po co i dlaczego tu jest. Chciała już tylko jednego, skulić się w kłębek, wrosnąć w dno transzei, w zimną ziemię, rozpląnąć się w niej, zniknąć, znaleźć się jak najdalej, jak najdalej stąd...

Ktoś złapał ją, odrywając od zbawczej ziemi – Tańka! Zęby wyszczerzone, twarz wykrzywiona i straszniejsza od wilczej paszczy. A w rękach – pognieciona biała szata.

– Proszę...

Szczerząc się nie gorzej niż wilczyca, Molly założyła ją szybko. Szata była na nią trochę za duża, ale to nic. Tak bardzo bała się przejść przez przedpiersie, położyć na śniegu i czołgać, przywierając do ziemi, gdy w oczy i nos wciska się zimny, kłujący śnieg. Te czynności tak bardzo ją pochłonęły (czołgać się, rozpląszyć na ziemi, czołgać), że zapomniała o atakującym Korpusie. Teraz musiała tylko przywrzeć do ziemi, zmienić się w gąsienicę, zlać ze śniegiem. A reszta... resztą zajmiemy się później.

Czołgała się. I nie od razu pojęła, że obok niej, tak samo rozpląszczona, czołga się Wołka, już w swojej wilczej postaci. A z drugiej strony niedźwiedź, którego futro zmieniło kolor na biały, jak u polarnego krewniaka.

Molly chciała zakląć, pogonić ich powrotem, ale się powstrzymała. To przecież Rooskies. Nie zawrócą, skoro już postanowili. I dalej czołgali się we trójkę. Całe szczęście, że tylko we trójkę, jeszcze tylko Di tu brako...

– Miau – odezwała się cichutko kotka. „Dokąd się beze mnie wybraliście, głupie dwunogie koty bez ogonów?”

Molly tylko westchnęła. No przecież już nie zawróci!

Ciężkie pociski wybuchały coraz dalej za ich plecami. Haubice przeszły na większy kaliber, zwiększyły zasięg. Linia czarnych pełzaczy była coraz bliżej. Nie było ich trzy, jak poprzednio, lecz ze trzydzieści, a za nimi, no jasne, kordon



piechoty. Kroczące hipopotamy na flankach, które mogły ostrzeliwać teren z mitraliez i walić pociskami odłamkowo-zapalającymi z dwuipółcalówek, prosto w transzeje. Przed nimi nie uratują ani okopy, ani przedpiersia.

Z tyłu rozległy się suche strzały strzelb – obrońcy Mścisława chcieli przypomnieć, że tak po prostu stąd nie odejdą. Molly nie mogła zrozumieć, po co strzelają: ich kule nie przebija pancerzy parowych stworów, jegrzy i tak kryją się za pełzającymi twierdzami. Jakkolwiek by nie patrzeć, cała nadzieja w niej, w Molly.

Dobrze, chyba wystarczy. Dość. Pełzacze wkrótce podejną jeszcze bliżej. Łokieć, dłoń, palce, Molly Blackwater.

Obok niej zamarli Tańka i niedźwiedź. I oboje wbili w nią wzrok.

– Miau! – zapewniła ją Di.

Łokieć, dłoń, palce... Ale czemu z takim trudem, tak powoli gromadzi się w nich ciepło? Skąd to zimno wcale nie zimowe, nie chłód śniegu, lecz coś zupełnie innego, sunącego przez żyły, pragnącego przemienić w lodowe kulki nawet oczy? Skąd ten... dziwnie znajomy chłód? Molly z irytacją potrząsnęła dłonią. Co się dzieje? Gdzie jest to, do czego już przywykła? Lekkie klucie w koniuszkach palców?

„Chcą cię zamrozić – powiedział niewidzialny Zwierz Ziemi swoim basem. – Pomożemy ci, ale... Możesz nie wytrzymać. Zaryzykujesz, Molly z Nord Jorku?”

„Zamrozić? Kto mnie chce zmrozić?”

„Nie wiem. My, pradawni tej ziemi, możemy tylko dać ci siłę. Nie została nam objawiona sztuka kierowania nią tak, jak czynicie to, wy, ludzie. My jesteśmy strażnikami spokoju, wy wiecznie go naruszacie...”

Chyba niewidoczny rozmówca miał chęć na dłuższą pogawędkę, ale ona zupełnie nie miała czasu...

„Zgadzam się! Dawaj!”

Jedna chwila, druga i drętwość w palcach zastąpił ogień. Pobiegł w dół od ramienia, skraplał się w dłoni jak deszczówka. Jeszcze więcej i jeszcze, a dłoń Molly stawała się coraz cięższa, jakby niewidoczny płomień był cięższy od stopionego ołowiu. Ale to nie była jej siła, była obca, chociaż przyjazna. Zdrętwiałe palce zabolowały, ożyły niczym zdrętwiała noga.

Molly z irytacją potrząsnęła ręką. My tu gadu-gadu, a pełzacze Królestwa jeden po drugim zaczęły strzelać, huczały krótkie działa w sponsonach, ożyły mitraliezy z przodu, dołączyły do nich maszyny kroczące. Okopy obrońców miasta nakryła druga fala wybuchów.

Te pociski, znacznie lżejsze od haubicowych, były za to szrapnelami, wybuchały w powietrzu nad szczelinami i przejściami, zalewając wszystkich, którzy próbowali się tam ukryć, deszczem roztopionego ołowiu.

Niedźwiedź ryknął, Wołce wyrwał się krótki szloch.

Obca siła przepływała przez palce Molly, ożywiając je, przeganiając dziwne odrętwienie, ale Molly nie umiała ani nią kierować, ani jej utrzymać. Swoje, tylko swoje.

Białe pole, czarne maszyny na nim, stworzone z kutego żelaza, działa i para, pociski i bomby, dym i ogień, kule i odłamki. I oni, we trójkę, w samym sercu tego wszystkiego: dziewczyna z Nord Jorku i dwaj przemienicy, wilk i niedźwiedź. Ach tak, i jeszcze kotek. Oni we trójkę i kotek. Kotek. Kotek, co wszedł na płotek...

Palce Molly poruszyły się. Wtedy, przed szpitalem, gdy trzeba było ratować Wolchownę Średnią i jej pacjentów, wszystko robiła jak w malignie, jakby w gorączce, a teraz nie czuła nic, prócz tańczącej na końcach palców siły. Jej własnej. Na razie ich nie widzieli. A może nie zwracali uwagi?

Za plecami całej trójki płonął Mścisław, artyleria Królestwa przeniosła ogień w głąb, niszcząc dalekie stodoły i magazyny na północnej drodze.

Już czas, Molly. Rozłożyła dłoń. I zacisnęła powieki, bardzo mocno. I tak widziała wszystko, co trzeba. Wypuszczona na wolność istota, która nie miała imienia, machnęła krótkimi skrzydłami, mknąc ku maszynie z brzegu. Raz, drugi, trzeci, oto i one, wąskie szczeliny, zmrużone pogardliwie, patrzące na świat. Do środka! Do środka, tam, gdzie splatają się rury i przewody, gdzie płoną piece i na całego działają kotły, gdzie huczy przegrzana para, oddając całą swoją moc potworowi, złożonemu z żelaznych płyt potworowi.

Molly przelotnie dostrzegła ludzi – spoconych, w okularach ochronnych, w hełmach maszynistów, takich samych, z jakich ona była kiedyś dumna, siedzących za sterami i drążkami, ściskających rękojeści, wykrzykujących rozkazy w otwory rur do rozmowy – machnęła skrzydłem i ruszyła wąskim szybem w dół, do maszyn, kotłów i pieców.

A tam szalał, miotał się płomień, szamotał w strachu, już wiedząc, co się zaraz stanie i nie mogąc nic zrobić.

Wiatr i skrzydła, ciasnota przedziału maszynowego, czerwone, mokre twarze palaczy, może są tu ojcowie jej ulicznych przyjaciół. Nie, nie myśl o tym, Molly Blackwater! Niewidzialny ptak lekko przejechał końcem skrzydła przez kilka rur, za nic mając grubą stal i azbest izolacji. Molly na śniegu wzdrygnęła się z bólu,

gdy od palców do ramienia przeszła ją ognista igła.

Rury pękały, strumienie pary wychodziły ze szczelin i ptak zawirował we mgle, usiłując nie widzieć bólu, rozcinając koniuszkami skrzydeł, ostrzejszymi od brzytwy, wszystko, czego dosięgnął.

Ale Molly Blackwater nie waliła na oślep. Palacze z wyciem wyskakiwali z przedziału, otwierając właz awaryjny w podłodze – bardzo dobrze. Wielka machina krocząca wzdrygnęła się, zachwiała, a ptak, ulubiona już teraz broń wołoszownicy Molly Blackwater, wyrwał się na wolność.

Plując parą i dymem ze wszystkich szczelin, machina powoli przechylała się na bok, upadając prosto na jeden z pełzaczy. Ten z całych sił próbował uniknąć smutnego losu – zmiżdżenia przez upadającego giganta. Z jego kominów walił teraz gęsty dym z iskrami, pełzacz próbował skręcić, ale wszystko to działo się zbyt wolno. Upadająca machina lufą przebiła dach pełzacza i z otworu wypadł snop ognia zmieszanego z dymem.

To już Molly widziała na własne oczy. Siła jej ptaka wyczerpała się, on się rozplynął, wrócił do swego powietrznego żywiołu.

Dwie maszyny przemieniły się w stertę płonącego żelastwa i Korpus Górski Jej Wysokości przyspieszył. Wszystkie pełzacze wypluły kłęby dymu, maszyny kroczące szybciej przestawiały kończyny. Wybuchy nakryły transeje i okopy na obrzeżach miasta, miały śnieg gąsienice, pełzacze, wzdrygając się i plując czarnym dymem, zmierzały w stronę Molly. Ryknęły haubice, ale uczennica Starszej nawet ich nie zauważyła.

W koniuszkach jej palców rodziło się następne zakłęcie, ale z jakiegoś powodu Molly nie udało się powtórzyć poprzedniego, zupełnie jakby ktoś bardzo zręczny cały czas trącał jej rękę. Wtedy, na skraju lasu, waliła ognistym młotem, teraz potrzebowała czegoś subtelniejszego.

Łokieć, dłoń, palce! Woda! Woda, parzący chłód! Ręka Molly wyciągała z mroźnego powietrza ostatnie okruchy ciepła; gąsienice pełzaczy szybko pokryły się lodowymi łańcuchami... Lód prędko narasta, błękitna fala z trzaskiem wspina się coraz wyżej i nawet nagrany pancerz nie może go roztopić. Pełzacze kaszlą ochryple, plują dymem, próbują się uwolnić, mitraliezy walą we wszystkie strony, działa próbowały nadążyć, na oślep wysyłając pociski w *białyj swiet, kak w kopiejeczku*[56], jak zapewne powiedziałyby Starsza.

Molly przekonała się, jak dobrze zrobiła, podczołgując się tutaj: transeje obrońców miasta zasnuło chmurą dymu i pyłu od niezliczonych wybuchów. Artylerzyści Królestwa znali się na swoim fachu. Ale wtedy dowódcy pełzaczy

zrozumieli, że coś jest nie tak, i ze wszystkich dział zaczęli ostrzeliwać śnieżne pole przed nimi.

Molly drżała; jeszcze nigdy nie dysponowała taką mocą. Tam, pod wulkanem, było całkiem inaczej. Główną pracę wykonywali inni, ona musiała tylko przekręcić klucz w kłódce.

A tu była sama, zupełnie sama. Wymyśl jak, znajdź siłę, nadaj jej kształt. Bez deski kreślarskiej, arytmometru, gryfionu i suwaka logarytmicznego. Według Królestwa było to niemożliwe i najzupełniej niesłuszne! I echo, nie zapomnij o echu!

Już teraz toczyło się po podziemnych żyłach, próbując zniszczyć z takim trudem zaprowadzony porządek. Molly, jak mogła, próbowała temu przeszkodzić, ściągnąć echo na powrót do siebie. To było tak, jakby łapać nartniki na powierzchni wody. Ogniste, żądłące nartniki.

Łokieć, dłoń, palce, do mnie, do mnie!

Mróz zastąpił żar, wokół Molly, Wołki, Wsiesława szybko topił się śnieg. Czarny krąg parującej ziemi rozlewał się coraz szerzej, wilczyca ryknęła ostrzegawczo, niedźwiedź trącił Molly nosem w policzek, co robisz, zaraz nafaszerują nas ołowiem...!

Wybaczcie, myślała gorączkowo Molly, nie mając ani chwili, by powiedzieć to na głos. Przepraszam, jeszcze nie umiem inaczej...!

Wołka zębami ściągała z Molly białą szatę, ale było już za późno, zostali zauważeni.

Poruszyły się lufy zamarłych pełzaczy, maszyny kroczące, te, które zachowały mobilność na lewej flance, zasyczały, sypiąc iskrami, i przyspieszyły. Nagle ośmielona, wsunęła się między pancerne giganty królewska piechota. Strzelcy górscy i jegrzy, którzy przyszli tu, za Karn Dred, byli odważni i świetnie wyszkoleni. Widzieli, jak rozlatują się odłamki pocisków haubicy, wiedzieli, jak blisko mogą podejść, nim artyleria przerwie ogień. Ktoś zrozumiał, co się tu dzieje, i wydał rozkaz.

Molly mogłaby przysiąc, że zna ten rozkaz. Nadal dźwięczał w jej uszach, powtarzany przez setki, tysiące głosów:

„Wiedźma! Zabijcie wiedźmę!”

Nie, moi panowie, nie zabijecie mnie. Ani mnie, ani tych, którzy walczą tu ze mną. Wilczyca i niedźwiedź, oboje na nią patrzyli. Wołka z nadzieją, a Wsiesław... och, jak on na nią patrzył! Niedźwiedzie tak nie umieją! Serce zatłukło jej w piersi.

Czarna plama ziemi już się nie rozszerzała, ale artylerzystom Korpusu Górskiego to wystarczyło, pierwsze pociski wybuchały zupełnie blisko. Molly wiedziała, że trzeba stąd uciekać, trzeba odejść, wynieść się stąd, przeżyć, żeby walczyć jutro, ale dziwna rzecz, ona jakby przyrosła do ziemi.

Łokieć. Dłoń. Palce. Wstań, siło ziemski! Wstań, ochroń i obroń! Łokieć. Dłoń...

Wybuch! Jakby pudowy młot uderzył Molly w głowę, podrzuciło ją i cisnęło o ziemię. Artyleria strzelała, zostały im tylko chwile, zanim jakiś pocisk jednak znajdzie drogę i po Molly, jej przyjaciółkach i kotce nie zostanie nawet mokra plama.

Szybciej, szybciej, szybciej! Ona już wie, co robić, potrzebuje tylko kilku krótkich sekund, żeby ulepić z niewidocznej, ale podatnej siły to, co trzeba, i zrozumieć, gdzie nakierować echo. Tylko skąd wziąć te sekundy, jeśli działa Królestwa nagle przestały strzelać, a piechota pochyliła bagnety i przeszła z truchtu w pełny bieg?

Chcą wziąć wiedzmę żywcem, pojęła nagle Molly. Nie potrzebują mnie martwej, chcą mnie żywą... Kto wie, może nawet czekali tu właśnie na mnie? Żeby pojąć, co się stało. Nienawidzą, gdy nie mogą czegoś zrozumieć, gdy nie mają prostego, jasnego wyjaśnienia. Nieważne, czy jest prawdziwe, czy fałszywe, musi być proste, zrozumiałe! Żeby mogli myśleć, że wszystko wiedzą, a jak czegoś nie wiedzą, to znaczy, że nie istnieje. Oni, napomadowani dżentelmeni z prestiżowych klubów, o których nawet tata wyrażał się z szacunkiem... Potrzebowała tylko krótkiej chwileczki...

Wsiesław zerwał się ze wściekłym rykiem, machnął okrągłą głową i ruszył, jak żywy pocisk mknąc prosto na szeregi jegrów. Jak szara błyskawica pomknęła za bratem Wołka. Wszystko już zrozumieli.

Zaterkotały wystrzały. Jegrzy i górski piechota zasłaniały niedźwiedzia oraz wilka przed działami i mitraliezami, więc pełzacze milczały. Molly zacisnęła powieki. Nie powinna tego widzieć! Jej walka była gdzie indziej. Ale ich zaraz...

I wtedy z tyłu rozległ się nowy dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Ryk, okropny, groźny, płynący, zdawałoby się, zewsząd i znikąd. Molly miała wrażenie, że ryczy sama ziemia, las, nawet niebo. Coś gorącego uderzało ją w piersi, jakby rosły jej skrzydła, i znów czuła, że jest nieśmiertelna i nietykalna, jak nieśmiertelni i nietykalni byli teraz Wołka i Wsiesław.

Z tyłu, z bezlitośnie ostrzeliwanych okopów i transzei, jeden po drugim wychodzili ci dziwni Rooskie i opuszczając nisko bagnety, ruszali biegiem do

przodu. Powietrze drżało od ich ryku, wycia, krzyku, który wydawali i w którym Molly słyszała tylko przeciągłe, wściekłe, niekończące się: „Aaaa!”.

Ludzie nie mogliby tak krzyczeć ani biec, przecież celowano już do nich z licznych luf, Molly widziała, ile palców spoczęło teraz na spustach.

A nad polem toczyło się straszne, rozdzierające duszę „hura!”, tych niezrozumiałych Rooskies, którzy mówili, jak cytował pan Cartwright, że „na tej ziemi i śmierć jest w kolorze czerwonym”.

Górcy strzelcy i jęgrzy Jej Wysokości byli doświadczonymi, wyszkolonymi żołnierzami. Nie drgnęli i nie uciekli, przeciwnie, szybko przyklękali na jedno kolano, podrzucając broń i celując, jednak tam, gdzie na nich pędzili Wsiesław i Wołka, nie wytrzymali nawet najdzielniejsi. Jedna niespójna salwa, druga... Niedźwiedź zaryczał, potrząsnął głową, w górę wzleciały krwawe bryzgi, ale już biegł dalej. Przed nim i wilczycą jęgrzy rozsunęli się na boki, strzelając z bardzo bliska.

Ale kilka chwili dla Molly brat i siostra zyskali.

– Lećcie, moje kochane – wyszeptała uczennica Starszej nieposłusznymi wargami. I przesunęła ręką.

To, co zostało zebrane, zgromadzone i zwinięte w mocne, niewidzialne nici, ruszyło. Molly stanęła wyprostowana, zapominając o kulach i odłamkach. Teraz była naprawdę wszechpotężna. Widmowe struny pomknęły przed siebie, wnikając w szczeliny pełzaczy; ich lekkość od razu się kończyła. Coś zimnego, śliskiego pojawiło się między nią i jej celem, ale za późno, za późno!

Oto one, żółte pociski, syczą obok zatrzymujące parę zawory, krzyczą coś ludzie, zupełnie jakby wyczuli jej, Molly, obecność, z łoskotem odchylają się włazy, ludzie chcą się ratować, ale ona, prawdziwa *wołszebnica*, machnięciem ręki sprawia, że wszystkie ładunki wybuchowe jednocześnie odpalają się w brzuchu żelaznego potwora.

Wybuch, wybuch, wybuch!

Najeżone lufami pełzacze rozrywało na kawałki, płonęły wywrócone wnętrza machin, sterczały wśród języków płomieni powykręcane rury, stalowe kawałki szkieletu, z którego siłą wybuchu wyrwało pancerne płyty. Piechota Jej Wysokości w pierwszej chwili zastygła, a potem z nadzwyczajną żwawością rzuciła się do ucieczki.

Molly Blackwater stała, jak somnambuliczka, z opuszczonymi rękami, poniżej łokci czując tylko ból, i patrzyła, jak płonie cały rząd stalowych potworów.

Dawna Molly, wysuwając język i wstrzymując oddech, rozrysowała szkice machin, a nowa... A nowa tylko patrzyła, jak one płoną. Jak ucieka, rzucając karabiny, armia Królestwa. Jak za nimi przetacza się fala Rooskies ze swoim strasznym „hura!”, jak oni biegną, nie strzelając, oszczędzając jedyny nabój w lufie, żeby użyć go wtedy, gdy w obozie Korpusu Górskiego zderzą się dwie siły. Jak znika chłód, który chciał jej przeszkodzić.

A potem Molly po prostu usiadła tam, gdzie stała, i rozpłakała się.

Płonęły na polu bitwy pełzacze i maszyny kroczące, walka przesuwała się na południe, a Molly z Nord Jorku, panna Blackwater, która stała się Dziewczyną Czarnej Wody, płakała na plamie czarnej ziemi wśród zaśnieżonego pola. Zyskała bardzo, bardzo wiele. Ale jeszcze więcej straciła.

Czy żałowała tej beztroskiej Molly, pilnej uczennicy i zawziętej „maszynistki”, która najbardziej kochała swoje szkice i nawet lalki uczyła zasad rysunku? Czy opłakiwała swoich przyjaciół? Pannę Barbarę, pana Cartwrighta? Przecież jeśli jeszcze żyli, to byli jej zajadłymi wrogami już na wieki.

Czy opłakiwała tę dziwną, przerażającą pustkę w środku, gdzie odeszło odbite echo jej ostatniego zaklęcia? Czy opłakiwała tę nagle utraconą umiejętność? Łokieć, dłoń, palce – nic już nie miało sensu, siła przestała jej słuchać.

Może wydała jej zbyt wiele...

To wszystko i jeszcze więcej opłakiwała teraz Molly, tracąc poczucie czasu, i opamiętała się dopiero wtedy, gdy Wołka polizała jej twarz, a gdzieś z tyłu zaryczał niedźwiedź.



# EPILOG



– Oto i twój Nord Jork. – Wołka odwróciła się do Molly. – Jak na dłoni.

Niedźwiedź zaryczał głucho, potwierdzając słowa siostry. Di miauknęła z niezadowoleniem, podkurczając łapki na mokrym śniegu.

Wszyscy oberwali. Wsiesław do tej pory kulał na przednią prawą łapę, Wołka miała dwie świeże blizny na bokach, kotce odłamek przejechał po plecach, na szczęście tylko ją drasnął.

Molly powiedziała, że odchodzi zaraz po bitwie pod Mścislawem. Podchodzili do niej brodaci wojownicy Rooskies i Tańka tłumaczyła ich słowa, pełne szacunku i wdzięczności, ale Molly prawie nie słuchała. Coś w niej pękło, coś się złamało. Przepłakała prawie całą noc po walce i płakała dopóty, dopóki Tańka nie zaczęła jej pocieszać.

Starsza nadal leżała nieprzytomna w swoim dworze, pod nadzorem Średniej siostry. Korpus Górski, po stracie trzydziestu pełzaczy i machin kroczących w jednej walce, wycofał się na południe, ku przełęczy, i tam już lotne oddziały Rooskies robiły swoje. Molly nie chciała słuchać żadnych szczegółów.

– Ja chcę do domu. – To było jej pierwsze zdanie po tym, gdy wreszcie się wypłakała.

Musiała wrócić! Po prostu musiała wrócić, wrócić za wszelką cenę! Co się dzieje z jej rodziną, z mamą, z tatą, bratem, z Fanny i Jessicą?

Urwało się. Właśnie tak, urwało. Może gdyby teraz była przy niej Starsza... Ale stara wiedźma była bardzo, bardzo daleko... I Molly nagle uświadomiła sobie swoją samotność. Samotność, których nie mogła rozwiązać ani jej przyjaciółka Wołka, ani Wsiesław.

– Ja chcę do domu.

– Odprowadzimy cię – powiedziała Tańka, wymieniając z bratem spojrzenia. – Odprowadzimy cię i trochę się tam... rozejrzemy.

I oto właśnie byli na miejscu.

Korpus Górski cofał się, cofał do przełęczy (choć nie za nią), ale wilczyca z niedźwiedziem poprowadzili Molly inną drogą. Wąskimi górskimi ścieżkami, prawie nie do przejścia, gdzie Wsiesław musiał torować drogę w głębokim śniegu, a Tańka nieść wyczerpaną Molly na plecach. A wszystko dlatego, że magia nie chciała jej już słuchać. Tak jak kiedyś.

Wsiesław i Wołka zgodnie namawiali ją, żeby przestała „histeryzować”.

– To wszystko wróci – powtarzała Tańka, obejmując ramiona Molly. –

Zobaczysz. To przecież pierwsza bitwa...

– Druga – chlipała Molly.

– Druga – zgodziła się Wołka. – Ale pierwsza prawdziwa, gdy rozumiesz już co i jak. I jeszcze całe echo na siebie wzięłaś...

Molly tylko pociągała nosem. Czy wierzyła, że magia opuściła ją na zawsze? Sama nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Czasem nagle myślała, że to bardzo dobrze, będzie sobie spokojnie żyć z mamą i tatą, i żaden Departament Specjalny już nic nie może jej zrobić. A czasem wspominała Starszą i zaczynała płakać na cały głos. W takich chwilach miała wrażenie, że odcięto jej prawą rękę.

Podchodził niedźwiedź, ciężko wzdychał, trącał ją w ramię kosmatą głową. Siadali razem, Molly przytulała się do jego ciepłego boku i długo tak siedzieli razem w milczeniu. Z Wsiesławem w jego niedźwiedziej postaci dobrze się milczało.

Magia nie wracała.

Przedostali się za Karn Dred, który zimą uważano za niedostępny, jeśli nie liczyć jedynej drogi za przełęcz.

Jak cienie prześliznęli się po górskich ścieżkach, omijając forty i blokhauzy, i dobrze umocnione stacje, gdzie jeździły pociągi i dymiły pancerne parowozy. Molly patrzyła na nie jak na jakieś dziwo, odwykła od widoku dymu.

Tak, powietrze wyraźnie się już psuło, zwłaszcza w pobliżu stacji. Wypełniały je dymy i węglowy pył, śnieg poszarzał od popiołu, wyrzucanego przez kominy. Molly wrócił kaszel, o którym zdążyła już zapomnieć w kraju Rooskies. W końcu dotarli na miejsce.

– Oto i twój Nord Jork.

Tańka nie wytrzymała, chlipnęła i odwróciła się. Jej plecy drżały i Molly, czując, jak łzy gromadzą się w jej oczach, ostrożnie objęła Wołkę za ramiona i przytuliła do siebie, jak starsza siostra. Wsiesław westchnął, przestąpił z łapy na łapę. Nadal się nie przemieniał, jakby rozumiejąc, że Molly łatwiej jest być z nim jako niedźwiedziem.

Był pochmurny dzień później zimy, a może nawet wczesnej kalendarzowej wiosny, ale tu, na północy Królestwa, do ciepła, czarnej ziemi i rozwijających się pączków na gałęziach było jeszcze daleko.

Miasto jak zwykle płonęło żółtymi światłami i krztusiło się dymem licznych fabrycznych kominów, dymiły też paleniska, bez chwili przerwy przewalając rurami parę, krew Nord Jorku. Do domów na obrzeżu zostało mniej niż pół mili, las

tutaj został już zrąbany. Jeśli przejdzie się przez niewielkie wzgórze z rzadkimi, rachitycznymi sosnami, to tam będzie droga. Królestwo wolało kłaść na obrzeżach Nord Jorku tory, ale równiarki też wystarczyły, po nich wolne lokomobile ciągnęły drewno do pobliskich tartaków.

Di rozglądała się niezadowolona, wychylając się zza pazuchy Molly. Wyraźnie jej się tu nie podobało. A może tęskniła za swoim przyjacielem, czarnym Wasilijem...? Molly również chlipnęła, objęła mocną Tańkę i odsunęła się.

– Jak wyglądam?

Miała na sobie swoje stare rzeczy z „Herkulesa”, wyprane i naprawione. Prócz tego hełm maszynisty, okulary ochronne, spodnie, ciepłe wysokie buty i kurtkę z suwakami. Przez zimę wszystko to zrobiło się trochę ciasne i przykrótkie.

– Dokąd pójdziesz, co powiesz? – nie wytrzymała Tańka. W drodze zaczynała tę rozmowę prawie co wieczór.

Molly tylko kręciła głową.

– Jak wyglądam? – powtórzyła.

– Dobrze wyglądasz – burknęła Tańka.

– No to pójde – powiedziała po cichu Molly.

Nie powiedziała: „Jeszcze się zobaczymy” ani: „Żegnajcie, przyjaciele”. Słowa nie były potrzebne.

Schodziła po zboczu, nie odwracając się, ale wiedziała, że niedźwiedź i dziewczyna stoją nieruchomo i patrzą na nią. Na drodze nie było nikogo i Molly dziarskim, żwawym krokiem doszła do miasta. Di przez jakiś czas biegła obok, a potem miauknęła, żeby ją wziąć na ręce. No i co z tobą zrobić...

Na obrzeżach była pętla miejskiego parowozu. Dwa puste wagoniki i parowóz, który wyglądał jak zabawkowy. Przed otwartymi drzwiami nudził się wysoki, chudy konduktor.

Ręce i język Molly wszystko zrobiły za nią. Nawet nie usłyszała słów, które wymówiła.

Myślała o swoim bracie i o swojej siostrze, o dwóch przemieńcach, którzy zostali tam, w przydrożnym lesie. Co teraz robią? Czy Tańka się przemieniła i razem z niedźwiedziem, nie tracąc czasu, wyruszyli w daleką drogę powrotną, na północ? Albo przeciwnie, nie spiesząc się donikąd, postanowili się wywiedzieć, co słychać w Królestwie, po tym, jak Korpus Górski dostał taki policzek? Tańka wspominała, że chcą się „rozejrzeć”...

Syczący głośnik głosem konduktora oznajmiał nazwy przystanków. Gdy już dotarli do znajomej Gearshift Street, Molly zeskoczyła na jezdnię. Nord Jork... Poprawiła maskę.

Lepki smog wypełniał powietrze, zupełnie nie było wiatru i wszystko, co wypluwały kominy, wisiało nad ulicami, chodnikami i dachami domów. Molly szła przez tak sobie znane ulice, obok kramów, pubów i sklepów. Zerkała na słupy ogłoszeniowe, ale nikt jej, więdźmy, nie poszukiwał. To był sen. Nie wiadomo tylko, dobry czy straszny?

Ulubiona czekoladziarnia. Cukiernia. Sklepek, w którym sprzedawali lody. Zieleniak. Rzeźnik. Sklep mleczarski.

Estakada pospiesznego parowozu, huczy, jadąc po niej, pociąg z trzema wagonami. Pałą się żółte latarnie nad schodami, które prowadzą w górę, na peron. Domy wokół wydają się nierealne, jakby narysowane przez ponurego i złęgo artystę... Wszystko jak zwykle. Wystrojone damy i dżentelmeni w ciepłych paltach, solidne, sapiące drogie lokomobile, zapach cynamonu z uchylonych drzwi piekarni...

A oto i Pleasant Street, oto i numer 14. W oknach pali się światło, łagodne, ciepłe, jak zwykle. Nad kominem unosi się dym. W piwnicy dyszy żarem spracowany kocioł parowy, w salonie pali się w dużym kominku. Fanny pewnie podała już kolację. W gardle Molly pojawiła się gula.

Jedynę, co musiała zrobić, to podejść do drzwi i zadzwonić.

Ale może lepiej wejść od strony podwórza. Bo to nigdy nie wiadomo, *nie rowien czas*<sup>[57]</sup>, jak mawiała Starsza, śmiejąc się, gdy Molly chciała się dowiedzieć, o co chodzi z tą nierównością godziny – że nie jest gładka?

Szybko obiegła dom alejką z kubłami na śmieci. Oto i tylne podwórze. Tu wszystko było po staremu, nawet połamana skrzynka przy odległej ścianie – tata do tej pory nie zdołał nikogo nająć do posprzątania.

Molly wstrzymała oddech. W domu, jak zwykle o tej porze, opuszczono lekkie rolety, suną po nich cienie, mama, tata, Fanny. Jessica też jeszcze powinna być.

Molly zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi kuchennych. I zastukała, równie zdecydowanie. Di wyskoczyła jej z za pazuchy, z rzeczową miną siadła u stóp dziewczynki. Teraz rozlegnie się niezadowolony głos mamy, zaszura nogami Fanny, pójdzie sprawdzić, kto się tam dobija kuchennym wejściem o tej porze...

Szuranie. Szczęk klucza przekręcanego w zamku. W drzwiach staje Fanny ze świecą w ręku. Jej oczy otwierają się szeroko.

– Molly?! Panienska Molly?!

– Tak, Fanny! To ja! Wróciłam! Gdzie mama, gdzie tata?!

Służąca szybko cofnęła się w głąb domu, patrząc na przybyłą jak na ducha.

– Tam... Panienko Molly...

W środku pachniało domem, prawdziwym domem, puddingiem, smażonym indykiem, herbatą, fajką taty, perfumami mamy...

Serce Molly zamarło. Przeszła przez próg z oczami oślepiionymi łzami. Ciepło. Jak tu ciepło, jak dobrze w tej kuchni, skwierczy tłuszcz na patelni, gotuje się woda, syczy para... Molly wróciła do domu! Tak, to jej prawdziwy dom, za którym tęskniła tak strasznie przez cały ten czas!

Zrobiła kolejny krok. Fanny przez cały czas patrzyła na nią i przyciskała dłoń do ust.

A gdzie rodzice...? Di wrzasnęła nagle, Molly odwróciła się i zobaczyła znikający w ciemności puszysty ogon. A potem drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem, zabrzmiało to jak wystrzał.

I ktoś mocno ścisnął jej łokcie twardymi łapami, a stalowy, bezduszny, nieludzki głos ryknął prosto do ucha:

– W imieniu Jej Wysokości Królowej, jesteś aresztowana, wiedźmo...!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

- [1] Wielolufowy system szybkostrzelny, często z blokiem obracających się luf, wykorzystujący naboje kalibru karabinowego; prototyp współczesnych karabinów maszynowych (przyp. aut.).
- [2] Autor ma świadomość, że Molly to skrót od Margaret lub Mary. Pamiętajmy jednak, że rzecz dzieje się po Katakлизmie... (przyp. aut.).
- [3] Pogardliwe przezwisko policjanta (przyp. aut.).
- [4] Pół korony – dwa szylingi i sześć pensów. Szyling to dwanaście pensów, a funt – dwadzieścia szylingów (przyp. aut.).
- [5] Above All Expectations – powyżej wszelkich oczekiwań (przyp. aut.).
- [6] Pracuj! Praca, praca! Szybko! (przyp. tłum.).
- [7] Diana – rzymska bogini polowania (przyp. aut.).
- [8] Czarodziejka (przyp. tłum.).
- [9] Czarodziejka (przyp. tłum.).
- [10] Kot (przyp. tłum.).
- [11] Rękawiczka z jednym palcem (przyp. tłum.).
- [12] Występy w burtach statku lub maszyny wojennej, służące do umieszczenia tam broni o większym zasięgu albo do obserwacji (przyp. aut.).
- [13] Siły pancerne armii Jej Wysokości używały podówczas system stopni marynarki wojennej w nieco zmienionej postaci: podporucznik, porucznik, komandor, komodor, kapitan, kontradmirał, wiceadmirał, admirał floty (przyp. aut.).
- [14] Kruszący materiał wybuchowy, składający się głównie z kwasu pikrynowego. W Rosji znany pod japońską nazwą „szymoza” (przyp. aut.).
- [15] Rosyjskie przysłowie, zwykle używane w dwóch kontekstach: 1. aby pochwalić się czymś pomyślnie rozpoczętym w przedsmaku jeszcze bardziej pomyślnej kontynuacji; 2. aby zachęcić kogoś do kontynuacji działań mimo początkowych trudności (przyp. tłum.).
- [16] Jakby kij połknął (przyp. tłum.).
- [17] Powiedzenie oznacza, że heroiczna śmierć jest śmiercią zaszczytną (przyp. tłum.).
- [18] Wołka używa, nieprawidłowo, nieznanego Molly wyrażenia home of washing, bardziej odpowiadającym w języku imperialnym „pralni”, zamiast *bathhouse* albo po prostu *baths*. Zresztą, zdaje się, że historię starożytnego

Rzymu pannie Blackwater wykładano, nie wspominając o termach i tym wszystkim, co się z nimi wiązało (przyp. aut.).

- [19] Chłopiec myli angielskie słowa *you* i *your* (przyp. aut.).
- [20] Zupa (przyp. tłum.).
- [21] Przekłęci (przyp. aut.).
- [22] Tutaj: oto i ona. (przyp. tłum.).
- [23] Urwis, chłopczyca (przyp. aut.).
- [24] Będąc w Rzymie, czyń jak Rzymianie, będąc w innym miejscu, czyń, jak przyjęte jest tam (przyp. aut.).
- [25] Mniej więcej 12 stopni Celsjusza (przyp. aut.).
- [26] Grzęzawisko, bagno, gęstwina (przyp. tłum.).
- [27] Z wyższej sfery, wielmożów (przyp. tłum.).
- [28] Zły, niedobry (przyp. tłum.).
- [29] Targowisko (przyp. tłum.).
- [30] Bogato rzeźbiona listwa drewniana, otaczająca futryny zewnętrzne okien i drzwi jako ich dekoracyjne obramowanie (przyp. tłum.).
- [31] Nie! Z powrotem! (przyp. tłum.).
- [32] Uciekaj! Uciekaj, natychmiast! (przyp. tłum.).
- [33] Rzecz jasna, nie był to znany nam *Pinus sibirica*, czyli syberyjska sosna lub cedr syberyjski. Drzewom, na które patrzyła Molly, bliżej do *Cedrus libani*, cedru libańskiego, jednak rosną w zimnym klimacie i lepiej wytrzymują w gęstwinie. Jedną z osobliwości świata po Kataklizmie (przyp. aut.).
- [34] Dzień dobry (przyp. tłum.).
- [35] Czy ze sprawą przychodzisz, czy tylko drogą przechodzisz – pytanie, które w rosyjskich baśniach Baba Jaga zadawała swoim gościom (przyp. tłum.).
- [36] Od *ne mogu znat'*, przestarzałego zwrotu oznaczającego „nie wiem”, „nie mam pojęcia” (przyp. tłum.).
- [37] Żar-Ptak (przyp. tłum.).
- [38] Pierożki z farszem z dwóch lub trzech rodzajów mięsa, gotowane w bulionie (przyp. tłum.).
- [39] Pierogi (przyp. tłum.).
- [40] Zamienić się, nie patrząc – autentyczny zwyczaj żołnierzy Armii Czerwonej

w czasie wojny. Polegał na tym, że wymieniano się różnymi rzeczami osobistymi, nie wiedząc, jaki będzie efekt wymiany. Według niektórych źródeł wartość przedmiotów odgrywała rolę drugoplanową (przyp. tłum.).

[41] Duszka, słonko (przyp. tłum.).

[42] Otwórz oczy (przyp. tłum.).

[43] Światło (przyp. tłum.).

[44] Niech pani spojrzy, Starsza (przyp. tłum.).

[45] Zuch (przyp. tłum.).

[46] Przysłowie rosyjskie – jutro też jest dzień. Używa się go w sytuacjach, gdy nie ma pomysłu na rozwiązanie problemu i trzeba się z tym problemem przespać, odpocząć od niego, a rano przyniesie nowe rozwiązanie (przyp. tłum.).

[47] Hej, zuchu, czegoś chciał? Czy ze sprawą przychodzisz, czy tylko drogą przechodzisz? (przyp. tłum.).

[48] Tak. Nie. Zobaczymy... (przyp. tłum.).

[49] Skrzat opiekujący się domostwem (przyp. tłum.).

[50] Przeciwnik, wróg, łajdak, złoczyńca (przyp. tłum.).

[51] Starsza rozmawia z Molly w imperialnym, ale tym razem dosłownie przetłumaczyła ze swojego języka, mówiąc: *their intestine is too thin* (przyp. aut.).

[52] Na drogę, przed podróżą (przyp. tłum.).

[53] Czarna woda (przyp. tłum.).

[54] Okrzyk czerwonooarmisty, Wasilija Czapajewa, ze sceny w słynnym filmie, w której ranny Czapajew płynie przez rzekę, ostrzeliwany przez białogwardzistów (przyp. tłum.).

[55] W pas (przyp. tłum.).

[56] Strzelając niecelnie, pudłując (przyp. tłum.).

[57] Nie znasz dnia ani godziny; nigdy nie wiadomo, co może się stać (przyp. tłum.).



Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz